









*Jacek Wianowski*

# BANK CHRYSYSTUSA

*powieść*



<http://rcin.org.pl>



**BANK CHRYSTUSA**

<http://rcin.org.pl>





TADEUSZ ULANOWSKI

# BANK CHRYSYSTUSA

POWIEŚĆ

INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN  
BIBLIOTEKA  
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72  
Tel. 26-68-63

WARSZAWA—1936

NAKŁADEM KSIĘGARNI F. HOESICKA



---

Druk. J. Gustowski, Warszawa, Daniłowiczowska 4.

3484  
<http://rcin.org.pl>

## I.

### HRABIA BRUTTO BIJE BANK.

Dom gry w Monte-Carlo jest to pretensjonalny i brzydki pałac postawiony w bardzo pięknej miejscowości.

Pałac zbudowano 30 metrów nad poziomem morza.

Jeżeli był tu kiedy Heine, napewno obserwował dom gry, odwrócony plecami, zato niewątpliwie zachwycał się morzem.

Perspektywa jest w tej zatoce urocza.

A dom gry?

Tort podarowany fortunie na imieniny.

Może kiedyś, ta Villa Fortunae uderzyła okazałością, z tem zastrzeżeniem, że nie jest zbudowana z kamienia, lecz zwyczajnie z cegły, pokrytej tynkiem, pretensjonalnie pomalowanym.

To sprawia, że liczne rzeźby bronzowe na dachach pałacu robią wrażenie zgranych do nitki graczy.

Marmurowy Massenet uśmiecha się z cokołu pomnika, zupełnie jak wówczas, gdy za 300.000 fran-

ków wykonywał, jako dyrygent, na czele trębaczy, własnej kompozycji hejnał myśliwski, na polowaniu u słynnego gracza i utracjusza, Boni de Castellane, szczęśliwego łowcy posagu panny Gould.

Przepych wewnętrzznego urządzenia Casina sięga nie dalej, niż do kieszeni. W dolnych salach z ruletą zdjęto z powodu kryzysu miękkie dywany.

Starsi woźni i doświadczeńsi krupierzy mają miny znudzone, jakby każdemu przybyszowi wydawali świadectwo ubóstwa. Złotem niewolno grać, tylko tak zwanemi sztonami.

Gracz, zmieniający tysiąc franków i rzucający na stół czerwony krążek stufrankowy — robi wrażenie.

— Tu es mourant? spytał przy mnie krupier krupiera, wskazując grabkami na ubożo obstawiony stół.

Szalejących graczy nie widać. Zapewne czytają w tłumaczeniu Strońskiego, naszego „Robotnika”, gdzie na każdej szpalcie stoi wyraźnie:

— Szalejący kryzys.

W ogrodzie przyległym kwitną agawy, ale nikt nie zwraca uwagi na ten rzadki wysiłek, nie mający nic wspólnego z grą.

Zapyta czytelnik:

— Czyż sama gra — chociażby kryzysowa — nie przedstawia pola do obserwacji?

Jeszcze jakie!

Skoro więc o grę chodzi, o grę „jako taką” — zwracam się z tego miejsca zarówno do przegranych, jak i wygranych (o ile nie poszli znowu grać), ażeby jedni i drudzy zechcieli udać się ze mną nad brzeg morza. Wymyślić szampana mógł tylko naród, który ma wybrzeże pomiędzy Marsylją a granicą włoską.



Skąd pochodzi piana morska?

Zapewne z gniewu: z raptownego spotkania, z niezasłużonego odtrącenia, z rozbicia. Zamęt wody w połączeniu z grzechotem kamyków nadbrzeżnych wywołuje szampańskie wrażenie i, jak powiedziałem, francuzi zakorkowali to wrażenie w butelce.

Butla szampana — to mocny łyk piany morskiej.

Stańmy nad brzegiem i studjujemy.

Niewiadomo, jak i kiedy powstaje pierwsza spieniona fala tuż u naszych stóp.

Czekamy następnej w tem samym miejscu.

Daremny trud.

Ta fala rozleje się i zaszepce ponownie, dzwoniąc klejnotami kamyków, ale zupełnie gdzieindziej.

Gdy rozbawieni, czy rozegrani pędzimy tam, gdzie właśnie piana się iskrzy — naraz wszystko cichnie, a gra zaczyna się w miejscu, które opuściliśmy przed chwilą.

Wszystko odbywa się według jakiegoś odwiecznego prawa, ale nie na nasze zawołanie. Ta sama fala igra z nami na stołach rulety, bakarata, trente et quarante.

Zielone stoły gry pienią się ustawicznie, ale nie dla tych samych ludzi i nie w tem samym miejscu.

Nieprawdą jest, że wszystko zagarniają krupierzy, natomiast prawda jest, że nie można ciągle wygrywać.

Oto wrażenie i cała nauka, czy też system.

System fal.

Trzebaby rozstawić na brzegu morskim kilka tysięcy ludzi, ażeby zgarnęli pieniące się fale do kieszeni.

Podobno większe wygrane osiągane są w ten sposób.

Jeden z dyrektorów Casina opowiedział mi następujące zdarzenie z własnego życia.

— Pracuję tu dwadzieścia pięć lat, od krupiera zacząwszy, ale nie miałem nigdy podobnej przygody. Pewnego dnia zameldował się u mnie młody człowiek z prośbą o zwiedzenie sal. Oświadczyłem mu, że po wykupieniu biletu wejścia może to sam uskutecznić. Po załatwieniu formalności biurowych oświadczył młody człowiek, że chce mi coś pokazać przy stole gry. Udałem się za nim. Stanęliśmy za krupierem, który właśnie puścił w ruch białą gałkę.

— Powinno być 14-cie, proszę pana — szepnął mój towarzysz.

Padła czternastka.

Młodzieniec uśmiechnął się, a ja rzekłem:

— Codziennie widuję takie rzeczy.

Krupier znowu cisnął ziarnem szczęścia.

— Będzie ponownie 14-tka — szepnął nieznajomy.

Padła czternastka, na którą nic nie postawił.

W ten sam sposób zgadł ten dziwny pan jeden po drugim jeszcze cztery cyfry. To już mnie, proszę pana, zastanowiło. Miałem ochotę zajrzeć pod stół, ale się opanowałem.

— Dlaczego pan nie zagra? — spytałem głosem zdecydowanego na wszystko gospodarza.

— Owszem, zagram.

— Postawił trzy razy na cyfrę i ku memu nieujawnionemu zadowoleniu nie zgadł ani razu.

— Więc niech pan dla mnie zgaduje — zaproponowałem.

— Owszem — uśmiechnął się.

Postawiłem trzy razy z rzędu. Przegraliśmy. Młodego człowieka nie zraziło to.

— Pozwoli pan teraz, ale bez stawiania. Przykrył sobie oczy ręką i zgadł bez błędu cztery razy, raz po raz.

— Co to jest? — zawołałem.

— Proszę pana, zgadywać, a wygrywać — to zupełnie co innego. Gdy coś postawię, mam przed sobą inny cel, ogarnia mnie chciwość chwilowa i — nic nie widzę. Gdyby notowano zgadywane wygrane bez pieniędzy, a wypłatę uskuteczniano na drugi dzień, w trzy dni byłoby po was.

— No, no, przesada.

— Naturalnie, że przesada, ale sam pan widział, panie dyrektorze.

— Tak jest, nie przeczę. Gdy pomyślę, że takiemu jak pan myślicielowi, nie przeszkadzałyby stawianie pieniędzy, to, rzeczywiście....

Po obejrzeniu salonów pożegnał mnie i opuścił pałac.

— Skąd pan wie? spytałem bezwiednie.

— Kazałem go śledzić. Na drugi dzień wyjechał z Francji — zakończył wesoło dyrektor.

— Ale — dodał — ten człowiek miał rację. Odgadywanie wymaga spokojnego, niczem innym niezakłóconego pola widzenia, a sama gra? ona jest dziełem nerwów, nastrojonych innym kluczem. W roku zeszłym pewien jegomość zgarnął nam blisko dwa kroć, stawiając pięć razy z rzędu na 16-kę.

— A potem?

— Zwrócił nam to uprzejmie w przeciągu trzech dni i....

— I dodał trochę swego grosza?

— Cokolwiek... niewolno mi, nie wypada obmawiać nawet nieznanym graczy.

Tyle o grze.

Podobno w ostatnim roku zwiedził Monte Carlo Naczelny Prezes Produkcji i Zarobku („Pro-za”), pan Dyogenes Niedobicki.

Pan Dyogenes przeszedł hall pałacowy kontre-dansowym krokiem.

Odrązu zauważył brak dywanów, o których czytał w Bedekerze.

U Kanta nie mógł o tem wyczytać, gdyż, po pierwsze Kant o rulecie nie pisał, a po drugie, pan Dyogenes wszelki „kant” wyczynia praktycznie.

Obszedł stoły gry, jak w Ministerstwie Przemysłu i Handlu, gdzie dawnymi czasy, jeszcze przed majem, miał pan Niedobicki swoich krupierów. (Może ich ma jeszcze i obecnie).

Pan Dyogenes Niedobicki jest numerem, na który mocno postawiono i który nie — wypadł.

Wygląda, jak gdyby zstąpił na posadzkę życia wprost z ambony, ma też w głosie słodycz Z'Ambo-niego.

Przemysłowcy postanowili kupić p. Dyogenesowi posiadłość.

Ktoś poradził bez namysłu:

— Kupcie mu ogród, a w ogrodzie beczkę, niech pan Dyogenes w niej zamieszka.

Kupiono pałacyk.

Pan Dyogenes obojętnie patrzy na ruletę.

Jest już wygrany.

Przy jednym stole wyjął sto franków i rzekł z warszawskim akcentem:



— Pour les employers, messieurs...

Ponieważ nie grał, krupierzy spojrzeli na niego, jak dżokeje na brykającego żrebaka.

W warszawskim „Podwieczorku” napisano o tem depeszę, dyskretnie skracając nazwisko:

„Dar Dyogenesa. Tak się grać powinno”.

Ale pan Dyogenes powiedział w Monte prócz tego dowcip.

Dyrektor Casina zawiózł go autem do Muzeum Oceanograficznego, utrzymywanego, jak wiadomo, kosztem księcia Monaco.

Pan Niedobicki odezwał się z poprzedzającym uśmiechem do dyrektora muzeum, znanego uczonego:

— Pan szuka na dnie morza miejsca na dom gry?

— Jeżeli nas pan tam odwiedzi — otworzymy niebawem — odparł uczony, demonstrując Dyogenesowi gwiazdy morskie, starsze od orderowych.

Bohaterem tego opowiadania jest hrabia Eustachy Brutto.

Na zapytanie, dlaczego ten bogacz oddawał się wysokiej grze hazardowej, oczywiście, nie w towarzyską ruletę, lecz w baka, — trudno dać odpowiedź.

Mógł przecież wybrać sobie inne pole działania. Mógł stawiać fabryki, budować koleje.

Nie czynił ani jednego, ani drugiego.

Porażony widokiem walących się tronów, z niejednym z tych tronów spowinacony, przestał widocznie wierzyć w jakikolwiek czyn konstrukcyjny.

Zaczął uprawiać grę, gdy miał już trzydzieści kilka lat.

Był zbyt wielkim potentantem finansowym i zbyt

niedostępnym towarzysko, ażeby mu ktoś ośmielił się czynić uwagi.

Po śmierci Dominika księcia Roburta był głównym wykonawcą woli zmarłego magnata. Wybrnął pomimo gry z tego zadania, ponieważ powierzył kłopoty z tem związane księdzu Wdowcowi, przyjacielowi obydwu panów.

— Gdyby nie ty, Wdowcze,— mawiał później — poszłoby — Roburtowo.

— Nie poszłoby, nie poszłoby, jestem o to spokojny.

Brutto nachylił się do księdza i odparł, jak podczas spowiedzi:

— Poszłoby, poszło, nie bądź ksiądz tak bardzo o to spokojny. Poszłoby, do kogoś, w inne ręce. Gracze przyspieszają obieg pieniądza. Coprawda, nigdy nie sprawdzałem co się z moimi milionami działo — po przegranej.

— Szkoda — szkoda wielka.

— Kaznodziejo, napewno ani jednego nie spalono. Za każdy mój grosz coś kupiono. Pieniądz jest, uważasz, ruchliwy, wyszedł dawno z beczki. Mój pradziad po matce — książę Ostrogski — zostawił w piwnicach 10 tysięcy beczek srebra. To rozumiem, to można było zabrać jedynie „manu militari”. Tak też zabrano. Ale ten dzisiejszy pieniądz, ten papilot kapitału, jest dostępny. Nie ja postawię szkołę, postawi ją ten co mnie ogrął.

— No, rzadko kiedy....

— O, zaraz się obraziłeś na szkołę z kart... Książę drogi, całe życie współczesne — to wielki dom z kart. Możesz go postawić z samych asów, albo, — jeżeli lubisz baka, — to z samych dziewią-

tek, a jednak będzie to tylko dom z kart. Wystarczy lada podmuch, lada cug, albo kurs, a karty wała się plecami, albo brzuchami do góry — i robi się płasko i nudno.

Śmiał się Brutto, wiedząc, że księdzu dokucza ta filozofją.

Któregoś wieczora wyjął czekową książkę, coś napisał i podał księdzu wydarty blankiet.

— Masz tu pół miliona, przyjacielu i skończmy z tem.

Ksiądz Wdowiec wziął czek i poważnie rzekł:

— Jestem tylko w połowie przekonany.

— Jesteś najgroźniejszym graczem! To znaczy: te pół miliona i jeszcze dla ciebie pół?

— Dla mnie? — zachnął się ksiądz.

— Nie znasz pokiera, ale właśnie dlatego, że nie znasz, naści drugie pół, ty, ty, milionerze, ty, wyzywskiwaczu! Tylko, pamiętaj, przestań mnie sądzić i sondować, bo nie jestem złodziejem, ani zatoką morską.... Przystaniesz?...

— Na dłuższy czas, gdyż będę zajęty tą moją wygraną.

— Oddasz mi to, gdy zostanę kiedyś bez grosza, co?

— Z czego?

— A widzisz, tak samo i moi partnerzy nie zwrócili mi dotąd ani szeląga.

Ale, czy wiesz, od pewnego czasu stale wygrywam, słyszałeś?, wygrywam od tego bankiera Nesesera. Co to za pan?

— Chrzczony żyd.

Czy księdzu taki żyd nie odpowiada?

— Owszem, odpowiada, chociaż przestał odpowiadać na moje listy w sprawie zakładu dla dzieci. Teraz rozumiem....

— Co rozumiesz? co rozumiesz? Dopiero co dostałeś „Brutto” od Nesessera.

— Tak, ale demoralizacja...

— Jak, jak, jak się to nazywa? Ale pieniądze wzięłeś. Siedzisz przy mnie, jak totalizator i jeszcze ci źle? Mój grzech, Tadeuszu, nie jest grzechem hrabiego jednostki. Jest to grzech budowy społecznej. Dziwi cię to? Wiesz, księżę, co ci powiem na tej spowiedzi? Raz nareszcie muszą zasiąść do wszelakiej gry — rządy, mądre rządy.

Ale, ale!... wczoraj wypisałeś o mnie cuda w jakiejś gazetce, że kazałem ponaprawiać drogi u siebie. Przestań to robić, bo nie dostaniesz więcej ani grosza. Żadnego zwracania na mnie uwagi, słyszysz? Nie wprowadzisz mnie na żaden złoty rydwan i nie zaciągniesz na plac publiczny, bo cię kiedy spoję i każę zawieźć tam, gdzie zaproponują ci swe usługi jedyne w swoim rodzaju siostry miłosierdzia.

Zawsze chcesz widzieć we mnie działacza.

Cóż mi pozostaje? A, wiem, literatura!

Czuję, że nie napisałbym nic oryginalnego.

Nie, mój drogi, chociaż parokrotnie w życiu kochało się na boku i środkiem drogi, nie umiałbym tych przygód opisać, a rozpinać spodni Żeromskiemu po jego śmierci nie mam zamiaru. Przecież ci nasi literaccy amanci tylko to robią bez różnicy portek, czy majtek. Czytaj, to się przekonasz.

Nawet ksiądz wstydziłby się ich spowiadać.

Cóż pozostaje?

Gra! Gra karciana!!



Podczas gry mam przed sobą oblicze człowieka, który mnie błaga oczami, żebym mu dał lepszą kartę, a ja doznaję pogardy i dla tych oczu, i dla tych moich, czy jego tysięcy.

Wodzem nie jestem. Rozumiem grę wojskową. Ktoś nazwał niedawno tę grę — sztuką. Ma rację, ale to nie dla mnie.

W swoim czasie co trzeba wykonałem, ale na grze wojskowej nie znam się.

A przy kartach mogę rządzić i — rządzić!

Nie jesteś graczem, więc tego nie rozumiesz.

Zapewne powiesz — i słusznie, — że gra karciana nie jest zajęciem rycerskim, ale w takim razie, czemu to Napoleon oszukiwał w grze, (coprawda, zwracał pieniądze) i dlaczego Chłopicki chodził z kartami (coprawda, mając w kieszeni dobre karty, w duszy nosił złą kartę)?

Przygotowałem się gruntownie do tegorocznej spowiedzi przed tobą, Wdowcze. Mam dla ciebie parę tez Leonarda da Vinci.

Oto co mówi twórca „Ostatniej Wieczerzy”.

„Przyczyną rozmnażania się jest użycie”.

Słyszane rzeczy, księżę?

— No to było w epoce renesansu włoskiego.

— A ty nie chcesz renesansu polskiego?

Prawdziwe życie — to nieustanny renesans.

Posłuchajno dalej:

„Żarłoczność podtrzymuje życie”.... (Brutto zatoczył się od śmiechu). I ty pozwoliłeś Leonardowi namalować „Ostatnią Wieczerzę”. Chyba cię nie było wtedy, co? Żarłoczność, la gourmandise! co? Słuchajno jeszcze:

.....„Obawa, lub strach przedłuża życie, a ból jest zbawieniem organizmu“....

....Albo to:

„W miarę jak zwierzęcość wystawia życie na szwank, strach zabezpiecza je“.

Ładne przykazania! Czy nie wynika z nich, że zdrajca Judasz pierwszy ucałował rodzące się chrześcijaństwo, czyli nas obu? Co?

Skąd wiesz, czy nie gram ze strachu o swoją fortunę?

— Ładny strach o fortunę....

— Nieładny? Taki on ładny, jak każdy strach o fabrykę, o wysłany okręt towar: wygram — przegram! Nigdzie nie znalazłem, w co grał Leonardo....

— A widzisz?

— Nic nie widzę! Boga też nie widzę, a stale twierdzisz, że Bóg jest. Leonardo grał napewno!...

Nagle spowaźniał.

— Ponieważ nieboszczka żona nie znosiła gry, nie grałem, dopóki żyła, gdyż kochałem ją więcej, niż grę.

Moją córkę, Teresę, gra nie interesuje, więc gram, mając na uwadze, żeby jej starczyło na wyprawę, gdy ze mnie kiedy skórę zedrą.

— No, to nie przyjdzie im łatwo....

— Łatwiej, Wdowcze, niż ci się zdaje. Nie masz pojęcia, co to jest karta, ta następna, a po niej ta jeszcze następna, coraz groźniejsza, im bardziej kusi swoją tajemnicą!...

— Wiesz, Eustachy, nie mogę słuchać....

— Czuję, że możesz kiedyś spóźnić się o cały mój majątek.

— Więc, przez Boga, dlaczego nie przestaniesz?

— Nie pytaj, dlaczego! Masz moją spowiedź, i skończmy na tem, bo jeszcze mi kartę na dłuższy czas spłoszysz.

...Grałem kiedyś z bardzo przesadnym i niezwykle bogatym argentyńskim poganiaczem bizonów. Był hrabią, wyobraź sobie, a nazywał się Desperato.

Puszczaliśmy mu kota z pod stołu i, czy dasz wiarę, że zawsze wygrywał, aż któregoś dnia wypuściliśmy morską mewę, i wtedy przegrał, oczywiście tylko to, co miał przy sobie. Wówczas dla żartu oświadczyliśmy na mój wniosek, że w dalszej grze żadnych czeków nie przyjmujemy, gdyż i nas jakoby mewa przestraszyła.

Czy wiesz, co zrobił? Miał cudny o zjawiskowej skali głos tenorowy. Wyszedł na taras, a było to przed wojną, gdy ludziska bawili się własnymi pieniędzmi. Wyszedł, proszę ja ciebie, na taras i zaczął śpiewać. Było to w Monte. Kwartet muzyków przerwał swój numer i wpadł w jego melodję. Staliśmy ukryci na górnym balkonie naszego prywatnego salonu i patrzyliśmy na tłum. Gdy Desperato skończył runęło brawo, jak wiosenny grzmot. A ten hycel bawoli zdjął kapelusz i z najniewinniejszą miną zaczął zbierać pieniądze za swój śpiew...!

...Więc nowe brawo wśród brzęku złotych plak, które każdy wtedy miewał na wszelki wypadek, jak naboje, w ładownicy. Czy uwierzysz, że zebrał coś około 20 tysięcy franków. Podziękował i w te pędy do nas na górę. Każdą plakę przed rzuceniem na stół całował i grał dalej, grał, aż przegrał tej nocy cały majątek, gdyż przy większej przegranej, nie mogliśmy czeków odnowić. I cóż się okazało:

nie umiał rządzić sobą. Wyjechał do Wenecji i tam znaleziono go w gondoli z przebitym sercem.

Powiedz, Tadeuszu, tylko szczerze, czy moralizowałbyś, gdybym ciągle wygrywał?

— O ile cię znam, Eustachy, to jedno możeby cię znudziło.

— Zgadłeś, to jedno by mnie odpędziło od gry, ale zjawisko takie jest absurdem. Muszą być przegrane, jak muszą być kryzysy. Za cóż u licha Chrystus dał się umęczyć? Przepraszam cię, że może bluźnię, ale tak właśnie te sprawy pojmuję. Proszę o rozgrzeszenie

— Udzielam, gdyż cię... kocham, Eustachy.

— I znowu racja! Tylko miłość jest mocniejsza od gry. Więc graj o moją duszę miłością, skoro nie chcesz o nią karty postawić.

— Notabene z tobą bałbym się zagrać, bobyś mnie ogolił, jak strusie jajko.

— Zwróciłbym, oczywiście...

— Tak zwróciłbyś — połowę, a resztę rozdałbyś swym niepoprawnym klientom, którzy są uporczywie biedni.

— Przestań mnie kusić, bo zostanę graczem. — zażartował Wdowiec.

— Nie usiadłbym z tobą, na honor, ty bowiem jesteś moją maskotą poprzez tysiące wiorst, które nas wkrótce rozdziela.

Brutto przed każdym wyjazdem zagranicę, przewodniczył na posiedzeniu naczelnej rady towarzystwa „Proza” pod nazwą „Pierwozysk”.

Ksiądz Wdowiec bywał na tych posiedzeniach. Brutto zachowywał niezmaconą powagę, gdy

Dyogenes Niedobicki witał go zawsze jednakowo, ale, jak sam o tem mówił, „z pamięci“.

— Panie hrabio, obecność Twoja wpośród nas, to nasz dochód Brutto.

Na to Brutto odpowiadał niezachwianie:

— Proszę szanownych panów, majątki nasze będą zabezpieczone jedynie przez pracę.

A po posiedzeniu mówił do Wdowca:

— Widzisz co się dzieje: Chrystus wygnał ich kiedyś z kościoła, a jednak wrócili.

Poczem charakteryzował dosadnie uczestników.

— Ten Dyogenes giestykuluje, jak małpa na różnie. Ma wadę serca i wadliwie prowadzone księgi handlowe.

Nie spowiadaj ich nigdy, zwłaszcza jednego po drugim, bo tak pluniesz, że Wisła przybierze.

— Poprawią się, poprawią... pocieszał Wdowiec.

— A tak, poprawią na kirkucie, prawą nogą w lewym bucie!...

Brutto kochał się w tak zwanym andrusim stylu.

— Gdyby nie dowcip, żaden snop nie dałby się powrosłem obwiązać. Rosną sobie te kłosa, rosna, aż nagle coś jest powiedziane takiego, że kładą się ze śmiechem na ziemię, i już można młócić. Ale ten nasz „Pierwozysk“ to gołębnik ze zgniłemi jajami.

— A jednak — wierzę w to — że kiedyś zwiążesz się bliżej z przemysłem.

— Nigdy! Nie umiem tańczyć z nimi: za długie mają brzuchy i ryje im śmierzają. — Żebyś mi nie wiem co zagrał, nie zatańczę ze świnią. Gdyby ich znali nasi socjaliści, ale—na szczęście, albo może i na nieszczęście — socjały szukają wychlanej przez nas butelki szampana, albo zniekształconego dziewiczego



łona, na którem zbyt długo leżała burżuazja,—i wogóle zajęci są tem, żeby się brzydko nazywało wszystko, co my robimy. Jak na „sumienie społeczne“, za mało wiedzą. Są dzwonki na sprężynie nade drzwiami, przez które nikt nie wchodzi. Taki dzwonek trzeba zdzielić kijem, żeby zadzwonił.

Więc, drogi Tadeuszu, zostaw mi karty.

Ze mnie jest, uważaj to sobie, taki japoński gejsz, męski gejsz, który się zasłonił przed ludźmi wachlarzem z kart. Gdybym żył ze trzysta lat temu możemy zostać Łaszczem, który miał ferezję podszytą 236-ma dekretami opiewającemi banicję powszechną i 37-ma — banicję z infamją. Miał na imię podobnie jak Zborowski — Samuel.

Załatwił go Wiśniowiecki, ale nim go załatwił, Samuel Łaszcz grał życiem, jak kartą.

„Bywał szczodrym w jałmużnach“, jak mu to przyznaje Szajnocha. Swoją bandę, podobną do dzisiejszych, jak ich tam zowią, Tasiemków, czy Łokietków, żenił z córkami szlachty, a po kilku weselach zamykał się w klasztorze.

Dziś nie można, jak tamci, grasować.

Można po cichu grabić. Wolę grać.

Moim klasztorem po grze jest moja córka Teresa. Gdy na nią patrzę, dziękuję Bogu, że stworzył kobietę. Gdybyś był Orzechowskim wydałbym ją za ciebie, Wdowcze, i przestałbyś być Wdowcem.

Tylko, że z tobą mogłaby nic nie urodzić, najwyżej szpital, albo szkołę.

Gdy Brutto mówił o córce, miał w oczach dumę i olśnienie.

— Ani żona nieboszczka nie była pięknością, ani ja nie mam wybitnej urody, a patrz, jaka ona piękna.

— Rasa, rasa, drogi Eustachy, a co do Łaszczu, to był to awanturnik, a ty nim nie jesteś.

— Nie jestem istotnie, ale czy wiesz, dlaczego? Bo mam Teresę.

Rzadko przebywam z nią, a jednak, kto wie, na jej rozkaz jednej chwili przestałbym grać. Tylko nie zwracaj się do niej, bo nic nie wskórasz.

— Zwracałem się niedawno — wyznał ksiądz.

— I cóż, i cóż?...

— Przeprosiła mnie uprzejmie, ale zaznaczyła, że nic nie wie o twojej grze i nic o tem nie chce wiedzieć.

Brutto przeszedł dłonią po ogolonej twarzy i odsłonił załzawione oczy.

— Nie mam jej za kogo wydać, a już zaczęła dwudziestkę. Poradź mi kogo, tylko nie z przemysłu i handlu, bo nie chcę być dziadkiem prosiąt.

— A wydałbyś ją za człowieka z ludu?

— Z ludu? Może z okolic Wierzchosławic?

Z ludu, z ludu.... Wszyscy jesteśmy z ludu....

Któż to taki?

— Niestety, od czasu Japońskiej wojny straciłem go z oczu, ale mam nadzieję, że go odnajdę.

Nazywa się Jan Głorjan, syn nieżyjącego już robotnika. Śliczny chłop.

Brutto wpatrywał się w księdza życzliwie.

— Sądziłem, że wymienisz którego z książąt i już miałem gotową odpowiedź, aż tu nagle syn robotnika. Ty jesteś także „rasa”, masz rozum. Znajdź go, ależ on dla niej za stary....

— Podczas wzięcia Portu Artura miał lat dwanaście.... a ostatnio widziałem go, gdy miał lat 17-cie. Jeżeli czuje, musi imponująco wyglądać.

— W każdym razie dwa razy starszy od Teresy, no, ale odszukaj go, zobaczymy tego Glorjana. Ma w nazwisku pełno sławy....

— Właśnie, i gdyby o sławę chodziło, to mój Glorjan ma już ciekawą przeszłość osobistą i w swoich antenatach.

— O, arystokracja robotnicza?....

— Cóż chcesz, Eustachy, swat musi wywlec wszystkie zalety swego klienta.

Przypominasz sobie, Eustachy, jak ci imponowały pierwsze próby naszych robotników przy zdobywaniu carskich pieniędzy? Mazowieck, Lubartów, Łódź?

— Tędyz gracze! nie cofam. Czy twój Glorjan bawił się w to?

— Syn jeszcze nie, ale ojciec. Opowiem ci zdarzenie, którego byłem świadkiem. Rodzice Glorjana mieszkali na czwartym piętrze w oficynie na Długiej, w kanienicy, zwanej Neseserka.

— A, w chałupie mego współpartyjnika do baka?

— Tak jest. Matka Glorjana prała moją bieliznę i któregoś dnia wezwała mnie do chorego męża. Zastałem w nędznym pokoiku, mieszczącym kuchnię i sypialnię, robociarza, który oznajmił mi, że leży na 120,000 rubli odebranych carowi. Nikt w partji o tych pieniądzech nie wiedział, gdyż Glorjan uratował je w popłochu i przydzwigał do domu. Umierający prosił mnie, dając adres, żebym pieniądze oddał partji na dalszą robotę.

Czy wiesz, Eustachy, jakie były jego ostatnie słowa?

Spojrzał mi w oczy i spytał:

— Tylko czy ksiądz na jaki inny cel tego nie przeznaczy?

Odpowiedziałem:

— Daję panu słowo, że nie.

A on na to:

— Ulżycie Chrystusowi....

I z temi słowami na ustach umarł.

Przeżegnałem go, jako wyspiewanego.

Brutto długo sprawdzał, czy cygaro ciągnie i wreszcie, nie patrząc na księdza, rzekł:

— Wiedział, czem cię zakląć....

Pokaż mi potomka tego rycerza, Wdowcze.

## II.

### POCHODZENIE JANA GLORJANA.

Jedyną szanującą się i prawdziwie starą częścią świata jest Azja. Przez Europę i Amerykę przeszły wędrówki narodów, przez Azję nikt. Anglicy rządzą na południu Azji, na tej części z europejska poszarpanej przez morze.

Gdy inne części świata przechodzą wypadki — Azja — trwa, nawet gdy Japonja szarpie Chiny.

Rzym, Hiszpanja, Niemcy, Francja — to próby wypadu na świat, próby, kończące się klęskami. Azja nie chce władać światem, gdyż w Azji świat się zaczął. Matka nie potrzebuje swych praw dowodzić.

Coś kiedyś gwałtownie odsunęło się od Azji na zachód, może ocean pełen lodu, i w ten sposób powstała barokowa linja europejskich brzegów.

Azja — to wielki obszar, gdzieś tylko poszarpany, gdyż Rosja jeszcze długo będzie azjatycką, ale Europa — to nieprzerwana awantura.

Niektórzy próbują traktować Azję z europejska: wróżą Chinom rozpadnięcie, wprowadzeni w błąd przez walki domowe generałów chińskich. Nic po-



dobnego. Chiny powtórnie wchłoną Japonję i będą trwały.

Jeżeli Hindusom uda się odrodzić, zrobią to dla siebie, dla nikogo innego, dla żadnej ludzkości.

Chrystus, wskrzeszający parjasa, to wielkie wtajemniczenie, idące z Azji.

Chrystusa odnajdziemy wśród murów Verdun, jak opatruje rannego.

I to jest właśnie Azja Chrystusowa, samarytański opatrunek.

Wtajemniczanie Chrystusa odbywało się w Azji. Wtajemniczanie polskich rebeljantów odbywało się na Sybirze, w Azji.

Azja posiada tajemnicę trwania i przetrwania.

Azja posiada tajemnicę przewagi ducha nad ciałem. Dlatego to w Azji ciało wytrzymuje głód, pragnienie, a nawet śmierć.

Chrystus został ukrzyżowany w Azji.

Nikt w Europie Chrystusowi ręki nie podał.

Żaden z wodzów europejskich na procesie Chrystusa nie stanął, a Rzym umył ręce.

Po ukrzyżowaniu dopiero wszczęli wodzowie Europejscy bój o Chrystusa.

Pierwszy cesarz Konstantyn chciał uczynić stolicą chrześcijaństwa Konstantynopol, ale Rzym odbił mu Chrystusa.

W dziejach Polski istniał okres niewoli Azjatyckiej, półtorawiekowej. Gdyby Chrystusa ukrzyżowano wówczas w Polsce, egzekucja odbyłaby się podobnie, jak tam w Palestynie:

Drżałaby ziemia, rozdarłyby się zasłony na ołtarzach, ale synedrjony cywilny i duchowny polskiego ujarzmionego narodu trwałyby u stóp krzyża i uspo-



kajały mdlejącą Matkę koniecznością wykonania rozkazu władz ze stolicy.

Rzymem dla Polskiego Chrystusa byłby — Petersburg.

Ileż to razy zdarzało się w Polsce to samo mniejszym od Chrystusa męczennikom.

Na ich grobach stawiano krzyże.

Polsce też nikt swojego czasu ręki nie podał.

Nazwano Polskę Chrystusem narodów, ale ponad nazwę nie wymyślono nic więcej.

Dopiero Azjata zesłaniec Chrystusowym cierpieniem podrażnił serca mścicieli, którzy nie z paryskiego hotelu Lamberta, lecz z polskich lasów, ze wsi i z fabryk wywodzą swój ród. Ludzie 1830 r., ludzie 1863 roku.

Nad ich grobami synedrjony polskie uspokajały matki, pokazując przywiezioną z Petersburga chusteczkę Mikołaja do ocierania łez matczynych.

Aż któregoś dnia wróciło do Polski kilku azjatów z Sybiru i rzucili się na azjatów najeźdźców.

Synedrjony zostały zmiecione z pod krzyżów, a w pociągu carskim ukląkł przed bojowcem generał rosyjski w orderach.

Opierając się o rzeszę maluczkich, poprowadził tych mścicieli ktoś pokumany z bohaterami Japonji, Chin i Sybiru.

Bowiem Azja jest ojczyzną bohaterstwa, nie napaści.

Azja posiada cechę, którą warto naśladować, a którą zaczynają uznawać i przychodzić z nią na świat polscy mściciele. Tą cechą jest wytrwanie.

Bohaterowi zwycięskiemu rzecze cesarz chiński: „Bandyto z pod znaku wierności, smoku, którego

ścierwa nie ima się wrogi pocisk, a miecz się po nim ześlizguje, ogarnij mnie, bym dotrwał niewyciężony ja, twój władca”.

A przytulając go do swej nietykalnej piersi, mówi: „Mamże cię kazać zemleć na tabakę dla wszystkich djabłów, a z twoich kości natoczyć paciorków do modlitw? —

Łono matki w Azji jest otwarte przez miecz. Dlatego to w Azji syn — to wojownik.

Polsce nie brakło żadnej z cnót europejskich, a Jan Zamoyski nie ustępuje w niczem Richelieu'mu a może go przewyższa.

Zborowski mógł się uczyć knowań u księcia de Guise. A jednak Polska została ujarzmiona. Ale upomniał się o nią czas, ten sam czas, który jest i będzie puklerzem Azji.

Mieli Japończycy swoje szlacheckie domowe niesnaski, mają teraz generalskie knowania wewnętrzne Chińczycy, a jednak jedni i drudzy przetrwają i — głośniej niż poseł z Labour Party — zawołają królowi Anglii i cesarzowi Indji:

— Wstydzcie się!

Tylko, że tamto „wstydzcie się!” będzie powiedziane nie w parlamencie i nie przy ryżu.

Półeuropejczykami Azji są moskale.

Ich cesarstwo trwało tyleż lat, co niewola Polski, od Piotra Wielkiego, który już najście zamyślał, — do śmierci Mikołaja II-go.

Tron Polski równa się trwałością francuskiemu i upadł razem z francuskim w błyskawicach tej samej rewolucji. Tu i tam widywano Chrystusa, we Francji, w celi małego Ludwika XVII-go, — a w Polsce, gdy ocierał czoło niesionemu z pola walki Kościuszce.

Od tego czasu Chrystus użyczył Polsce grobu, z którego się wstaje.

Wtajemniczony w Azji Chrystus dobrze wie, co czynić w Polsce.

Gdy Polska wynurzała się z dziejów niepewnych, urodził się w Japonji Nichiren (Nicziren), jako syn rybaka, na południowo-wschodniem wybrzeżu. Żył na ziemi dwa razy dłużej od Chrystusa, gdyż umarł mając lat 60. Był to rok 1222-gi, przełomowy dla Japonji. Nichiren zwalczał przez całe życie przesady i pouczał zarówno w sprawach religijnych, jak społecznych i państwowych.

Przed rokiem 1221-ym sprawa bezpieczeństwa spoczęła w ręku rycerzy (brak nam danych, czy znali się wówczas z polakami). Cesarz i dworzanie uprawiali literaturę, równocześnie jednak grzęzli w biurokratyźmie. W roku 1221-ym ponoszą klęskę i ustępują Hojom (Hodzio), których tytuł urzędowy „shikken” równa się współczesnemu „komisarz” (stara nazwa, jak się okazuje ajatycka nazwa rewolucyjna Lelewela, St. Juste'a, Lenina i innych).

Nichiren wystąpi przeciw zniewieściałemu dworowi. Rybak przeciwko cesarzowi (coś znajomego?).

W jedenastym roku (znowu podobieństwo) życia posłany do klasztoru opuszcza go, jako 15-letni mnich i stacza wewnętrzną walkę pomiędzy Buddą Sakyamuni, (pan wszechświata), a „Amita budda”, bogiem nieskończonego światła i życia. Amita zwycięża w duszy Nichirena.

Gdy się ma na uwadze późniejsze walki szogunatu i szintoizmu japońskiego, to jednak ten XIII-ty wiek, wiek Niczirena jakże się wydaje niedawnym. Ten japoński, prawie że chrystjanizm, bohaterski wychował późniejszych twórców potęgi państwa, a

Janowi Glorjanowi pozwolił poznać bohaterskie typy armji japońskiej wówczas, gdy jeszcze polskiej armji nie było, ale gdy żyli już polacy, którzy ją w myśli i niekoniecznie w myśli organizowali.

Ci ludzie nie czekali, aż na wielkim froncie pracy rozwinie się tyraljera Karola Marksa, lecz rozpoczęli mustrę polską dla przyszłego państwa, dla robotnika i dla Radziwiła, dla głodnych i sytych. Byli to zesłańcy, którzy nie kończyli na zesłaniu, lecz od zesłania zaczynali. Jeden z nich, już wówczas znany, a później najpierwszy ze znanych, Józef Piłsudski, zwiedził Azję, jako zesłaniec. Na nieobjętych przestrzeniach poznał to samo słońce polskie tam, gdzie ono łyśka w oczach reniferów i rzadko jest roześmiane. Przekonał się w podróży dłuższej, niż przez cztery Europy, ile jest miejsca na świecie na tęsknotę za własną chatą. W ubogiem, skośnem z mongolska świetle słońca Sybiru ogrzał swoją myśl o Polsce.

Tak to Azjata — zesłaniec Piłsudski został zesłany z powrotem do Polski pod Chrystusowe Oko.

Wrócili i inni i poczęli nową naukę o państwie polskiem głosić.

Kto widział maskarady sybirskie, tego nie mogły wprowadzić w błąd reduty warszawskich rejentów i regentów. Kto widział zorze północne, tego nie mogło olśnić warszawskie „likopodjum”.

Ktoś wreszcie zatrzasnął księgę Panendektów i zaklął, skończywszy na „psie”. Jednakowe psy są tu i tam, na dalekim wschodzie, jak jednakowe kwitną tu i tam azalje. Może kiedyś, kiedyś przed tysiącami wieków miały te kwiaty wspólny ład?

Dziś dla zesłańca tu i tam pozostał wierny pies, tam — do sanek, a tu do kłątwy.



Tego legjonowego psa chcą wypędzić z literatury. Daremny trud! Gdy nikt ręki nie podał, musiał przyjść — pies. Pies — towarzyszył!

Pies, który da znać w porę, żeby zatrutej wody nie pić.

Mógł być noszony w Polsce tatarsko perski zupan, kołpak z piórami i turecka szabla, mógł być jeżdżony łamany w karku koń arabski, to dlaczego nie miałyby przywędrować z Sybiru — pies?

Z takim psem wrócił z Sybiru Piłsudski i pozyczył go swojej ukochanej Brygadzie.

Ale Piłsudski powrócił z Azji również z bogiem trwałości, z Buddą siedzącym, którego praojciec widział wędrowną Azjatycką Chrystusa człowieka.

Nicziren z XIII wieku—to japoński Modrzewski. Nicziren budzi zniewieściałych cesarzy dotknięciem Buddy. Wzywa cesarza do świątyni po władzę. Nicziren otwiera przed cesarzem księgę lotosu, gdzie serca maluczkich chcą bić w takt serca cesarza.

Mądry Monsignor Ratti odczuł w zesańcu Piłsudskim tego dalekiego boga, którego znał Chrystus. Przyszły Papież pozostał w Awinionie Warszawskim podczas najazdu wroga.

Dzierżyńskiego odpędził sybirski pies i uczeń Chrystusa — Nicziren, a Monsignor Ratti miał na co patrzeć. Żaden Papież tak zbliżony nie oglądał męstwa polskiego i nie przekonał się, komu są oddane sybirskie psy.

Nigdy tyle Boga nie było w Polsce, co w roku 1920-tym. Może dlatego Ratti został Papieżem.

Europa ma w Genewie Buddę z fajką pokoju, wbija w złote usta. Europa ma socjalizm obrabowany, a raczej obskubany z władzy. Jak za czasów

Niczirena istnieje socjalistyczny Budda Marks'a, Budda Fouriere'a, Budda Lassalle'a, Budda Lenina, Stalina i innych. Te socjal-budy zapomniały zbyt łatwo, że ten tylko miał tłum za sobą, komu go pożyczyl Chrystus Azjata.

Nie radzę z Chrystusa czynić Europejczyka. Będzie to dopiero istotne bluźnierstwo.

Więc mamy przekreślić cały dorobek łaciński?

Nie jest moim zamiarem żegnać, ani witać kogokolwiek i czegokolwiek, ale w orszaku papieskim, jeszcze nie skasowano wysokich wachlarzy egipskich, któremi powiewano nad głową Aleksandra Macedońskiego. Strusie pióra nie pochodzą ze skrzydeł gołębich, lecz wydarte są gladjatorskim strusiom, które ginęły na arenach.

Nie lękajmy się Chrystusa ze wschodu.

Chrystus — Azjata, tam w Azji był wyróżniony i przez Rzym cieleśnie stracony za to, że się ogłosił synem Boga. Obrażało to Zeusa. O Messjasza Rzym by się nie upomniał. Ale przypatrzmy się, ilu to Messjaszów powstało w Europie po ukrzyżowaniu Chrystusa? Karol Wielki, Filip II-gi hiszpański, Napoleon, Marx, Hitler, Mussolini. Wilhelm II-gi i Mikołaj Mikołajewicz uważali się za pomazańców. Każdy ogłaszał wobec rzeszy swe zbawcze zamiary. Króle, cesarze, filozofowie (Owen), gladjatorzy (Mussolini), trybuni i półprorocy (Towiański) po azjatycku zapowiadali, że świat odrodzą.

Czyn krzyżowy Chrystusa zwyciężył, gdyż nie zagładę wróżył, lecz owładnięcie świata przez ofiarę.

Chrystus po dawnemu, albo zgoła nie po dawnemu, lecz, jak wczoraj, tak i dziś zwycięża.

Wszystko, co jest poświęceniem i ofiarą — stało się wczoraj: dzisiaj — już się żyje i — korzysta.

Podczas największej rzezi świata widziano Chrystusa, jak przemknął pomiędzy walczącymi samolotami, gdy jednemu z lotników zepsuł się karabin maszynowy, a drugi, widząc to, odjechał.

Chrystus ocierał pot z czoła Kościuszce, gdy ten pisał list hołdowniczy i prosiębny do Aleksandra Pierwszego, Ojca ludów Europy.

Na oczach Chrystusa hołdowała Europa Aleksandrowi, Messjaszowi w generalskim mundurze, następcy cara Pawła. Rzucano mu palmy i laury pod nogi.

Aleksander I nie był już wtedy azjata: on się pchał w Napoleony.

Trzeba azjatyckość podnieść i oczyścić, gdyż jest ona niewyczerpana i nią żyjemy.

Kto chce widzieć posłannictwo czynne nie przed ołtarzem w Notre Dame z Towiańskim, ale wcielenie czynu legjonowego, ten musi wyobraźnię swoją uzbroić w ciemne szkła przed białym śniegiem, a rozum przyuczyć nowego rachunku — prawdopodobieństwa.

W dniu 6 Sierpnia 1914 r. szedł Chrystus do Kielc. Istnieje kamień szosowy, na którym Jezus odpoczywał. Tym kamieniem rzucano na Pierwszego Prezydenta, żeby Chrystus od męki nie odwykł.

Kamieniami przywitało stare pokolenie nowych ludzi — legjonistów.

Legjoniści zasługują na nazwę nowych ludzi, chociaż dostali ją od legjonów Dąbrowskiego, a tamci — od legjonów rzymskich. Byli nowymi ludźmi, jak Achilles był kimś nowym dla Aresa, jak Aleksander Macedoński nowym dla Achillea. Podobni, a nowi. Im podobniejsi, tem nowsi.

Legjoniści Piłsudskiego są nowi nietylko przez polską maciejówkę.

Są nowi, gdyż w ogromie i śród ucisku niemożliwości zjawili się na zawołanie.

Pognali ku Betleemskiej gwiazdzie rodzącej się Polski.

To było groźniejsze od kul. Mogli byli w tę gwiazdę nie uwierzyć, a wówczas ktoś zostałby przekonany, że porwał się zawczasie, że trzeba przeczekać w sobie a może i w grobie. Przybliegli, i w tem jest Azja rodzących się nowości, od których pół nieba się pali. Po ostatnim zajeździe Mickiewicza — był to pierwszy zlot. Nowość nie zwoływana przez sejmiki, lecz poczęta w tupocie studenckich nóg po alejach parku Jordana i Błoniach po opadnięciu wód Rudawy Krakowskiej.

Błonia krakowskie widziały rzecz starszą od wszelkich kopców. Odbył się tu jeden ze starszych obrządków zesłania ducha.

Mickiewicza kanonizujemy za śmiałość względem papieża, Norwida kanonizujemy za obronę papieża w r. 1848. Na błoniach krakowskich nie chodziło o żadną świętość szargalną, czy nieszargalną, lecz o Chrystusową rasę legjonisty. Byli to apostołowie z menażkami, zgarniający łyżką egipską kaszę ze skwarkiem z Apisa.

Jedyni „ludzie“ w Polsce byli na Błoniach, i to jest selekcja i elekcja azjatycka w najszlachetniejszym znaczeniu. Szli w kurtkach zamiast tatarskich kontuszów.

Jan Glorjan pochodzi z tych szeregów, chociaż działał przed legionami w Japonji.

Zeromskiemu mówił podobno Maksym Gorkij, że chciałby „miętkość“ polaków przenieść do Rosji i rzucić nią w czarną sotnię.

Miękkością nie można rzucać, tylko na niej wygodnie siadać.

— Jan Glorjan nie jest miękki.

Sam Żeromski był właśnie twardością genialny.

Ktoś, oponując Glorjanowi w jakiejś dyskusji, rzekł ironicznie:

— Ależ, panie Glorjan, czytałem te same książki, co i pan.

Na to Glorjan bez namysłu:

— Nie znać po tych książkach, że pan je czytał.

Glorjan jest polskim azjata, potomkiem azjatów 1795-go, 1830-go, 1848-go, 1863-go i 1920-go roku.

Zresztą, kto jest większym azjata: Ghandi, głodujący, czy wicekról Indji, rzucający bomby na procesje religijne...

Powie ktoś: zwyczajne poszukiwanie Chrystusa.

Tak jest, poszukiwanie Chrystusa z ciągle odnawianym Judaszowym pocałunkiem.

Niedawno w braku Chrystusa ucałował kanclerz Bismarck socjalistę Lassalle'a.

O Chrystusa niech się nikt nie lęka, ani pastuszek pod krzyżem, ani wzięty do wojska profesor, z epruwetką tyfusu nad studnią. Chrystus jednemu i drugiemu nie ucieknie.

Analiza moja nie waży się lokować nanowo Chrystusa w dziejach, lecz jest próbą znalezienia możliwości powstania Glorjana.

Mamy w tej książce Chrystusa w Glorjanie.

Na tem musi czytelnik poprzestać.

Tacy, jak Glorjan, przyszli nareszcie!

Znamy ich teraz.

Dotykaliśmy ich ran i obliczyliśmy kilkadziesiąt 1ez Piłsudskiego w roku 1920-tym.



Istnieją!

Nieoczekiwani dla tłumu, poczem Wielcy, Wielcy, Wielcy! z palmami pod nogami.

Gdyby Europa nie przyrosła do Azji, gdyby nie była jej postrzępionym dodatkiem, nie byłoby ani jednego renesansu, nie miałoby się co odradzać.

Zadecydowali uczeni, że biblijny Adam znaczy: „Człowiek ze wschodu”.

Zaiste wszystko co umiało iść, szło ze wschodu na zachód, aż do Ameryki.

Samowystarczalna Polska w azjatyckim żupanie i w azjatyckiej sukmanie — trwała.

Europa musi się modlić wysoko, a handlować daleko, gdy Azja modli się w każdym zakątku swego wielkiego lądu, w najmniejszej świątynce, nad klateczką z wątlym świerszczykiem.

Ale gdy nadchodzą prawdziwe rewolucje, Europa milknie i nasłuchuje wieści ze wschodu.

Stamtąd Robespierre wezwał Istotę Najwyższą, boga Indjan, których Rousseau widział przywiezionych przez okręty francuskie, jako okazy z dalekich wypraw.

Nóż gilotyny — to rozpląszczony gwóźdź Chrystusowy.

Jan Glorjan jest azjatą Odrodzonej Polski.

Przy ulicy Długiej w Warszawie znajduje się dom, mający Nr. hipoteczny 1932-gi. Stary ten budynek o kilkakrotnie odnawianym froncie pałacowym przechodził różne koleje.

Prawdopodobnie należał kiedyś do Paców, poczem do starościca Krochmala, wreszcie dostał się w spadku pani wojewodzynie Żelatynowej.

W drugim dziale księgi hipotecznej przy nazwi-

sku JW Pani Żelatynowej dopisano: tertio voto Nesesserowej.

Był to rok już 1845-ty.

Od tego czasu kamienica owa została przezwana „Neserka”.

Lecz dopiero w czterdzieści lat później nazwisko Nesesserów zasłynęło w Polsce i to bynajmniej nie z przyczyny posiadania domu przy ulicy Długiej.

Bank Nesessera zawdzięczał sławę zręcznemu operowaniu akcjami zwłaszcza „Putiłowskiemi” (wagony) w Petersburgu.

Domu przy Długiej nie wyzbyli się Nesesserowie ze względu na tradycję. Dobudowano czteropiętrowe oficyny, ale front zawsze przypominał pałac. Pozostała też tradycja i w wydziale hipotecznym.

Stary woźny na żądanie, by przyniósł księgę Nr. 1932, rezolutnie zgadywał:

- Wiem, panie mecenasie, wiem... Neserka!
- Neserka za trzy miliony.....
- Może i więcej....

W czteropiętrowej oficynie kamienicy Nesessera, na samem poddaszu założył bank Jezus Chrystus, w mieszkanku robotnika fabrycznego, Jana Głorjana.

I oto zaszły w tym samym dniu dwa zdarzenia dość znamienne.

Pani Nesesserowa otruła się w swoim pałacu, przegrawszy na giełdzie cały swój posąg, a robotnik Jan Głorjan przyniósł tejże nocy i ukrył w sienniku, na czwartym piętrze sto dwadzieścia tysięcy rubli, zdobytych przez rewolucjonistów polskich na rządzie carskim w jednym z miast powiatowych.

Nędzarz Głorjan ukrył w łóżku majątek partji.

— Święte pieniądze — szeptał właśnie zaścięła-

jąc zręcznie łóżko, gdy w tem żona jego Karolina, praczka, wpadła do mieszkania z krzykiem:

— Janek, Nesesserowa się otruła!

— Nie krzycz!

— Wszyscy już wiedzą!

— Nie krzycz, powtarzam!...

— Owa, nie sekret, a skoroś taki sekretny, to mi oddaj syna, mego Janka kochanego.

— Syna ci nie zabrałem. Sam poszedł.

— Jakeś zaczął gadać, a szeptać o tej Japonji, chłopak zwarzował i uciekł.

Glorjan wyjął coś w rodzaju kartki z kamizelki:

— Patrz, niewiasto, nie zwarzował, czytaj:

Drżącemi rękami wyprostowała kartkę i przeczytała tylko te słowa:

„Idę pomagać Japończykom. Janek“.

Zaiskrzyły się jej oczy:

— Dawno to masz? czemuś przedemną ukrywał?

— Bo krzyczysz! Jak będziesz cicho, to ci wiele rzeczy opowiem.

Tu wskazał żonie na obraz Chrystusa z trzciną na nagim ramieniu:

— Widzisz, on milczy, a wszystko wie...

— Co się będziesz Nim zastawiał....

— A kim?

Porwał ją za rękę.

— Słuchaj kobieto, teraz nie czas na gadanie, jak to u prezydentowej, gdzie bieliznę nosisz. Tam się gada, ale tu, uważaj sobie, nie!

— Zawsze chcesz być inny, niż wszyscy.

— Bo jestem inny!.... Patrz na Niego!

— Nie pokazuj palcem!

Roześmiał się Glorjan. Coś sobie przypomniał:

— Tak mnie uczysz z tym palcem, jak naszego Jasia, gdy był jeszcze mały: nie pokazuj palcem! To jest całe wasze babskie wychowanie.

— A bo to było całkiem pańskie dziecko.

— Ale z robotniczej klasy...

— Mam wszystkie klasy z pięciu domów o w tych trzech baljach!...

Glorjana złość wzięła:

— Słuchaj, babo, nie o klasach teraz czas mówić, a o całym narodzie. Patrz na to łóżko: tam leży duża gotówka, cośmy ją na carskim rządzie zdobyli.

— Więc co?

— Więc jak ja wyjdę, to ty siedz, bo może kto się dobrać...

— Może do łóżka wlezie, jak ciebie niema? To nie ze mną. Nie bój się.

Niestety Glorjan podczas ostatniej przygody zaziębił się a złożony niemocą już z łóżka się nie podniósł. Poczawszy zły stan zdrowia, posłał żonę po księdza Wdowca.

### III.

#### PORT ARTURA.

Polska poznała Japonję bez mapy.

Japoński taran osłabił, nawet rozgromił Rosję. Nie trzeba było na to mapy, ażeby w Polsce pokochano Japonję.

Pierwsza wielka wojna Japonji miała jako podkład terytorjalne zdobycze.

Podczas wojny światowej Japonja już jako mocarstwo otrzymała terytorjum, za to, że nie należała do boju militarnie.

Towary japońskie, zwłaszcza przędza, zaczynają dokuczać innym narodom, nie wyłączając polaków. Dlatego to obecnie już mniej kochamy Japonję. Mamy własną ojczyznę, własne interesy.

Japonja w Polsce już przeszła z ust i serc — do kieszeni.

Ale nasza opowieść dotyczy Japonji ubóstwiającej, o którą nikt nie pyta, gdzie leży, jaką ma przestrzeń i co produkuje.

Jest i bije cara!

Sfery rządzące Rossji odeszły z piętnem zdrady.



W Rossji od czasu Piotra zakradła się zdrada wewnętrzna, jako system narazie państwowo - twórczy, a na schyłku tronu Romanowych już tylko dla interesu osobistego.

Kurlandczyk Witte nie zdradzał Rossji.

Był spokrewniony z Naryszkinami, którzy nawet tytułów nie przyjmowali od nikogo. Witte dostarczył Mikołajowi II-mu ogromną na owe czasy ilość złota na przeprowadzenie wojny Japońskiej, w którą nie wierzył. Maltretowany przez Mikołaja, dał mu na odchodnym pieniędzy i podpisał na pożegnanie pokój w Portsmouth.

Podawał rękę wożącym go po Ameryce maszynistom pociągów pośpiesznych i wyrabiał Rossji, jak mógł, dobre imię. Niemcy pomogli Wittemu w zaciągnięciu prawie dwumiljardowej pożyczki wbrew woli Wilhelma II-go, który Wittego nienawdził, nie mniej od Bismarcka.

Willy and Nicky powiedzieli swym niańkom, Bismarckowi i Wittemu, każdy swojej niańce: teraz ja sam, zostaw mi swobodę ruchu!

Tylko że otoczenie Willy służyło niemcom, a otoczenie Nicky — także niemcom. Podobieństwo tej służby zgubiło carat rosyjski. Zgubiło go bezpowrotnie, gdyż zdrada była większa i głębsza, niż ucieczka do Varennes Ludwika XVI. Carat upadł w opinii własnego narodu, a jedyny zwycięski wódz rosyjski, wojny światowej, Brusilow, przypięczętował zdradę tronu w sposób nieodparty. Ten naśladowca Suworowa był kochany przez żołnierzy i nie może być podejrzany o żadne knowania przeciw ojczyźnie. Przeszedł on na froncie przez takie przeżycia, że przeklął własnego monarchę i jego żonę, a sam zgłosił się na służbę pod nowym rządem bolszewickim.

Zdrada tronowa tak dalece naczelną zrewoltowała nawet oportunistycznie myślące warstwy.

Lenina powitały te warstwy ludności, jako lepszego cara. Czy miał zaprzeczyć?

Leninowi utorowali drogę zdrajcy czasu Japońskiej wojny. Wiemy dzisiaj, że Port Artura uległ nietylko męstwu japończyków, ale i ich złotu. Należy to opisać z szybkością sądu polowego. Żadna hańba nie zasługuje na to, żeby ją malować. Niech trwa krótko, tak właśnie, jak się odbyła.

Młody Jan Glorjan dążył do Japonii, jako ochotnik armji rosyjskiej z utajonym zamiarem przejścia na stronę japońską.

Glorjan słyszał wiele od ojca o partji, do której należał. Jan opowiadał Janowi o czynach Piłsudskiego, kiedy warszawska publiczność jeszcze o późniejszym Naczelniku Odrodzonego państwa nic nie wiedziała. Postać Piłsudskiego wzbudzała w chłopcu żywy entuzjazm, już nie ten, który wywoływało przedtem oglądanie odsieczy Wiednia, albo Racławic. Janek przekonał się, że można być w Polsce bohaterem żyjącym. Nie znając go, słyszał o jego czynach. Wzbudzały one w chłopcu nietylko podziw, ale i potrzebę czynu. Gdy ojciec Jan umierał, rzekł mu tylko kilka słów:

— Słuchaj, nie zmarnuj życia, ale przystąp do walki.

Ogarnięty dalekonośnem przecuciem umierającego, stary Glorjan wierzył w jakąś bliską polską potrzebę, wskazując drżącymi palcami na dalekie wyspy Japońskie. Gdyby to umierał król Stanisław Leszczyński, a miał syna, możeby nazwał Japonję wyspą Utopii Polskiej. Stary Glorjan nie umiał mówić stylem królewskim, więc dodał jeszcze:

— Tam biją się dla ciebie, Janku, pamiętaj!

A i te jeszcze ledwo słyszalne słowa umierającego doszły czujnych uszu syna:

— Piłsudski był u Mikada, u cesarza Japonji i radził... mu..., jak ma... cara... wykończyć...

W całej ówczesnej Polsce takie słowa mógł usłyszeć tylko syn robotniczy, Glorjan.

Bajkowa naiwność tych słów — dziś to wiemy — posiadała siłę ciosu rozstrzygającego. Ktoś przecie musiał w Polsce tak mówić, skoro ktoś inny, car, z wysokości swego tronu zdradzał ojczyznę.

Janek był pasowany na rycerza. — Niedawno czytał Konrada Wallenroda, i oto nieoczekiwanie stał się młodym Wallenrodem. Uciekł do armji rosyjskiej, jako ochotnik. Ponieważ był piękny, zajęły się nim damy z oddziałów Czerwonego Krzyża.

Poznał Petersburg. Plac przed Zimowym pałacem zrobił na nim wrażenie areny Colosseum Północy. Ciemna Newa była chyba tą rzeką, w której maczali pióra wszyscy piszący do cara czarnym atramentem.

W swoim czasie Glorjan spotkał w Warszawie księdza Wdowca. Ksiądz, zwiedzając dzielnice zamieszkiwane przez rodziny robotnicze, znalazł Glorjana, czytającego „Ogniem i Mieczem”.

— Kto ci się najwięcej podoba?

— Jarema, proszę księdza.

— Nie Zagłoba, nie Skrzetuski, nie Wołodyjowski?

— Nie, Jarema. On jeszcze raz wróci do Polski i wygna moskali.

Na stoliku w świetle lampki naftowej Wdowiec dostrzegł „Ludzi Bezdomych”.

— A co powiesz o Judymie?

— Za smutny. Onby się litował, jakby co do czego przyszło, a Jarema — nie!

— Jarema też był smutny...

— Ale jak zobaczył wszystkie oddziały razem, to nie był smutny. Jarema wróci i zwoła wszystkich! Judym musi słuchać Jaremy! A ten Marx (pokazał na portret, wiszący nad łóżkiem obok Chrystusa i Kościuszki) — to za gruby na wojnę.

— Nie pokazuj palcem — rzekła matka, ocierając ręce o spódnicę i omiatając fartuchem krzesło dla gościa.

Widząc takie przygotowanie chłopca, Wdowiec zajął się nim.

Młodego Glorjana pochłaniała polityka.

— Którą partję wolisz, P.P.S., czy S.D.K.P. i L.? spytał go ksiądz.

— S.D.K.P. i L., proszę księdza.

— Dlaczegoż to?

— Bo ona się nazywa: Socjaldemokracja Królestwa Polskiego i Litwy. Chcą nanowo połączyć Polskę z Litwą.

Ksiądz zastanowił ten komentarz, i pomyślał sobie, że jednak dzisiejsi Litwini nie wstąpiliby do tak pojmowanej partji. Niemniej musiał przyznać, że połączenie słów w tytule partji było dziwnie nęcające. Obcując z Glorjanem, Wdowiec poraz pierwszy może doszedł do wniosku, że polskość tego syna robotnika była zupełnie pozbawiona lokajstwa. Znalazłszy w duszy młodego ucznia ten cenny pierwiastek samodzielności, ksiądz nigdy nie zabierał głosu podczas jego wywodów i dociekań, do których młodzieniec zdradzał niemałe upodobanie.

— Europy djabeł pilnuje, a w Polsce Chrystus się okopał. Śnił mi się Chrystus w zbroi. Pędziłem na koniu przez wielki bór, a orzechy rozłukiwały się

o jego pancierz, a ja jadłem te białe ziarna. Były aż ciepłe, proszę księdza. Jadłem, a ciągle byłem obok konia, chociaż pędził cwałem. Widocznie we śnie tak można, zresztą w tym śnie konia dla mnie zabrakło. Musiałem chyba fruwać. Wypadliśmy z lasu na pola. Żyto i pszenica stanęły na baczność przed Chrystusem. Po jednej stronie żyto, a po drugiej — pszenica, a my w środku. A co za łany! Ani jednego drzewa, ani domu, ani chłopca, ani konia, tylko rośnie i rośnie! Nareszcie zdala ukazał się piękny pałac z fontanną. Chrystus, nie zwalniając, dał znak mieczem, aż tu drzwi główne, — taka brama pałacowa — otwarły się i ze środka pałacu wali chłopstwo. Jakby wychodzili z kościoła. Podeszli tak do żyta i do pszenicy, a każdy chłop chwycił w otwarte ramiona kłosa, jak pijany. Z początku zgięci byli ku ziemi, a potem w górę ku kłosom i, — patrzę, — już mają worki na plecach. Chrystus schował miecz, jak język w usta, i podniósł dwa białe palce. Błogosławił, a oni nieśli worki drogą... Szli tak, szli, jak szare owce środkiem łanów, które się zmieniły na rżyska, podobne do łba rekruta. — Potem się obudziłem. Widocznie będzie urodzaj, prawda?

— Daj Boże — usłyszał Glorjan.

Matka Glorjana pochodziła, jak większość takich matek, ze wsi. Już mieszkając w Warszawie, opowiadała synowi o swojej matce, gospodyni w jednym dworze.

— Z początku matka moja, a twoja babka, mieszkała na wsi w chałupie rodziców. Była piękna, ty widać, jej wnuk, jesteś po niej, bo ci urody nie brak. Więc to ona była dobra żniwiarka i za przodownicę szła na dworskich polach, a na dożynkach z wieńcem na głowie. Zaśpiewała kiedyś:



Hej, zdrowe ziarno niosę na głowie,  
Niech Polski strzegą nam aniołowie.  
Od dworu idzie szeroka droga,  
Żelaznym kłosem wykłujem wroga!

— Te słowa, zrozum to sobie, napisał matce mojej panicz, syn dziedzica, a ja pytałam zawsze, co to jest żelazny kłos, a matka mówi: poznasz, jak wyjdiesz za żołnierza polskiego. I sprawdziło się, bo twój ojciec, Janku, chociaż przy obrabiarce pracował, był żołnierzem polskim i nosił w żelaznym kłosie po siedem ziaren, a resztę w magazynie, rozumiesz? Więc i ty staraj się zawsze mieć coś przy sobie w razie czego.

Opowiadania takie zazwyczaj usypiały Janka, sprowadzając sny fantastyczne. W szkole początkowej zapytał nauczyciela, skąd się biorą sny, a pedagog w dłuższym wywodzie starał się na pytanie całej klasy odpowiedzieć. Wreszcie dodał, że jedną z przyczyn snów jest żołądek. Na to wstał Janek i oświadczył:

— Proszę pana, sny nie są z brzucha, tylko z historii polskiej.

Nauczyciel rozejrzał się po klasie i odpowiedział:

— Być może, chłopcze.

Po ślubie Glorjanowie szukali jakiś czas pracy na prowincji. Janek miał już pięć lat i pamiętał, jak to po wypadkach we Wrześni z dziatwą polską, przyniosła do domu niemka kolonistka świeże masło. Glorjanowa rzekła podniesionym głosem:

— Wynosić się! Jestem polka, — świniom sprzedaj!

Któregoś dnia ksiądz Wdowiec gościł u siebie Jana Glorjana, już wówczas dwunastoletniego chłopca, gdy służący zaanonsował znanego historjozofa,

pana Dezyderygo Klipę. Ten Klipa wprowadza do polskich dziejów nową łzę. Mówi o sobie, że ma psie przywiązanie do Ojczyzny. Pod każdym słupem granicznym płacze, podnosząc nogę. Zwilża dzieje. Nie był ostatnio na kongresie historyków tylko dlatego, że uczeni traktują swój przedmiot zbyt sucho. Dzieli on historję Polski na okresy: płaczkliwy, rzęsisty, zapłakany i obsychający. W opracowaniu ma okres podcierający.

— Szkoda, — zrobił uwagę księdzu wychodząc, — że chłopak jest wychowywany na pokładzie socjalnym; to go wykolei.

— Panie Dezydery Klipa, to nie sztuka dowieść, że Stanisław Potocki był masonem. O tem wiedział nawet Mikołaj I-szy. Daleko trudniej będzie panu znaleźć, gdzie Stanisław Potocki miał kostkę. Gdy pan i to odnajdzie, niech pan porówna Kostkę Potockiego z kostką Glorjana, który ją ma w tem samym miejscu. Ale niech pan się kostką Glorjana nie udławi, boby na gronostaje rektorskie dla pana darownie polowali.

Pan, panie Klipa, nigdy nie będzie wiedział, co to jest „urodzony” proletarjat. On jest liczniejszy od pańskiego masonstwa, i mówi każdemu „bracie” bez wtajemniczania i całowania pociemku w byle co. Pan nigdy nie wychodził z kancelarji dziejów i dlatego nigdy pan nie wie, co się dzieje na dworze historji. Jako historyk oficjalista, nie potrafił pan zauważyć w dziejach rządzącego tłumu. Dla pana istnieją króle, hetmany, cesarze, woźni i inni. Pański protektor dał panu prożektor, a pan spojrział w przeszłość i rzekł: delector. — Pana razi podkład socjalny? Wierzę panu: pan nie zmienia podkładów i tak dokołacze się pan do Kalwarji zasług. — Pan się przekrada, podczas gdy Glorjan zdobywa.

Gdy Glorjan znikł z Warszawy prawie bez pożegnania, ksiądz uspokoił matkę i obiecał jej, że chłopca odnajdzie.

— Byle nie dostał się w złe ręce — myślał.

Nie były to ręce złe, ale niebezpieczne. Ręce najpiękniejszych kobiet z arystokracji rosyjskiej, nie wyłączając członkiń rodziny carskiej.

W Charbinie pracował Glorjan przy rannych.

W skromnych strojach sanitarjuszek rozszalała się koło młodzieńca pokusa.

— Z tego szelmy cud wyrośnie — szeptały poświęcające się znawczynie życia.

— Pójdę na front — rzekł w rozmowie z księżniczką.

— Oto twój front — zawołała rozbawiona i stanęła przed chłopcem wyprężona.

— Nie rozumiem — rzekł, mijając ją.

— Poczekam, aż zrozumiesz! dogoniły ją słowa.

Tej samej nocy obudził go szelest w jego pokoiku.

Stała przed nim w płaszczu japońskim.

— Pani się zaziębi.

Siadła na jego łóżku.

— Patrz: ciepła jestem, a zapiąć tego nie ma na co, zresztą przeszkadzają piersi. Ty masz dwie i ja mam dwie, ale ty masz tylko małe znaczki, a ja, patrz, mam daleko więcej od ciebie. Przekonaj się, pogładź ręką. Posuń się, Jean...

— Jeżeli się posunę, to spadnę, bo łóżko bardzo wąskie.

— To ty naprawdę nie wiesz, co trzeba zrobić, żeby nie spaść?

— A pani wie?

— Domyślam się. Domyślajmy się we dwoje, dobrze?

-- Nie mogę, obiecałem księdzu Wdowcowi.

— Wdowcowi? Księża polscy nie żenią się, nie mogą być wdowcami.

— On się tak nazywa.

— A ty wiesz, jak się nazywasz? Kochana szelma!

Rzuciła się na niego i wpiła między jego wargi rozpalone usta.

Zepchnął ją na podłogę, aż upadła.

— Nie hałasuj! — poskarżyła się jakoś smutno i uciekła na palcach.

Innej nocy obudził się na czyjś płacz.

Uklękła przed nim inna piękność, dużo starsza od księżniczki. Trzymała obie ręce na jego cienkiej kołdrze w taki sposób, że nagle usiadł.

Ręce nie cofnęły się jednak, mocno przylegając.

— Co pani jest?

— Straciłam syna. Bądź moim synem. Jestem bardzo bogata, uczynię cię najszczęśliwszym.

— Mam matkę.

— Gdzie?

— W Warszawie. Jest praczką i kocha mnie.

— Matka Boża też prała pieluszki dla syna.

Wreszcie charbińskie damy dały spokój.

— On jeszcze nic nie wie, a najgorsze, że nie chce się dowiedzieć. Zanim zechce, wojna się skończy. Przegrałyśmy z nim, jak przegramy wojnę.

Ale starsza dama, więcej doświadczona, nie dała za wygraną. Skorzystała z tego, że Glorjan dostał gorączki i nie odstępowała od jego łóżka. Wiedząc, że Glorjana interesuje bardzo Japonja, ubrała się w bogato haftowane kimono, mając pod niem tylko cieniutką koszulę.

Otworzywszy oczy, Glorjan ujrzał przed sobą zjawisko z wachlarzem, jak pawi ogon.

— Wygląda pani, jak cesarzowa chińska.

— Czemu chińska?

— Bo taka nieprawdziwa, jak w bajce.

Chłopiec zadrżał, bowiem kimono nieznacznie rozsunęło się i odstąpiło zlekka rozchylone lśniąca czystością kolana. Głowę ukryto za wachlarzem.

Nie odrywając oczu, chłopiec szeptał:

— Chciałbym... chciałbym się przedostać...

— Dokąd? zaszepiała.

— Do Japonji.

— Masz Japonję, kochany. To prawdziwe kimono.

— Chcę pojechać...

— Masz tam kogo?

— Nikogo.

— Więc po co? Jak pobijemy japończyków, zawiozę cię do nich.

— Nie pobijecie...

— Czemuż to?

— Sniło mi się, że smok połknął wszystkie damy...

— I mnie?

— Nie. Pani została, żeby...

— Żeby?...

— Żeby mi pomóc się tam przedostać... Czy pani kocha Rosję?

— Jestem księżną rosyjską, arcyksiężną...

— A ja kocham... Polskę... jestem synem robotnika.

— Jesteś synem anioła, który się zapóźnił na ziemi.

— Nie, nie... robotnika, który strzelał...

— Do kogo?

— Do was...

Zdumiona słuchała tej gorączkowej spowiedzi.



Nagle Glorjan usiadł i wsparł się drżącymi rękami na jej kolanach. Przysunęła się, a on szeptał:

— Jestem synem Polski, ale mogę być pani wdzięczny, gdy będziesz dobrą... Gdy wyzdrowieję pomożesz mi?...

— Hospodi... hospodi... hospodi! usłyszał modlitwę wśród łez.

Nie mogąc więcej osiągnąć, porwała go w ramiona.

— Zrobię wszystko, ale przytul się do mnie... tak, och tak, och... tak!

W kilka dni później damy zdziwione dowiedziały się, że Glorjan znikł.

— Odfrunął do nieba — rzekła pewnym głosem arcyksiężna.

Tymczasem Glorjan dostał się do Japonji. Przeszedł z pod opieki Chrystusa pod skrzydła Buddy. Z pod ciała, które zawisło na krzyżu pod takie, które zasiało na ziemi. Różnica postaci Jezusa i Buddy równa się różnicy pomiędzy poświęceniem a trwaniem. Chrystus zawisł, jak owoc, Budda wyrasta z ziemi, jak drzewo. Chrystus cierpi za patrzących nań, Budda patrzy na cierpiących. Chrystus był pierwszym Bogiem cierpienia. Budda pozwala cierpieć, patrząc na trudy i męki z pod złotych powiek.

Chrystus odnowił Buddę.

Mamy więc opisać krainę, w której znalazł się rewolucjonista, bojowiec, Jan Glorjan.

Japonja jest częścią ziemi, jeszcze nie wygasła po zaślubinach gwiazdy - ziemi z rodziną gwiazd i słońc.

Z gwiazdami trudno rozmawiać. Można je nazywać, przezywać, przyzywać, ale, jak dotąd, — nadaremnie.

Rozmowa gwiazd jest straszna!

Oto bratnie słońce spojrzy czułem okiem na oce-

any innego słońca, i cała masa wód, biljon razy większych i głębszych od Oceanu Spokojnego rusza w jednej sekundzie na wysokość septyljona kilometrów pod postacią pary. Huku przytem nie ma kto słuchać, wraca on jak parowy młot o wadze kwadrymiljona tonn, spada i zmusza do życia i do drgania. Podczas ukrzyżowania Chrystusa odbył się nikły dialog sił nieba i ziemi, gdyż był on zakrojony na miarę wytrzymałości ludzkiej.

Maluczki człowiek wynalazł łuk, armatę i gaz trujący, ale tak uzbrojony nie wytrzymałby nawet półszepu kosmosu. Nasza nieskończoność jest bardzo młoda, ziemia nosi zaledwie ślady kosmicznych rozmów, przez które przeszła. Może wiele opowiedzieć, tym którzy ją pytać zamierzają. Jakże więc przystąpić do opisu kraju, który jest jak gdyby kosmiczną przygodą bez świadków. To — Japonja — kraina wulkanów. — Wielki naród, który nie ma wstępu do amerykańskich domów prywatnych, naród, któremu nie każdy da córkę za żonę. Naród z obrazka, na którym jest jasne niebo i gałązka sosny u samego dołu. Naród, malujący kota, jak wojownika, a bogów w rycerskich zbrojach. — Naród, mający litery podobne do budynków, a budynki i bramy podobne do liter swego alfabetu.

Drobne wysepki w Matsushima mają na grzbiecach czupryny sosen, zjeżone strachem po rzeczach widzianych. Mosty święte, czerwone ze szczapek sosnowych, przemalowanych na koral, prowadzą z brzegu na brzeg potoku, rwącego po skroniach ziemi. Najbardziej nerwowe z rysów ludzkich, rysy Chrystusa, dojrzewały nad brzegiem martwego jeziora, a najbardziej nieruchoma z postaci, Budda — strzeże wybuchowego pejzażu Japonji. Postać Chrystusa wy-

zwala się z materiału, na Buddę trzeba materiał gromadzić.

Jeden i drugi pochodzi z Azji, z czego wniosek, że Budda trwa, czekając na Chrystusa. Z Buddy wyzwala się Chrystus. Widziano Chrystusa w Japonji nad Buddą zapadającym się w szczelinę nagle rozwartej ziemi. Gdy oto roztrzęsiona ziemia łyka przy należną sobie miedź boga, zjawia się Chrystus, który, gdy ziemia pęka, wraca do Ojca.

Pobłogosławiony znakiem krzyża, stanął Glorjan na ziemi Buddy.

Buddyzm przeszedł przez Azję od Benares do Kamakura, od przesytu państw, które ujarzmił Aleksander Macedoński, do Japonji, gdzie przyniósł ideę trwania i bohaterstwa. Wbrew ostatnim słowom Buddy, że wszystko co powstało, musi odejść, Japonja wchłonęła buddyzm jak można najdemokratyczniej — i trwa. Politycy i historycy współcześni powinni by zwrócić baczniejszą uwagę na stosunkowo krótki okres w życiu polityczno - gospodarczem Japonji, powiedzmy pomiędzy r. 1890 a datą dzisiejszą. W ciągu czterdziestu kilku lat przeszła Japonja przez wszystkie etapy, od tarć wewnętrznych do zwycięskiego faszyzmu cesarskiego, rozwijając flotę handlową i wojenną, wciskając swe towary według najnowszych praw konkurencji. Odrodzeńczy buddyzm zdołał dać klasyczną konstrukcję nowoczesną państwu japońskich azjatów na długo przed Mussolinim.

„Nieoczekiwane“ japońskie zwycięstwa, bohaterstwa bezprzykładne będą nas zaskakiwały w Europie coraz częściej, im bardziej damy się zagłuszać wielkiej orkiestrze zasług „zachodnich“ z najdłuższymi armatami i z najkrótszą pamięcią, skąd się pochodzi. Budda nie chciał dać uczniom odpowiedzi na pytanie, co będzie po śmierci. Zostawił to Chrystusowi.

W czasach, gdy ściany mają naprawdę uszy, my, Europejczycy zanadto ufamy radjoodbiornikom, że one nam wszystko co trzeba przyniosą. A potem nagle musimy wszystko porzucać, wanny, tusze, kontusze, anteny i Antoniny, by z plecakiem pełzać po okopach. Japończyk nie porzuca niczego. Wie, że po śmierci będzie miał na imię Ryochi - Doji, a jego dziewczyna — Myoyo Donyo. Wie, że będzie po śmierci dosiadał konika, Warauma, a mały wół, Waraushi, będzie go wyręczał w pracy. Wie, że gdy zginie będzie wspomniany w domu herbatą. Wszystko to wie prosty żołnierz i admirał, do którego Glorjan przywiózł listy.

Admirał przyjął listy, o nic nie pytając i oznajmił, że zaraz wróci po przeczytaniu.

Po pewnym czasie dygnitarz wrócił z piękną córką, która, ujrawszy Glorjana, zawołała po japońsku:

— Ach, jakież on piękny! i na znak ojca szybko opuściła komnatę.

W pierwszej rozmowie generał wypowiedział takie zdanie:

— Czyn, którego się pan podjął, grozi śmiercią. Gdy tygrys ginie, zostaje skóra, gdy człowiek ginie — zostaje myśl. Czy pan jest polskim samurajem?

— Jestem synem robotnika — odparł Glorjan.

— Będzie pan sławny, jak Kuroki. Kuroki tsutsi, znaczy czarna ziemia. A co u was znaczy: Ada Miki - wi (Adam Mickiewicz).

— To największy polski poeta.

— A co znaczy?

— Nie wiem, kocha go cała Polska...

Glorjan był na przeglądzie wojsk i widział cesarza.

— Czy to mikado?

— Nie pokazuj palcem.

Glorjanowi przypomniała się matka.

Stopniowo przekonał się, że Japończycy mają swych moskali. Tymi moskalami są Chińczycy. Japończyk nowoczesny gardzi warkoczem. Chociaż Lao - tse był już starcem, gdy spotkał poraz pierwszy Konfucjusza, to jednak Japończyk wzdryga się, gdy mu kto przypomni pochodzenie z Chin.

Glorjan odrazu pojął, że Polska łatwiej się wyzwoli od Moskwy, niż Japonja od Chin.

Zaproszony do domu admirała któregoś dnia zastał Glorjan samą córkę.

Opowiedziała mu doskonałą francuszczyzną, w jakich krajach studjowała.

Pokazała Glorjanowi album Rzymu:

— To od waszego arcykapłana Buddy — Papieża.

Pokazała piękny wizerunek mszy pontyfikalnej z papieżem na tronie.

— Panie, jesteś bosko piękny. Lękam się o inne kobiety.

— Nie znam żadnej.

— Lękam się, że same się znajdują.

— Jestem o to spokojny.

— Ale ze mną nie bądź spokojny.

Wszedł admirał z jakimś wojskowym.

Wskazując na Glorjana, rozkazywał opanowanym głosem, jakby recytując coś, co jest oddawna znane i gdzieś utrwalone.

Glorjan został zaproszony na drugi dzień.

— Będę uczesana — Maruwage. — Mam długie piękne włosy. Mogłabym naśladować Kwan-au, albo Beuten ze ścian naszych wielkich świątyń. Wolalabym o — tabakobon, ale już nie mam siedmiu lat. Szczęśliwe są nasze proste dziewczyny. Uczą się krótko, i zaraz wychodzą zamaż.



Częstowała Glorjana papierosami, a szczebiotała jakby kto perły podrzucał na srebrnej blasze.

Często przestawali z sobą, ale dziewczyna już nie powróciła do wynurzeń, dowiedziawszy się od ojca, po co Glorjan przyjechał. Byli razem na święcie dziewcząt w trzecim dniu trzeciego miesiąca, gdy wiśnie zakwitają.

W dniu piątym piątego miesiąca był Glorjan na święcie chłopców. Widział strzelanie z łuku do fruwających papierowych karpi.

Zdawało się już Glorjanowi, że w Japonji nic się nie dzieje, gdy nagle otrzymał zaproszenie i został zaprowadzony do sztabu.

Admirała wśród wojskowych nie było.

Ku zdziwieniu Glorjana pułkownik sztabu odczytał po polsku list pisany z Warszawy.

Pot zrosił młode czoło Glorjana, gdy padły wyraźnie czytane słowa:

„Jan Glorjan jest wysłannikiem bojowej organizacji Polskiej Partji Socjalistycznej. Organizacja ta podejmuje od pewnego czasu dywersyjne akcje w stosunku do rządu, sprawującego władzę nad częścią dawnej Polski. Akcja ta, polegająca na terrorze, oraz na eksproprjacji pieniędzy rządowych, nie przedstawia dla państwa rosyjskiego żadnego niebezpieczeństwa militarnego.

Pułkownik zapytał Glorjana z uśmiechem:

— Czy tak jest?

Glorjan otarł pot z czoła i odpowiedział po polsku:

— Wstyd mi, że tego musiałem wysłuchać.

Odpowiedź przetłumaczona nie wywołała żadnego wrażenia poza wzrokową baczniejszą obserwacją.

Pułkownik czytał dalej:

„Dlatego też wszelkie deklaracje polityczne, składane przez wodzów tej organizacji spiskowej,

nie powinny być brane pod uwagę przez rząd cesarsko - japoński. Wszelkie próby wywołania zamieszek na tyłach armji rosyjskiej mogą tylko zaszkodzić społeczeństwu polskiemu, nic natomiast nie dadzą dowództwu dzielnej armji japońskiej".

— Czy tak jest?

— Wszystko to jest kłamstwem! Niestety, znajdując się oddawna w niewoli, mamy wśród siebie już wnuków niewolników. To oni tak kłamią, ale właśnie ich kłamstwo może tylko wzmocnić Rossję, a my, walczący Polacy, — narówni z Japonją — chcemy i musimy zwyciężyć. Petersburg boi się naszych bomb warszawskich, a Japonji powinno zależeć na tem, żeby się Petersburg ciągle czegoś bał.

Gdy tak mówił szesnastoletni Glorjan, zauważył uśmiechy zgody na twarzach oficerów. Ośmieliło go to do zadania pytania:

— Kto pisał ten list?

— Nie wiem... nie wiemy... — odpowiedział spokojnie lektor.

— Ja sam wiem. To pisał endek.

— Czy to imię wodza?

— Nie: imię wodza jest inne, ale endek oznacza takiego szoguna, który pogodził się z władzą cesarza Rossji.

— Car? Ni - ko - ła?

— Tak jest. Polski wódz, Piłsudski, przysłał mnie do wykonania rozkazów.

— Cha-ra-szo! odezwał się któryś oficer.

Glorjana podrzuciło:

— Charaszo! mówi car, a Polak mówi: dobrze!

Ale gdy Polak bojowiec mówi: dobrze, to wtedy car nie mówi: charaszo!...

Sztabowcy roześmieli się życzliwie.

— Będziesz za kobieta... travesti... bien?

- Bien, oui...
- Nie bać się?
- Bojowiec niczego się nie boi.
- Dobrze, dobrze...

Posiedzenie było skończone. Glorjanowi przydzielono oficera, który mówił po polsku.

Duma rozpieierała pierś młodzieńca, gdy szedł przez las sosnowy, podobny pod wieczór do rodzinnego zagaju. Zdawało mu się, że jest wysłańcem męstwa polskiego w te dalekie kraje, gdzie na jego przyjęcie sosenki zasadzono. Tylko ten list przekląty! Zawierał najpodlejsze tchórzostwo, przyobleczone w szatę posłannictwa. Niewolnicy, strzegący spokoju najeźdźcy. Upolowana żywcem i oswojona zwierzyna w piątym pokoleniu!

Nim doszedł do restauracji, usłyszał swoje nazwisko i poznał domniemanego autora listu.

— Czem mogę służyć? spytał z pozorami uprzejmości.

— Służyć — mnie? Pan służy komu innemu...

— Służę Polsce!

— Oczywiście: wszyscy jej służymy...

— Nie, nie wszyscy!...

— I to być może. Chciałbym pana ostrzec.

— Przed czym?

— Przed hazardem.

— Prosiłbym o wyraźniejsze określenie tego hazardu.

— Tu, gdzie nas mogą zauważyć?

— Mnie już zauważono, a pański los mnie nie dotyczy.

— Dobrze więc: na oczach wszystkich, skoro panu to nie robi różnicy. Otóż, niech pan wie, panie Glorjan, że Europa nie cała jest po stronie Japonji.

— Czy pan ma na myśli Rossję europejską?

— Nie żartujmy... Mam na myśli Włochy, Anglię, Francję, a poza Europą — Amerykę.

Glorjan nabrał pewności siebie i zaczął ironizować:

— Gdy do tych państw dodamy jednak Rossję, to cały globus będzie przeciw Japonji, prócz garstki bojowców Piłsudskiego.

— Prawie, że tak, panie Glorjan. Pan zapomina, że to my, stronnictwo narodowo - demokratyczne, zdjęliśmy ojczyznę z krzyża...

— I zamówili panowie trumnę...

— Nie obrażajmy się. Tu chyba nie miejsce po temu.

— Wszędzie jest miejsce. Ojczyznę moją noszę tu, w sercu!

— Tak, ale tam na miejscu została jednak połać ziemi, zaludniona przez polaków, którzy mają prawo do życia.

— Jeżeli tylko do życia, to niech wyginą!...

— Za pozwoleniem. Łatwo to powiedzieć, ale przecież nie Japonka uczyła pana pacierza.

— Nie, panie, nie japonka, ale dziś rano japończyk czytał mi pański list do sztabu. — Dlatego pytam pana, kto ciebie uczył pacierza?

— Młodzieńcze, nastrojami nie zebrano ziarnka ryżu, ani żyta. Skąd pan wie, że my, narodowi - demokraci, nie budujemy wolnej Polski?

— Skąd wiem? Wiem z najlepszego źródła, z tego, co pan pisze, mówi, z pańskiego wyrazu oczu... Z pana nawet Witte się uśmieł.

— Panie Glorjan, z Chrystusa śmieli się żołdacy...

— Pan wie, co francuzi mówią o comparaison?

— Ma pan dowcip, panie Glorjan, ale brak panu wyrobienia politycznego.

— A oni, japończycy, mają wyrobienie?

— Mają instruktorów niemieckich, a zresztą mogą przegrać...

— Oni — przegrać?! sam pan chyba w to nie wierzy.

— Tu chodzi nie o wiarę, lecz o możliwości.

— Widział pan te pudła, na których płynie Rożestwieński?

— Nie mówię o morzu, ale na lądzie Rossja ma ogromne ilości wojska...

— Nie liczyłem.

— Anglik by obliczył, a dopiero potem rozumał.

— Z anglikami też się obliczą, a Irlandczycy już próbują.

— Czy pan wie, panie Glorjan, że ojca pańskiego uczyłem czytać?...

— Dobrze, że nie pisać, jeszczeby takie listy, jak pan, wysyłał.

— Więc nie porozumiemy się? Otóż oświadczam, że się wam nie da po świecie buszować!...

— Da się, da się, szanowny panie! Niech pan straszy Wittego i Izwołskiego, a nie mnie! My latałyśmy za wysoko nad pańską pożyczaną nahajką...

— Będziesz, chamie, jeszcze baty odemnie brał! Na to rozjaśniła się twarz Glorjana.

— A widzi pan, jak to z pana nowoczesny polak wylazł. Wyciągnął go pan żurawiem ze studni carskim sztofem. Ja nie mierzę ani polskiej wódki, ani polskiej krwi sztofem, lecz kwaterką i garncem, panie demokrato narodu!

— Dużo zbudujesz...

— Umaczaj palce w pierwszym lepszym gnieździe jaskółczem i przeżegnaj się, to się dowiesz, co zbuduję ja, a nie ty, endecka wiorsto.



Tego wieczora pokazano Glorjanowi dwu Moskali. Nazywali się Iwan Kotorygin i Andrzej Semper. Byli to oficerowie z armji rosyjskiej, którym powierzono tajny wywiad. Mieli wolny wstęp do kwatery japońskiej, odkąd zdradzili chęć porozumienia się, ażeby daremnie krwi rosyjskiej, no i japońskiej nie przelewać.

Zanim do układu doszło, przedostawali się z obozu do obozu nocą. Na wszelki wypadek byli starannie ogoleni i mieli na rękach cywilnych ubrań czerwone krzyże. Reprezentowali od biedy neutralność amerykańską, gdyż mówili po angielsku.

Glorjan obserwował ich przez uchyloną ścianę z matowego papieru.

Tańczącym gejszom robili kokardy z papierowych pieniędzy i wtykali we włosy.

— Wańka — dieńgi powinno się wydawać tylko w Japonji.

— Dlaczego tak?

— Bo dieńga — to taka papierowa ozdoba.

— Wierno, wierno! Tylko nie krzycz, bo kontrwywiad nie śpi. Oni mają nawet polaków na służbie.

Na te słowa ściana domknęła się bez szelestu. Glorjan postanowił słuchać.

— Więc jutro córka admirała przyjedzie z czekami?...

Glorjan zrozumiał, że córką tą jutro będzie on. Domyślał się, a nawet był pewien, dlaczego został przeznaczony do tej transakcji. Rozumiał, chociaż mu o tem nawet nie napomknięto, że admirał chce rodzinę trzymać zdala od tej zdradzieckiej afery. Glorjan był z czegoś dumny, ale jakąś krótką dumą, która wnet kończyła się utajonym bólem. Szedł zgu-

bić cara, ale czuł się dotknięty na honorze. Nie miał z kim podzielić tego bólu.

...Kiedyś, kiedyś, gdy już będzie Niepodległość, młody człowiek nie podejmie się tego. A jeżeli każą?... Chyba że każą... Hej, co też tam porabia ksiądz Wdowiec?...

Onby mnie rozgrzeszył... On się nawet nie spodziewa, co ja jutro będę wyczyniał... Nie każdemu taka sprawa się przytrafi... I znowu ciche zastrzeżenie, że jednak istnieje bardzo dużo spraw daleko szlachetniejszych, a równie niebezpiecznych. Na tamte sprawy to napewno japończyków posyłają, bo dla japończyka umrzeć to to samo, co dla endeka list napisać.

Nie wiedział Glorjan, że na dzień jutrzejszy wyznaczono atak branderów, gdzie, jak wiadomo, pieniądze nie odegrały żadnej roli. Dziś wiemy, że brandery były wielką bohaterską manifestacją, że jednak cios decydujący zadała fortecy rosyjska zdrada.

W Polsce wówczas o tej zdradzie nie wiedzano. Polacy byli tak pewni, że car miał gorsze okręty, gorsze armaty, gorsze karabiny, i, co najważniejsza, gorszych wodzów, że w żadną zdradę nie uwierzonoby. Ta ślepa wiara Polaków w geniusz Japonji była bardziej zrozumiała, niż późniejsze owacje czynione Francuzom w roku 1920-tym, gdy mieliśmy już i własne wojsko i własnego wodza. Na szczęście widziano pod Kostiuchnówką i na reducie Piłsudskiego, Chrystusa, jak szedł z karabinem i z ładownicą wprost z Grottgerowskiej ściany na cara, — no i cud francuski jakoś nie przyjął się, a poniektóre sikorki, ani na płytach, ani w odbiornikach jakoś nie wychodzą.

Dlatego to warto zanotować: Glorjan czuł, że w Porcie Artura dokona samodzielnego, jakgdyby polskiego czynu. Nauczył się od ojca, że miljonową armję cara może przestraszyć paręset brauningów, oraz parę bomb tylko dlatego, że są polskie. Doświadczył w Warszawie, że są strzały polskie, zasadzki polskie, wybuchy polskie.

Rozumiał, że tu, na krawędzi świata, nad oceanicznym urwiskiem odda swe młode życie w przygodzie, której nikt nie nazwie polską, nawet na czwarte imię, ale doskonale wiedział, że najmniejsze opóźnienie może fortecę uratować i dać carowi przewagę. A tego Glorjan nie chciał całą mocą ducha. Jego udział może być i będzie napewno nieznanym, ale czyn sam przez się będzie wielkim. Zapamiętał się Glorjan tak dalece, że modlił się o to, by jego bliźni zdradził swoją ojczyznę, by się czasem nie rozmyślił, by sobie nie uprzytomnił, co czyni.

Córka admirała nazwała Glorjana pół serjo O — Jezu — Jan.

— Będziesz musiał jutro uczynić Nuke — kubi, czyli wydłużyć szyję, by ocalić głowę.

— Tylko głowę? czy to nie za mało? żartował Glorjan.

— Nie żartuj! Cały uciekniesz, tylko nie żartuj. Przed wielkim czynem żaden wojownik nie żartuje, bo obraża przodków, którzy myślą, patrząc na niego, że woli śmiać się, niż umrzeć.

Glorjana ujęły te słowa wypowiedziane bez zalotności. Był niemi namaszczony. Spoważniał, ale nie rozstał się z dziewczyną, dopóki nie odbyli dokładnej rozmowy, która potem przydała się w decydującej chwili.

Dwaj moskale, Semper i Kotorygin, nie wiedzieli,

że będą zabici — zaraz po wzięciu pieniędzy, jako zbyteczni świadkowie. Wiedzieli tylko, że mają prawo zabić tych, od których pieniądze wezmą. W ten sposób do pewnego stopnia — za zgodą sztabu japońskiego — zagwarantowaną była pewność, bezkarność, bezpieczeństwo zdrady.

Glorjan z opowiadań ojca, wytrawnego bojowca, wiedział, że istnieją zdrajcy, którzy za pieniądze sprzedają życie swych bliźnich. Takiego nikczemnika wyobrażał sobie przy suto zastawionym stole, z oczami załzawionymi z przepicia, z głową świecącą od tłuszczu. Tu w Japonji dowiedział się, że mściwe demony Pana Śmierci Emma Dai - o wrzucają łotrów do rozpalonych żelaznych tacek. W Warszawie strzelano do szpiegów celnymi strzałami.

Port Arthura wglębiony w morze Żółte, na łuku linii lądowej, niezwykle dla Japonji doniosłej, owa koronkowa linja łądu rosyjskiego na północno-wschodniej rubieży Azji, nie była przez rosjan przestudjowana. Rabowano lasy, sprzedano fortece, jakby to był las.

Obywatele państwa rosyjskiego, Semper i Katorygin, mogli bezpiecznie, przez wywiad japoński niekrępowani, wałęsać się po miastach Japonji, objętej pogotowiem wojennem. Panowie ci zaopatrywali swe rodaczki i nierodaczki w wachlarze z Tokio, w satsumy z Kioto, w tkaniny z Osaka.

Glorjan widywał ich na walkach w Kokugikan, w Tokio i podczas golfa w Komazawa (przedmieście Tokio) i w Toyoda, w zachodniej części Tokio. Byli razem na kwietniowych tańcach gejsz, na Miyako Odori, w Kioto i na Azuma Odori, w Tokio. Agenci wywiadu, zdezorjentowani, niejednokrotnie ostrzegali kogo należy, że po kraju włączą się oficerowie rosyjscy w cywilu. Agentów uspokoiono. W Osaka

agent popełnił harakiri, nie chcąc brać na siebie odpowiedzialności. Gdy po tym incydencie panowie Semper i Kotorygin korzystali nadal z wolności, zaprzestano ich śledzić, stosując system obserwacji.

Podczas spektaklu w teatrze zauważył Kotorygin na tylnej dekoracji stylizowaną rozgałęzioną sosnę.

— Popatrz no, bracie, sosna — nie sosna, a podobne do polipa. Wiesz, co ci powiem: oni nas wycisną z Azji.

— No jeszcze nie jutro...

— Któż mówi, że jutro, ale zauważ ich teatr. Gdyby japończycy o czym w historii zapomnieli, to za nich dorobią na scenie aktorzy. Tak musieli grać starożytni grecy.

— Nie przypominam sobie...

— Nie żartuj, Wańka, wspomnisz moje słowo: zejdziemy z azjatyckiej sceny i to niedługo. Jedno może nas na pewien czas uratować po przegranej wojnie.

— Mianowicie?...

— Jeżeli zjawi się jaki seminarzysta, któremu naród uwierzy, że on naprawi to, co zepsuł car. Będą go nawet nazywali carem, bo u nas lubią samozwańców. Tylu carów nadusiliśmy, że któremuś mogło się udać umknąć...

Któregoś dnia Glorjan, przebrany za japończyka, ponownie zajął sąsiedni stolik w nowocześnie urządzonej restauracji. Było to w przeddzień ostatecznego spotkania dla dokonania wypłaty. Rossjanie byli poważnie nastroszeni, szczególnie Semper, którego Kotorygin nazywał „Sempjer“ tłumacząc z francuskiego brzmienia — 5-ty Piotr, albo Pietrusza. Kotorygin przy szampanie nabrał rezonu.

— Uważasz, Pietrusza, Japońcy są na drodze do zajęcia stanowiska modnego narodu. Zobaczysz,



jak nasze ministrowe i księżne zaczną ich rozkręcać z tego „kimono”. Był i jest jeszcze taki naród szczęśliwy — to francuzi. Całemu światu się spodobali, a nawet Rewolucja francuska wszystkim do gustu przypadła.

— Do pewnego stopnia...

— Pietrusza, zauważ, nic nie jest „zupełnie” — wszystko odbywa się do pewnego stopnia. Bardzo długo francuzi rządili światem. Rządzić — gouverner! Stąd powstała guwernantka, która cały świat objechała. Anglicy też mądrale, wysłali na świat „nersę” — żywicielkę. Oni lubią cały świat żywić, byle im za to grubo płacić. Ale nersa — to nie guwernantka. Tolstoj, chociaż hrabia, a zaczyna swoją Annę Kareninę od guwernantki. Guwernantka — to duchowna nersa, uważasz? Może jedna i druga rozebrać się, gdy już bardzo późno, i dzieci śpią, ale jest różnica... Niemiecka bona, to niby łacińskie — dobra. Może to jedyna dobra rzecz, którą niemcy na świat wysyłają... A jedna Bona to pochodziła z Włoch, ale ta była odrazu królową tego tam Sigizmunda Jagajłowicza.

— Jagiellończyka...

— Jagajło, czy Jagiełło... Uważasz, gdy się dla polaków skończyło w niebie wspomagajło — to zaraz się wszystko pod naszą władzą ugiełło, albo, jeżeli chcesz, ugajło, ale czy to na długo? Swoją drogą honorny naród, Lachy! Tak, jak my, cośmy poszli do waregów i powiedzieli: rządzicie nami!

Polaki także potrafili przyjść do matki Katarzyny i poprosili o rządy, a król Stanisław nawet...

— Z Poniatowskim, jako królem, już nic nie było.

— Nu, ja, Pietrusza, w romansach historycznych niemocny, wolę dzisiejsze... masz co na noc, Pietrusza?

— Nie mów tak głośno po rosyjsku, bo jaki guwerner, albo guwernantka doniesie.....

— Widzę, że ostatnio zeskromniałeś, cha, cha?...  
co?

— Nie chcę wisieć...

— Nasby rozstrzelali...

— Nie jesteśmy na służbie, więc...

— Powiedz lepiej, nie jesteśmy ludźmi: jesteśmy najbardziej wysuniętymi na wschód draniami.

Jestem drań i nic z tego, co potrzebne, aby się było draniem, nie jest mi obce!... to po łacinie.

Glorjan słuchał o polakach bez gniewu. Odrazu było widać, że ci dwaj rdzennie rosyjscy łotrzykowie wyznawali w stosunku do Polski jakąś teorię dobrowolnego układu, nie dopatrując się i nie poczuwając do żadnej przemocy.

Glorjana przykuła tymczasem do krzesła następująca tyrada Kotorygina.

— Ot, Pietrusza, zdawało się naszym wodzom, że to chryzantema i parawan, a tu tymczasem chryzantema zjeżyła się rojem bańnetów, a za parawanem armaty i to jeszcze jakie!....

— To było do przewidzenia...

— Może i było, Pietrusza, do przewidzenia, ale nie do zrozumienia. Ot, kurlandczyk Witte dostarczył pieniądze.

— Witte nie chciał i nie chce wojny.

— A mama do synka mówi: nie chcę, żebyś szedł do dziewczyny, ale masz tu 5 rubli syneczku,... czy nie tak? Atu raptem car batiuszka dostał na dziewczynkę półtora miljaru rubli. Jest za co żyć!

— Jest i za co ginąć...

— Zostaw smutek, Pietrusza. Smutkiem nikt świata nie zbuduje, od tego są klasztory i więzienia, ale nie porządna restauracja. Ot ja ci to wszystko

wyjaśnię na wesoło. Czy wiesz ty, bracie, dlaczego Japonja nas zwycięży? Bo ona wcześniej stała się państwem kapitalistycznym. Kapitał, Pietrusza, bez państwa, to ryba bez wody. Nowoczesne państwo— to kapitał.

— Na socjalizm zeszedłeś?

— Na jaki tam socjalizm? Zresztą z socjalizmu niejedno warto wziąć, ale nie po to, żeby zostawać socjalistą. Słuchaj mnie, Pietrusza. My, rosjanie, mieliśmy pieniądze, ruble, imperjały, ale to nie był kapitał. I na tę wojnę car dostał nie kapitał, tylko zwykłe pieniądze. A z kapitałem to weszły do naszych fabryk niemieckie bony, francuskie guwernery i inna swołocz parszywa. To, co weszło, to był kapitał, ale cudzoziemski. On i naszą Polskę zalał. Jeżeli dostaniemy mocno w skórę i kiedyś tam Polska od nas się oderwie, to będzie ona na nas dobrze narzekać za ten francuski guwernerski kapitał.

My, rosjanie używamy pieniędzy przeważnie na łapówki.

Nie ma co i mówić, to także obrót, z ręki do ręki, ale to jeszcze nie kapitał.

Japonja zdążyła wcześniej od nas gospodarować kapitałem. Widziałem fabryki — przedzalnie. Zobaczysz, że nie długo będą w obrocie japońskie samowary, tylko że trzy razy tańsze od naszych. Te błazny nie boją się taniości, ani ubóstwa. Oni całemu światu za paznokcie wleżą, zobaczysz! Jeżeli się ocalimy po tej przegranej, to musimy rzucić w kął dubinę, a nakupić maszyn i nie żartować sobie z anglika, co wymyślił maszynę za maszyną.

A teraz piję za zdrowie kapitału, który jutro....

Nagłym ruchem dłoni Semper zasłonił mówiącemu usta.

— Dziękuję, żeś ostrzegł, Pietrusza... A weź jeszcze pod uwagę, że japończycy mają mało wyższej szlachty, że różne kwasoku i Szizoku, z sokiem, czy bez soku, — tego u nich parę milionów, reszta chamy, jak u nas. Ale cóż? zwąchali się z kapitałem. Zaciągnęli się dymem z tej kuchni, gdzie łapówka wychodzi z piecyka, jak przyzwoita akcja, za której posiadanie już nie tak łatwo zamykają do kozy. A na czemże polega życie jednostki? Żeby umrzeć nie w kryminale, a nawet, jeżeli się uda, przeżyć bez kryminału...

— To już trudniej...

— Ja wiem, że trudniej, ale od czego kapitał?...

Glorjan zasłonił się gazetą i usłyszał jeszcze taki szept:

— Nóż masz przy sobie?

— Futbolową piłkę przybijam do stołu, — wystarczy?

— Jednak jutro nie pij dużo, bo w kark trudniej trafić, niż w piłkę....

Glorjan uśmiechnął się i rzucił okiem na gazetę... Wielkimi literami widniał tytuł: nowe zwycięstwo japończyków...

— Nic dziwnego — pomyślał.

Nadszedł wreszcie dzień czynu Glorjanowego.

Córka admirała poszła z nim do świątyni.

— Ja już się modliłem....

— To sprawa Japonji, więc muszę się pomodlić i ja!

Glorjan przyznał rację dziewczynie, niemniej uczuł pewien żal, że cała sprawa nie jest wyłącznie polską sprawą. Czuł, że mu tu przeznaczają po odbytych łowach zajęczą łapę.

Udali się autem i w odległości siedemdziesięciu kilku kilometrów od Kioto Glorjan ujrzał przecudny

most niebiański, wążki pas ziemi, przecinający zatokę morską grzywą starych sosen. Miejscowość znajduje się pod władzą uśmiechu Buddy-Amida.

— Tu przed wiekami pokochali się Kintaro i Yoné-ko.

Bogowie usłali im most na morzu, aby się mogli spotkać wbrew woli ojca Kintaro.

Dziewczyna patrzyła w oczy Glorjanowi bardzo wymownie, ale zaraz dodała:

— To było bardzo dawno, ale piękny widok trwa wiecznie.

Weszli do świątyni.

— Nie pokazuj palcem i złóż ręce.

Kłęczeli przed ołtarzem, a dziewczę coś szeptało.

Wracając, minęli człowieka z Polski, który powitał Glorjana ironicznym uśmiechem, a przeprosiwszy pannę po angielsku, odprowadził Glorjana na bok.

— Jeżeli pan tej dziewczyny nie zna, to radzę się dowiedzieć, kim jest jej ojciec.

— Nie mam żadnych względem niej zamiarów.

— Ale ona może mieć zamiary względem pana. To na jedno wychodzi.

— W każdym razie dziękuję za wskazówkę....

— Można bardzo wpaść. — dodał tamten i zamigotał oczami.

Pożegnali się.

— Jednak ziemia jest mała — pomyślał Glorjan.

— Jezu — Janie, idą tamci dwaj z Moskwy.

— Niech pani na nich nie patrzy: znam ich z widzenia.

— Albo francuz, albo polak — zauważył Koto-rygin i nagle zawrócił w kierunku Glorjana.

Powtórzyła się ta sama rozmowa z tą różnicą, że pannę przeproszono po francusku.



— Vous la connaissez, monsieur? Si non, et bien, faites attention!

— Pas de danger, et grand merci...

Gdy odeszli, dziewczyna, która wszystko zrozumiała, rzekła:

— Od pewnego czasu cudzoziemcy strzegą się, gdyż było parę skandali, a nasi ojcowie nie żartują.

— Mają rację...

— Tak, mają... spojrzała na Glorjana.

— Kocha pan kogo w Polsce?

— Nie.

— A tu u nas?

— Także nie.

— To dobrze. Modliłam się za pana. Mówiłam o panu do Buddy. W modlitwie to wolno. A modliłam się tak:

Ho-ho, ho-ho!

Uacho-uacho! Uacho-uacho!

Jest to modlitwa do słońca, które jest naszym przodkiem, moim i pańskim. My czcimy naszych przodków, a pan?

— Ja także. To, co czynię tu w Japonji, to dla nich.

— Tak, to dobrze. Będzie pan wieczorem w kostjumie. Z tego kostjumu trzeba umieć wymknąć się, zostawiając go przy stole tak, jak gdyby pan siedział po dawnemu.

— A pocóż to? — spytał Glorjan przez ciekawość.

— Trzeba uciec pod stołem, bo w przeciwnym razie zabiją pana.

— Więc ona wie? — pomyślał Glorjan.

— Musi się panu udać. Modliłam się o moją sprawę i o pana.

-- Dziękuję.

— O pana modliłam się, żeby nasza sprawa się udała.

-- Dziękuję i za to.

— Niewolno mi pana kochać, ale wolno mi panu pomagać, dobrze?

— Proszę o tę pomoc.

— Byłem wczoraj w Nara, naszej starej stolicy, widziałam święte łanie w parku i modliłam się na górze wiosny, Kasuga, w świątyni.

Ani córka admirała, ani Glorjan nie znali całej inscenizacji oddania fortów Portu Arthura. Tęby przeszkadzało przy wykonywaniu planu.

Zdrajcy rosyjscy stawili się na miejscu w dniu umówionym.

Na widok wchodzącego w przebraniu Glorjana, ostrożniejszy Kotorygin szepnął:

— Tę dziewczynę już gdzieś widziałem...

— Tobie się zawsze kobiety troją w oczach.

— Ech, i to za mało....

— Zażądali wina i muzyki, ale Glorjan przyniósł gitarę.

Strzeliły korki, a Kotorygin poprawił nóż na piersi pod mundurem, co nie uszło uwagi Glorjana. Traktował każde posunięcie, jak szachista, nie zapominając o tem, że gra jest fałszywa.

Zaczęto pić, a gejsza wzięła akord na gitarze. Zabrział śpiew...

— Ma głęboki głos — pomyślał Kotorygin...

— Wiesz, ona śpiewa o ojczyźnie... znam japoński język....

— Ojczyzna? Gdzie tu ojczyzna? Za daleko do ojczyzny.

— Ta gejsza wie, że zaraz po wręczeniu czeków zginie. Przyznaj, że to bohaterstwo...

— A jest w tem i nasze bohaterstwo, za które nie żal zapłacić! Pocóż my tu mamy ginąć o tysiące wiorst od Moskwy? Że faktory leśne i namiestnik batiuszki chcą zarobków i sławy, to my i nasze żołdacy mamy zdychać? Mogę wołać: Boże caria chra- ni, ale nie tu do ucha Buddzie, bo i co Buddę car obchodzi?

— Przestań, już coś wyjmuje z za pazuchy.

Glorjan poczuł się nagle reprezentantem. Przy- niósł pieniądze nie swoje, ale w sprawie, która ob- chodziła Polskę ponad wszystko.

Glorjan w myśli zanurzał jakieś wielkie stalowe pióro, niby bagnet do pisania, w roztopione złoto i kładł podpis za otrzymaną z powrotem Ojczyznę.

Na piersi miał ukryte 20 milionów czekami, ale te чеки brzęczały trochę jak złoto, trochę jak pszczo- ły. Pod czaszką zapachniały mu wszystkie polskie lipy i rozśpiewały się ptaki. Przebrany w dziewicze szaty — udawał Polskę. Do czegoż to doszedł on, syn robotniczy? Z całego jarmarku świata jego wy- brano do wypłaty. Czytał kiedyś, że była królowa, która kochanków zabijać zdradziecko kazała, a była tak cudna, że ofiary szły dobrowolnie. Zupełnie, jak Polska!...

— Spróbuj który mnie wzięć! — pomyślał.

A Kotorygin, patrząc nań, czegoś się domyślał, ale sam nie wiedział, czego. Może dlatego, rozej- rzawszy się po pokoju, trącił Sempera w bok i rzekł po rosyjsku:

— Ta biedna zuzula nawet nie wie, że....

— Pamiętaj, Kola, ja gaszę światło, a ty wal!...

— A wiesz ty, gdyby Tołstoj nie śmiał się z wódki w „Wojnie i Mir“.. Pamiętaj jak hrabia opi- suje pijanych chłopów, zupełnie, powiada, jednako- wych z przepicia, jak śpiewają razem: oj, wodka! oj,

wodka! bo więcej nie pamiętają... A sam osobiście filozof z Jasnej Polany szampana golił.... gdyby więc wódki nie wyśmiał, możebyśmy teraz zwyciężali, co, jak myślisz?....

Glorjan słuchał, trzymając dłoń na czekach.

Myśl jego przebiegała po kieszeniach wszystkich polaków.

— Przecież oni mogliby dać dużo ze wszystkich zaborów wraz z amerykańskimi emigrantami.... Może już dawno byłoby po wszystkim ,ale cóż... nie chcą dać..... Więc ja za was wszystkich dam, utytłana wasza dola!.... Żeby tylko Piłsudski dotrwał.... Ale on nie odejdzie tam, jak ja nie odejdę tu od tych Tołstojowców....

Glorjan wyciągnął rękę z czekami, a widząc, że Semper już je trzyma w swojej dłoni, runął niby nieprzytomny na stół, a jednocześnie łokciem trącił w kontakt, i światło zgasło.

— Ot wypadek! ryknął Kotorygin.

— Czekaj, wiem, gdzie kontakt....

Kontakt znaleziony po ciemku zgrzytnął, i światło zalało na nowo zadymiony pokój, tylko, że Glorjan wysunął się już z kostiumu i obserwował oficerów przez ścianę sąsiedniego pokoju.

Kotorygin sunął ku leżącej postaci. Podczas gdy padał cios w szyję gejszy, światło zgasło ponownie, a oficerowie znaleźli się na korytarzu.

— Zostawiłem nóż.... aż w stole... ani krzyknęła.

Glorjan szedł za nimi. Na jednym z zakrętów ulicy rosły gęste krzewy. Z pomiędzy tych krzewów padły dwa celne strzały i oficerowie bez jęku osunęli się na ziemię. Ktoś zrewidował Sempera, znalazł to, czego szukał, i znikł w ciemności.

A na drugi dzień w otwartą ze zdumienia pa-szczę kulturalnego świata szły japońskie bandery.

#### IV.

### POWRÓT.

Niektórzy romantyczni bohaterowie przygód rycerskich z roku 1904, 1905 i 1906-go uważali, że po zawarciu pokoju japońsko - rosyjskiego nastąpiło śmiertelne zaciśnięcie w polskim ruchu rewolucyjnym.

Dziś z oddalenia prawie 30-tu lat możemy dokładnie stwierdzić, co mianowicie skończyło się, a co zaczęło. Skończyła się heroiczna improwizacja, którą Piłsudski usprawiedliwia w każdej epoce przełomowej (patrz: pisma, mowy, rozkazy), a zaczęła się, (o dziwo, panowie z Pionu i z Poziomu) zwykła praca organiczna, mająca na celu wychowanie żołnierza już nie na miarę przyszłej improwizacji, lecz na potrzeby ojczyzny. Piłsudski, organicznik Piłsudski (panowie endecy, nie cieszcie się) zaczął „wychowywać” kadry legjonowe. Kiedyś napewno jakiś akademik, albo kandydat do Akademii dowiedzie, że „Król Duch” Słowackiego, przetłomaczony na prozę, da w rezultacie „Duchy” Aleksandra Świętochowskiego. Już nie poraz pierwszy mówię i piszę o tem, a panowie furmani i furmaniki przechodzą koło tego obojętnie. Czy to nie całe szczęście, panowie, że wy



przechodzie koło pewnych spraw, dzięki temu bowiem te sprawy zostają nieuszkodzone.

Cień romantyzmu, który rzucał na Polskę Piłsudski, przesunął się i już ogarnął Świętochowskiego. Po romantykach podręcznikowych (wielka Trójca), — ten pozytywista, wywoływacz Arjosa, zostaje niniejszem pasowany — tymczasem przezemnie — na romantyka.

Arjos w zetknięciu z Piłsudskim — pójdzie do Kielc.

Czyja to zasługa? Panowie endecy, napewno nie wasza. Roman Dmowski już nic nie napisze na pochwałę Kielc, ale Świętochowskiemu uciekł do Kielc Arjos. Po święcie rozumu trafił Arjos na święto pułku. To samo trafiło się Napoleońskim żołnierzom, odbywającym całodzienne marsze w niecałych spodniach.

Otóż, zanim Arjosowi kazano iść z Krakowa do Kielc, dano mu byłego oficera, żeby go oswoił z nowoczesną bronią. Napisano Arjosowi regulamin mustry. Czuję, że pionowi panowie mają ochotę zawołać:

— Drogi panie, co to ma wspólnego z Arjosem?

Piłsudski uczył nie Arjosa, tylko rekruta rewolucji.

— Uspokójcie się, pionowi i pionkowi panowie, nikt was nie wzywa i nigdy już was nie wezwie do wyznaczania nagród, ani do przyznawania zasług. Wam się pewne zjawiska wyjaśnia, i oto wszystko. Korzystajcie, albo przechodźcie obok. Czy tak, czy owak, sprawa zostanie dla przyszłości wyjaśniona.

Panowieby chcieli, żeby was wymalować, jako aniołki, spływające na Polskę z obłoków, więc gniewacie się, gdy uczciwie ktoś zamelduje, którymi drzwiami weszliście do dziejów?

Gdyby z nieba, gdyby nawet z jakiego ziemskiego wulkanu, toby was było więcej. A was było bardzo na razie niewielu, aż klęliście paskudnie na tę resztę, która nie przyszła.

Arjos w pierwszej chwili przyprowadził gromadkę. No bo chyba nie Tarnowski obsługiwał pobór Piłsudskiemu, ani Puzyna, ani Piltz, ani Dmowski, ani Paderewski. Więc któż? Sami przyszli? Doskonale! Otóż za czasów Hurki i Apuchtina, Arjos Świętochowskiego i Wokulski Prusa też sami przyszli.

Pozytywista Prus posyła Wokulskiego do lasu, a potem na zesłanie, a Arjos Świętochowskiego ginie w Duchach tylekroć, ilekroć ofiara z życia staje się obowiązkiem.

Proszę i żądam, aby pionowo i poziomo, wzdłuż i wszerz przeczytać „Duchy” Świętochowskiego. Nie czekajcie, aż wam to każą czytać wizytatorzy szkolni.

Widzę w waszych oczach chęć wymknięcia się innem wyjściem, słyszę czyjś głos:

— Szan. Autorze, poco wywlekać Arjosa? Wszak Piłsudski dostał ludzi z P.P.S.-u.

Czyż tak? Przedewszystkiem nie wszystkich dostał z P.P.S.-u, a następnie tu was właśnie przytrzymam. Niechno panowie daty posprawdzają, a zobaczą, że właśnie Arjos i jemu podobni puciekali Świętochowskiemu i do bojówki P.P.S.-owej i do strzelca.

Tak tedy Jan Glorjan mógł bez przeszkód po powrocie z Japonji zatrzymać się w Krakowie i wejść do terminu w organizacji wojskowej.

Był tu przez krótki czas, ale zauważył, że sam Piłsudski zmuszony jest zamykać się przed tak zwanymi „swoimi”, z których jedni chcieli już trąbić hejnały, inni wódkę na znak zwycięstwa.

Od roku 1910-go prawie do końca 1920-go był Glorjan świadkiem, jak Piłsudski korzystał z każdej chwili samotności, nie wyłączając Magdeburga, ażeby się uwolnić od swoich i cudzych.

Były chwile, że w duszy Glorjana czała się za-truta myśl:

— I po co to wszystko?

Wówczas jednak przypominał sobie list z Polski, odczytany przy nim w sztabie japońskim, — i odpe-dzał zdradzieckie zniechęcenie.

Myślał nieraz:

— Łatwiej strzelać, niż budować....

I zaraz potem:

— Po tamtych strzałach można teraz budować.

Po powrocie do Warszawy, Glorjan nie mógł po-rzumić się z Wdowcem, gdyż ksiądz bawił w Ame-ryce, gdzie regulował część spadku po zmarłym, księ-ciu Roburcie.

Glorjan zastał Warszawę zmienioną.

Miastem rządził jakiś pan, który ogromnie pręd-ko rozebrał jakiś gmach.

Zwiedziwszy pieszo przedmieścia, przekonał się Glorjan, że ten sam pan, który się za czemś upę-dzał, również przed czemś uciekał, jeżeli nie wymykał się.

Łatwiej jest rozebrać największy gmach, niż u-trzymać w czystości i porządku najmniejszą uliczkę.

Oczywiście Glorjan z wielkiem wzruszeniem zwiedził ulicę Długą i co można było posprawdzał.

Podczas jednego z podmiejskich spacerów ujrział pędzący powóz najwyraźniej ponoszony przez parę koni. Glorjan zbiegł z chodnika i rozłożywszy ręce czekał. Konie chciały go wyminąć, ale w tym mo-mencie zostały ujarzmione.

W powozie jechał bankier Nesesser.

— Czy pan zajmuje się ratowaniem ludzi? — spytał roztrzęsionym głosem bankier.

— Nie, panie, tylko wiem, że zwierzęta woła ominąć, niż stratawać.

— Niech pan to opowie na giełdzie. Wyśmieją pana.

— No, na giełdzie są ludzie — zażartował Glorjan.

— Ma pan rację, ani jednego konia. Czy pan zna języki?

— Owszem, angielski i francuski.

Glorjan otrzymał posadę sekretarza osobistego u bankiera Nesessera.

Któregoś dnia, przechodząc przez hall banku, ujrzał hrabiankę Teresę Brutto w stroju sportowym. Odbierała jakąś gotówkę. Glorjan ukryty za filarem obserwował jej ruchy i stopniowo doszedł do wniosku, że jego przejście akurat w tym dniu przez hall będzie miało wpływ decydujący na dalsze jego życie. Rzecz rozpoczęta, powiedzmy, banalnie, dała pewność Glorjanowi, że do programu jego zajęć przybyło jakieś generalne zajęcie, którego nikomu i za nic nie odstąpi.

Zrozumiał odrazu, że do wyścigu o Teresę nie może stanąć z tymi, których dopuszczają do startu, ale nie chciał siebie pozbawiać prawa myślenia o cudnej pannie, jak o największej wygranej, o której wszyscy marzą.

Stopniowo z dziedziny myśli zaczęły się wyłaniać czyny, właściwie załączki czynów, które, przedsiębrane prawie w tajemnicy przed samym sobą, — miały narazie ten urok, że skracają Glorjanowi czas w ludnej Warszawie. Był nawet dumny, że na tle kryzysu światowego dobrowolnie pozwolił sobie na jedyny w swoim rodzaju kryzys w bilansie, gdzie hra-

bianka Teresa ciągle jeszcze była dopiero po jednej stronie księgi głównej.

— To jest Port piękniejszy, ale trudniejszy od Portu Arthura — śmiał się Glorjan wewnętrznie. Nie miał żadnej pewności czy trudny port podda się Glorjan wrócił do Polski bez dumy z bohaterskich czynów. Przyjechał gnany tęsknotą, nie pretensjami.

Ale ten uroczo piękny mężczyzna nie mógł zapomnieć o uroku, który wywierał.

Jeżeli Teresa jawiła mu się nieraz na portretach przy zwiedzaniu Wilanowa, zamku, czy Łazienek, to równocześnie lustra tych zabytkowych pałaców nie mogły zataić przed nim jego własnej postaci. Nie pokazując palcem, ażeby cieniów matki nie obrazić, czuł się Glorjan pięknym i do zdobywania uprawnionym. A jednak, rzecz dziwna, nie uciekł się do zwykłej taktyki poszukiwania Teresy osobiście. Działała tu duma, a bardziej od dumy — wiara w przypadek.

Nadewszystko oddziaływały na Glorjana warunki życia w odrodzonej Warszawie.

Glorjan nie przewidywał zgiełkliwych zabiegów, którym oddali się polacy w odzyskanym domu. Zachowywano się jak w wielkiej sali licytacyjnej. Brano w ręce przedmioty, sprawdzano jedwab makat, prawdziwość gobelinów. Przy tej okazji potracano się, jak gdyby każdy z osobna był w swoim domu, w którym jest ciasno. Glorjan usuwał się z drogi wszystkim i każdemu.

Nie przewidział, że spotka Teresę.

Gdy któregoś dnia cała Warszawa stawiała się w Łazienkowskim parku na konkursy hippiczne Jan Glorjan znalazł się w segmencie tanich miejsc. Był tak różny od innych, że bezwiednie dopuszczano go do samej barjery, a mieszczki i służące warszawskie



zerkały ku niemu z niedowierzaniem, skąd się za-  
błąkał w tym zasięku demokratycznym.

Ogłoszono przez głośnik konkurs pań, które wy-  
jeżdżały na teren dla sprawdzenia kolejności i trasy  
przeszkód.

Glorjan miał program. Wyczytał, że w biegu pań  
weźmie udział hrabianka Teresa Bruttówna. Poznał  
ją odrazu, zanim sprawdził tożsamość osoby po nu-  
merze na czapraku podczas biegu.

— Ta blondyna to jak łania! Djabła przeskoczy  
— zauważyła jakaś panna.

— Byle koń miał długi ogon — dodał stojący  
obok strażak.

— A jak krótki, to co?

— Koń z krótkim ogonem nie ma cugu, panno  
Maniu.

— Ojej, to jak wam strażakom zabrali konie,  
a dali te auta czerwone, toście stracili cug?

— Toteż gasimy ogień odrazu, jakby kołdrą  
przykrył.

— Może pikowaną?

— Może być i pikowana!... Panna Mania lubi?

— E, na dwoje babka wróżyła....

— Dobra babka, zawsze wróży na dwoje...

Glorjan nie spuszczał oka z Bruttówny.

Szła w towarzystwie oficera. Zatrzymali się tuż  
przy barjerze. Żołnierze 1-go pułku szwoleżerów  
dźwignęli zieloną liściastą przeszkodę i ustawiali ją  
na właściwym miejscu.

Jakiś żołnierz w czapie ogromnej, jak tort, z  
daszkiem, jak przytułek, otrzepywał kurz z rąk, a  
widząc, że to nie pomaga, otarł dłonie o tylko co  
polaną trawę, poczem o spodnie.

Drugi żołnierz coś mu szepnął do ucha, a zawsty-  
dzony elegant poprawił kurtkę na sobie, odszedł na

bok i usiadł pod dębem, na którym ćwierkał wróbel, zapędzony tu wypadkiem i lękający się odfrunąć, ponad wielkim tłumem.

Hrabianka Bruttówna certowała się o podwyższenie przeszkód. Glorjan podzielał w myśli jej pogląd i nierad był, że oficer odmówił.

Zasygnalizowano bieg.

Po dwóch wyłamaniach wskutek narowu koni źle trzymany wyjechała przez otwarte wrota Bruttówna.

Musiała zrobić trzy przeszkody, sadząc na barjerę, za którą stał nieruchomy Glorjan. Jakoż zobaczył jej głowę w czarnym meloniku trzykrotnie w górze podczas skoków, a tłum wielotysięczny milczał, aprobując powodzenie amazonki.

Trzymała cugle dość wysoko, energicznie i krótko. Kołysząc się, przytulona do pięknego skarogniadego konia, ulegała wszystkim nakazom doskonałej jazdy.

Glorjan wiedział, że za jedną z dalszych przeszkód jest szeroki rów z wodą.

Koń dostał batem i prześmignął lekko.

Tu była cała trudność biegu.

— Byle na ostatku nie zgorączowała — myślał Glorjan — i już ją miał powtórnie przy barjerze.

— Hoo! hoo! hoo! — krępowwała rozedrganego, rytmicznie chrapiącego angleza i wionęła przez białe drągi bez zaczepienia.

Glorjan zamknął oczy.

Jeszcze żółte belki i jeden płot...

Huragan oklasków odprowadził zwyciężczynię za barjerę.

— Zuch baba! — ktoś krzyknął.

— Panna, nie baba!...

Glorjan patrzył na władców odrodzonej Polski, którą zdobywał krwawo jego ojciec, a i on do jej

blasku przyczyniał się po tamtej stronie Azji. Ujrzał Teresę w łoży. Trzymała bukiet, który jej wręczył w imieniu Prezydenta piękny generał.

Żałował Glorjan, że kwiaty nie od niego pochodzą.

Jakiś mokotowski djabeł, może esdecki, przedwojenny Mefisto, szepnął Glorjanowi do ucha:

— No i cóż się zmieniło, robociarski synu? Tak samo niedostępni ci, jak byli tamci....

Otrząsnął się Glorjan....

Odległość do panny została bez zmiany, jak za caratu, ale to nie dlatego.... ha! zobaczymy....

## V.

### RAUT U NESESSERÓW.

W okrągłej sali pałacu barona Adolfa Nesessera odbywał się raut.

Tancerka Lola Zatoma tańczyła coś nowoczesnego, manewrując laseczką, z wielkim brylantem. Zatoma tańczyła „pod” fortepian i wiolonczelę.

Była wyjątkowo usposobiona.

Nie stawiała na palcach, bowiem to, jak upewniała, pudle w cyrkach lepiej robią.

— Ona każdą melodię napycha ciałem, co?.... szepnął baron do sąsiada.

Kostium tancerki składał się z marszczonego seledynowego tiulu na różowym podkładzie.

— Ją można zjeść razem z tą sałatą prosto z różna — zauważył hrabia Liliput ojciec.

— Hrabio, w naszym wieku rozeń staje się pogrzebaczem.

— Jadałem kury z pogrzebacza w braku różna.

— A co te kury przedtem tańczyły — zagadnął Nesesser.

Lola snuła się po dywanie, udając, że kogoś wypatruje. Podczas tego spaceru nie pokazała ani pła-

ka żywego ciała, które zakontraktowano na cały wieczór.

Nietylko panowie, ale i damy zaczęły wykonywać ruchy oczekujące, sprawdzając przez szkła, czy istotnie taniec ma być do końca przyzwoity.

Doświadczeńsze panie zerkały na barona, który wyczuwał tę zbiorową niecierpliwość, ale tylko uśmiechał się, jak magik przed wyjęciem kurzego jajka z cudzego ucha.

— Coś musi nastąpić — zdecydowała księżna Brygida, bo to, to i ja potrafię.

— Nietylko to — usłyszała, ale udała, że nie słyszy.

Wreszcie tancerka odrzuciła ręce w tył i pchnęła ciało do skoku.

Tiule cofnęły się i przez chwilę szły za nią, jak złożone skrzydełka, aż opadły.

Szła naga z ledwie dostrzegalną różową przepaską.

— Niech księżna będzie spokojna: wszystko mamy zasłonięte.

— Tak sędzę, baronie, gdyż inaczej nie przyszedłabym z córką.

— A bez córki?....

— Bez córki to kto wie, tylko obawiam się, co by zrobiła córka bezemnie... teraz takie czasy...

— Zawsze były czasy, księżno, tylko nie takie drogie...

— Ma pan rację. Chciałabym chodzić na starość o takim kijku. Toż ten brylant wart z miljon. Trzeba mieć bardzo niewiele, żeby dostać tak dużo.

— Zdowcipniałaś, Bryga, na wsi...

— Nie... tylko wypoczęłam...

— Z kim?...

— Fe! to męczące....



— Zależy od systemu...

— Nie krzycz, Rózo, pomyślą Bóg wie co...

— Masz rację: już tylko Bóg wie, co oni myślą.

Ładnie tańczy ta szelma, a biodra ma Sodomskie...

— Nie znam się na Sodomie...

— Nie brałaś nigdy biodrami, tylko rękami...  
biednaś ty...

Lola biegła teraz na wielkie lustro, jak gdyby wzywała do walki tę drugą.

Taniec przed lustrem podnieca tancerki: pragną zwyciężyć nawet własne odbicie.

Było umówione, że muzyka ustanie po dojściu do zwierciadła.

Jakoż Lola padła sobie w objęcia rozkrzyżowana na szklanej tafli.

Po oklaskach zaczęto tancerkę oglądać z bliska, pozorując ciekawość zwykłą rozmową.

— Masz rację — rzekła księżna — jesteś młoda, wszystko masz ładne... i to, i to...

Wzięła ją za pierś.

— O, c'est très necessaire, madame la comtesse.

— Panie Nesesser, proszę przejąć z rąk moich swoją własność — wezwała księżna gospodarza po polsku, z czego Lola śmiała się, nic nie rozumiejąc.

— Baronie, zapalę z gustem pańskiego Mahometa.

— Zaraz przyniosę, księżno.

Baron Nesesser, znalazłszy się w pokoju, poprzędzającym swój gabinet, zamiast przekręcić kontakt, nagle znieruchomiał i ukrył się za kotarą. Słuchał, widząc na tle półotwartych okien dwie sylwetki.

— No, proszę mnie objąć!... proszę... proszę...

— Nie wolno mi, pani baronowo...

— Ośmiel się... no!...

— Niewolno mi...

Błysnęło światło. —

Lekki krzyk, a następnie takie słowa:

— Proszę przepędzić tego draba!

Baronowa, poprawiając włosy, wybiegła do salonu.

Przed Nesesserem stał jego sekretarz, Jan Glorjan.

— Panie baronie, będę musiał podziękować za pracę.

— Panie Glorjan, słyszałem wszystko, ale teraz nie mam czasu. Dostaniesz pan dobre miejsce. Proszę o pańską dłoń.

— Jakto, panie baronie?...

— Słyszałem wszystko. Nie zawiodłem się na panu. Znam ludzi. Proszę, podaj mi pan rękę. Nie odmawiaj mi pan, panie Glorjan.

— Dziękuję, panie baronie.

— Akcje na giełdzie są przyzwoitsze od kobiet. Gdy upadają, to wszystkie razem i bez udawania, co?...

Dam panu posadę...

— Dziękuję panu baronowi...

— Nie ma za co, nie ma za co... to dziwne, że taki człowiek, jak pan, musi pracować zarobkowo.

W rozkołysanej tańcem sali odbyła się w chwilę później taka rozmowa pomiędzy baronową a hrabią Tolem:

— Mery, sekretarz Glorjan śledzi nas...

— Już nie jest sekretarzem...

— Zaawansował?...

— Tak: za drzwi...

Tolo Barbakan tańczył z baronową walca własnego układu.

Nazywał go agitacyjnym.

Uradowana sukcesem Lola szeptała coś do ucha

baronowi, który oklaskiwał hrabiego Tola, dziękując za walca.

— Drogi baronie — spytał Barbakan — ten twój sekretarz skąd on pochodzi?

— Już odchodzi, hrabio...

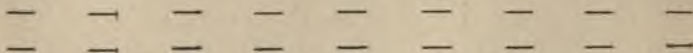
— Za co?...

— Za nic, panie hrabio. Na własne żądanie.

— Kawał chłopca...

— Tak, hrabio, kawał...

Baronowa poprawiała włosy.



Sekretarza Jana Glorjana pokochał młody baronet Nesesser, zwany przez matkę „Kod” (Nikodem), a przez ojca — „Kodeks”.

— Słuchaj, Kod, zakochaj ty się — mawiała matka.

— Niech pani baronowa pokaże, jak to się robi...

Matka bała się tych odpowiedzi.

Rozmowy Kodeksa z ojcem dotyczyły przeważnie strony finansowej.

Baron nie żałował synowi pieniędzy, ale krytykował jego wydatki.

— Przepij, przehulaj, ale te dziwactwa? Rozdajesz naokoło, a sam chodzisz ubrany, jak nauczyciel wiejski.

— Wystarczy mi ojczyzna, to ubranko...

— Prędeż — rozebranko... Daruj komu te łachy i chodź ze mną do Klisza...

— U Klisza pozwalam zamówić dla mnie ubranie do trumny...

— Z nikim tak głupio nie rozmawiasz, jak ze mną... Stąd wniossek...

— Stąd wniossek?... powtórzył syn, i obaj parsknęli śmiechem.

Glorjan często bywał świadkiem tych sporów.

— Panie Janie, czy nie mam racji, że mój syn nie wie, co robi?

— Panie baronie, pan Nikodem wie, co robi, tylko nie zawsze utrafi.

Za taką odpowiedź wdzięczni byli Glorjanowi ojciec i syn.

Gdy baron wsiadał do limuzyny, patrzyli nań z uśmiechem, a Kodeks rzucił kiedyś taką uwagę:

— Nie zawsze umiem utrafić, panie Glorjan?

— Może się mylę, panie Nikodemie...

— To mnie pociesza, ale czy wie pan, jak się nazywa taki jegomość, co zawsze utrafi?

— Wiem, nazywa się totalizator.

— Otóż to! otóż to! przy kasie...

— To też ponieważ pan baron jest zawsze przy kasie, chce, ażeby go pan naśladował.

— Pan kocha starego? A mnie?

— Z panem rozmawia się, jak z dzieckiem...

— Ach, jakżebym chciał być dzieckiem, panie Glorjan! Zdziecinnieć tak, żeby wszystko oddać, a potem zaklaskać w takie drobne rączęta i naprawdę ucieszyć się... Nie gardzisz mną?

— Nie, panie Nikodemie, ja pana szanuję.

Kodus przyskoczył do Glorjana i oparł mu głowę na piersi.

— Ileż nędzy jest na świecie... Namówmy ojca, żeby wszystko rozdał.

— Nawet nie poczują — usłyszał męski głos.

— I tak mu odbiorą: nie giełda — to rewolucja...

— Także nie poczują...

- A kiedyż poczują?
- Nieprędko...
- A przez ten czas?...
- Będą żyli, jak kto może...

Koduś drżał...

— Słuchaj pan! Gdyś wówczas wykrył tę garderobianę, złodziejkę, co to ukradła matczyne brylanty, gdyś mnie oczyścił w oczach matki — bo ona w pierwszej chwili mnie posądziła — poznałem — że pan jesteś mocny. Przepowiadam ci, że sam kiedyś rozdasz miliony....

Glorjan rzekł uśmiechnięty:

— To się sprawdza: rozdałem liczne miliony, gdyż nie mam nic...

— Nie żartuj pan, nie żartuj, zobaczysz! W tobie jest siła, która gardzi złotem, a ta siła, to rzadka rzecz! Będiesz traktował złoto, jak psa!... Znienawdziłem matkę za jedno jej spojrzenie wtedy przy brylantach... Mówiła mi oczami: oddaj! nie wiedząc, że traci syna... Zobaczysz jeszcze, do czego ona zdolna... ta...

— Nie zobaczę — przerwał Glorjan — jutro odchodzę....

— Pan od nas?! Dlaczego? Czy ojciec co zauważył?

— Co pan ma na myśli, panie Nikodemie?

— Wszystko co trzeba, panie Glorjan. Niezawsze utrafiam, ale teraz jestem pewien!

— Odchodzę, panie Kodeksie, na własne żądanie, bo mnie praca zmęczyła...

— Kto pana zmęczył, praca?

— Tak, praca — odparł Glorjan, mimowoli rozglądając się.

— Czemu się pan rozgląda?



— Za pracą...

Zamilkli. Koduś szybko przełknął łyżę i zaczął z innego tonu:

— Żegnaj, przyjacielu... Mam przecucie, że jeszcze się spotkamy... Będziesz bardzo bogaty, zobaczysz... W twoich rękach znajdują się miliony mojego ojca...

— Co pan mówi?!....

— I wiele, wiele innych milionów, a wszystko oddasz dobrowolnie, zobaczysz...

## VI.

### WIZYTA U POZYTYWISTY.

Pan Nesesser umieścił Glorjana w tajemnicy przed żoną w klubie myśliwskim.

Nie urok wysokiej gry ciągnął bankiera do klubu. Postanowił skorzystać ze stosunków klubowych, ażeby raz wreszcie poznać bliżej magnata Eustachego Brutto.

To „bliżej” nigdy nie nastąpiło, a Nesesser musiał poprzestać na wymianie czeków przy zielonym stoliku.

Glorjan zaczął częściej widywać hrabiego Brutto, ojca Teresy. Patrząc na niego, nie umiał sobie nigdy zdać sprawy z wyrazu, który musiałby nadać swej twarzy magnat, gdyby tak usłyszał oświadczenia Glorjana.

Równocześnie jednak wyrozumował sobie, że on, Glorjan, dość już długo chodzi z wizerunkiem Teresy w sercu i że wskutek tego nabył jakichś praw. Jakże żałował, że nie zastał w Warszawie księdza Wdowca. Ten mistrz nad mistrze napewnoby mu tę skazę z serca usunął, a przynajmniej ulżył doli. A, kto wie, —

możeby ksiądz coś nie coś wytłomaczył hrabiance Teresie?

Barona Nesessera o pomoc w swoim zmartwie-  
niu z wiadomych przyczyn nie chciał prosić.

Baron, niegdyś apuchtinowski student uniwersy-  
tetu cesarskiego w Warszawie, entuzjazmował się  
działami i artykułami Aleksandra Świętochowskiego,  
Posła Prawdy z epoki, gdy jeszcze posłów nie było,  
a prawdę trzeba było bardzo zżęcznie przemycać .

Baron opodatkował się dobrowolnie na cele, pro-  
pagowane przez Posła Prawdy. Pieniądze odsyłał  
przez syna, którego w ten sposób zbliżył do zadań  
i zainteresowań Świętochowskiego. Ten ostatni prze-  
znaczał pieniądze na załatwienie wielkiego długu, dotąd  
w odrodzonej Ojczyźnie niespłaconego, a mianowicie  
na oświatę ludu.

Któregoś dnia Koduś Nesesser upoważniony za-  
prosił Glorjana do filozofa, który o Glorjanie słyszał  
i rad był poznać, jak się wyraził, japońskiego Wallen-  
roda robotniczego pochodzenia.

Zastali starca przy lekturze.

Aleksander Świętochowski miał już osiemdziesiąt  
kilka lat.

Jego spojrzenie ze stalowego stało się jakgdyby  
zamglone, a rzucane pożegnalnie słowa, przestały  
brzmieć, jak nakaz.

Glorjan podziwiał białą głowę brodatego nauczy-  
ciela. Wkrótce zaczął słuchać.

— Proszę panów, (Świętochowski mówił już bar-  
dzo powoli), nigdy mi się nie zdarzyło być w Paryżu  
i klęczeć, jak Towiański, na stopniach ołtarza w Nô-  
tre Dame, ażeby potem oznajmić społeczeństwu, że  
zaczynają się oto nowe dzieje....

Za moich lat męskich mawiała młodzież, znająca  
mnie, że mam wygląd proroka, (wybaczcie panowie

staremu człowiekowi tę kokieterję), ale nigdy nie dałem się tej młodzieży ukostiumować.

Moje myśli nie miały w sobie nigdy nic koczowniczego, dlatego może czyniłem tu z Warszawy wycieczki myślowe znacznie dalsze, niż przed ołtarze Nôtre Dame, albo do Konstantynopola...

Było mi trudniej pracować, niż Mickiewiczowi, niż Towiańskiemu. Nigdybym nie miał nic do powiedzenia Skrzyneckiemu na żadnym z pobojowisk ponapoleońskich. Kostium Skrzyneckiego nie mówiłby mi nic, a sam Skrzynecki jeszcze mniej.

Nie umiałbym poprostu porozumieć się z mężem pani Skrzyneckiej.

A jednak robiono to na emigracji, robi się to do dziś dnia w Warszawie, która, — pożał się Boże, — wieleż to razy czyni wrażenie gminy emigranckiej...

Glorjan sam nie spostrzegł, kiedy przestał widzieć mleczno - białą głowę staruszka, natomiast uznał wewnętrznie, że jest zaciekawiony, że musi słuchać.

— Proszę panów, udało mi się przez zbyt może długie życie bardzo dużo zobaczyć i poznać.

My europejczycy, zeżarliśmy Europę żołądkowo i myślowo....

Owszem istnieje na wschodzie przeszło sto milionów istot ludzkich, które jeszcze nie jadły i nie myślały.

To Moskale.

Przeraża mnie ten ogrom głodu i ciemnoty, ale i zaciekawia..

Dekabryści czasu Mikołaja I-go, późniejsi socjalrewolucjoniści czasu Stołypina, odeszli na emigrację, a tym pozostałym kolosem ciemnoty administruje bolszewicki inteligent.

Sami Rosjanie nazywali swoich inteligentów, „wojującymi mnichami nihilistycznej religii ziemskiego szczęścia”. Niejaki Kiryłow u Dostojewskiego nazywa siebie „gentilhomme, seminariste russe et citoyen du monde civilisé”...

Rosyjskie „precz” urabiało się nie pod piramidami, nie u ołtarza w Nôtre Dame, lecz w domu, pod nałajką, maczaną w słabej wódce. Ale też ci ludzie wychowali się w domu na władców, stali się władcami pozytywnymi...

Zastanawia panów ten wyraz „pozytywny”. Przyznam się, że ja sam, uznany za twórcę polskiego pozytywizmu, używałem go bardzo rzadko.

Czem jest pozytywizm i na co on się może przydać?

Pozytywizm jest filozofią czynu.

Poza Iljadą i Odyseą żaden system, żadna księga nie jest w swej istocie ideologią czynu.

Materjalizm nowoczesny jest zagwożdżeniem czynu i zbudował jedynie stacje odbiorcze grzecznych, lub niegrzecznych drgań społecznych.

Jeżeli socjalizm chce się odrodzić, i z emigranckiego, z koczującego stać się organizacyjnym, musi się przyznać bez zastrzeżeń do pozytywizmu.

Czemże on jest, czego uczy?

Pozytywizm oducza pokazywania palcem na to, co się koło nas odbywa.

Nie pokazujemy palcem!

(Glorjanowi przypomniała się znowu matka i japoński admirał, ale nie uśmiechnął się tym razem).

Świętochowski wywodził tak:

Czem jest czyn?

Czyn jest przejściem ze stanu dawnego do jutrzejszego. Ba, używam zbyt długoterminowych wyrazów: dawny, jutrzejszy... To za długie wyrazy dla



oznaczenia czynu. Bo proszę zważyć: pociąg najszybszy jest natychmiast zbyt powolnym, a myśl, olśniewająca nowością, tejże chwili powszedniejsze...

Wszystko, co w dziejach powraca, nie powraca w tej samej formie.

Japończycy z bohaterów portu Arthura — stali się obecnie zaborcami, rozumnymi, ale zaborcami (Glorjan zadrżał). Nasi polscy socjal-demosołdaci, czy demokraci próbowali dowodzić, że, materjalistycznie rzecz biorąc, rozwój dziejów, to przedstawianie kukiełek na tej samej scenie. Ani na tej samej scenie, ani tych samych. Pozytywny czyn nie istnieje, nie ma czasu istnieć i dlatego jest nieustannie pożądanym.

Próbował Hegel nazwać to zjawisko imieniem: „Ja“ przez duże jot.

Ta latarnia zawiodła Hegla na bezdroża, a uczniów na trony.

Najmocniej, najprościej skapitalizował czyn Chrystus, największy bankier czynu, który amortyzujemy do dziś dnia i może na wieki, wieków.

Dlatego też na moje stare, bardzo stare lata, panowie, używając towarzyskiego żargonu, powracam do Chrystusa, jako do pozytywisty.

Trzeciego dnia zmartwychwstał.

Nie znam i nikt nie pokaże bardziej pozytywnego rozstrzygnięcia, jak „trzeciego dnia zmartwychwstać“.

W trzy dni Chrystus — po Chrystusie.

Oto pozytyw czynu, oto rozdarcie zasłony. Nie mająca granic i kresu wypłacalność!

Ludzie biedzą się nad tem, kiedy socjalizm się ucieleśni. Biedni realiści! Niech tylko socjalizm trzeciego, a choćby czwartego dnia zmartwychwstaje. Oto ujęcie pozytywne!

Oto Bank Chrystusa i zarazem pozytyw rzeczy i zdarzeń!

Ale nie materjalizm! Materjalizm — to trwanie a pozytywizm to — czyn!

Wracając do Rossji, zobaczymy zaraz, jak trudno jest pokazywać palcem. Bolszewicka Rossja stanęła pod znakiem władzy. Czyjej władzy? Pokażmy ją palcem. Czy to władza przestrzeni? Nie. Czy władza ciemnoty? Chyba nie. Czy to władza Lenina, a po nim Stalina? I to także nie. Cóż więc stanowi tę władzę? Może różnica między Rossją a Europą?

A co będzie, panowie, jeżeli za lat dziesięć kapitalistyczna (tak!!) Rossja będzie szlakiem Aleksandra 1-go uspokajała zbolszewiczałą (tak!!) Europę?

Nie daj, Boże! prawda? Tak jest, nie daj, Boże!

Nie chcę panów przestraszać, ani kołysać słowami.

Proszę mi darować to, co teraz powiem, ale zdarzyło się, że ani ja, ani Mickiewicz nie byliśmy powstańcami czynnymi. O Mickiewiczu nie będę mówił, gdyż on tego nie potrzebuje, ale o sobie powiem, że moja praca „O powstaniu praw moralnych” była pisana w ogniu powstańczych zamierzeń nie mniejszych od „Dziadów”. Nie chodzi mi o artyzm i o wizjonerstwo. Mój Boże, tyle jest materiału twórczego i tyle różnorodnych dotknięć, czy ugniatań tego samego materiału, że miejsca nie zabraknie dla nikogo.

Otóż, panowie, nie pójdę do Rossji po ntc, ale musimy mieć na uwadze, że gdy Europa jest przeżarta Rossja jest głodna. Zwyczajny fizyczny głód! Pozytywnie ten głód nie ma początku, ani końca.

Co się z niego wyłoni?

Co w tym głodzie zatopiono, jak w oceanie?

Gdzie nurków opuścić na dno, ażeby to coś wydobyli?

Pan Struwe, niegdyś „eser“, obecnie rosyjski narodowy demokrat na emigracji, powie do Stalina:  
— Dlaczego nie doskonalisz się duchowo?

A na to Stalin:

— Właśnie puszczam w ruch traktory i traktaty o nieagresji, a zarazem traktuję o sprzedaż lasu. Resztę pozostawiam duchowi. Już nawet jesteśmy, panie Struwe, na dobrej drodze, bowiem prawie nic nie jemy.

Glorjan położył sobie dłoń na czole. Świętochowski dostrzegł to i mówił:

— Nie pójdę po nic do tych odwróconych Japończyków, Rossjan, którzy zamienili siekierkę cara na kijek Stalina. Oni nas przed niczem i przed nikim nie obronią. Ta wielka, ogromna gęba głodu zamknie się z łoskotem na własnej łyżce. Ale i Polska musi swój głód własną łyżką ukoić.

A głód jest mocarzem!

Do oceny rosyjskiego głodu wiedzie jedynie teoria pozytywizmu, gdyż ona jest nauką nakazu.

Chrystus umiał rozmnożyć chleb, ale nie wiedziało w zaślepieniu materialistycznym, że On, ten Chrystus, potrafi i głód rozmnożyć.

I oto chleb i głód chodzą po świecie różnymi drogami, jak dwie przypowieści w różne dni mówione.

Przerywając tok filozoficznych rozważań, musimy dojść do wniosku praktycznego:

Naśladujmy Rossję!

Jedźmy mniej!

Innego sposobu nie widzę narazie. Zrobicie mi zarzut, że proponuję, ażeby śmierć kołysała dzieci. Nie proponuję tego bynajmniej, ale chcę panom dalej wyjaśnić istotę pozytywizmu.

Jednym ze sposobów nauczania było w starożytności, a i później tak zwane zastępowanie drogi bliź-

niemu i namawianie go, ażeby za nami poszedł. Tak uczynił Sokrates z Alcybiadesem, Chrystus z Pawłem, Lassalle z rzeszą nadreńską, a może i z Bismarckiem.

Ale to byli ci, którzy zastępowali drogę wątpiącym, lub nieszczęśliwym biedakom.

Był jednak ktoś, kto zastąpił drogę potentatowi nielada, jakim był Napoleon I-szy. Tym człowiekiem był filozof pozytywista, Auguste Comte. Był inżynierem. Robił obliczenia irygacyjne Nilu, które Napoleon studjował dopiero na wyspie św. Heleny.

Odtracono go. Napoleon nie miał czasu na Augusta Comte'a.

I mnie spotkało to samo w niepodległej ojczyźnie.

Przez całe życie głosiłem bunt przeciwko przemocy i ciemnocie, tym insygniom wewnętrznym caratu.

Największe imponderabile — to zajrzeć w oczy despotyzmowi i poskromić go.

Tego potrzebują władcy narówni z berłem i mieczem.

Pozytywizm widzi we władzy koronę istnienia i zdobi tę koronę wiedzą.

Jak węże, pobudzone dźwiękiem surmy Napoleońskiej, podniosły narody głowy ku zrównaniu swych praw.

Polska miała inżyniera Kościuszkę, który nie dał carowi targnąć się na młody konwent republiki francuskiej, ale Polska dla siebie, na swój użytek i „pro salute propria“ nie miała myśliciela władcy.

Dostała go Polska później. Dostała — mnie. Mówię to do was, przytomny, pełny jeszcze sprawności myślenia.

Jestem, jak był Comte, pominięty przez twórcę państwa polskiego, Józefa Piłsudskiego, ale nie mniej przez całe życie słałem mu drogę.

Nazywali mnie ostatnio endekiem. Nigdy nie by-

łem endekiem i dlatego mogę uważać siebie za poprzednika Piłsudskiego.

Groził nam zalew Normanów wschodu, Moskali. Byłem jednym z ostatnich wodzów obrony czynnej, wewnętrznej, skłaniającej myśl polską ku Zachodowi.

Prus bezwiednie był pozytywistą narówni ze mną. Nie obliczaliśmy siły nośnej Wołgi, lecz Wisły..

Byliśmy Brutusami, dla których nie było chwili odpoczynku w Atenach.

To wam oznajmiam, panowie, nie dla chwały, ani nawet podziwu, lecz dla prawdy.

Starzec przeciągnął dłonią po białej brodzie i przymknął oczy.

Nesesser szybko złożył na stole kopertę. Czujny gospodarz spostrzegł ten ruch.

— Znowu haracz?

Zwrócił się do Glorjana:

— Ojciec pana Nesessera opodatkował się na szkoły ludowe.

Książę Monaco opodatkował świat na poszukiwania tajemnic dna oceanu, oczywiście, poza sutą dywidendą od hazardu. Ja bez dywidendy korzystam z dobrej woli niektórych znajomych, których opodatkowałem w celu oświecenia dna duszy chłopskiej. Wszystkie drogi prowadzą do tego celu. Moje święto rozumu, w mojem wykonaniu obywa się bez gilotyny.

Mam wrażenie, że jestem totalizatorem. Oho, aż 3 tysiące?... Dziękuję... Wracając do praw moralnych, czy panowie przypuszczacie, że Polskę odrodzoną możnaby umoralnić tak odrazu w ciągu 15 lat, gdybyśmy tego nie czynili w niewoli?

Jest u Kanta bajeczne zestawienie, gdzie ten filozof parafrazuje przykazanie: „Kochaj Boga nade wszystko, a bliźniego, jak siebie samego” i proponuje



takie brzmienie: „Kochaj siebie ponad wszystko, ale Boga i sąsiadów według swej woli.”

Z tem przykazaniem było dużo kłopotu: czy egipcjanin jest bliźnim?

Czy Fenicki kupiec jest bliźnim?

Wiedziano już, że Jowisz, Atena i Wenus nie są bogami, gdyż święty Paweł Apostoł nazwał w Atenach wszystkie świątynie wraz z Partenonem pogańskimi, a posągi klasyczne — bałwanami. Ale bliźniego trzeba było określić. Czy żyd, czy Niemiec, czy Rosjanin jest bliźnim?

Pięćdziesiąt lat temu ogłosiłem manifest w trzech powiastkach: Chawa, Rabin (żydówka), Carl Krug (Niemiec) i Damian Capenko (moskal), że to są bliźni.

Z Jowiszem i z Ateną już nie miałem tego kłopotu, co św. Paweł, ale z tymi bliźnimi trzeba było sprawę określić wyraźnie.

To były 3 akty o nieagresji w Polsce, jeszcze ujarzmionej.

Zresztą i w przykazaniu, i u Kanta bliźni jest określony, jako „der Nächste”, czyli ktoś z rodziny, z rodu, czy z plemienia, ktoś bliski. Kochaj bliźniego... tak...

Jest to pozytyw klanu, rodu, ale nie narodu.

A skoro naród musi już kochać inne narody, to skąd się wziął najazd Normanów na Anglię, a Normanów japońskich na Koreę?

Dzisiejsze przykazanie nazywa się „nieagresją”.

Sto lat temu nazywano je: przymierzem. Japończycy kochają przodków więcej, niż samych siebie, a od wszystkich biorą, co się da.

Jestem, panowie, pominięty przez Wodza narodu polskiego, Józefa Piłsudskiego.

Zostałem uderzony, ja, obiektyw logiki i prawdy przez pozytyw polskiego czynu, o którym całe życie marzyłem.

Pan, panie Glorjan (pięknie się pan nazywa), był emisariuszem Piłsudskiego do Japonji w roku 1905. Ile pan ma lat?

— Czterdzieści.

— Miał pan lat czternaście... Admirał N., jak słyszałem, powierzył panu intymne funkcje, czy tak?

— Tak jest.

— Czy admirał liczył na pańską nienawiść do rossjan?

— Do Rossji. Zresztą znałem język rosyjski. To wykorzystano.

— Należałeś pan do tajemnicy zwycięstwa. W każdym zwycięstwie jest Chrystus jako pozytyw. Przekupił Judasza...

— Chrystus!? — zawołał Glorjan.

— A któż? Zezwolił, panie. To jest właśnie tajemnica zwycięstwa! Inaczej z ludźmi nie mógł postąpić nawet Bóg...

— Nie rozumiem....

— Nie rozumiesz? a naśladowałeś Chrystusa w porcie Arthura, przekupując Moskala. Chrystus założył cudowny bank, który wypuszcza akcje dla zdrajców, żeby świat ratować. Każdy pokój jest kupiony. ażeby ludzkość mogła się przygotować do następnej walki o zawsze tę samą prawdę.

Chrystus, zostawszy człowiekiem, uprawiał ludzką miłość, czyli kantowską „praktische Liebe” (wskażał palcem) o, ma ją pan tutaj.

Praktyczna miłość ze srebrnikami, z dolarami, z funtami i z łutem szczęścia.

Może panów męczę? — zapytał prawie dziewięćdziesięcioletni starzec.

Milczeli.

Glorjan czuł w czaszce starca gniazdo bezkresnych myśli, ogarniających ludzkość.

Nagle Świętochowski przerwał:

— Podobnie jak Kant, nigdy nie opuszczałem Warszawy. Studjów uniwersyteckich i parokrotnych wycieczek kuracyjnych nie liczę, a mam tę wyższość nad Augustem Comte'em, że nigdy nie byłem i już nie będę warjatem.

Ale podobnie jak Comte, który proponował obalić kolumnę Vendôme z posągiem Napoleona, trzymałem całe życie w ręku powróż uwiązany u szyi przemocy.

Wstał.

— Doszedłem do wniosku, że tam w Belwederze przeszkadzałbym, ale mam prawo i muszę przeszkadzać — pomagać stąd, a nawet wkrótce — z grobu.

Takie jest prawo praktycznej miłości polskiego pozytywisty w Polsce odrodzonej, panowie. Jest to wyścig nietylko mózgów, ale i serc.

Z tą miłością w duszy dostałeś się pan, panie Glorjan, roku pańskiego 1905-go do Portu Arthura.

W przebraniu gejszy (musiałeś być pięknym chłopcem) przemykając się pod gałęziami klonu, chlastany przez sosnowe gałęzie, złożyłeś w łapę Judasza srebrniki Chrystusa.

Skoro mówimy o Japonji, to macie panowie przed sobą starego Japończyka. Tak jest. Ja i moi współcześni po powstaniu 1863-go r. dopędziliśmy Europę nie dla samochwalstwa i nie przez próżność, lecz żeby polski chłop przestał modlić się do cara za otrzymaną ziemię. Na folblutach, wyhodowanych w buksach myśli postępowej Europy, gnaliśmy za chłopską szkapą.

Po koleinach piaszczystej drogi dzwignaliśmy prze-  
ważnie pod górę.

Japoński wyścig pracy!

Nie byłem i już nie będę socjalistą, ale w latach  
najcięższej niewoli szerzyłem prawdy socjologiczne,  
bulwarowałem Polskę, jak Comte — Francję.

Gdyby nie ten wyścig, endecja rządziłaby Polską  
Odrodzoną. Nie dopuściliśmy do tego.

Mieliśmy iście japońską cierpliwość i wytrzy-  
małość w tępieniu polskiej ciemnoty.

Niech pan mnie odwiedzi, panie Glorjan, opowie  
mi pan swoje przygody.

Wielkość ideowej zasługi poprzedniego pokole-  
nia zajaśniała przed Glorjanem w całej pełni. Ta po-  
przednia ideowość ustrzegła nas przed papierowymi  
podeszwami dla pierwszych żołnierzy polskich. Ucz-  
niowie pozytywizmu nie umieli zdradzać.

Leader partji rewolucyjnej przywitał Glorjana  
w Sejmie mniej więcej w ten sposób:

— Jak się macie, kochani, tylko nie strzelajcie  
tu na sali.

— A gdzie? spytał Glorjan.

— Nigdzie, kochani. Nie ironizujcie. Zapiszcie  
się do związku zawodowego, albo wstąpcie do nasze-  
go ministerstwa Pracy.

— Dlaczego do naszego? A które ministerstwa  
są nie nasze?

Dzwonek, wzywający na posiedzenie, uwolnił  
leadera od kłopotliwej odpowiedzi.

Natknął się również i na wodza endecji.

— Cóż, wynagrodzili pana, panie Glorjan? spytał  
mrużąc oczy.

— Owszem, otrzymałem moskiewskie wydanie  
„Myśli Polaka“.

— Nie znam takiego wydawnictwa.

— Bo nikt nie zna siebie samego.

W tej chwili minął mówiących marszałek pierwszego Sejmu. W oczach miał zmęczenie po sławie oręża polskiego, a w brzuchu oręż na nowe zmęczenie. Gdy ten transport mięsa znikł na zakręcie, Glorjan odetchnął, gdyż równocześnie ulotnił się endecki wódz.

Glorjana umieszczono prowizorycznie w jakimś biurze weryfikacyjnym.

Weryfikacja jest to jedna ze służ do zatrzymywania ludzi przy wejściu.

Włosy stawały Glorjanowi dęba, gdy odczytywał samochwalcze opisy dokonanych czynów. Gdyby część tych czynów była prawdziwa, to Anglja powinna przyjść na klęczkach i prosić nas już tylko o zostawienie jej na własność dżungli Kiplinga.

Bezczelność tych sar - (ko) - matów odrodzonej Ojczyzny — czuł to odrazu Glorjan — będzie wymagała, jak pola buraczane, wielkiej ilości przerywaczy.

Nie było dnia, żeby go nie odwiedził jakiś upoważniony widocznie komentator myśli i czynów Piłsudskiego.

— Panie Glorjan, wszyscy stoimy przy Nim.

— Stałem przy nim, gdy pańscy rodzice naradzali się, czy pan ma być brunetem, czy blondynem.

— Tamto, panie Glorjan, nie liczy się.

— A co się liczy, chciałbym i to wiedzieć?

Oczywiście, posadę porzucił.

Wkrótce też podzielił urzędników na dwie kategorie. Jedna, liczna, to biedacy, którzy głośno chrząkają, i jeszcze głośniejszą kaszlą, ażeby odstraszyć dymisję, albo przeniesienie z Poznania do Lublina. Druga grupa, to odprowadzające rewolucji do stajni.



Niektórzy z tych stajennych wmawiają tłumowi, że prowadzą rewolucję do ogiera, ale nikt w to nie wierzy od czasu, gdy „Robotnik” stajnię zwinął.

Bezrobotni dojeżdżacze porewolucyjni odbyli Anabazis i Katabazis według zasad, które zostawił potomnym Ksenofont i saksofon.

Tworzą Synadrjon, jako synowie „Adrji”.

Glorjan zdobył, tułając się po świecie, spory fundusik, który powstał z licznych nagród sportowych. Nie zdając sobie sprawy z tego co czyni, zaufał jednemu z tych panów, który zajął się umieszczeniem jego kapitału w akcjach.

Gdy w ślad za Teresą udał się do Nicei, otrzymał w hotelu niemiłą wiadomość, że jego kapitał w całości został wyczerpany przez ostatnią rekonstrukcję i racjonalizację przemysłu metalowego, czyli że Glorjan, mówiąc językiem wydatków, pozostał nagle bez możliwości przedsięwzięcia takowych.

## VII.

### KSIĄDZ FILISTER.

Ksiądz Wdowiec na stare lata został przyjęty, jako filister, do grona korporacji: Varsovia.

Chłopców cieszyło, gdy razem z nimi „sympatyczny klecha” śpiewał: Gaudeamus.

— To jest u nas przyjęte, jako stary zwyczaj — uprzedził go wprowadzający student.

— Nie porzucajcie tej pieśni — poradził Wdowiec.

Nalewano mu wódkę i piwo, których nie ruszał, mając na uwadze inny codzienny kielich.

Do „Varsovi” należał również, Nikodem Nesesser. Młodzieniec ten, nie zmieniając nazwiska, przyjął chrzest dla łatwiejszego, jak mówił, porozumienia się z polakami. Wkrótce za jego przykładem poszedł ojciec, Samuel, dla łatwiejszego porozumienia się z synem, którego ubóstwiał.

Bronił się do ostatka.

— Niepodległość nie wymaga chrztu... Mój ojciec bez chrztu był w lesie z powstańcami... No ale trudno, w braku powstania — niech będzie chrzest.

Po chrzcie podczas toastu rzekł stary do księdza Wdowca:

— Ten szampan pieni się, że go pije taki młody katolik.

Staremu dano imię Bronisław.

— Jako Samuel, byłem sędzią rodu, teraz, jako Bronisław, będę bronił sławy Nesesserów, byleście mi nie kazali zmienić „Nesessera” na — „Potrzebnicki”, chociaż przy tym kryzysie — wszystko możliwe.

Pani Róża Nesesserowa, z domu Donauwetter, wzięła chrzest w katedrze i posłała do skarbcza Jasnogórskiego piękną kolję brylantową. Nesesser skomentował to biblijnie:

— Przystanie w domu leżyć kamień na kamieniu.

Młody Nesesser pokochał księdza Wdowca, nie narzucając mu się zresztą.

— Wolę pańską tajemnicę od naszej — wynurzył się przed księdzem.

— Jaką tajemnicę? nie mam żadnej....

— Ja tak czuję, proszę księdza filistra. Pańska tajemnica łatwiejsza, pan ją ma przy sobie na codzień, a po tę moją to trzeba było księgi otwierać, albo iść na Tłomackie.

— Nie należy pogardzać...

— Ależ nie mam pogardy, tylko przedtem lękałem się, a teraz kocham...

— I dziś i przedtem lękałem się i lękam jedynie bankructwa — ocenił sytuację Nesesser ojciec.

— No, ojcu chodzi o pieniądze. Ja pieniędzy nie miałem, nie mam i nie będę miał...

— Słyszysz ksiądz? A moje pieniądze, to czyje?

— W każdym razie — nie moje, proszę ojca.

— Słyszysz ksiądz? to jest nawet nie po katolicku... Jego matka, a moja żona, tak samo mówi, ale przynajmniej wydaje, ile wlezie, a ten nic nie chce...

— To przyjdzie z czasem — pocieszał ubawiony Wdowiec.

— Byle nie zapóźno. Żona przynajmniej puszcza w ruch, jeszcze jak, ale mój syn to nawet nie zna się na pieniądzach... Dziwne pokolenie ... Ten mój syn, to jest pieniężny ateista, a mógłby, gdyby chciał, zostać gladjatorem...

„Gladjator“ był ulubionem wyrażeniem barona Nesessera. Mussolini był gladjatorem. Nazywał tak innych działaczy współczesnych, tylko Hitlera przeważał, przymrużając oko, „Myszygeneta“, albo zwajrowany dzieciół.

— Dlaczego dzieciół? pytano.

— Bo kuje ojczyznę w serce...

Oczywiście nie obyło się bez narad co do losu zubożniałego na pieniądze syna. Przy księdzu ojciec czuł się widocznie śmieiej.

— Weź się do czego... tyle jest pięknych fachów...

— Otóż to, proszę ojca, same fachy. Ludzie się chrzczą, a pojęcia zostały nieochrzczone.

Fach, fach... przypomina mi to: „einfach“... Już wolę: zajęcie...

— A ja nie, bo zajęcie przypomina — komornika. Wiesz co, Koduś, boję się, żebyś nie został niczem... Już taki jeden był, ten, co to wywołał wojnę światową...

— Kto taki? padły dwa pytania syna i księdza.

— No, ten filozof, Nietzsche... Chcesz być — niczem?

Wśród śmiechu ojciec Nesesser niezrażony dowodził:

— Nie czytałem tego pana, ale zato Róża powtarzała mi całe stronice... Uebermensch, coś więcej od człowieka, czyli — pruski żołdat.

Wilhelm widocznie go czytał, o ile to cesarzowi wypadało, no i doczytał się. Hitler także się doczyta...

Pomnik Nitzsche'go powinien stać przed każdą giełdą.

— Pan to mówi? — zawołał szczerze zdziwony Wdowiec.

— Ja to mówię, ja! Panowie, chociaż jeden jest księdzem, a drugi — niczem —, panowie nie wiecie, i dobrze, że nie wiecie, co giełda potrafi...

Z pieniądza zrobiono świętość i ksiądz na to pozwolił?

— Robię, co mogę: nic nie posiadam.

— Otóż to, może dlatego giełda posiada wszystko?...

— Bardzo możliwe... ale skąd pan?...

— Właśnie, że ja, a któż ma to wiedzieć, jeżeli nie ja?... Więc, drogi Kodusiu, weź się do jakiej pracy... Dobrze wyrażenie? Praca: bez pracy nie ma kołaczy...

— A z pracą człowiek się kołacze...

Stary Nesesser zgniótł cygaro i, patrząc na księdza, szepnął:

— Kryzys jest nie w kieszeni, tylko w gębie, a do gęby idzie z duszy, czy jak tam...

Pogarda dla pracy i u tych, co pracują i u tych, co mogą nie pracować... Zepsute pojęcia, zepsute słowa nie mogą dać dochodu...

— Poprawimy się, odnowimy się...

— Czy warto odnawiać cmentarz, czyli ochrzczony kirkut?...

— Zbyt wiele pesymizmu...

— Nawet nie wiem, co to pesymizm! Powtarzam, ale osobiście nie wiem... Optymizm, to jeszcze łatwiej pojmuje, bo mi przypomina optyka z lornetką, ale pesymizm, pesymista? Nie wiem, co trzeba nosić, żeby być pesymistą. Jestem z natury wesoły, może dlatego mi smutno...



Koduś, pociesz mnie...

— Proszę mi dać trochę czasu...

— Wolałbym, żebyś o trochę pieniędzy poprosił...

— Poprosimy i o to — uspokoił bankiera Wdowiec.

— Razem prosicie? A gdzież on z księdzem pójdzie? Do kościoła?...

— Nie obrażaj, ojcze!...

— Nie czuję się obrażonym, panie Nikodemie... Jestem bardzo rad, że ta rozmowa odbyła się przy ranie. Pozwoli pan, panie Bronisławie, że wprowadzę syna do towarzystwa...

— Owszem, owszem, tylko czy on pozwoli?

— Porozumiemy się... Panie Nikodemie, jutro urządzam u siebie pogadankę przy herbacie.

Przysłałbym wina na tę pogadankę... zauważył Nesesser ojciec.

— Ach, ojcze, cóż znowu?...

— Nie można po całych dniach myśleć, — popijcie trochę... Kochanowski popijał, Rzymianie popijali, nawet Noe popijał, chociaż nie był chrzczony. Wina nie zabraknie, a myśli bez pracy mogą się wy-czerpać...

— Będzie i wino. Jako filister, chcę moich młodych przyjaciół ugościć.

— Zaniesiesz koledze księdzu kilka butelek me-go reńskiego...

— Nic nie zaniosę, proszę ojca!

— A ja przyjmuję na szczęście... Kodeksie, wierz mi, reformować należy siebie przedewszystkiem.

Parterowe mieszkanie Wdowca wychodziło na stary ogród. Miał cztery pokoje, z tych gabinet z dużą biblioteką. Składała się ona ze wspaniałego zapisu przyjaciela, księcia Dominika Roburta. W te-

stamencie było dopisane ręką zmarłego: „niech to ktoś wreszcie chociaż raz przeczyta”.

Z biblioteki tej, dopełnianej przez Wdowca, mógł korzystać teolog, socjalista, anarchista, każdy, gdyż właściciel grupował książki na tematy, które go swego czasu interesowały. Wdowiec miał w pokoju wysoki klęcznik. Rozkładał na górnym pulpicie książkę i czytywał, stojąc.

— Gdy siadam, zdaje mi się, że mam głowę niżej niż rozum.

Wdowiec grał pięknie na fortepianie, ale zamykał wtedy okna, niechcąc się nikomu z sąsiadów narzucać.

Nikodem Nesesser zastał księdza czytającego Myśli Leonarda da Vinci.

— Przynoszę wino na znak, że nigdy nie przestaniemy — ja i mój ojciec — być żydami.

— Nie unoś się, chłopcze,... a przytem — mylisz się... masz bardzo dobrego ojca, który cię ubóstwia.

— Nie przestając być żydem...

— Kodeksie, nie unoś się, powtarzam. Posłuchaj, co mówi Leonardo: „...„widziałem we Florencji głuchego, który nie rozumiał głośnej mowy, ale chwycił każde słowo, gdy je mówiły twoje wargi bezgłośnie... wystarczył mu ruch ust”. Przekonuj ludzi, jak gdyby byli głusi... może wtedy... może wówczas...

— Może wówczas zapomną, że jestem żydem? W Polsce?... nigdy!

Ksiądz położył mu rękę na ramieniu i zaczął poruszać ustami...

— Co ksiądz mówi?

— Nie wiesz?

— Nie wiem, nie jestem Leonardem...

— Mówię: dziękuję młodemu chrześcijaninowi za stare wino. A przy tem posłuchaj, przyjacielu:

tylko dzikus może być antysemitą... Ludzi należy poznawać i kochać, należy ich poznawać przez miłość...

— Nie umiem się łączyć. Gdy widzę na estradach i na scenach żydów, łąszących się przed publicznością polską, albo gdy słyszę, jak wyśmiewają swe żydostwo dla zyskania oklasków, wściekłość mnie ogarnia.

— A nie litość?

— Nie mam wtedy czasu na te dwie rzeczy naraz.

— Bo nie umiesz jeszcze szeptać wargami, nic nie mówiąc... Chcesz, nauczę cię...

Korporanci zaczęli się schodzić. Meldował ich stary Konstanty, niegdyś kamerdyner Roburta, który zabrał też kosz z winem Nesessera.

— Dobry trunek — szepnął, zaledwie dojrzał etykiety.

— Widzisz, nie krzyczy, a poznał się...

— To co innego...

— Nauczę cię tego...

— Czego? lokajstwa?

— Nie: władzy... nad sobą i nad innymi... rozumiesz?...

Kodusz spojrział znacznie pokorniej na gospodarza.

Po powitaniu usadowiono się na wygodnych meblach. Młodzież oglądała księży pokój ze specjalną ciekawością. Książdz tego nie widział.

— Czy nie za ciemno?

— Nie, nie, bardzo miłe światło...

— Jak w kościele — odezwał się student — komik.

— Sztufada, tu nie kuchnia! — uspokojono go.

— Będzie i coś z kuchni, ale potem. A teraz, moi panowie, proszę się czuć zupełnie cywilnie. Konfesjonału tu nie ma. Wypowiadam się przed wami ja z tego co myślę, z tego co obiecałem opracować

dla was. Musimy zgoła po świecku uczynić przegląd myśli polskiej. Skoro mówię o myśli polskiej, chcę mieć na uwadze myśl wogóle. Zdawałoby się, że w dobie szalejącego, jak mówią, kryzysu, nie czas na rozmyślania. Mnie się jednak wydaje, że właśnie dziś pękają tamy, które myśl krępowały, że ruina powszechna upoważnia myśl twórczą do szybkiego uprzątnięcia poboju świata.

— Dobrze gada — mruknął Sztufada, ale usłyszał szept przy uchu:

— Zapaść głowę...

— Ksiądz stał za wysokim pulpitem i tak daleko mówił, patrząc w oczy Kodusiowi.

— Dzisiejszą ludzkość możnaby przyłapać na czemś, co nazwałbym bigamją. Poślubiła ta ludzkość pewne prawdy, jako to: miłość bliźniego, pracę, piękno i tym podobne. Po wojnie światowej uderzyła na front ludzki nieposkromiona fala kryzysu. Przybór energii wojennej wznosił falę, która z okopów idzie na ogniska domowe straszniejsza, niż wojna. Zdziwiała ona swym ogromem nawet byłych żołnierzy. Ma owa fala właściwości gazów trujących. Wszędzie przenika. I oto pod wpływem tego zjawiska ludzkość wznawia stare śluby ze starymi prawdami: z miłością bliźniego, z pracą, z pięknem. Czy to nie bigamja? A jednak rad ją witam i rad udzielę powtórnego ślubu. Powieście sobie, że zacofany ksiądz czyni z sutanny parasol przed deszczem z kryzysowego Wezuwiusza. Nie lekajcie się mnie. Jestem filistrem waszej korporacji. Nie ja was przyjąłem, lecz wy mnie. Podczas dyskusji będziecie sobie mogli pozwolić na dowolną argumentację. Mam całe ściany zastawione odpowiedziami na najśmielsze wasze zapytania. Będziecie pytali o wszystko z młodzieńczą odwagą. Proszę

o to. Ale przedtem nieco pofilozofuję. Uczynię to, jak umiem. Zaatakujecie mnie.

Wdowiec podgarnął wążką białą ręką szpakowatą czuprynę i obiegił oczami młode głowy gości.

— Jedyne człowiek powiedział o sobie, że będzie się doskonalił, co więcej, że udoskonali swoje otoczenie.

Węgiel tego o sobie nie powiedział.

Człowiek spotkał węgiel już gotowy i postanowił go używać dla swoich celów.

Pożytek pochodzi od człowieka, nie od węgla.

Węgiel można palić, wówczas daje on ciepło.

Ale można węgiel sprzedawać, wtedy daje on zysk.

Bardzo ciekaw jestem, kto, kiedy i komu sprzeda kulę ziemską, albo na co ją zamieni?

Nie jest pewne, czy węgiel formował się po to, żeby go palono. A może tak? Może człowiek podpalacz naśladuje ziemię, która w końcu musi się obrócić w ogień.

Może lokomotywa pędzi coraz prędzej, ażeby nie zostać w tyle, gdy wszystko razem potoczy się w odmet płomienia?

Więc owo wszechogarniające hasło: coraz jaśniej, coraz prędzej! — skończy się we wspólnem ognisku — słońcu?

A ludzie żyją i walczą...

...Od czasu do czasu ktoś przepowiada koniec świata, ale przeważnie śmieją się z niego. To, co przewiduje nauka, nie jest zresztą końcem świata, tylko nowem słońcem, koroną wszystkich poprzednich. Na pociechę ludziom mówi nauka, że ten powszechny stop gazowy nastąpi dopiero za biljony lat. W tem obliczeniu mogą jednak zajść niespodzianki. Nowe świątynie — obserwatorja głoszą coraz nowe



prawdy, których tłum nie zna. Ustawiane są ołtarze w miejscach, skąd najłatwiej obserwować można zaciemnienia słońca. Wkrótce zapomocą drgających fal można będzie chwycić odgłosy z najdalszych gwiazd. A może zwykła nasza mowa dojdzie do krańców nieba, jak dawna modlitwa?

Wreszcie nadejdzie czas, gdy będziemy widziani i słyszani wszędzie.

Rzecz godna uwagi: gospodarka ludzka na ziemi, — tak zwana cywilizacja, trwa nie więcej, powiedzmy, ponad 10 tysięcy lat. Jest to zaledwie drobna chwila w porównaniu z istnieniem ziemi. Można tedy nie bez słuszności powiedzieć, że dopiero „ostatnimi czasy“ ukazał się na ziemi — człowiek, zataczający kręgi dnia i nocy, wpadający z wiosny w zimę i z zimy w wiosnę, prażony ogniem piorunów, ginący w odmętach potopów i pod kłami potworów. Tępi i naśladuje ptactwo, lata ponad ziemią, podkopując się pod łono żywicielki. Jest coraz wspanialszy i coraz okrutniejszy. Jest żywym stopem serca, mózgu i żelaza, ale w stosunku do przeszłości i przyszłości ziemi jest nad wyraz młody, niedoświadczony i lękliwy.

Z wielkiego lęku doszedł do prawa własności. Powiedzcie mi, koledzy, do kogo należy nie poszczególna włość, dom, jezioro — lecz cała ziemia? Czyją ona jest własnością?

— Do Boga! zawołał Koduś Nesesser.

— Świeży katolik! — usłyszano z kąta.

— Ja świeży, a ty — zepsuty! Więc powiedz, do kogo należy cała ziemia?

— Nie wiem, po co ci to? Chcesz kupić?

— Nie chcę kupić, ale wiem — do Boga!

— Ziemia należy do maluczkich! przeczytaj sobie...

— To to samo! — bronił swej tezy Koduś.

Ksiądz Wdowiec nie przerywał. Stawiając pytanie, rozumiał, że wywoła spór na temat: której iść?

Podniósł wreszcie rękę, widząc rozognione oczy:

— Ażeby dać na to odpowiedź należy określić, czym jest posiadanie? Czy to jest to samo, co ciężar, co waga, co przestrzeń? Nie. Posiadanie jest — umową, umową ludzką. Anglja należy do anglików, a poszczególne fermy należą do anglika... Otóż narówni z młodością rodzaju ludzkiego posiadanie jest równie bardzo młode i nierozwinięte, jak sam człowiek.

— Byle się nikt nie wtrącał do spraw ludzkich.

— Jakto — nikt? spytał ksiądz.

— No... żadna przemoc, gwałt...

— Koledzy, przemoc i gwałt — to także umowa.

— Chrystus nie umawiał się — rzucił Koduś.

— Kodusiu, znajdziesz u ewangelisty Łukasza, że rodzice zaprowadzili syna do świątyni, ale innego dnia przedstawili go urzędowi rzymskiemu. Taka była umowa ze świątynią i Rzymem.

— A ukrzyżowanie?

— Ukrzyżowanie — to czyn, moi koledzy.

— Ukrzyżowanie proszę księdza, też było umową między Chrystusem, a Bogiem Ojcem...

— Nie przerywajcie Kodusowi i nie śmiejcie się, albowiem ma on rację: w ludzkim rozumieniu ukrzyżowanie było umową, ale przede wszystkim było — czynem.

— Ofiara! — ktoś wtrącił.

— Ofiarę musi ktoś przyjąć, a tę przyjęliśmy wszyscy! wołał Koduś.

— Ty przyjąłeś niedawno...

— Jesteście głupcy! przestaliście myśleć!...

Koduś chciał opuścić zebranie.

— Zostań, będziesz nam potrzebny—rzekł ksiądz takim głosem, że uspokoił obecnych.—Widzicie, moi mili, macie w mieszkaniach radio, a jednak rozmawialiście przed chwilą, jak rybacy nad morzem Galijskim... Tak, tak, człowiek jest jeszcze bardzo młodym tworem. Człowiek radja jest bezradny, jako rybak nad pustą siecią. Ta pusta sieć dowodzi, że się jej nie umie zanurzyć, albo że się nie wie, gdzie to uczynić należy... Historja tych prób — oto dzieje jakże młodziutkiej ludzkości.

Sieć socjalizmu Marksa patrzy na nas okiem braci Grakchów, a słuchacz Lassalle'a jakże przypomina robotnika u Arystotelesa.

— Dobrze, proszę księdza filistra, ale kogo przypominają żydzi?...

W ten sposób przyjacielska rozmowa utknęła na żydostwie.

Wdowiec nie bał się tej kwestji. Posiadał szkołę myślenia obejmującą wszystkie narody, nawet takie, które mogą powstać w przyszłości. Oprócz Pisma Świętego znał Wdowiec Feuerbacha z jego Heglowskim przenicowaniem żydostwa na chrześcijaństwo. Wiedział dobrze o różnicy zbawienia tu na ziemi, a tam, na tamym świecie. Nabył w szkole łacińskiej owego spokoju przy traktowaniu rzeszy. Zdawał sobie sprawę dokładnie z endeckiego antysemityzmu, wiedział, że to karta znaczone przez carskich Kiszyniowców i kieszeniowców, ale wiedział, że dziś u siebie w domu prowokatorów nie ma.

Raziła go jednakże poufałość kolegów z dopiero co ochrzczonym Kodusiem właśnie na punkcie chrztu. Bezceremonjalność ta była godną skarcenia. Nie był pewny, czy mu się to, jako gospodarzowi, uda, ale zaryzykował.

— Moi mili koledzy i goście, bądźmy w tej dyskusji swobodni, a nawet bezceremonjalni. Korzystając z głosu, przytoczę tu krótki opis pelikana, podany przez Leonarda de Vinci. Pelikan przynosi swemu potomstwu wielką miłość, lecz znajduje pisklęta martwe w gnieździe żmiji. Wówczas zatapia dziób w swem sercu i umiera skąpany we własnej krwi. Każda religja, każde hasło zbiorowe jest pelikanem dla swych wyznawców. Czy chcecie być dla naszego Kodusia gniazdem żmij?

— Znam sposób na żmije! — krzyknął Koduś.

— Nie przerywaj, proszę! Szukamy prawdy...

— Nie chcę szukać, już znalazłem!

— Ale ja chcę i to nie dla ciebie! — zaatakował Wdowiec.

W komnacie ucichło.

Chłopcy rzucili okiem po ścianach pełnych książek i skupili wzrok na księdzu.

— Przejdźmy od ptaków do sztuki. Wiecie, gdzie się znajduje grecka Venus?

— W Rzymie, w Paryżu!...

— Chcę mówić o tej paryskiej. Znalaziono ją w Małej Azji. Nazywa się Venus Milońska. Odkopano ją bez rąk. Bezbronną wniesiono boginię na okręt, przytem odbyła się o nią walka między francuzami i anglikami. Czy gardzicie grekami za to, że pozwolili wywieźć Venus do Paryża? A o Chrystusa walczono, gdy niósł krzyż i znacznie wcześniej, gdy był dziećciem. Mordowano niemowlęta w poszukiwaniu Chrystusa. Czy poważycie się odebrać Chrystusowi mękę urodzenia i mękę śmierci? Kto z was ośmielił się to uczynić? Skąd wiecie, czy tu i tam nie walczono o prawdę i o piękno?

— To jest nawracanie, a miała być dyskusja...

— Pokażcie mi jakąkolwiek uczciwą dyskusję bez nawracania! Czekam!!

— Przy Venus był entuzjazm, a z Chrystusem — ohyda...

— Czyż tak? Więc macie oto drabinę, dwie drabinki... Proszę sięgać po książki. Każdą wam otworzę i pokażę przy każdym entuzjazmie — ohydę! Chcecie? Przy wojnach krzyżowych — ohyda! Przy zniesieniu niewolnictwa — ohyda! Po odkryciu Ameryki — ohyda! No co tam jeszcze? Czy mam dalej wyliczać? Niewiele zostanie dla entuzjazmu...

— Owszem, zostaną zęby, które od jutra zaczną wybijać — zakonkludował nagle Koduś.

— Będzie to dalszy przykład ohydy przy entuzjazmie... szepnął ksiądz wśród ciszy.

Nagle usłyszano szlochanie Kodusia Nesessera. Rozległ się i czyjś śmiech.

Wdowiec skorzystał z tego:

— Oto walczą ze sobą: śmiech i płacz. Dwie perły chorej ostrygi świata, ludzkości... Dwa klejnoty... Przyjaciele, musi gdzieś opodać tkwić prawda, — poprzedzana przez dwa najtrwalsze dokumenty: łzy i radość... Znam żydów, którzy płaczą i śmieją się razem z Polską...

— Czy i bankierzy?

— Nie zazdroście bankierom.

Podano wino.

— Niech żyją obywatele polscy! — wznosił toast Wdowiec.

— Niech żyją!!

Otoczono Kodusia, który stał za biurkiem z postawianymi kieliszkami, jak za szynkwasem.

Śmielszy kolega odezwał się do niego:

— Kodeksie, nie bądź głupi!



Nesesserowi drżały ręce, to też trzymał swój kielich oburącz, żeby wina nie rozlać. Patrzył na kolegów śmiało z poza wzniesionej szklanej czary. Zwolna pił, szcękając zębami o szkło.

— Tylko nie zrób „a mazeltop“...

Kieliszek rzucony nagle rozkrwawił twarz durnia, który tak zażartował.

## VIII.

### DZIAŁALNOŚĆ KODUSIA.

Wieczór spędzony u Wdowca wpłynął decydująco na dalsze losy Kodusia Nesessera. Ułożył on sobie program życia tak dziwny, że aż znalazł echo w prasie.

Przedewszystkiem wobec przyjaciół przeprosił kolegę, którego grzmotnął kieliszkiem.

— Mniejsza o to, zasłużyłem, ale dobrze się stało, że przedtem wypiliśmy wino, bo było dobre...

— Słuchajcie no, koledzy! Nigdy nikogo nie będę przeproszał za to, że byłem żydem. Nic mnie nie obchodzi kwestja żydowska, wraz z antysemityzmem. Obchodzi mnie mój los osobisty. Uważam się za polaka i dowiodę tego! Proszę krytykować moje czyny, nie zaś moje pochodzenie. Macie dość chyba żydów, którzy z estrady i w sztukach teatralnych po błazeńsku wyśmiewają swoje żydostwo. Niedawno był w Polsce polski żyd, obecnie dygnitarz sowiecki. W rozmowie o morzu polskim, wyszydził swoje żydostwo. Był to jeszcze jeden murzyn merdający ogonem. Już wolę Trockiego, bo mi przypomina żyda wiecznego tułacza, ale ci inni, to błazny w śmiertelnych ko-

szulach. Mówią znawcy, że dla żyda innego wejścia do Polski nie ma, że wszystko inne będzie—wyjściem. Niech sobie znawcy mówią co chcą, — mnie to nie obowiązuje. Pragnę porozumieć się z wami co do programu moich prac, których sam jeden nie wykonam. Do wielkich czynów nie jestem zdolny, ale można przynieść pożytek małemi czynami, tak zwanemi uczynkami.

W tym celu musimy się porozumieć co do pewnych prawd. W moich rozmyślaniach powziąłem nowy pogląd na historję ludzkości i Polski w szczególności. Znalazłem wiele materiału w bibliotece księdza filistra.

Czy który z kolegów zastanowił się kiedy nad swoim własnym zegarkiem kieszonkowym?

Nie uśmiechajcie się, moi mili. Zegarek jest urządzeniem typowo zacofanem, naukowo nieprawdziwem. Dlaczego? Dlatego, że pokazuje on godziny w sposób, z którego wynika, że słońce obraca się koło ziemi, czyli że „wschodzi” i „zachodzi”. Ten wschód słońca, ten zachód słońca — to dwa kardynalne kłamstwa. A przecie obserwatorja funkcjonują od wschodu do zachodu słońca. Nie obchodzi mnie w tej chwili ilość błędów stąd wynikłych i taka sama ilość poprawek i sprostowań. Zostawiam ten kłopot przyrodnikom i astronomom. Może oni już mają opracowane te poprawki, chociaż zdaje mi się, że Einstein nosi zegarek. Wielu z was uważa moje rozumowanie o zegarku za typowo żydowskie. Uspokójcie się, odkrycie to zaczerpnąłem z dzieła znakomitego uczonego austriackiego, Antoniego Mengera, który sprawił swego czasu wiele kłopotu Karolowi Marksowi. Antoni Menger, nazywa zegarek narzędziem przesądu, a skłamane godziny przytacza na dowód, że życie nasze codzienne upływa według rzekomego obrotu słońca naokoło

ziemi. Pozorny ruch słońca po niebie pozwolił zresztą na zbudowanie innego kłamliwego przyrządu — zegara słonecznego, czyli kompasu. Kompas coprawda jest uczciwszy od zegarka, bowiem przestaje kłamać, gdy słońca na niebie nie ma. Zegarek kłamie bez przerwy. Jest to jedyny niepoprawny kłamca, gdyż, chcąc się poprawić, musiałby zacząć latać naokoło słońca, na co sobie nie może pozwolić nawet zegarek zasłużonego profesora Piccarda.

Macie ochotę zapytać, cóż z tego odkrycia wynika?

O to samo zapytałem po przeczytaniu Mengera. Mianowicie przyszło mi do głowy, czy historia ludzkości, dzieje człowieka nie są zmontowane według tego samego zegarka, boć przecie wszystko na ziemi, a przynajmniej ludzkie sprawy odbywają się z godziny na godzinę, z czego powstają lata, wieki i tysiącolecia. Zadałem sobie pytanie, czy cała historia nie jest oparta na jakimś pozornym rachunku. Co się tu mianowicie i koło czego obraca i co jest — skłamanie?

Po czasie Greków, przyszedł czas Rzymian, a potem „nadeszła” cywilizacja Europejska, obok niej Amerykańska, jedno po drugim. Historycy twierdzą, że wtedy a wtedy „skończyło” się średniowiecze, a zaczął się okres dziejów nowożytnych. Zadałem sobie jeszcze i takie pytanie, czy ten okres nowożytny będzie trwał ciągle i dlaczego to jest on nowożytny w stosunku do średniowiecza?

Kto te zmiany, jeżeli zmiany napewno są, ogłasza i zatwierdza, kto je sprawdza?

Uderzyła mnie przy tych myślach okoliczność, że w stosunku do istnienia świata tak zwana ludzkość jest, jak to ostatnio zauważył słusznie filister Wdowiec, bardzo młoda i że może nadejść chwila, że całą ludzkość wraz z samolotami i radjo ktoś zupełnie

słusznie nazwie starczytną, prabytową. Po drodze przyszło pytanie: komu się tak spieszy, że tak łatwo po starożytności ogłosił średniowiecze, a potem nowożytność? Nadmieniam, że te rozmyślenia popchnęły mnie do zmiany wyznania. Powiedziałem sobie: czas najwyższy i ostatnia chwila. Czułem poprostu, że gdy tego nie uczynię, stanę w liczbie spóźnionych, przekreślonych. A zarazem doznałem pewności, że Chrystus, którego postać porwała mnie, był ukrzyżowany nie dalej, jak onegdaj. Przy takim pośpiechu jest to możliwe. Przyłapawszy, dzięki dowcipowi Mengera, mój zegarek na kłamstwie, uprzytomniłem sobie, że wystarczy obmyślić jakieś jedno słońce prawdy, ażeby wykazać kłamliwość zegara historii. Ta historia chce dowieść, że jakaś prawda wschodzi i zachodzi, gdy tymczasem dzieje się odwrotnie. Gdym sobie wówczas wystawił obraz niewolnictwa rzymskiego i dzisiejszego obywatela robotnika fabrycznego, jak tamten do pracy przykutego, coś we mnie zakołowało wielkim wewnętrznym biegiem i poznałem, że to ja przetaczam się ustawicznie w obrębie tej samej idei niewolnictwa. Rzecz dziwna, z beznaściejności wyprowadził mnie czyn osobisty: zmiana wyznania. Powodowany być może nałogiem zegarowym zmieniłem starsze wyznanie na młodsze.

Wtedy doszedłem do wniosku, — że Człowiek — wbrew „historji” — nie tworzy okresów, lecz biernie kołuje po orbicie pędu ziemi. Odtąd ucichły we mnie wszelkie żale do imperjalizmu, do cezaryzmu, do socjalizmu, natomiast wzrosły pretensje do siebie samego. Przebudowałem w duszy zegar słoneczny dziejów, na zegarek osobistego rozpędu i oto zawiadamiam was, że o tej a o tej godzinie mogę was potrzebować.

Czy chcecie pomknąć wraz ze mną wokół idei?



— Jakiej?

— Bardzo skromnej. Chcę zorganizować oddział ludzi, pilnujących ładu w życiu codziennem? Narazie zrobimy próbę w tramwajach i przy oczyszczaniu miasta, potem przyjdą inne.

Nikodem Nesesser przedstawiał typ najmniej semicki. Niezwykle przystojny szatyn o niebieskich oczach, włosy miał gładkie, lśniące, czupryna jego młodzieńcza nie miała cech gęstej orjentalnej czapy opuszczonej na czoło. Włosy te zaczynały się powyżej uszu, nie zamykając twarzy obfitym, wymagającym codziennego golenia zarostem. Zdrowe zęby nie błyskały przy uśmiechu, lecz zdobiły młode oblicze. Rozmawiał Nikodem oczami, nie rękami. Mówił dość prędko, ale w porę pauzował.

— Kochani koledzy, gdy zajdzie tego potrzeba; pójdziemy do wojska, ale teraz jest czas na inne ważne sprawy. Zaczniemy działać w mieście, w tramwajach, na ulicach, w sklepach. Nie jestem tak starym katolikiem, ażeby się mój spryt semicki nie miał tu przydać. Nie odmówię wam sprytu mojego. A na dowód opowiem zdarzenie w typie żydowskim skonstruowane. Swego czasu mnichom nie wolno było spożywać mięsa w liczne dni postu, ale w podróży mieli prawo jeść, co im podano. Pewnego razu dwaj minoryci podróżowali, i podano im w oberży gotowaną kurę. Obecny przy tem kupiec zauważył: o ile wiem, zacni braciszkuwie, mamy dzień postu i mięsa jeść wam nie wolno. Braciszkuwie przyznali rację kupcowi i porzegli smacznej potrawy. Wkrótce atoli wypadła droga przez szeroką rzekę. Jeden z braci podjął się przenieść kupca przez wodę. Na środku rzeki zatrzymał się, jak Krzysztof ze swym ciężarem.

-- Czy masz złoto przy sobie? zapytał. Na to kupiec: a jakżeby kupiec wędrował bez złota?

-- Racja --- odpowie braciszek — ale nam niewiako mięsa jeść nie wolno; nie mamy prawa złota nosić. Mówiąc to, zrzucił kupca do wody, mszcząc się za kurę.

— Typowo semickie ujęcie — orzekli koledzy Kodusia

— Tak jest typowo, moi przyjaciele. Opowiadanie to skomponował w Kodeksie Atlantyckim niejaki Leonardo de Vinci.

— Ależ on nie był żydem!...

— Nie, on nie był, ale wy chcecie, żeby był...

Uśmiano się serdecznie, poczem Koduś zabrał głos:

— Nasz związek będzie się nazywał: Obrona porządku, w skrócie niech będzie: „Opor”. Jesteśmy członkami „Oporu” i — od jutra rana spotykamy się na Placu Zbawiciela. Zaczniemy od tramwajów, a dzieje Polski niech sobie płyną według zegarka. Tylko, panowie, ani słowa księdzu, Wdowcowi. Gdy nam się coś uda, wtedy owszem, ale teraz — sza!

Na drugi dzień zdarzyła się pierwsza przygoda tramwajowa.

Trzeba sobie uprzytomnić, że Warszawa posiada 6.000 tramwajarzy, o których walczą cztery związki zawodowe, ciekawistyczny, frakcyjny, związek związków i chadecki. Dzięki konkurencji tych związków otrzymali tramwajarze kryte szkłem platformy na przodzie i w tyle każdego wozu. Wolno im prócz tego nie spieszyć się na stacjach centralnych. Ci panowie nauczyli się kroczyć powolnym, urzędniczym sylem. Nabyli tonu niezawsze licującego z ich zajęciem. Ludzki byk dostał pozłacane rogi i często bodzie Bogu ducha winnych pasażerów. Władze par-

tyjne i związkowe wychodzą z założenia tego samego, co konwencjonista w „Nędznikach”, a mianowicie, że lud cierpi dłużej, że mu się przeto więcej od innych należy. Co śmielsi pasażerowie regulują sobie do-raznie nieporozumienia, ale publiczność polska daje się łatwo teroryzować.

Któregoś dnia wsiadł Koduś z trzema kolegami do tramwaju „0” (zero), na placu Zbawiciela. Dostrzegli woźnicę i konduktora wesoło rozmawiających, poczem panowie ci bardzo powoli, paląc papierosy, zbliżali się do wozu. Tymczasem rozległ się sygnał. Nie podziałął on na rozmawiających panów. Wówczas Koduś wezwał ich z tylnej platformy.

— Możebyśmy tak pojechali?

— A pojedziemy, — uspokoił go konduktor, coś mówiąc do ucha woźnicy.

Gdy wsiadł nareszcie, wyjął jakiś notatnik i począł go studjować. Tymczasem woźnica zajął swoje miejsce. Przepraszam, woźnica dawniejszy — to dzisiejszy motorniczy, i w tem cała bieda. Zmotoryzowane byczysko — bodzie.

— Dlaczego nie ruszamy? — pyta Koduś.

— Tak panu śpieszno? Dojedziemy na czas...

— Czemu pan nie spełnia obowiązków? Proszę o wydanie mi biletu.

— Przyjdzie czas na bilet, a jak panu się śpieszy, to weź pan taksówkę...

Koduś wydał krótką komendę:

— Za łokcie go i — na śliwkę!

Chłopcy skrępowali konduktora w oka mgnieniu, a Koduś przeciągnął mu po nosie dwoma ściśniętymi palcami, drugą zaś ręką pchnął mu czapkę po samą brodę.

— Za drugim razem dostaniesz, łobuzie jeden, marmeladę, żebyś wiedział! — usłyszał konduktor,

ale gdy zdjął czapkę z głowy, nikogo już na platformie nie zobaczył.

Zadzwonił. Tramwaj ruszył.

Ktoś z publiczności zauważył:

— Jacyś pijacy...

Konduktor, milcząc, wydawał bilety.

Tego samego wieczoru w Alejach Ujazdowskich, przy zbiegu z Agrykołą, stanął wóz motorowy do uprzątnięcia śmieci. Motorniczy widocznie na rozkaz zamiataczy zatrzymał się na linii chodnika, tamując przejście pieszym.

Koduś zbliżył się i zagabnął uprzejmie pana z miotłą:

— Możeby pan kazał zjechać w ulicę, bo przejść nie można...

— A co to? błoto, czy powódź?

— Nie, tylko musimy obchodzić...

— Mnie to nie obchodzi...

— A kogo?

— Niech pan dalej pogada do lampy naftowej, bo do elektrycznej za wysoko...

I znowu pada komenda:

— Tamtego trzymać, a tego pod łokcie i — marmelada!...

Rozkaz wykonano, a Koduś zrobił miotłą masarz twarzy komuś w czapie magistrackiej ze złotą syreną.

Nim woźnica zeskoczył — panowie umknęli.

— Zdejm mi czapkę, bo nic nie widzę! — wył poszkodowany mąż od śmieci.

— A to cię wyszczotkował...

— Jak mi jeszcze kiedy staniesz na trefiarze, to ci łeb ukręcę

— Wprzód pójdz do fryzjera, żeby ci twój łeb zondulował... W siedzeniu oka nie mam, od tego jesteś, żebyś wołał, gdzie stanąć!

Przypomnieli sobie odrazu wszystkie obowiązki.

Tego samego tygodnia zgłoszono trzy skargi policyjne, że ktoś napastuje zmiataaczy, którzy czynią na ulicy wielki kurz, nie używając wody przy uprzątnaniu.

Tymczasem Koduś z przyjaciółmi wstąpił do cwocarni po truskawki.

— Proszę o kilo truskawek, o— tych...

Sprzedawca zręcznym ruchem sięgnął do tylnej części koszyka i wsypał do torebki drobny owoc.

— Proszę o te z frontu, panie szanowny...

— Wszystkie są na sprzedaż...

— Ale nie wszystkie jednakowe...

— Owszem, jednakowe... czerwone...

Na to Koduś:

— Jednakowe? zaraz sprawdzimy. Chłopcy... za łokcie pana pryncypała!

Koduś nabrał w obie dłonie truskawek i rostał sprzedawcy na gębie.

— Rzeczywiście — jednakowe! Dziękuję — oto złotówka za próbę.

Kupiec został w sklepie, jak trędowaty w ostatnim stadjum.

Gdy ksiądz Wdowiec dowiedział się o przedsięwzięciu Kodusia, potępił je.

— Proszę księdza filistra, wiem, że lud cierpi, ale gdy przestaje cierpieć, inni zaczynają ponosić ofiary, a ja tego nie chcę. Jak zmiana na lepsze, to ogólna, a nie dla wybrańców. Należałem do narodu wybranego. Zrzekłem się tego szczęścia nie po to, żeby spokojnie patrzeć na codzienne bezprawia.

Wreszcie poznał Kodusia konduktor tramwajowy, któremu nasz reformator po „śliwce” chciał zastosować „marmeladę”. Konduktor, jakgdyby przecz-



wając zajście, miał na platformie trzech kolegów po cywilnemu i ci przytrzymali paniczów.

Odbyła się rozprawa sądowa. Sprawcy zajść otrzymali karę z zawieszeniem na dwa lata ze względu na motywy czynu. Koduś w obronie wyłuszczył sprawę zdziwionemu sędziemu, który na szczęście jeździł do sądu tramwajem i kupował truskawki.

O tym czasie spadł na Kodusia inny kłopot, o wiele bardziej skomplikowany.

Ksiądz Wdowiec wprowadził go do klubu sportowego, i tu młody Nesesser poznał hrabiankę Brutto.

Rokrocznie do połowy czerwca Bruttowie bawili w Warszawie, a Teresa uprawiała sporty, między innymi, tenisowy. Nie stając do żadnych nagród, biła niejednokrotnie w prywatnych rozgrywkach championki polskie i zagraniczne. Dotyczyło to i championów, z których jeden, włos, po przegranej, oświadczył jej szczerze:

— Każdy z nas przegra z panią, gdyż w tej grze, trzeba uważać, a z hrabianką na to nie ma czasu... il duce Benito przegrałby także...

— No, Benito jest już nieco tłusty...

— Przegrałby, gdy jeszcze był chudy, hrabianko...

Ksiądz Wdowiec należał do klubu i miał tam swoją rakiętę. Grywał w czarnym kostjumie. W dniu tak ważnym dla Kodusia przyszli na plac pierwsi... Teren w Agricoli jest otoczony różanym płotem, przytykającym do pięknej chaty z wysokim dachem i z gankiem czterofilarowym. Cały ten folwarczek ma cechy niedostępności dla pospólstwa i jest przeznaczony na odpoczynek dla uprzywilejowanych.

Chłopcy do piłek mają mundurki białe z czerwonymi guzami i z literami „K” i „S” (klub sportowy), jak książątka. Wszystko tu tchnie czystością

i porządkiem, a obowiązująca cisza sportowa nie dotyczy jedynie bawiących się pań i panów.

Ksiądz już próbował rakiety, gdy nadeszła Teresa.

— Cóż to za chód! — szepnął Koduś.

— Tak, tak, umie chodzić, a zobaczysz, jak gra...

Po chwili nastąpiło powitanie.

— Pan Nikodem Nesesser...

— Pan jest synem...?

— Tak, hrabianko, niestety, jestem synem...

— Dlaczego — niestety?

— Gdyż wolałbym w tej chwili być córką...

— Cóżby na to ojciec pański powiedział?

— Może i on wolałby być moją matką...

— Szanowny kapłan sprowadza nam tu tęgiego Ilirciarza...

Koduś wziął księdza w obronę.

— Hrabianko, ja tak mówię z nieśmiałości. Jestem, jak ten, co na wszystko pokazuje palcem, proszę mi wybaczyć. To brak oswojenia.

— Chyba przeciwnie...

— Śliczna pogoda, — przerwał ksiądz, wyglądający z rakieta, jak czarny Hamlet z siatką rybacką.

— Niema żadnej pogody, deszcz pada — żartowała panna.

— Jakto? czyżby nas wzrok mylił?

— Wzrok może panów nie myli, ale deszcz pada... i wogóle nie wierzę księdzu...

— Czemuż to?

— Bo pan jest bez sutanny...

Wdowiec podszedł do niej i poprzez siatkę rakiety rzekł nieco poważniej:

— Przebaczam ten grzech...

— A inne?

— Innych nie znam, ale gdyby miała się przebrać ich miara, to i ja się przebiorę...

— Więc będę grała bez grzechów, a w nagrodę proszę mnie nazwać po indyjsku latającym ptakiem, dobrze?

— Dlaczego po indyjsku?

— Nie czytał ksiądz? Generał Balbo został honorowym Indjaninem z plemienia Siuxów, i nazwano go „latającym orłem”. W czasach intryg politycznych co za wspaniała nazwa. Takie to czyste, moralne, rzadkie...

— I takie do reszty przetrzebione — dodał Koduś.

— Może pan ma rację... Od czasu Chrystusa liczba Indjan bardzo zmalała...

— Bardzo niedawno poznałem naukę Chrystusa — dodał Koduś serjo.

Niezrażona tym tonem panna rzekła:

— Indjanie nazwaliby pana: „pierwszym chrześcijaninem”.

— W każdym odezwaniu pani znać rakiętę.

— Dostałby pan od wodza indjan białą szatę i prawo rysowania ryby na piasku... niech pan końcem laski narysuje rybę... proszę...

Koduś uczynił zadość życzeniu

— Taka długa ryba? — spytała.

— Bo to szczupak — po żydowsku...

— Jest z pana miły towarzysz, ale niech pan tak nie mówi. Tylko w kabaretach żydzi wyśmiewają samych siebie.

— Profesor Tadeusz Zieliński dowiódł, że sam Jehowa chciał ośmieszyć żydów, proszę pani.

— Ręczę panu, że profesor Zieliński nie śmiał się z tego postanowienia Jehowy, czy nie tak?

— Pani, proszę uroczyście o przebaczenie za mój głupi żart, który sam potępiam.

— Słyszałam o pańskim sposobie kupowania truskawek, niech pan mi to opowie.

— Przerwałem tę moją działalność...

— Od kiedy?

— Od dziś, proszę pani.

Kodeks spojrział na Wdowca.

— Pocóżes mi ją pokazał, niebaczny klecho — mówiły oczy Kodusia.

— Grajmy, księżu — wezwała Teresa — a pan, panie Nesesser, niech pan patrzy...

— Cały czas patrzę...

— No to niech pan przestanie patrzeć, niech pan — popatrzy...

Kodusz zdziwiony dostrzegł, że Wdowiec niezwykle zwinnie biega po korcie. Była jakaś mimowolna męska ambicja w grze księdza.

Wystarczyło daleko gorzej grać, ażeby gra była dobra, ale to widocznie Wdowcowi nie wystarczało. Kodusz uczuł śmieszna zazdrość.

— On nas tam ćwiczy duchowo, a tu skacze przed babą... ależ grają! Zwłaszcza ona...

Niejeden podskok Teresy odślaniał połyskliwą, nieskazitelnie czystą łydkę. Skóra bez skazy... Tupotanie lekkie, a niezawodne, przysiadanie ku ziemi rozkosznie prawidłowe... I te nieskrępowane piersi pod bluzą...

Oto idą ku sobie, zwabieni białą piłką, jak pociskiem grzechu... Są tuż przy siatce, czynią sobie wyznania, ona odrzuca, on atakuje... Piętnaście razy piłka chodzi na odległość czterech metrów, jak po sznurku... Ależ ona nie dałaby się objąć w pół nawet stalowemu robotowi, gdyby jej się nie podobał, a ja, głupi żydek, przyszedłem tu poznać ją!...

W tem Teresa energicznym podrzutem wysłała piłkę w górę, jak rannego w pierś gołębia.

— To świeca pokutna za wszystkie moje grzechy! — krzyknęła przeciągając się na rozstawionych nieco nogach. W tej chwili zsunęła je po żołniersku i zasalutowała rakieta, a piłka spadła, jak oszałała, na twardy kort.

— Ona chce jeszcze, o jeszcze i jeszcze! — wołała panna, gdy piłka podskakiwała raz po raz.

— Końby się uśmieł, gdybym mógł jej przypaść do gustu — zdecydował Koduś.

Zdenerwowała go ta gra.

Milcząc wracali do miasta.

— Czemuż tak milczysz? spytał ksiądz.

— Wszystko, co powiem, będzie nieważne.

— Kodusiu, w życiu mało jest rzeczy ważnych.

— Może i mało, ale są, a nawet chodzą...

— Żałuję, że cię przyprowadziłem...

— Żałuję, że przyszedł...

— Kodeksie, nie spodziewałem się, że tak tę rzecz weźmiesz...

— Nic nie wezmę, bo nic nie dadzą!

— Doprawdy, nie rozumiem, o co tu chodzi?...

— Nie rozumie ksiądz filister? Doprawdy? Mam wrażenie, że przemawia do mnie rywal... Jeżeli tak, to, proszę księdza...

— Nie wiedziałem, że aż zgłupiałeś...

Koduś zatrzymał księdza i mówił półszepem:

— Co ja mam robić w kraju, w którym są takie kobiety, co?

— Uspokój się...

— Uspokoję się, naturalnie! Gdybym się nie uspokoił, to mnie uspokoją! Wiem o tem doskonale, że nie mam żadnych praw...



... Jaka ona opanowana! Rzecz prosta, pochodzi z panów... A co za dowcip i pogoda... Ona niczego się nie lęka, jak bogini. Ten brak lęku... Taka może urodzić bohatera... Myślałem, że coś zrobię w życiu, a teraz wszystko mi zmalało w oczach... Sądziłem, że moje miliony będą wielkim orężem, a oto czuję nagle, że te miliony to zwykła sosnowa pała, której nie będę śmiało podnieść na nią. Coś się ze mną stało, że aż chcę w czary uwierzyć! — Czuję, że mój chrzest, który mnie wprowadził do wielkiej rzeszy Chrystusowej, zatrzęsnał mi jednocześnie drzwi przed nosem. Wpuszczono mnie, ale po to, żeby wygnać. To mi się nazywa chrzest!

— Panie Nesesser, niech pan mnie uwolni od wysłuchiwania podobnych rzeczy...

— A komu to powiem? Komu, komu? Może ojcu, który mi poradzi, żebym skupił długi hrabiego Brutto, co?

— Co za myśli, Kodeksie?

— Ksiądz nie zna mego ojca.

— Chociażby chciał, nie poradzi fortunie hrabiego.

— Wiem o tem, i ojciec mój o tem wie, ale chce się zbliżyć, a nie może inaczej, więc... Ale skąd ona wie o tych moich awanturach w tramwajach i po sklepach? Czy od księdza?

— Broń Boże. Wszyscy o tem wiedzą. Stałeś się głośny...

— Głośny? Już przycichłem, już przycichłem, jak zgaszona lampa... Boże, Boże... Niech się aby ksiądz znowu nie obrazi, ale wczoraj, dziś rano jeszcze byłem rad z życia, ze chrztu, z majątku, a teraz czuję, że zginę!.. A może ją obraziłem którym z moich parszywych dowcipów? Co?

Ksiądz Wdowiec życzliwie poradził:

— Naucz się szybko w tenisa, a wszystko będzie dobrze...

— Książdz to mówi? Wiem do samego końca, co i jak będzie! Wszystko widzę do końca. Niech żyje czcigodny profesor, Tadeusz Zieliński! Naród żydowski został przez Boga wystawiony na śmiech. Będę śmieszny!

... Patrz, książdz, na tego satyra. Śmieje się... Zna książdz tego żydziaka, co to pisze poezje zaraz po Słowackim? Ten satyr śmieje się z niego, ale z Teresy Brutto nie waży się bożek śmiać: on się uśmiecha do niej. Ma rację, i ma więcej szans odemnie!

Wiem już, co mnie czeka. Będę śmieszny!

Tylko nie radzę śmiać się w mojej obecności, bo na ten śmiech mam siedem truskawek w lufie. Nadaję się z mojem nazwiskiem do magazynu, no i mam zawsze przy sobie dwa magazyny, razem czternaście odpowiedzi na śmiech... Pomimo to będę śmieszny!.. Czy panna Teresa często grywa w tenisa?

— Codzień, dopóki jest w Warszawie...

— No, być poza Warszawą to i ja potrafię!...

— Mniej za to potrafisz panować nad sobą...

— Zbyt niedawno poznałem Chrystusa, co zresztą powiedziałem tej dumnej pannie... A jak to ona dowcipnie nazwała mnie pierwszym chrześcijaninem... Poznałem dziś życie, księżu filistrzel!...

— Ta znajomość ułatwi ci życie...

— Ładne ułatwienie... rzekł Koduś i dodał, rasowo:

— Żeby to wrogowie moi mieli takie ułatwienie...

Ze śmiechem i bez pożegnania Koduś pomknął pod górę ku miastu, a książdz Wdowiec szedł zwolna, wpatrzony w jakąś prastarą prawdę, rządzącą młodziutką ludzkością. Wargi księdza szeptały:

— Chryste, wysłuchaj tych, którzy się wadzą o swe pochodzenie i o swoją wiarę...

Nie powtórzył Kodusiowi, że Teresa na pożegnaniu szepnęła mu:

— Miły człowiek i bardzo nie w typie...

Wiedział dobrze, że w Polsce poza szwindlar-skim i gazeciarskim antysemityzmem istnieje—jak i w tylu innych krajach—co najmniej niechęć towarzy-ska do żydów. Ale czy to przekona księdza? Czy jest taka otchłań faktów historycznych, w której mógłby utonąć ból niewinnego chłopca, najwidoczniej pora-żonego sercowo. Z doświadczenia spowiednika wie-dział, jak działa na wrażliwe natury okrutna niespo-dzianka miłości, której oto dziś doznał Koduś.

Jako mężczyzna, Wdowiec doskonale sobie uprzytomnił, że nie padło na Kodusia żadne obiecuj-ące spojrzenie, a dowcipy Teresy były nawet bezna-dziejnie obojętne.

Wiedział Wdowiec, że łatwiej woda zmiękczy granit, niż te dwa złota razem się stopią przez zwią-zek małżeński, a nawet przez jakikolwiek inny. Każdej przygodzie stanie tu na drodze odmienna ra-sa. A przecie złoto ciągnie do złota! Młody to kru-szec, — jak młodziutką jest ludzkość. Młody metal kuszący, a płukany jeszcze wczoraj w miskach, w których onegdaj dawano jeść pogańskim bogom. Przez wszystkich uznany tyran, który władzę ma nad człowiekiem. Ostatniemi czasy w Ameryce na ratu-nek skarbu strzelają do złota ukrytego w ziemi z ar-mat wodnych, orząc grunt hydrantami, przypomina-jącemi smocze karki i giętkie szyje węzów oceanicz-nych.

— O wy, żołnierze rzymscy, którzyście porywali żony, siostry i córki Frankom, Scytom, hiszpanom i normanom, którzyście wlekli do obozu słowiańskie

niewiasty, którzyście to czynili tak niedawno — wstawcie się za biednym Kodusiem Nesesserem!

...Tereso, Tereso! w niedalekiej przeszłości żydowscy żołnierze w armji Aleksandra Macedońskiego, kuma obozowego wszystkich narodów, mogli, zważ to, mieć powodzenie u twojej prababki!...

... Dlaczego to Koduś, — akurat on, — ma tak cierpieć, że kiedyś na jakimś postoju wzgardzono żydami?...

... I za co?

Uśmiechnął się Wdowiec do tych zestawień myślowych i tak doszedł przed swój dom.

W niszy wnęki bramowej stał Koduś.

Niezwykłe wzruszony ksiądz zaprosił go do mieszkania. Nesesser przebiegał pokój, jak wielką klatkę.

— Wiem co zrobię. Mam cel w życiu. Nie wyśadzę się w powietrze, jak szlachcic - kupiec Wokulski, bo dla mnie szkoda polskiego powietrza. — Zresztą — mam cel! Teresa przy całej królewskości jest bezbronna. Mam pewność, że tak jest. Będę ją bronił! Nie dam jej ukrzywdzić i nie dam jej nikomu! Nie damy jej nikomu, księżę filistrze, chyba komuś wyjątkowemu, dobrze?....

— Proszę księdza, jestem trochę przyrodnikiem, ufundowałem nawet laboratorium dla wielkich ciśnień. Otóż przekonałem się, raczej dowiedziono mi tam, że z helu może być łatwo wodor, że to tylko różnica energji. A niech no ksiądz weźmie: żyd i polak, co? To już nie różnica energji, to już nie jonizacja, czy jonistyka, ale ordynarna syjonizacja, czyli taka mieszanina, która przed ołtarzem nie da się połączyć, która ucieknie z przed ołtarza.

Ksiądz przyniósł wino i ciasto z konfiturami. Za-

stał Kodusia gładzącego rękami grzbiety pięknie oprawionych książek.

— Dobrze opancerzenie przed życiem...

— To moi przyjaciele.

— Ileż tu prawd na tych ścianach...

— Jedna, tylko jedna...

— Gdzież ona?! Może w winie? In vino veritas!...

— Może być i w winie. Jeżeli nie przywiązujesz wagi do wyrazów, to prawda jest wszędzie, ale zawsze jedna i ta sama.

— Jeżeli prawda jest jedna, to dlaczego jest tyle nienawiści?

— Gdyż prawda, jak Chrystus, jest ustawicznie kuszona przez szatana. Istnieje, Kodusiu, szatan naukowy, mający do pomocy swoich djablików.

Nesesser oparł się plecami o książki i takie snuł wywody:

— Przecież my, żydzi, mieliśmy jeszcze niedawno własne państwo. Żarliśmy się nie gorzej od was. Przeszliśmy okrutne zabory. Byliśmy pod władzą łagodnego Cyrusa; poczem uderzył na nas Aleksander Macedoński. Mieliśmy swojego Aleksandra na chwilę, na dobrą chwilę przed wami. Nasz Macedończyk był większy od waszych trzech Aleksandrów, czy nie tak? Potem — ziemia egipska. Nauka dowiodła, że dostaliśmy chrześcijaństwo przez greków, że proces Chrystusa żyda, który się ogłosił synem Bożym, był z istoty swej procesem greckim, heleńskim, a przecie greka z gąbkami lubimy, a żydów — nie. Czy to ma być prawda?

Powiadają te książki twoje, księżę Wdowcze, że po bitwie pod Waterloo jeden z Rotszyldów przedostał się do Londynu, ażeby skupić spadające papiery i ażeby się obłowić, zanim nadeszła wiadomość praw-



dziwa. Doskonale — to był żyd. Przejdźmy do Anglików. W sto lat później — po morskiej bitwie u brzegów Jutlandji — wywiadowcy angielscy, rządzący właściwie Wielką Brytanią, posłali do Ameryki wiadomość kłamliwą o zwycięstwie floty niemieckiej i także zdążyli się obłowić na parę miliardów. To już nie żydzi, a jednak czuję, że ksiądz uważa ich wewnątrznie za uczniów żydowskich.

— Jesteś w błędzie, Kodusiu, i z twoim grekiem z gąbką i z Rotszyldem. Posłuchaj spokojnie.

Gdyby wszyscy grecy z gąbkami znajdowali się w rozsypce, musieliby podzielić los żydów.

Kodusiu, tak zwana ludzkość, niemowlęca ludzkość, przeżywa jeszcze ustrój plemienny. Ten cały ustrój burżuazyjny, ten cały socjalizm, a nawet bolszewizm — to są rekordy hasel rzucanych przez poszczególne plemiona.

Wyobraź sobie, że z pieczar stalaktytowych przyszliby wszyscy obywatele przedhistoryczni z naczyńkami pięknymi na głowach i zaczęli nam owe naczynia wtykać na sprzedaż. Zniecierpliwiłoby to nawet uczonych. Ludzkość dzieli się na plemiona i przywykła do tego, że z cmentarza plemion wygasłych nikt nie powinien wracać. Skoro wzmiankowałeś greków, to wiedz, że oni wzięli podział dziejów ze wschodu. Ludzkość człekopodobna liczy nie więcej ponad 350 pokoleń. Pomyśl, jaka to efemeryda i jak ludzie drżą o własną ziemię uprawną, której jest nie tak bardzo dużo. Otóż przed powstaniem polskimi — żyd bohater w zbroi był — wykopaliskiem. Zapomniano o żołnierzu żydowskim, a głupi księża straszili dziatwę złym Herodem.

Przyszły powstania i oto ojciec twój, Kodusiu ma za szkłem order swego dziadka, który był z Dąbrow-

skim we Włoszech i wędrował po świecie. Przyjmując chrzest, mieliście nie gąbkę na sprzedaż, lecz ten order zachowany, jak relikwja. Ktoś wielki wznowił ten znak, i noszą go teraz polacy na piersi.

— Ja — nie...

— Kodusiu, nie mogłeś w pieluchach dorabiać się „Virtuti“....

— No niezupełnie w pieluchach... w 1920-tym roku miałem 12 lat.

— No więc widzisz...

— Nic nie widzę: mogłem uciec do Lwowa...

— Mając 9 lat? w ten sposób dojdiesz do chwili urodzenia....

— Właśnie, właśnie — chwila urodzenia! Jedna tylko chwila i wszystko potem — na nic!...

— Kodusiu, zastałem cię w bramie mego domu, dlaczego tak wzbranasz się wejść dalej?

— Nie wzbraniam się, jestem i gadam trzy po trzy....

— Wymiana myśli uspakaja, wierzaj mi, chłopcze, tylko musi być oparta na umowie, że będzie prawdziwą wymianą...

— Zgoda na wymianę: mogę wymienić sto pokoleń żydowskich tu w Polsce, no i co z tego?

Ksiądz postanowił zwalczyć Kodusia swoistym humorem.

— Aż sto pokoleń? A toś się odsadził, no, no! Może zagramy w cetno i lichy o te pokolenia? To mi dopiero starość!... Czy wiesz? Znalaziono w czeskich grotach stalaktytowych dowody istnienia człowieka przedhistorycznego, czyli takiego, który już nie ma historii, idzie przed historją, gdy my wszyscy upędzamy się za historją, jak ty przed chwilą z twemi

pokoleniami. Stój spokojnie, Kodusiu, bo po tylu pokoleniach rozsypiesz się w proch.

W Irlandji jest spore jezioro, które w tych dniach nagle znikło, co czynić zwykło raz na sto lat, czyli od czasu do czasu.

Znaleziono na dnie mnóstwo nieżywych ryb i szpilkę do włosów królowej Wiktorji, podobno kochanki żyda Disraelego. Czy to nie zabawne? I co za nieostrożność zostawiać szpilkę na dnie jeziora!...

— Książd filister jest genjalny na swój sposób... zawołał rozbawiony Koduś.

— Nie jestem genjalny i nigdy nie będę, ale jestem gospodarzem, a dobry gospodarz daje dobre wino i dobry dowcip. Kodeksie, albo przestajesz ze mną, albo nie! Jeżeli tak, to zostaw twoje pochodzenie Chrystusowi, który tę sprawę dla ciebie oddawna załatwił. Ludzkość próbuje Go naśladować, ale nie miała dość czasu. Dopiero się bawi. Nie mogę bowiem nie nazwać zabawą, jeżeli pan Rotszyld w roku 1815-tym na kłamliwej wiadomości puszczonej w Londynie o zwycięstwie Napoleona pod Waterloo zrobił miljony na spadku papierów, a w sto lat później, w r. 1916-tym Sir (tak jest, sir) Ernest Cassel, członek wywiadu angielskiego, przyjaciel Sir Basil Zacharowa (nie żydzi) zrobił jeszcze większe miljony na ordynarnie zełganej wiadomości dostarczonej do New Yorku o rzekomym rozbiciu floty angielskiej przez niemców pod Jutlandją.

O tym czasie pewien bezrobotny przyszedł na rękach z Gracu do Wiednia. Miał ręce wolne, więc zabawił siebie i innych.

Upewniam cię, że są na świecie rzeczy zabawniejsze od kwestji żydowskiej. Żyd wieczny tułacz, naprzykład, Trockij, chodzi na nogach, zato Rossja

stanęła na głowie pod ścianą, i nie Trockij został wódczem, lecz Lenin, a po nim Stalin. Radek chodzi po tem wszystkim, jak żyd po pustyni. — No, chyba czujesz się lepiej?

— Tak, dopóki stąd nie wyjdę...

— Przyjacielu, mój pokój jest twoim pokojem. Pomyśl no, chłopcze, ile to skamieniałych krzyżów Chrystusowych spalono, używając węgla kamiennego? Wraz z węglem do rzymskiej togi przyszyto guzik.

Wyrazem polotu jest podawnemu Ikar, albo — Balbo, no czy nie tak?

— Może lepiej było zostać rekordowym żydem, niż początkującym chrześcijaninem?—wtrącił Koduś.

— Już ci na to odpowiedziała panna Teresa i to bardzo trafnie, sam to przyznałeś.

— Ciągłe się tylko muszę do czegoś przyznawać, jak na jakiej sprawie... Wyznanie, przyznanie, przyznanie się do wyznania i tak ciągle w kółko...

— Słuchaj no, Kodeksie, uparty, jak sam kodeks. Polacy oprawili szubienicę na stokach Cytadeli warszawskiej w szkło. Postawili nad szubienicą szklany domek. I żydostwo stanie kiedyś w szklanej gablotce, ale trzeba poczekać do przyszłych, może jutrzejszych pieczar...

— Jakich pieczar?...

— No, jeżeli ma nastąpić epoka chemji, czyli zabawa gazowa, to z konieczności zamieszkamy jeszcze raz w pieczarach, dlaczegóżby nie? Słońce znajdzie nas i tam, o ile nie zajmie się własnym losem.

— Zabawna rozmowa...

— Tak, tak, zabawna rozmowa o zabawie. Jesteśmy na to przygotowani bezwiednie. Pod ubraniem wylenieliśmy z sierści, a nawet zlazła z nas,

wytarła się owa grecka skóra, co wieki przetrwała. Myśliciel Rodina już nie ma ani sierści, ani skóry, tylko mięśnie.

Skąd wiesz, czy nie jest możliwą gazowa myśl? Jeszcze raz, i jeszcze raz, a z myśliciela może być gaz, a potem znowu coś....

— Nie umiem, wyznaję, tak myśleć..

— Naucz się!

— Takie myśli prowadzą do bezczynności...

— Nie, one sprowadzają najwyższą rozkosz czynu, są prawie boską męką. Taka męka już była, a ty sam zaledwie uwierzyłeś w nią, dokonałeś czynu.

— Cóż, kiedy ja wyznaję ideę robienia, co mi się podoba...

— No — rozcieranie truskawek na gębie bliźniego i dociskanie czapki tramwajarza do samej brody przekonało cię, że to nie są czyny...

— A najgorsze ze wszystkiego jest otwieranie duszy, jak furtki, przed ludźmi, którzy zaraz pakują nam palce w nos, w oczy i zagląдают pod powieki.

— Nie daj tknąć tej furtki!

— Otworzyła się sama podczas tenisa.

— Zatrzaśnij ją, choćbyś miał przyciąć najpiękniejsze palce. Ja tak kiedyś zrobiłem!

— Ksiądz?

— Tak jest. Księżdu łatwiej o to, niż komu innemu. Zamknijmy więc furtkę. Powiem ci za to coś, co dopiero obmyślam. O rekordach plemion.

Polska jest obecnie pozostawiona samej sobie. Szczyt niepodległości!...

— Nie wiem, czy to dla nas dobrze...

— Kodeksie, naucz się odróżniać ironję, jako cenną przyprawę. Zapewne, izolacja Polski nie przy-



pomina izolacji Anglii: na nią patrzy cały świat, na Polskę, jak dotąd — nie. Ale skąd wiesz, czy nie? Skąd wiesz, czy lwy nie patrzą uważniej na samotnego lisa, niż na siebie wzajemnie. Gdy polski angloarab wpadnie w lansadach pomiędzy wielkie klatki ze lwami, to może uwaga powszechna być tem zajęta? Pamiętaj, Kodeksie, że w stolicy świata, w Paryżu, na wielkim placu stanął pierwszy cudzoziemiec, polak — Adam Mickiewicz. Stoi ten izolowany słupnik Adam z kosturem w dłoni naprzekór anglikom, niemcom, włocho, amerykańkom. — Powie ktoś, że to się wymknęło narodom po wielkiej wojnie, że ten pomnik jest improwizacją międzynarodowej bezstronności wobec odrodzonej Polski, że to jest rekord sprawiedliwości? Być może, ale pomnik stoi tam i stać będzie. Nie wyobrażam sobie rewolucji, któraby ważyła się Mickiewicza z asyryjskiego cokołu strącić. „Il fallait enfin faire quelque chose pour la pauvre Pologne”. Jeżeli tak myślisz, to się mylisz, Takich śladów ludzkość po sobie nie zostawia. Pamiętaj, że znak krzyża nie był wyrazem litości, że stał się potężnym orężem, że tego znaku nie „ustąpiono” Chrystusowi. On go zdobył! Zapomniano o Jego ostatnich towarzyszach męki, łotrach, nawet o tym, którego Chrystus w ostatnim słowie z krzyża posłał do raj, ale krzyż Jezusa izolowany od wszystkich poprzednich krzyżów, tak znanych, tak często stosowanych — o władnął światem! Już nieraz, Kodeksie, zdawało się, że pod tym znakiem zapanuje powszechna zgoda. Mnie się ciągle zdaje, że tak będzie. To złudzenie uważam za największą więź mojej filozofji. Pamiętaj, Kodeksie, że krzyż — to przekreślona gilotyna, to przekreślona maczuga, to skreślony słup. Pamiętaj, że tym zna-

kiem zaprzeczono na tyle lat naprzód barbarzyństwu stosów i gilotyny. Kapłani żydowscy, za których sprawą Chrystusa ukrzyżowano, rozsypali się po świecie. Od czasu Chrystusa nie ważono się nikogo krzyżować. Tego rekordu nie pobito do dziś dnia, dlatego obowiązuje on po dziś dzień. Jakże wygląda, powiedz mi, ból osobisty twego pochodzenia u stóp tego znaku? **X**A co powiesz, jeżeli kiedyś naród żydowski, izolowany przez niechęć ogólną pod tym właśnie znakiem znajdzie ukojenie? Ani mi w głowie nawracanie żydów, nawet mnie o to nie posądzaj, ale zważ tylko, że pomimo uznania Mickiewicza za poetę świata, — plemiona warczą na polski węgiel, na polską ropę, na polskie drzewo, na polski handel. Każą nam plemiona wracać z węglem do naszej Palestyny, jak i żydom. — A więc najwyższy rekord — krzyż nie wystarczył i dotąd nie uspokoił sporów i nienawiści plemiennych. Ludzkość w pogoni za tą zgodą powszechną próbuje na znak tejże zgody uzgadniać styl. Renesansowe arkady sklepów „Galerie Lafayette w Nicei, te południowe „riady“ kupieckie — zanurzyły się pod Kijowem pod ziemię w Ławrze, gdzie popi handlowali do niedawna cudami. Są tam ołtarzyki renesansowe z epoki cesarskiej Elżbiety. Rekordy powszechności stylu Grecji i Rzymu, a po nich dzisiejsze zmodernizowane wysiłki stylu babilońskiego bez okien.

I cóż ty na to? Jest większa fala i wyższa od twojej, żydowskiej, która niesie ludzkość. To fala przemysłu, fenicka fala, kartagińska fala z Hannibalami bankructw światowych! Nie Phöniks prowadzi plemiona, lecz fenicjanin z żydkiem Bogu ducha winnym pod pachą!

Wdowiec napełnił kieliszki i zaprosił miłym ruchem:

— Zapijmy te prawdy...

Koduś zauważył szczerze:

— Już jestem pijany, ale wołam: niech żyje złudzenie prawdy!...

— Nie, Kodeksie! Mój toast będzie inny: niech żyje młodość! Patrzą na to wino. Pochodzi z piwnicy zmarłego przyjaciela, księcia Roburta. Ma być stare, a jednak w istocie nie znam nic młodsze nad to wino. Ludzie piją ten trunek, powiedzmy, 6000 lat. Jeżeli nawet co dziesięć lat przychodzi do głosu następne pokolenie, to otrzymamy 600 pokoleń ludzkich. Czasby już było, ażeby wino nie działało, jako wszczepione w nasz organizm, a jednak działa, bo człowiek jest młody i jego stare wino jest młode. Prawda, Kodeksie, nie jest złudzeniem. Ale ona, jak słońce, nie obraca się koło nas, tylko my okrążamy prawdę. Gdyby było inaczej, mielibyśmy już miliony prawd, a tymczasem istnieje jedna jedyna. Kołujemy w pewnej odległości od niej, ale ciągle wokoło niej. Zazdroścę prawdzie - słońcu! Przechodzą przez nią twoi Babilończycy, Asyryjczycy, Persowie, Żydzi, Egipcjanie, znowu Persowie, znowu żydzi, a potem wszystkich wiedzie młodziutki Aleksander Macedoński, skąpany w szczęściu powodzenia.

A oto Rzym, Rzym i ciągle Rzym! Hełm Cezara zamigotał w kilku miejscach młodej Europy na czele żołnierzy, ucząc następców tak zwanego władania światem. Potem ruszono na Rzym, prowadzono słońnie. Wymyślono ostre trójnogi żelazne pod nogi czujnego słonia, zwyciężono słońnie, aliści wkrótce po słońniach przyszły straszne czołgi stalowe, jak konie

Trojańskie, z ukrytymi ludźmi. Słysząc śpiew zwycięzców i zwyciężonych. Powstają narody i poematy. Zabijają ze śpiewem na ustach... Nagle prawda dostrzeża, że żołnierz Cezara rzuca miecz. Wbija go w ziemię ostrzem. Na tym zasadzonym w ziemię mieczu - krzyżu — zawisł Chrystus z wyroku w sprawie Rzymsko - Żydowskiej. Świątynia Jerozolimska wolała oczekiwać Zbawiciela, niż go mieć przed oczami. Obrona przed rzeczywistością. Zaprzeczyli i ukrzyżowali na oczach Rzymian, którzy też zlekli się rzeczywistości. Był to proces dla Żydów i Rzymian polityczny. Piłat umył ręce. Prawda została nietknięta. U stóp jej tronu ocknij się, Kodeksie, i pociesz. Rzym ustąpił żydom, otrzymawszy z ich rąk pośredniczących ideę helleńską „Syna Bożego“. Nie było czasu na rozważania. Synedrjon kapłanów żydowskich musiał być pozyskany, gdyż państwo rzymskie musiało zażegnawać rozpoczynające się spory pomiędzy stolicą, a prowincjami. Jakiś przywódca rybaków galilejskich chciał rządzić, ogłaszając królestwo nie z tego świata, który należał do Rzymu. Odesłano go do bogów. Był on protokularnie jakimś samozwańczym synem Zeusa. A przytem niewolno było rybakom równać się z patrycjuszami. A jednak zasłona w świątyni została rozdarta! Uderzył w nią piorun prawdy.

W tysiąc lat później podobny proces odbył się z człowiekiem o nazwisku Nichiren (Nicziren) w Japonji. Był i tam Piłat japoński, imieniem Hodjo, gubernator prowincji ze stolicą Kamakura.

Gdy Święty Nichiren przyszedł na świat, w ogrodzie jego rodziców rozstała się ziemia, wyrzucając ciepłą wodę dla obmycia nowonarodzonego, który wbrew prawom ówczesnym uczył niewolników

myśleć. „Zaniosę światło dla wszystkich” — postanowił Nichiren, gdy prawo rycerskie japończyków głosiło wyraźnie, że niewolnik nie ma prawa myśleć, tylko pracować i cierpliwie umierać. Wydano wyrok na świętego kaznodzieję. Hodjo - toż to prawie łacińskie „hodie” (dzisiaj), kazał go oficerowi odprowadzić na miejsce kaźni. Oficer wzruszony jego postacią zaryzykował bunt osobisty i zażądał słowa, że Nichiren przestanie przemawiać do rzeszy. Na to męczennik odpowiedział z uśmiechem:

— Dlaczego lękasz się ściąć mi głowę? To będzie wielka łaska dla mnie. To tak, jakbym zmienił pył na złoto. Tracąc głowę, wstąpię w Nirwanę. Czyń, co ci kazano, a ja, zaprzestawszy głosić naukę, — zostanę nieszczęśliwym. Dopóki żyć będę nie przestanę nauczać.

Oficer podniósł miecz, lecz tejże chwili padł piorun i zdruzgotał oręż. Gdy wiadomość o tem doszła do stolicy, przyszedł stamtąd rozkaz zamiany kary śmierci na wygnanie.

Nichiren, podobnie jak Chrystus-Człowiek, przebywał długi czas w górach na rozmyślaniach. W pobliżu Yeddo zmarł podczas jednej z wycieczek wśród swoich uczniów na wzgórzu ponad rzeszą. Przeszedł do Nirwany. Był to proces japoński domowy. Synedrjon japoński przebaczył człowiekowi dla którego ziemia otwierała swe źródła, a pioruny broniły przed ścięciem. W kraju wulkanów śmierć nie jest odwetem, lecz najwyższym honorem. Ale Japoński Synedrjon i japoński gubernator istniał, jak u żydów.

Nie wstydz się przeto, Kodeksie, twoich arcykapłanów. Byli wszędzie. A Ghandi? Jego powtarzające się głódówki i propaganda bojkotu



strącają bomby, jak dojrzały owoc z drzewa Wielkobrytańskiego. Każdy dzień Ghandiego srowadza długą trwożliwą noc na myśl angielską. Żadna powieść Galsworthy'ego nie działa w tym stopniu, co ten Indus, uporczywy. Ponieważ zadaje on sobie dobrowolnie cierpienia, niewątpliwie dojdzie do celu. Pilnują go do czasu żołnierze brytyjscy, których koleczy rzymscy „pomagali” dźwigać krzyż Chrystusowi. Podobno Ghandi wszystko odwołał. Jeżeli tak jest, to przyjdzie po nim inny, którego będą ścigać. Przy japończyku Nichirenie wartował również oficer. Widziałem nieraz polskich legunów w Wielki Piątek przy grobie Chrystusa. Wojsko prowadzi, wojsko egzekwuje, a potem pilnuje grobu. Musi być zachowany ład pośpiesznej defilady przed trybuną Prawdy. W każdym ukrzyżowaniu jest interes doczesny jednych, nadzieja i zbawienie drugich, a nawet wszystkich. To żydostwo doczesnego interesu jest powszechne. Doprowadziłem cię do niego, Kodeksie, bez wysiłku i, jak sędzę, bez naciągań.

Łukasz Górnicki mówi, że „nakształt rzecyzpolitej lacedemońskiej Polska się sprawowała i nie o czem innem, jedno o wojnie myśliła”. Nieco późniejszy wielki kanclerz koronny, Ossoliński, mówi na sejmie: „przodkowie nasi, naówczas gospodarstwo wszystkie ubogim oraczom poruczywszy, sami ubóstwem sarmackiem kontentując się, sławę tylko i mężnych dzieł monumenta potomkom swoim skarbili”. Ale już Starowolski dodaje nieco wyraźniej: „Przed laty w Polsce rolą się bawić — kmieca rzecz była!

Przyszedł żyd, ale nie ten wezwany, czy wpuszczony przez pierwszych książąt w 8-em i dziewiątym stuleciu, lecz daleko później, bo aż w XV i XVI wie-

ku, gdy dawne rycerstwo rzuciło się na rolę po szybki i łatwy dochód. Na wschodnich rubieżach Rzeczypospolitej tam, gdzie później powstały województwa Lubelskie, Wołyńskie i dalej na wschód, kędy do Oczakowa wysyłano na statkach zboże za Jagiellonów, gdzie pozbawiono kozactwo wolności, a uczyniono z tych byłych żołnierzy — chłopów, przykutych do roli, tam zaproszono żyda, który pobierał daninę nawet od ślubów, posyłając do stolicy i za granicę polski pieniądz w nadstawione, a zawsze głodne kieszenie dawnych sarmatów. Spytaj kiedy pana Dmowskiego, Kodeksie, kto tu i za co powinien bić się w piersi.

To żydowskie darcie skóry jest powszechne. Że jakiś naród nie ma żydów prawdziwych, nie znaczy to jeszcze, że ten naród nie gospodaruje, lub nie gospodarował „po — żydowsku”.

Kodeksie, Kodeksie, nie w Jeruzalem zapadł wyrok pracy w pocie czoła, pracy niewolniczej, wyzyskiwanej. Jest to powszechna forma daniny składanej przez ludzkość — prawdzie.

Bogactwo zawsze jednego raduje, innemu czoło rosi krwawym potem.

Dożynki zawsze kogoś cieszą, komuś innemu sen skracają. Ale praca na tym padole trwa dopiero od niedawna. Dopiero dwa tysiące razy ścięto zboże. Skoro jestem przy głosie, pokażę ci żydostwo polskie polityczne, rasowo polskie, polskiego pochodzenia.

Podczas wojny Japońskiej, która doprowadziła do pierwszego pogromu caratu, miałeś nie więcej jak pięć lat i może nie znasz faktów, które tu przytoczę, a które przypominają mi zawsze Synedrjon i Piłata, z czasu procesu Jezusa, z zachowaniem, oczywiście,

różnicy osób. Józef Piłsudski w r. 1904-tym uczynił posunięcie, zmierzające do obalenia caratu. Udał się ten głosiciel wolności swego narodu do Japonji z propozycją dywersji na tyłach armji rosyjskiej tu, w Polsce. Synedrjon endecki wysłał z Warszawy Romana Dmowskiego, który upewnił Japońskie dowództwo, że ten zbawca nie ma żadnych sił i że nie należy do jego deklaracji mieć zaufania. Coprawda, Piłsudski nie ogłaszał się ani synem Boga, ani Zeusa, tylko w poczuciu rasowego obowiązku prowadzenia walki czynnej z rosyjskim najazdem, niósł, co mógł, a więc życie kilkunastu swoich zuchów albo, kilkaset lat nowego zesłania na Syberję dla dalszych rozmyślań. Być może, iż nie miał on dla sztabu japońskiego żadnych danych, ale jego zamiary powinny były być ocenione z wolnej ręki przez japoński sztab. Gdyby go tam nawet wysmiano, to jeszczeby się mógł pocieszyć trzcina Chrystusową. Ale jemu nie дано tego zrobić tu, z polskiego domu. Rodacy z synedrjonu warszawskiego zawołali: na krzyż! ukrzyżować!! Nie wierzcie mu, on nie jest Zbawicielem! Wśród wołających tak nie było ani jednego żyda.

— Co za okropność! krzyknął Nesesser.

— Okropność? Jaka? Wczorajsza? Bo zważ na taką samą okropność tamtych, w Jeruzolimie. Tamta była — onegdajsza. O to mi tylko chodziło, żebyś zakłai.

Zważ jeszcze i to, że za twoich lat dziecięcych licytowano w świątyni polskiego Jeruzalem — w Warszawie—dwa hasła: autonomję i niepodległość, można więc było ukuć pewnik — zrobiono to zresztą dużo później — że Dmowski nie widział niepodległości. Tymczasem w stosunku do Piłsudskie-

go nie o to chodziło Sanhedrynowi endeckiemu. Żydostwo posunięcia endeków polegało na takiej powszechnie znanej formule: nie ty będziesz naród zbawiał, tylko -- my. Usuniemy cię, niepowołany Zbawicielu, zewsząd, wszelkimi środkami! Woleli endecy — jak żydzi Chrystusa — spodziewać się niepodległości, niż ją otrzymać któregoś dnia z rąk rzekomo niepowołanych.

Wszystkie narody czyniły to samo ze swoimi wielkimi ludźmi. Prawie że nie znam wyjątku, chyba Waszyngtona dobrowolne usunięcie się w zacisze po wielkich czynach dokonanych. Ale iluż to zawleczono na stos, czy pod krzyż!

Przejście Napoleona przez ostrzeliwany most było w jego rozumieniu poza aktem osobistej odwagi — koniecznością, ażeby nasycić oczy swoich żydów bez majątek — sankiulotów.

Robespierre'owi czynią wymówki, że wysyłał na gilotynę, aż go wreszcie zgładzono.

Leninowi zarzucają, że unikał niebezpieczeństwa, a naszemu Mickiewiczowi?...

Rzesza zawsze chce jeść, ale są chwile, gdy pragnie widoku ofiary. Do Ostatniej Wieczerzy zasiedli dopiero co nawróceni żydzi. Jest ona wielkim faktem nie tylko dlatego, że Chrystus brał w niej udział, ale jeszcze dlatego, że była wstępem do czynu. Ostatnią Wieczerzę miał Joffre, Foch, Piłsudski...

„Macie mnie całego” — mówi ktoś do otoczenia, i niema w tem nic specjalnie żydowskiego, że otoczenie ofiary chce, że ją przyjmuje. Gdy wolny od oka ludzkiego, czyli — bez świadków — przepływał odmęty wód ichtjozaurus, — inne zwierzęta patrzyły rozciekawione, czy przepłynie, a gdy potwór

wpadał w gardziel wulkanu — radoowano się z poniesionej ofiary. A były to bez wyjątku mniejsze lub większe ryby, nie przyrządzone jednak po żydowsku. Więc piję zdrowie tych praofiara Kodeksie! Były to wielkie staruchy, ale — człowiek?...

— Księżę filistrze, ileż to ponurych obrazów roztoczyłeś, chcąc mnie pogodzić z mojem pochodzeniem...

— A, z tej beczki mnie próbujesz? To nieładnie. Ludzkość trwa, a trwając w czasie, ma swoje ranki i wieczory. Przyszedłeś tu do mnie z nocą w oczach, o czymże miałem mówić? Oto przegadaliśmy całą noc czerwcową, już świta, wkrótce zajaśnieje dzień. Na zegarku zestarzeliliśmy się, ale co do mnie, Kodeksie, rozmowa z tobą odmłodziła mnie...

— I mnie, i mnie, tylko mi jeszcze smutno, bo panna Teresa prędzej wyjdzie za ichtjozaura, niż za mnie...

— Ślub z ichtjozaurem byłby nieważny, a co się tyczy uczuć osobistych, nie umiem na ten temat dyskutować, ani przekonywać.

Wdowiec podszedł do strapionego gościa i pocałował go w czoło.

— Co mam czynić?

— To, co dotąd, z wyjątkiem wcierań truskawkowych po sklepach.

W cichej komnacie rozległ się szczerzy śmiech.

— Kodeksie nie chce mi się spać, — a tobie?

— Mnie także, chociaż to już wpół do trzeciej...

— Daj się namówić na wycieczkę po Wiśle motorówką.

— Z rozkoszą, — chodźmy!



Przeszli kilka ulic, zbliżając się ku rzece.

— O tej porze nigdy żydów nie widać, prawda?

— Niech ci się zdaje, że śpią u stóp góry Oliwnej...

— Wspaniale! czy to ta łódź?

— Tak jest. Kazałem wczoraj przygotować benzynę. Mam klucze.

Szli do łodzi, mającej z tyłu wystający motorek.

— Aż nie chce się uwierzyć, że to małe świecidełko będzie dźwigało taką szeroką łódź...

— Duszy wcale nie widać, a jak ona dźwiga...

— Dusza — to chyba najstarsza rzecz...

— I zarazem najmłodsza...

Popłynęli, ciągnąc za sobą złotawe warkocze z wplecionym słońcem, którego jeszcze nie widzieli.

Gdy po paru godzinach zakręcali z powrotem, doszły ich od jednego brzegu rozpaczliwe wołania: ratunku, ratunku, tonę! Ktoś istotnie tonał, a stojący na brzegu nie mogli nic postanowić.

Zanim ksiądz się spostrzegł, gwałtowny skok Nikodema zakołysał motorówką...

— Stój! podjedziemy, czekaj, bo tam wir!

Koduś pruł wodę prawidłowo ku radości Wdowca, który dobrze przewidywał, gdyż w chwilę potem wir porwał ratownika i odrzucił go od głowy tonącego. Nagle płynący wyprężył się w wodzie i dał potężnego szczupaka poprzez wartki prąd. Powtórzyły się te skoki raz i drugi...

Ksiądz bezwiednie zatrzymał łódź... Niech się stanie, co się ma stać; nie chciał czemuś przeszkadzać, jak arcykapłan żydowski w obliczu krzyża... Żałował podświadomie ksiądz filister, że w łodzi nie znajduje się panna Teresa, ale zdecydował, że mo-

że to i lepiej, chociaż był pewien, że Koduś ją tam w wodzie widzi. Zuch, zuch! Już ucapił za płową łepetynę, aż obaj zniknęli pod wodą... Ale staruch prąd wiślany także pracował na swoją rękę i niósł płynącego od brzegu... Jeszcze jeden szczupak w bok i Koduś wynurzył się, trzymając, a raczej mając uczepionego u szyi chłopaka, który żył i rozpoczął radośnie wyć.

Chłopak dostał srogie bicie od starszych kolegów, a Koduś zemdłał i runął na piach.

— Proszę dobrodzieja, trza teraz tego żyda ratować.

— Skąd wiecie, że żyd? padło pytanie.

— Dość spojrzeć na gębę! ozwał się głos.

Ksiądz westchnął i począł cucić Kodusia, który tej ostatniej rozmowy nie słyszał.

Pierwsze słowa Kodusia, gdy wracali do miasta, były jednak takie:

— Wiem co zrobię, księżu filistrze. Wydamy Teresę za bohatera!

— Nie łatwo o takiego, Kodeksie.

— Tak, tak, nie łatwo — szepnął żałośliwie, wykręcając wodę z rękawów. Wiem, że to trudne, ale w Polsce znajdziemy go napewno.

— Znałem takiego, ale straciłem go z oczu.

— Któż to taki?

— Nazywa się Jan Glorjan, syn robotnika warszawskiego.

Koduś zadrżał. Chciał natychmiast powiadomić Wdowca, że podczas jego pobytu w Ameryce Glorjan był u nich w domu, ale postanowił milczeć. Pomny wyjątkowej urody Glorjana, powziął jakieś postanowienie.

— Jakiś Okrzeja? spytał tylko...

— Coś w tym rodzaju, a nawet żyje...

— Nawet? dlaczego nawet? tem gorzej dla bohaterstwa — stwierdził Koduś, omiatając oburącz resztki wody z włosów.

— Chcesz być swatem, a na męża trzeba takiego, który jeszcze żyje.

— Oczywiście, oczywiście... A co ten Glorjan robi?

— Nie wiem nawet, gdzie się obraca, ale ojciec jego był bojowcem, a on przyczynił się osobiście do wzięcia przez japończyków Portu Arthura.

— Dobra krew! A czy głos ma czysty?

— Tak ci zależy na jego głosie?

— Księżę filistrze, głos — to najważniejsze. Łeb i pysk można wymyć, pazury poobcinać, nogi doczyścić, wyszorować, ale głosu nie wypierze, nie wyszoruje nikt!

— Czas to robi...

— Więc Teresa ma czekać sto lat, aż mu się głos uformuje?

— Arystokrata z siebie...

— Tak jest. Szukają teraz w Polsce elity, niech szukają po głosie... ale nie do żadnego sejmu, tylko niech się nawołują!... Znajdę tego Glorjana! Mam cel w życiu przynajmniej na jakiś czas. Prawda, księżę filistrze, że uczucie miłości to wspaniała rzecz?

— Może najwspanialsza, jeżeli bezinteresowna...

— Taką miłość pokazał mi ksiądz nocy dzisiejszej. Wielka miłość wynika z wielkiego cierpienia. Nazwał mnie ksiądz bankierem Chrystusa. Powiem do Teresy: nie jestem godzien, ale on, Glorjan, jest

godzien. Odszukam go! Czy mogę liczyć na pomoc księdza filistra?

— Najzupełniej.

— Mój Boże, gdyby o mnie chodziło, to — nie?

— Nie pytałeś o to.

— Nie zapytam.

## IX.

### S P O R T.

Podczas pierwszej wspólnej przejażdżki Teresa zauważyła:

— Wspaniale pan siedzi na koniu.

Koduś dotknął ręką beretu.

— Staram się tylko dorównać...

— Zapewne mnie? Proszę pana, kobieta nigdy nie wyjdzie dobrze na koniu. Siedzi za płytko w siodle, a kapelusz ma za głęboko na głowie, prawda? Jesteśmy tylko tolerowane.

— Istniały przecież amazonki...

— Tak, bez siodeł i meloników... zresztą, nie żyłam wtedy, ale musiało tam być niewielu mężczyzn, gdzie królowały amazonki... Zresztą jest pewna różnica świadomości u pana — dosiadania, u mnie — obejmowania, czy jak tam, konia.

Koduś wolał na to odpowiedzieć stykiem po swojej cholewie, aż konie zarwały kłusa.

— Weźmy tempo, dobrze?

Pocwałowali boczną drogą ku lasowi.

— Przez las en carrière przed muchami...



— Wie pan, nauczyłam Djanę rzyć na mój głos... tylko muszę od niej odejść o kilka kroków...

— Rozumiem.

— Niech ją pan potrzyma... hop! (zeskoczyła) z siódła i odbiegła w bok.

— Pokochaj! — rozległ się jej głęboki głos.

Djana zarżała, a Koduś chciał ucałować jej drgające nozdrza.

— Pokochaj! — rozkazała Teresa — nieco z innej strony.

Klacz znalazła ją mądrymi oczami i ponownie zarżała.

Koduś zsiadł z konia, ażeby Teresie pomóc.

— Czuję się innym człowiekiem...

— Na koniu? wierzę...

— Nie, w towarzystwie pani...

Zatrzymały ją te słowa.

— Proszę pana, my, kobiety, odczuwamy wasze pokusy tak czujnie i nieomylnie, jak własne. Jeżeli chodzi o moje towarzystwo, służę panu bez zastrzeżeń, ale jeżeli chodzi o mnie, — trudno, ale nie mogę panu dać żadnych wskazówek dla pana przychylnych, lub chociażby ośmielających, gdyż byłabym to oddawna zrobiła... Więc, jakże?

— Przyjmuję tak postawiony program w całości.

— Proszę o pomoc przy zdobyciu Djany...

Wsiadła po jego splecionych dłoniach.

— Wobec naszej umowy wolno mi będzie zachwycać się tem, co godne zachwytu.

— Teraz wszystko panu wolno, panie Nikodemie. Niech pan zresztą nie przypuszcza, że względem pana biorę pod uwagę jakiegokolwiek różnice rasowe, któreby przemawiały na pańską niekorzyść. Broń Boże! Jest pan pięknym mężczyzną i niepowszed-

nim. Dlatego właśnie, mając na uwadze pańską godność, chciałam oddawna zapobiec pańskim oświadczeniom. Przeskoczmy przez to i bądźmy przyjaciółmi, dobrze?

— Niepotrzebnie pyta pani o ocenę swoich rozkazów.

— Chce pan, znajdę panu żonę...

— Tego jednego nigdy pani nie dokona! — wykrzyknął prawie radośnie Nesesser.

— Ach, jak pan to zawołał!... Ciekawam, co by pan ze mną zrobił, gdyby pan był Bohunem?

— To samo, co Bohun!...

— Jakto?

— Grałbym na lutni i patrzył, śpiewając. W naszym wypadku, to niech mi chociaż będzie wolno już choćby moją biedę nazywać „naszą“, otóż w naszym położeniu, dopóki świat będzie istniał, scenerja musi być ta sama. On, albo ona musi patrzeć i śpiewać.

— Ależ pan musi coś ważnego w życiu zrobić!

— Jeżeli nawet zrobię, to w zasięgu mego bólu, który chyba nie dokucza pani?

— Ależ nie o mnie chodzi! Niech pan zrozumie! W naszym położeniu niezależności materialnej i wolności towarzyskiej, mogłabym oddać się panu, — i cóżby panu z tego przyszło?

— Jakaż pani szczerza i czysta zarazem! Niedaremnie ksiądz...

— Niech pan dokończy, to i ja panu coś powiem.

— Ksiądz Wdowiec rzekł do mnie proroczko: Kodeksie, jeżeli dotrzymasz placu, to ta kobieta rozwinię w tobie piękno i wolę.

— Wzamian opowiem panu coś, co powierzam pańskiemu honorowi. Kochałam się w księdzu

Wdowcu tak mocno, że aż wiedział o tem. Przyszłam do niego, gdy był sam i nastawałam, słyszy pan, żeby mnie uszczęśliwił. Odpowiedział mi, że nie jako ksiądz nie może tego uczynić, lecz że mnie nie kocha. Mielśmy długą niezapomnianą rozmowę, a gdy klęczałam u jego stóp, szepnęła: przecierpisz, przeminie, zapomnisz i jeszcze pokochasz... Wreszcie dziwnym głosem dodał: mam dla ciebie męża, jeżeli go odnajdę... Niech pan sobie wyobrazi, że opuściłam jego mieszkanie uspokojona.

— Możliwe, że go pani nie kochała — przy tej różnicy wieku.

— Kochałam, słyszy pan? Kocha się bez różnicy!

— Nie wierzę...

— Pan jest niepoprawny...

— A czy ksiądz Wdowiec odnalazł tego kogoś?

— Dotąd nie... a gdyby tak, to pan go chce zabić?

— Nie: chcę go pokochać — prawie załkał Koduś.

— Jestem panu oddana, panie Nikodemie. Mocny pan jest i nie będzie chciał odemnie byle czego...

Zdjął beret i modlił się do niej:

— Skąd mogłem wiedzieć, że wtedy na korcie poznam właśnie panią? Przeszedłem przez mękę i jeszcze jej doznaję. Ale ileż ja cudów przez ten czas zobaczyłem tylko dzięki pani. Nie będę więcej nudnym, ale dzisiaj wyjątkowo domagam się cierpliwości. Niech pani zazna chociażby przez chwilę doli Monny Lizy, do której cały świat modli się w zachwycie. One, te wielkie bohaterki piękna, tylko patrzą z ram, a ileż się przez to dzieje na świecie.

— Ukradziono ją...

— To nie ja! Zresztą powróciła na swoje miejsce

i słusznie. Ktoby szukał w słowniku, czy senniku egipskim losu młodego przystojnego syna bankiera, znalazłby — nieprawda — wskazówkę pod tytułem: balet, miłostki, przygody i t. p. U mnie stało się inaczej. Kort mego życia otoczyłem białym kołem, którego nie przekroczę, ale na tym korcie będzie ciągle nierozzerwalna para: ja i pani, a właściwie pani i ja, dobrze?

— Zgoda! Przyjmuję od pana każdą piłkę, tylko nie trzeba grać zbyt często, gdyż możemy kiedyś zepsuć to, co najwięcej warte na świecie.

— Przyjmuję wszystko i wszystko potrafię nazwać szczęściem.

— Wie pan, nie nabyłam doświadczenia w żadnej przygodzie, a jednak jestem doświadczoną przez instynkt. Jeżeli kobieta czuje się być cenną, a ja się za taką uważam, jeżeli ma nerwy nie zszarpane alkoholem, albo poniewierką, — to taka kobieta może dać bardzo wiele — poza cielesną uległością. Niech mnie pan nie posądza o jakieś wyrafinowanie, o znajdowanie mężczyzny tam, gdzie go nie ma; albo o chęć doprowadzenia pana jaknajbliżej z gwarancją zachowania tak zwanego dziewictwa. Tych rzeczy nie szukam i nie myślę o nich. Owszem, przeczuwam, że los porwie mnie kiedyś w objęcia i odda komuś. Aż się wstydzę, jak dalece czuję wewnętrzną zgodę na fizyczną przynależność, na bezgraniczne zespolenie. Pocieszam się tem, że w oczach u mojej Djany znajduję to samo poszukiwanie jutra nieznanego... Otóż widzi pan, panie Nikodemie, pan nie czyta w moich oczach takiego posłuszeństwa, dla siebie, nie dostrzega pan tej ciekawości, która należyć się panu będzie od kobiety, którą panu dam...

— Deszcz pada...

— W naszym wypadku powinna być burza, prawda?

— Burza będzie posłuszna, jak ja nim jestem i będę... Boże! ileż piękna może być w rozmowie...

— To nie w rozmowie, to w nas jest tyle piękna. Czai się piękno, żeby nami owładnąć i przejść po nas, ale my nie damy się... Niech pan podjedzie, bo nawet tu nie chcę głośno mówić, zabawne, co?

Otóż, najwyraźniej czuję, że coś czai się na mnie, coś takiego, przed czym ani mi się śni wołać o ratunek. Widzę, że dokuczam przyjacielowi. Ponieważ nie grzmi, schrońmy się przed deszczem.

Zsiedli z koni. Teresa podeszła do Kodusia.

— Niech masztalerz przyjmie odrobinę czaru, gdyż zasłużył... Książdz Wdowiec wie doskonale, co się w panu wyprawia z mego powodu.

Podeszła jeszcze bliżej do chłopca, który zdjął czapkę i zamarł w oczekiwaniu. Opasała go rękami i przyłgnęła, szepcząc:

— Proszę nic nie mówić, bo spojrzę, a wtedy zacznę kłamać... mówić będę ja: jeżeli mnie nie spłoszysz, to tak przezęmnie wypiękniejesz, że jeszcze kiedyś będę o ciebie zazdrosna... nie znasz kobiet?

— Nie...

— To dla kobiety bardzo dużo, ale ja... czekam... czekam na coś innego...

Krzyknęła, gdyż Kodeks porwał ją, dźwignął i odniósł o parę kroków, poczem spojrział na niebo.

— Wypogodziło się...

— Wobec tego, że to była burza bez piorunów, przepraszam, że krzyknęłam...

— Was oboje, — panią i tego nieznanego —



chciałbym kiedyś tak samo odnieść z tego miejsca, gdzie pioruny biją.

— Dziękuję... i wierzę. Dałam panu do potrzymania moją duszę... to się może powtórzyć, gdyż pan umie trzymać...

Zaczęli żartować.

On, patrząc na łepiek Djany, zauważył:

— Iluż to ludzi oddałoby życie, gdyby pani zawołała na nich, jak dziś na Djaną...

— Życie? Pocio, ach pocio zaraz życie?... Przepraszam, „pocio” mówi mój ojciec, gdy komu opo-  
nuje w rozmowie... Więc zaraz — życie? Upewniam  
pana, że każdy chętnieby zarzął, jak Djana i, jak  
ona, zachował życie w całości...

— A tamten przeczuwany?...

— Ach, tamten? Ale pan ma pamięć!...

— Nic teraz nie mam, prócz pamięci...

— Tamten, z którym mnie swata ksiądz Wdo-  
wicz?

Zabawny swat, który zgubił mego oblubieńca  
i nie wie, gdzie się znajduje... Powiedział mi o nim,  
że to prawdopodobny zdobywca Portu Arthura...

— Japończyk?!...

— Ależ — polak! Wszystko to takie tajemnicze,  
a jednak ksiądz wierzy w jego odnalezienie.

Czasami i ja wierzę...

— Brak mi rasy, żeby się bawić życiem, jak  
pani...

— Niech pan tak nie mówi: rasy pan ma dość,  
tyle, co i ja... Przecież pan nie jedzie przez życie  
pełnym tramwajem, którym jadą rasowe przesady.  
Oboje zajmujemy sporo miejsca.

— Pani przemawia jakimś wielkopańskim

abecadłem, a wszystkie litery, których pani raczy używać, mają korony...

— Ależ pan zatrudadzony!

— Jestem skazańcem, który cieszy się z tego...

Czasami podejrzewam, że u pani ksiądz Wdowiec wyprosił nieco łaskowości dla mnie...

— On? Już panu o nim opowiedziałam, teraz dodam, że skłamał, mówiąc, że mnie nie kocha. Widzę to w jego oczach i ruchach, gdy jest przy mnie... Każę panu włożyć sutannę, ażeby być spokojną...

Konie wybijały po szosie rytm pod niewypowiedziane słowa...

Kodusz przestał nareszcie wierzyć w możliwość owdzięcia jaźnią Teresy. Ponieważ nie mógł sobie odmówić obcowania z nią, czego mu zresztą nie broniono, postanowił doprowadzić sport do granic możliwości, licząc w tajemnicy przed samym sobą, że jakiś cud na jakiejś przeszkodzie zbliży ich losy ku sobie.

Służba stajenna w maneżu nie mogła wyjść z podziwu na widok szybkich postępów jeździeckich Kodusia.

Przy braniu przeszkód zdumiewał instynktem. W skoku należy umieć wyjść z siodła, nie opuszczając go ani na chwilę. Ten paradoks gimnastyczny musi polegać na instynkcie. Na tak zwane rozumowanie niema tu czasu.

Stefek Styczeń dobrze wiedział, że Kodusiowi zależy na dopędzeniu panny hrabianki. Trzyma stronę jeźdźca nie tylko przez męski honor, ale i przez współczucie. Mianowicie, kocha się Styczeń w młodziej od Nesesserów i odwiedza od strony dotyczącej

pałac. Toteż gniadosz Kodusia, Atos, nigdy nie jest przekarmiony i zawsze w porę napojony. Od tych czynności zawisł humor konia dobrze wytrenowanego.

— Koń jest w stanie przeskoczyć tramwaj, na to sił mu wystarczy, ale po takim wyczynie spotkanie z ziemią, czyli opad po skoku jest nie do opanowania dla jeźdźca. Koń wie uszami, czy przeskoczy, czy nie. Są konie, które parsaniem dopominają się o uderzenie, jak o kieliszek wódki.

— Panie Kodeksie, w braku tramwaju — przez tamten rów — dobrze?

— Dobra!

Nie folgując cugli dali znak koniom łokciami. Teresa przepłynęła płot, pół leżąc w siodle, a jednak zdążyła chwycić i przekazać ciężar własny strzeżnikom, stojąc prawie nad siodełkiem.

— To nie jest skakane przez panią, tylko za-grane na harfie...

— Z uśmierzaniem strun dłonią, jak teraz głaszczę Djanę po szyi? Może pan ma ramię. W skoku jest muzyka.

— Jest podstawa muzyki, jej dusza — rytm!

— Nie umiem prowadzić samolotu. Uczę się. To jest także rycerskie, jak wszystko co odwagi wymaga, nieprawda?

Niech pan mnie nie wyśmiej, ale jest pewien rodzaj jazdy, który zrobił na mnie wrażenie niezatarte. Coprawda oglądałam tę jazdę w specjalnych warunkach. Mój ojciec po śmierci matki zajmował się mojem wychowaniem. Nie uwierzy pan, jaki był tkliwy. Za to go tak kocham. Mamy w domu na wsi przepyszny egzemplarz biblij wprawionej w osobny stół z pochylonym blatem. Stronice muszą odwracać

dwie osoby, żeby nie przedrzeć papieru. Artystyczne ilustracje, coś w rodzaju Doré'go, ale większe, wyobrażają życie Chrystusa. Jest tam wjazd do Jerozolimy na osiołku. Miałam sześć lat, gdy mi to pokazano poraz pierwszy. A trzeba panu wiedzieć, że w naszym parku osiołek Sancho, rozwoził wodę, Gdy ojciec przy pomocy opiekunki rozłożył przedemną wjazd Chrystusa, zawołałam: Bozia jedzie po wodę! Był z tego śmiech, ale wrażenie, które pozostało, trwa do dziś dnia. Wie pan, Chrystus i osiołek są biali, a tłum witający Chrystusa, rozwinięty w półkole, wygrawerowany jak gdyby w promieniach zachwytu i chwały. Otóż, jakikolwiek sposób lokomocji uprawia i będzie uprawiała ludzkość, jestem pewna, że Chrystus na osiołku zawsze nas dogoni, a gdy zechce to i przegoni. Czy pan wie, że bez tego osiołka nie wierzyłabym w Boga? Mój ojciec, niesłychanie bogaty człowiek, lubi zmieniać miejsce pobytu. Gdziekolwiek przejeżdżamy, wszędzie otwierają nam kredyt na wydatki. Nie mogło nie dojść do pana, że wydatki papy są nieraz wygórowane, a jednak jestem pewna, że gdyby mnie z ojcem wyrzucono na ulicę z najpiękniejszego hotelu, zaraz potem nadjechałby Chrystus na osiołku, by nas poratować.

Koduś nie miał nic do powiedzenia, a zarazem czuł, że on takich wspomnień chociażby ze Starego testamentu nie ma. Wchłonął opowiadanie Teresy na własność. Jechali linią wyciętą w starym lesie. Doszedł ich uszu tentent galopującego konia. Po chwili ukazał się jeździec, powściągający wierzchowca.

— To Eustachy książę Liliput — poinformowała Teresa.

— Witam drogą kuzynkę! Ach gdybym wiedział, wziąłbym Hektora, a ten mój Ajaks będzie zbyt u-przejmy dla Djany... hooo! hooo!!... Cóż to kuzynka robi wjazd do Jeruzalem?

— Nie rozumiem kuzyna...

— Nie mogę powtórzyć, bo usłyszy...

Koduś usłyszał, ale się opanował, natomiast powziął plan nadający się do sytuacji.

— Pozwoli pani, że odprowadzę nieco księcia, ażeby sytuacja łatwiejszy miała przebieg.

— Proszę, poczekam tu.

Panowie w lansadach odjechali nieco i wkrótce zakręcili, żeby ogier Liliputa stracił orientację.

Gdy już Teresy nie widzieli, nagle Koduś uderzył Liliputa stykiem przez głowę, wołając:

— Masz, łobuzie jeden, wjazd do Jeruzalem!... szczęśliwej drogi!!...

Nie obliczył uderzenia, zwałił bowiem jeźdźca z konia, który — wiedziony instynktem — natychmiast zawrócił ku Teresie. Koduś, leżąc na szyi swego wałacha, daremnie cwałował z wyciągniętą ręką, by schwycić cugle Ajaksa, który wreszcie dopadł klaczy Teresy i w ostentacyjnych lansadach, na dwóch tylnich nogach, ujawniał swe rycerskie zamiary. Dopiero w ostatniej chwili Koduś przeskoczył z siodła w siodło i poskromił ogiera. Koń Kodusia, jako luzak, przedzielał tego trzymanego Ajaksa od przedmiotu pożądań, i tak zdążali ku miastu.

— Co się stało z księciem?

— Idzie pieszo, ale nie do Jerozolimy...

Teresa milczała.

— Proszę pani, usłyszałem, co ten pan powiedział, więc wydało mi się, że utracę pani szacunę. gdy zniosę obrazę.



— Są inne sposoby...

— Są, są, użyłem najstabszego, ale i tego wystarczyło, że spadł z konia, a Ajaks zaraz tu zawrócił.

Teresa uśmiechnęła się do własnych myśli.

— Wróćmy do niego. Nie do każdego Chrystus na osiołku podjeżdża.

— Zadanie jest istotnie skomplikowane: hrabianka, trzy konie i osioł, czyli ja.

Po chwili dopadli Liliputa.

Teresa ratowała sytuację.

— Kuzynie, to przezemnie koń pana zrzucił. Ach, upadł pan na jakiś korzeń, mam wodę utlenioną w manierce przy siodle, proszę... Pan Nesesser opowiedział mi całe zajście. Jeszcze raz przepraszam.

Liliput patrzył na nich bez wyrazu.

Teresa zsiadła z klaczy, a Koduś umyślnie odjechał z końmi.

Teresa zwilżyła chustkę i otarła twarz i czoło kuzyna.

— Mówiłam ci, Eustachy, że ludzi nie wolno obrażać.

— Mówiłaś, mówiłaś, chère cousine, i ja się do tego święcie stosuję, ale tu nie obliczyłem, że stał tak blisko.

— Zawsze jest za blisko, gdy się ma głupstwo palnąć.

— C'est bien dit, comme toujours!...

— Od tego pana zażądam, żeby zajścia nie rozgłaszał...

— A czy on ci opowiedział?

— Broń Boże! powiedział tylko to, co ci powtórzyłam, ale od czego mój domysł. Zbyt dobry z ciebie jeździec, żebyś z konia spadał w biały dzień...

— Słowo, że nie opowiedział?

— Słowo... rzekła Teresa bez namysłu.

Wówczas Liliput z mokrą jeszcze twarzą podbiegł do Kodusia.

— Proszę pana — rzekł, wyciągając rękę: w całym incydensie, stała się rzecz, za którą pana przepraszam, panie Nesesser. Mam odwagę tak postąpić, gdyż i pan postąpił po dżentelmeńsku. Narodowości nie powinny odgrywać w życiu towarzyskiem żadnej roli, prawda? Uczono mnie od dziecka: jeden Chrystus, jedna ludzkość.

Kodusz zdjął czapkę, uścisnął podaną dłoń, z wdzięcznością patrząc w Teresę. Po opowiadaniu o osiołku to załatwienie przez nią przykrej sprawy także wchłonął na własność.

## X.

### SPOTKANIE.

Jana Glorjana łatwiej było znaleźć, niż przypuszczał ksiądz Wdowiec.

Spotkała go Teresa Bruttówna w Monte Carlo w okolicznościach dość szczególnych.

Któregoś dnia, galopując na swojej Djanie, Teresa uległa wypadkowi. Klacz zlekła się samochodu i wpadła na wózek z wiktuałami. Nastąpiło starcie, po którym Teresa znalazła się w rowie, w wieńcu bananów i pomiażdżonych pomidorów. Klacz przytrzymano, a sprzedawczyni wystąpiła z pretensją.

Hrabianka zaprosiła babę do Casina, obiecując tam wypłacić, „powiedzmy”, 500 franków.

Udobruchana kupcowa zostawiła swój kramik na drodze, a raczej w rowie, otarła rajtuzy hojnej panny z pomidorowych resztek, i poszły ku pałacowi, a Djana wesoło trącała babę łebkiem, idąc za kobietami.

— Pani jest bogata? spytała baba.

— Mój ojciec jest bogaty — usłyszała.

— To wszystko jedno.

— Dla pani — tak.

Doszły do pałacu od strony prywatnych salonów.

— Niech pani tu poczeka — rzekła przy służbie Teresa do chłopki.

Otworzono przed nią drzwi wśród ukłonów.

— Czy stary Duchateau jest na górze?

— Tak jest, hrabianko, ale on uważa się za młodego.

— Tem lepiej. Proszę dać krzeselko tej pani. Zaraz tu powrócę.

Babie podano krzesło. Znali ją.

— Cóż to pani Barry chce się zapisać na stałego członka?

— Jeszcze nie zawarowałem. Mam otrzymać pieniądze.

— Tak — bez gry, a za co?

— Za moje banany i za pomidory...

— A dużo?

— Pięćset franków! — nie wytrzymała kumocha.

— Nom de Dieu! Za pomidory od hrabianki?

— Jej kobyła potłukła mi cały kram.

— No to razem 50 franków — zauważył groom, trzymający Djanę.

— Co ci do tego? Trzymaj, co ci kazali i milcz. Chłopak przysiadł i żartował:

— To teraz z madame Barry będzie nanowo madame du Barry!...

— Głupiś!...

— I zetną pani głowę!...

— Żebym ja ci mordy nie połamała! — odparła baba, ale już się śmiała razem z nim.

Chłopak rechotał dalej:

— Czy można wobec tego prosić o pani rękę?

— A tak, z cudzą kobyłą w łapie...

Teresa weszła na górę i została powitana niskim ukłonem przez starego Duchateau.

Pod oknem hallu stał ktoś we fraku obrócony tyłem.

— Drogi panie Duchateau, ojca, oczywiście nie ma.

— Nie, hrabianko... o tej porze?

— No, czasem bywa.

— Nikogo dzisiaj nie ma, hrabianko...

— Czy pan ma przy sobie 500 franków? — rzekła z uśmiechem.

— Zaraz, zaraz...—począł szukać w bocznej kieszeni fraka.

Ktoś stojący pod oknem odwrócił się.

Spojrzeli na siebie. Teresa zgięła styk w rękach i opuściła oczy...

Duchateau uśmiechnął się i czekał nieruchomo.

— No jakże?—spytała Teeresa, po raz pierwszy w życiu zakłopotana.

— Hrabianko, mam tylko pięćdziesiąt franków, jaka szkoda... zaraz, zaraz... Janie... to jest, panie Glorjan, niech mi pan łaskawie pożyczysz do jutra 500 franków.

Pan we fraku wyjął portfel, ale przypomniawszy coś sobie, schował go zpowrotem, natomiast sięgnął do tylnej kieszeni i wydobyl spięty gumą zwitek banknotów.

— Same tysiące — służę panu.

— Potrzebuję tylko 500 — padły słowa Teresy, która z uznaniem spojrzała na człowieka, nazwanego Glorjanem za to, że wręczył pieniądze nie jej wprost, ale panu Duchateau.



— To wszystko jedno, hrabianko...

Pannę zainteresowała sytuacja dość osobliwa, ale, opanowawszy ciekawość, rzekła:

— W dalszym ciągu potrzebuję tylko 500 franków. Moja klacz Djana stratowała wózek z jarzynami. Baba nie będzie miała reszty. Czekaj na dole...

Na twarzy starego kamerdynera zaigrał radosny uśmiech. Szybko podszedł do Glorjana i wyjął mu banknot z ręki.

— Zaraz zmienię hrabianko...

Zostawił ich w hallu i niezamieślnie prędko schodził ze schodów.

— Pan grywa tutaj?—spytała po dłuższej pauzie Teresa.

— Nie, hrabianko... może będę pracował...

— Taka służba?!

— Tak, hrabianko Tereso...

— Pan zna moje imię?

— Tak jest. Podziwiałem pani konną jazdę w warszawskich Łazienkach, a afisze ogłaszają imiona jeźdźców.

— Nie jestem jeźdźcem...

— Tak, ale imię hrabianki jest Teresa.

— Tak jest. Pan często bywa w Polsce?

— Tak często, jak i pani, hrabianko...

— Co to znaczy?

— W tem tkwi potrzeba mojej niezależności. Chcę się wyzwolić z konieczności przebywania tam, gdzie i pani, i dlatego chcę tu służyć... czy hrabia ojciec pani, gra?

— Możliwie, że gra...

— Jeżeli gra, to, wchodząc do tego domu gry, jest bardziej zależny od losu, niż ja nim będę, służąc.

— Przepraszam, ale nie umiem nikogo moralizować. Każdy postępuje według swojej woli i wo-

góle przepraszam pana za moje pierwsze pytanie, ale czy to Duchateau doradza panu?...

— On, nie! Zbyt dobrze zna moją przeszłość; zna ją jeszcze w Polsce ksiądz Wdowiec.

— Przyjaciół mego ojca?...

— Możliwe, hrabianko...

— Ach, więc pan zna księdza Wdowca?—szepnęła wzruszona.

— Opiekował się mną, gdy byłem dzieckiem.

— Dziwne spotkanie...

— Dla mnie nie pierwsze...

— Ale dla mnie... przepraszam pana bardzo...

— Za co?

— Że panu zabieram czas moją osobą.

— Cóż znaczy kilka minut wobec kilku lat?

Znam hrabiankę z widzenia od 6-ciu lat.

— Jeszcze 5 lat temu byłem w Paryżu...

— I ja tam byłem...

— Co pan robił w Paryżu?

— Byłem graczem, ale obecnie przestałem...

— Czy tyle pan wygrał?

— Broń Boże, przestałem, przez siłę woli. To straszna zależność, największa ze wszystkich...

— To możliwe — szepnęły usta Teresy.

Podczas tej rozmowy Duchateau powracał na górę jeszcze wolniej, a po drodze pogłaskał czekającą babę.

— Miała pani wózek, teraz kup pani wagon...

— A pana Duchateau wezmę za konduktora.

Duchateau zastał Glorjana i Teresę tak doskonale milczących, że nie śmiał się odezwać.

Po dokonaniu niezwyklej tranzakcji Teresa udała się nad morze. Uklękła na marmurowej ławie za posągiem Berlioza i patrzyła w morską toń.

— Cóż to za uroda! On ma przeszłość i to nie byle jaką. Jak pięknie mówi. Co on przeżył? Samo opowiadanie byłoby zachwycające.

Obejrzała się nagle na pałac, czy ją stamtąd nie śledzą.

— Muszę, muszę go poznać. Jakiż piękny! Czyż nie widziałam tylu przystojnych ludzi? Nie, nikogo tak pięknego! Co za zdarzenie! Gdyby nie wybryk Djany, nie zobaczyłabym go nigdy, albo owszem, zobaczyłabym, ale już jako służącego, jako lokaja Casina.

Coś wstrząsnęło Teresą. Prawie biegnąc, wróciła do pałacu, ale już Glorjana nie zastała.

— Panno hrabianko, hrabia Brutto zaprosił pana Glorjana do gry.

— Więc cóż znaczyła ta komedja?

— To nie była, proszę hrabianki, komedja. Zaraz opowiem. Gdy panna hrabianka raczyła wyjść z pałacu, pan Glorjan długo przechadzał się po hallu, milcząc. Nie odzywałem się. On dużo, panienko, wycierpiał. Takiemu nie można przerywać myśli, nieprawdaż? Potem zaczęli przechodzić panowie, oglądali się na niego, myśleli, że to jeden z partnerów poprawia sobie włosy przed lustrem. Ale on nie miał grzebienia w ręku, tylko chustkę. Ocierał oczy... A w chwilę potem hrabia ojciec panienki wyszedł do hallu i spytał mnie, kto to taki. Powiedziałem, a hrabia drgnął i zaraz mu się przedstawił i zaprosił na czwartego, bo nie było kompletu. Obiecał nisko grać, żeby tylko czas przepędzić. Glorjan przystał.

Teresa już coś postanowiła.

— Proszę, niech pan Duchateau zaraz wywoła tu mego ojca, ale zaraz!...

Po chwili Brutto wszedł zdziwiony do hallu.

— O, witam amazonkę! Poznałem przed chwilą niejakiego pana Glorjana.

— Znam go, ojcze, rozmawiałam z nim.

Wzięła ojca za szyję i coś szeptać zaczęła.

— Jakto, tak zaraz, ale w jakim charakterze?

— W charakterze podróżnika, i proszę o 500 franków na śniadanie... Jutro o 1-szej u mnie, dobrze?

— A dziś?

— Dziś (spojrzała na zegarek) idę się ubrać do teatru na Fausta.

— A kto będzie Mefistem?

— Szalapin, albo może bez Mefista, może Mefisto gra w tej chwili z ojcem w karty? — szepnęła.

— No, no, nie dam mu się tak łatwo...

— Ani ja, ale czy ojciec oddał 500 franków panu Glorjanowi?

— Oddałem, oddałem, wszystko mi opowiedzieli. Najlepszy interes zrobiła ta baba z wózkiem.

— Więc do jutra!

Bała się czegoś, jak dziecko, a nadewszystko, żeby Glorjan nie miał czasu zostać służącym.

Wypadki, poprzedzające rozmowę Teresy z ojcem szły równie szybko.

Gdy Brutto wszedł do pałacu, uderzyła go uroda męska Glorjana. Brak partnera zmusił go do zadzwonienia.

— Cóż, nikt więcej nie przyszedł? Nie masz, Duchateau, kogo czwartego?

— Mam, jasnie hrabio, ale nie wiem...

— Któż to taki?

— Niejaki Jan Gorjan...

— Kto, kto? — przypomniał sobie Brutto rozmowę z Wdowcem. — Daj go tu...

Poznali się. Wspomnieli o Wdowcu, gdyż o to zaczął Brutto.

— Niech pan siada. Gra będzie umiarkowana.

— Nie grywam, panie hrabio.

— Raz jeden ze mną — na szczęście, chyba że pan zupełnie gry nie zna.

— Owszem, znam, grywałem niegdyś.

— Niegdyś? Pan za młody na „niegdyś“.

Brutto doskonale wiedział, że gra hazardowa nie jest zajęciem, zaszczyt przynoszącem. Jeżeli w intymnych rozmowach walczył z Wdowcem, przygotowując księdza o rozpacz, wewnątrznie myślał o tych sprawach zupełnie co innego, niż mówił.

Wielka fortuna ratowała go — czuł to doskonale — przed skutkami nałogu. Wiedział i to, że podczas gry poznaje się człowieka najlepiej.

— Gdyby wszyscy bez wyjątku grali — podjąłbym się sporządzić odpowiedzialny spis porządných ludzi i szujów.

Brutto nie spodziewał się, że pozna Głorjana w domu gry, to też pierwszą myślą o nim było: gracz. Westchnął smutno w stronę Wdowca, ku Warszawie.

Był wszakże zbyt obytym człowiekiem, ażeby wyrokować pośpiesznie. Postanowił rzecz zbadać, a że na miejscu badanie było nad wyraz ułatwione, skorzystał z braku partnera. Nagła chęć Teresy, ażeby Głorjana zaprosić do willi na śniadanie nie zdziwiła go sama przez się, ale uderzyło go podniecenie córki, tak u niej rzadkie. Chłód Teresy w stosunku do mężczyzn niepokoił ojca, który czuwał nad nią bardziej, niż się to pannie zdawało.

Teresa miała paru starających się z polskiej arystokracji, ale tych odradził jej ojciec w sposób niezwykle pomysłowy: jednego zaprosił na bieg myśliw-



ski z płotami i rowami, a drugi skierowany przez ojca na plażę sam się zdemaskował przed córką. Tu zaszedł wypadek szczególny. Wdowiec dobrze przewidział. Uroda Glorjana rozwinęła się wspaniale, to też niepokój Teresy ucieszył hrabiego, ale zarazem zastanowił.

Zważywszy to wszystko, pchnął Glorjana do baka, jak na stół operacyjny.

Gra, zwłaszcza wysoka, jest podobna w swym przebiegu do doświadczeń laboratoryjnych. Z początku nie dzieje się nic ważnego, a to co się odbywa, może być obsłużone przez zwykłych laborantów. Dopiero w pewnym etapie zarówno gry, jak i naukowego eksperymentu — laboranci są odsuwani, a nawet sami odchodzą. Dla jednych szatan, dla innych fortuna—bierze stół, czy też retortę pod niecmylną pieczę. Wtedy to skrapla się wodór, albo wygrywa miljony. W laboratorjum — skoro się doszło do momentów niezawodnych, znak to, że wszystko przedtem było prawidłowo zrobione,—i w grze tak samo, nie obojętnem jest, co było przedtem, gdy następuje moment decydujący, czyli, jak w baku, bicie wysokiej sumy.

— Panowie pozwolą, że was zapoznam: mój znajomy, pan Glorjan, panowie markiz Delabaisse i hrabia Duhaussac.

— Dostał się pan między bessę i hausę, panie Glorjan.

Panowie tak strawestowani przyjęli żart pogodnie, rozumiejąc, że Brutto „wprowadza” i ośmiela nieznanego gracza.

Glorjan wyjął pieniądze:

— Mam tu, proszę panów, 20 tysięcy franków. Przy połowie przegranej opuszczę panów, czy zgoda?

— Wobec tak godnej uznania przezorności — zgoda — zdecydował Brutto i zaproponował grę po 100 franków.

— Stasujemy karty sami, a Duchateau przetnie nam tę kolekcję. U nas w Polsce nazywają takie album karciane — „kiszka”, albo „kicha”. Po francusku: „Francfort” (nazwa kiełbasy).

Po dokonaniu zabiegu wezwano Duchateau.

— Mon vieux, coupez nous ce Francfort!

Stary wziął kartę i — spojrzawszy na Glorjana — przeciął długiego węża.

Kłaniając się panom, rzekł:

— Bonne chance, messieux.

— Jakto — wszystkim?

— Tak, panie hrabio — i każdemu z osobna.

— Dzielny dworak — rzekł Brutto po wyjściu starca.

Glorjan pierwszy trzymał bank.

— Poznam cię teraz, ty pupilu Wdówca — pomyślał Brutto.

— Odzwyczaję cię od gry — pomyślał Glorjan.

Po kwadransie przed Glorjanem leżało przeszło sto tysięcy franków.

Brutto obserwował Glorjana, który miał minę człowieka myślącego zgoła o czem innym.

— Żeby się choć spocił? Albo, niestety, zawodowiec, albo bajeczna siła woli — wnioskował hrabia.

Na tę sumę złożyło się dziesięć kart wygranych, — rzecz dość rzadka w baku.

— Wolno panu oddać grę komu innemu.

— Wiem, panie hrabio, ale ja nie przyszedłem tu po majątek, zatem, panowie, 102,400 franków jest do bicia.

Panowie Delabaisse i Duhaussac zadeklarowali po kilkanaście tysięcy, co Brutto przyjął na siebie i poprosił o kartę na całą sumę.

Glorjan sprawdził, że ma dziewiątkę, ale, nie pokazując karty, zadeklarował, że daje.

Brutto dostał dwójkę i, poprosił, oczywiście, o kartę. Glorjan dał mu piątkę.

— Dobrze panu radziłem, panie Glorjan — mam uzbieraną dziewiątkę.

— Ja miałem dziewiątkę odrazu.

— Dlaczego pan nie pokazał?

— Chciałem dać szansę...

— Albo zmienić kolejność dalszych kart?

— Być może, panie hrabio...

— Więc na nowo...

Glorjan dał sobie ósemkę, której znowu nie ujawnił, a hrabiemu trójkę, do której na żądanie dodał dwie figury.

— A pan nie bierze karty? — spytał Brutto.

— Mam ósemkę, panie hrabio.

— No, no, jest pan posiadaczem 204,800 fr.

— Tak jest, panowie, ta suma jest do bicia.

— Pan nic nie zdejmie dla siebie?

— Nic, panowie. Jeżeli przegram, to tylko moje pierwsze 100 franków.

Głos Glorjana, gdy to mówił, był tak spokojny, że Brutto nabierał podziwu.

— Pan musiał służyć w wojsku? — spytał.

— Mając 13-cie lat patrzyłem na atak branderów japońskich w porcie Artura.

— A sam?

— Sam nie mogłem się bić, gdyż sztab japoński przeznaczył mnie do pewnego spisku przeciw Rossji, właściwie, przeciw zaborcom Polski.

Świetną francuszczyzną wypowiedane słowa podziałały na obecnych. Były prawdziwe. Czuli to trzej panowie.

— To pan jest milionerem przygód! — zauważył życzliwie Brutto.

— Nie przeczę, panie hrabio, widziałem dużo i wiele przeżyłem.

— Widać to po pańskim opanowaniu.

Równocześnie opanował się i sam Brutto.

— Dlaczegożby nie? — odpowiedział na jakieś utajone pytanie, a głośno zimnym już głosem spytał:

— Co mamy do bicia?

— Wszystko, co leży na stole.

Panowie Delabaisse i Duhaussac od tej chwili już tylko „pasowali”. Nie mieli odwagi wystawiać czeków na tak znaczne sumy, tembardziej, że „passa” Glorjana była niesamowita i złowieszczo przemawiała ze stołu.

Przez kwadrans następny padały wśród grobowej ciszy deklaracje dwóch graczy — Glorjana i hrabiego Brutto:

— Biję, proszę, osiem, dziewięć, proszę, biję...

Łącznie z czekami Brutta leżało przed Glorjanem sześć i pół miliona franków. Miał po tamtych dzięsięciu—jeszcze 6 kart wygranych. Brutto zauważył oddawna, że Glorjan ani razu nie zgarnął pieniędzy. Leżały przed nim jako bezładnie usypana ster-ta papieru, a ostatni czek i prawo własności stuwłó-kowego majątku Samolipy, wypisane na osobnej kartce czekowej, znajdowały się tuż przed hrabią. — Brutto miał zwyczaj zgarniania wygranej, chociaż ją dawał do bicia. Robił to nie przez chciwość, tylko dla wyładowania energii. A ten — nic, ani drgnieł... Brutto dałby się jednak ściąć, że ma przed sobą nie zawodowca. Nagła myśl przeszła mu mózg:

— Może Wdowiec go nastął?

Zirytowała go ta myśl:

— Byleś mi teraz nie uciekł, ptaszku, to jeszcze zobaczymy, kto kogo!...

Brutto nie zauważył, kiedy ta myśl przyszła. Już przeszedł punkt kulminacyjny gry. Jeżeli tak dalej pójdzie, to walka rozegra się już o jego cały majątek. Każde zwycięskie uderzenie Glorjana będzie dla hrabiego klęską.

Brutto, zużywając całą pozostałą logikę, łatwo obliczył, że jeszcze jakieś 4 karty, a zostanie bez grosza.

Cofnąć się nie mógł żaden z nich.

Glorjan nie mógł, boby to oznaczało chciwość.

Brutto — gorzej, niż nie mógł: nie chciał.

Delabaisse i Duhaussac, którzy niejedną sumę franków byli dłużni hrabiemu, milczeli. Coprawda, ich dług był zbyt nikły, ażeby mogli po rycersku należeć do ryzyka. Milczeli więc, pałac cygara.

Hrabia zadzwonił.

— Niech Duchateau każe podać kawioru i wina szampańskiego, tego ze złotym łbem. A kawior żeby był wprost z Kremla?

— Nie wiem, jak się ta ryba nazywa, jaśnie panie.

— Kreml? to nie ryba! Spytaj o to Napoleona.

— Jestem już inwalidą, łatwo mi będzie zapytać, jaśnie panie...

Duchateau wprawnem okiem ocenił ilość czeków na stole, markiz i hrabia mieli miny przebrane, więc — Glorjan to wszystko wygrał, ale i Glorjan w tej chwili był trupio blady... Dziwna gra!... pomyślał Duchateau, idąc spełnić zlecenie.

Glorjan przeprosił partnerów i wyszedł za nim, nie spojrzawszy na stół.



W hallu chwycił Duchateau za kamizelkę:

— Słuchaj pan, jeżeli jesteś moim przyjacielem, przygotuj szybko serję kart przegranych dla mnie. Gramy tylko we dwóch. Będzie moja kolej... Miej karty przy sobie! Gdy przetniesz nasze karty, odchodząc, zgaś światło i podrzuć mi te karty, a ja ci oddam tamte...

— Boże wielki!! — zatrząsł się Duchateau.

— Nie ma chwili czasu, idę do ubikacji, rób, czego żądam!...

Glorjan powrócił i zasiadł do stołu.

Brutto stał przy oknie.

— Morze jest podobne do pana, panie Glorjan: ciągle wygrywa, nieustannie bije i wygrywa...

— Holandja odegrała nieco brzegu...

— Nawet sera holenderskiego nie jadam, wołę szwajcarski. Gdzie pan studjował?

— Grę?

— Nie, naukę.

— Panie hrabio, jestem synem robotnika z Warszawy. Moje wychowanie polegało na tem, że matka, praczka, mówiła do mnie stale: nie pokazuj palcem, a ojciec: nie bierz cudzego.

Panowie spojrzeli na stos banknotów, który nie świadczył o pojętności Glorjana co do wskazań pedagogicznych ojca.

— A później?

— Gdy miałem 9 lat zaopiekował się mną ksiądz Wdowiec.

— Mój przyjaciel, panie Glorjan.

— Wiem — mówiła mi o tem córka pana hrabiego.

Delabaisse i Duhaussac uznali za stosowne podtrzymać tę rozmowę.

— I nasze tytuły nie są właściwie rodowe. Mój ojciec otrzymał tytuł markiza od Napoleona III-go. Był bankierem.

— Tak, jak i mój, Gerardzie, wszak byli współnikami.

Glorjana nic nie obchodzili ojcowie tych panów. W oczach jaśniała mu jakaś idea, dla której kazał sfałszować karty do następnej gry. Miał jednak coś do zrobienia, zanim zjawi się Duchateau. Brutto bezwiednie mu dopomógł.

— Panie Glorjan, niech pan nam opowie, jak szły te brandery japońskie.

Glorjan drgnął, spojrzawszy na pozostałe karty. Przesunął je delikatnie na sam brzeg stołu i począł gestykulować.

— Oto plan portu. Tutaj skały urwiste (wskazał na banknoty), tu zaczynają się doki, a tędy przesmyk wązki, ale bardzo ważny, militarnie wówczas decydujący. Japończycy musieli powiedzieć sobie: tędy nie przejdziecie!...

Jeden gest niebaczny, i resztką kart runęła z łoskotem na ziemię...

— Ach, przepraszam panów!... schylił się Glorjan.

Brutto, wpatrzony w niego, westchnął wewnętrznie.

Majątek jego wisiał na ostatniej karcie i tylko przez opowiadanie Glorjana o Porcie Artura został chwilowo uratowany.

Wniesiono wino i kawior. Glorjan czekał.

Wtem rozległy się słowa hrabiego Brutto:

— Zanim zjemy, niech Duchateau stasuje dla nas karty i znowu sam przetnie.

— Może kto inny — przetnie? zawołał życzliwie Duhaussac.

— Jeżeli pan Glorjan pozwoli, to niech przetnie Duchateau, on zawsze przecina.

— Owszem, panie hrabio — wyszeptał struchlały Glorjan, i teraz on podszedł cały w potach do okna.

Ale stary Duchateau nie stracił rezonu. Niby coś porządkując, minął go i szepnął:

— Wszystko będzie dobrze... odwagi.

Po chwili stasowana talja została przez kamerdynera przecięta z tem samym życzeniem. Glorjan nie zaczynał gry.

Duchateau już był przy drzwiach, gdy nagle zgasło światło.

Glorjan uczuł jakiś szelest przed sobą, panowie nic nie słyszeli, gdyż wszyscy coś zaczęli wołać.

— Ciemności wprost z Egiptu — zażartował Brutto.

— To się zdarza — jaśnie panie — wołał Duchateau, i w sekundę później pokój zajaśniał.

Bijąc czek na Samolipie, Brutto dostał asa, a Glorjan siódmkę. Zadeklarował, że daje. Brutto dostał trójkę i piątkę.

— Mam siedem — rzekł spokojnie Glorjan.

— A ja tym razem dziewięć. Samolipie moje z powrotem. Polujemy tam na bażanty. Jeżeli do końca gry utrzymam ten folwark, zapraszam na polowanie.

— Nie strzelam — rzekł Glorjan z uśmiechem.

— A Port Artura? Ach, prawda, pan był tam, jako młody dyplomata, co?

Brutto nachylony patrzył Glorjanowi w oczy, co ten wytrzymał, czekając na dalsze losy gry, gdyż karty przeszły do rąk Brutta.

— Panie Glorjan, tych kart nie dałbym sobie teraz zrzucić ze stołu...

— Nic podobnego nie grozi.

— Czuję jakieś ciepło w palcach. Co pan bije?

— Miljon, panie hrabio...

Panowie Delabaisse i Duhaussac z zapartym tchem patrzyli na karty, gdyż Brutto dopuścił ich do udziału.

— Dziewięć — rzekł Brutto, odwracając kartę.

— Przegrałem — ozwał się partner.

Po pięciu kartach został przed Glorjanem milion franków w czekach i banknotach. Brutto zauważył tę sumę i coś w duchu postanowił.

— Proponuję przerwać grę, panowie.

— A ja proponuję ostatnią kartę na milion franków — rzekł Glorjan stanowczym głosem.

— Jestem zanadto zmęczony — przyznał się Brutto, a w duchu pragnął obdarować Glorjana, co ten wyczuł natychmiast.

— Więc? spytał.

Brutto rozłożył ręce i rzekł:

— Nie mogę...

Wówczas stała się rzecz niesłychana w tym pałacu.

Obok stołu znajdowała się wielka świeca do zapalania cygar.

Glorjan zebrał spokojnie czeki i gotówkę, poczem, zanim ktoś mógł się zorientować, przytrzymał zwitek nad ogniem, poczem płonący ten wiechetek rzucił na marmurową podstawę okna.

W drugim ręku trzymał sto franków.

— Nikt z nas nie przegrał, ani grosza, panie hrabio.

— Co też panu przyszło do głowy? — zawołał Brutto, siadając ponownie i wyjmując wieczne pióro.

— Wystawię panu nowe czeki. Pamiętam sumy.

— Panie hrabio, spalę te, jak i tamte!  
Francuzi patrzyli na Glorjana, jak na łykacza ognia.

— Dlaczego, panie, dlaczego?  
Wówczas Glorjan zabrał głos:

— Nie ja, tylko pan skończył grę. Ten milion był moją własnością. Mogłem ją wydać, lub spalić, czy nie tak?

— Niby tak, a jednakże...

— Panie hrabio, niema takich milionów, żeby człowiek biedny nie mógł ich lekceważyć.

Stylowy zegar dzwonił późną godzinę. Zdawało się, że za chwilę odczytany będzie jakiś wyrok, a hrabia Brutto miał oto uczucie, że wyrok już zapadł.

Patrzył Glorjanowi w jego cudowne oczy.

Poraz pierwszy — i to przy świadkach — uczuł przed sobą większego pana. Na ten widok coś w nim zatryumfowało. Był nad wyraz dumny z pierwszej w życiu moralnej przegranej. Czuł się, jak więzień, któremu wspaniały archanioł przyniósł wiadomość o zwolnieniu.

— Tyle pieniędzy spalić — westchnął, ażeby coś powiedzieć, syn bankiera, Duhaussac.

— Szanowni panowie — rzekł na to Glorjan, — mając 15-cie lat, w przebraniu gejszy wręczyłem 10 milionów gotówką zdrajcom rosyjskim.

— A brandery? — szepnął zdumiony Brutto.

— Brandery branderami. Komenda japońska nie była pewna zdrady, więc nakazano brandery, ale ja byłem posłany z pieniędzmi. Idąc nocą na tańce, miałem duszę pełną przykazania ojca: nie bierz cudzego, a matka przebaczy mi, że teraz musiałem palcem pokazać na siebie.



Brutto przypomniał sobie, że Glorjan, tylko Glorjan opuścił pokój na pewien czas, że potem zrzucił karty ze stołu, i że światło zgąsło na chwilę. Stał olśniony. Pokora biła mu do gardła, pod wzniesioną dumnie głową. Spojrzał na resztę kart. Miał ochotę sprawdzić te karty do końca, ale nie śmiał. Nie chciał wtajemniczać nikogo w ten cud fałszerstwa. Natomiast jednym rzutem los mu ukazał całe jego dotychczasowe życie.

— A myśmy nie wierzyli, czytając niedawno w prasie rewelacyjną wiadomość, że rossjanie dali się przekupić — spróbował mówić Duhaussac.

— Pierwszy raz o tem slysze—zawołał Brutto,— ale i ja wam coś opowiem:

Nie byłem pod Port Arturem, ale przeżyłem go tutaj, panowie. Warto żyć, ażeby coś takiego zobaczyć. A ja chcę żyć, panowie. Oto teraz ja wam opowiem mój plan.

Tu mamy stół, ale stół bez kart! (Szybkim ruchem zrzucił karty na ziemię). Tu na dywanie leży mój los, panowie.

A teraz proszę to, co usłyszycie, wszystkim powtórzyć. Od dziś dnia przestaję grać!

Nie daję na to żadnego słowa, gdyż słowa nic tu nie znaczą. Dowiodę tego!

Jutro o pierwszej proszę panów, raczej moja córka, Teresa, prosi panów na śniadanie. Liczę na pana, panie Glorjan.

— Do usług, panie hrabio.

Brutto pożegnał partnerów i ruszył ku drzwiom.

Glorjan stanął przed lustrem i ręką poprawił czuprynę.

— Sądzę, że pan ma prawo do nieprzeoglądania się w lustrze — rzucił mu Brutto ode drzwi. Glorjan nic na to nie odpowiedział.

Brutto, wbrew zwyczajowi, nic nie dał służbie, jak gdyby wstydził się własnych pieniędzy.

Duchateau Bogu dziękował, że hrabia o nic go nie zaczepił, a szczególnie za to, że nic tego wieczoru nie dostał. Nie przełknąłby napiwka.

Ostatni wychodził Glorjan.

— Szachraja pan ze mnie zrobił... panie Glorjanie.

— No, no stary, pomódl się za to szachrajstwo.

— Juści wiem, wiem, że Polak musi zawsze w którymś miejscu zwarzjować.

— Ty, stary francuzie, klamkę od drzwi byś rozśmieszył.

Ale Duchateau był zanadto francuzem, żeby nie zapytać:

— Więc oddałeś mu wszystko?

— Mam to, co miałem przed grą. Brutto tak samo.

— Uważasz, panie Glorjanie, drzwi niezupełnie zamknęliście do tej ostatniej gry, więc słyszałem, jak Brutto zaklął się, że grać przestanie. Widziałem to nieraz, a pomimo to...

— Nie kuś, stary, bo jeszcze usłyszysz...

— Dobranoc, panie... jaśnie panie Glorjanie... już milczę i... będę milczał, na to macie moje lokajskie słowo. Od dwudziestu, e, od czterdziestu lat nie dawałem nikomu słowa, nikt mnie o to nie prosił coprawda, chyba na spowiedzi ksiądz, ale to tylko na rok, do następnego razu... O tej talji to nawet księdzu nie powiem, bo, znając mnie, nie uwierzyłyby.

Glorjan w ciemnej podszytej białym atłasem pelerynie, w lśniącym cylindrze zeszedł ku morzu i kroczył powoli przed siebie. Tak doszedł do ma-

tego kościółka pod skałami. Przytulony do urwiska, jakby urodzony z rozmodlenia gór, gotycki kościółek ma na froncie rzeźbę Chrystusa, dźwigającego krzyż. Figura jest oświetlona ukrytym reflektorem. Niepotrzebne to, ale Glorjan przystanął i zdjął cylinder.

Głowa Zbawiciela i wyciągnięta pod brzemieniem krzyża szyja szczególnie jaśniały.

Glorjanowi przypomniała się głowa ojca, gdy z wysiłkiem przy nocnej lampce uczył się czytać półgłosem, żeby żony nie obudzić i żeby jemu, synkowi, snu nie przerywać. Tak samo sprężona, naga szyja ojcowska pomagała robotniczej głowie dźwigać nowe prawdy. Czytał wtedy Bebla, socjalistę. Glorjan przypomniawszy sobie, jak bez szmeru siadał na łóżeczku i słuchał szeptu po nocy...

...„Wyzwolenie kobiety musi poprzedzić wyzwolenie proletariatu...”

Glorjan ukradkiem spojrzawszy na matkę, przesłoniętą stosem cudzej bielizny. Spała, nic nie słysząc o swoim wyzwoleniu.

Glorjan, jak czarny szatan, wsłuchiwał się, czy Chrystus czego nie szeptuje...

Zaskrzypiał gors koszuli frakowej...

Usta modliły się bezdźwięcznie wspomnieniami.

Nie umiał sobie zdać sprawy z tego, co uczynił, ale pierś mu rosła od dokonanego czynu. W centrum świata gry zawyrokował los o jego dalszym życiu.

Uczuł w sercu nieskończoność. Wszystko tamto znikło. Jak zdjęty z krzyża — wyciągnął ręce do Człowieka, niosącego krzyż świata.

..W tem poznał twarz ojca w żołdaku, zamierzającym się na plecy Chrystusowe.

Glorjan przyknał oczy...

...Wolał ojca czytającego, niż mściciela!...

Spojrzał: widmo znikło: to nie żołdak, tylko Chrystus, sam Chrystus jest podobny, ach, jakież podobny do starego Glorjana.

Rozległy się miękkie kroki.

Glorjan obrócił się i skamieniał. Poznał idącą ku niemu Teresę.

Szła bez kapelusza w płaszczu o długiej frendzli złotego koloru... Dążyła ku niemu, niby fala...

Skłonił się nisko.

Nie podała mu ręki. Milczeli.

— Panie — zabrzmiały słyszalne szepty: — proszę mnie do siebie ośmielić, proszę mówić, gdyż mnie — brak słów... Poraz pierwszy w życiu kocham i nie umiem tego wypowiedzieć.

— Co mam uczynić?

— Trzeba będzie myśleć za mnie, proszę pomyśleć...

— Nie umiem więcej i szczerzej...

— Czy mogę należyć do pana?...

— Nikt do mnie nigdy nie należał...

— Tem lepiej... Bywam tu często modlić się za ojca... dzięki panu mogę przestać,... ale czy można?

Glorjan otworzył ramiona, jak biały duch, a ręka energicznym ruchem zdarła z głowy cylinder, który z cichym hukiem spadł ku morzu.

Stali przytuleni do siebie. Teresa znikła w płaszczu, jak w ciemnej toni nieznanymi pieszczot.

— Ojciec opowiedział mi wszystko i, niech pan sobie wyobrazi, po raz pierwszy zasnął o tak wczesnej dla niego porze... Spojrzała mu w oczy:

— Pan... pan oszukiwał w grze?...

Glorjan zadrżał olśniony zacnością hrabiego...

— Pani miała nie mówić? — szepnął.

— Ale to jedno wolno mi powiedzieć: kocham! Słyszysz pan to? Mam lat dwadzieścia jeden. Nikt dotąd nie ośmielił się prosić o mój piąty palec... nigdy nikomu nic nie wyznawałam, a nawet przyznam się, było mi dobrze z tą moją wolnością... Nagle od kilku godzin zaczyna mi być źle z wolnością, i jestem z tego powodu szczęśliwa... Co to się stało? Może pan się śmiać ze starej pannicy, która tak się wynurza...

— Mam na imię Jan, nigdy nie byłem panem, najmniej teraz... Czyś pomyślała, Tereso, o różnicy, jaka nas dzieli?

— Pomyślałam o tej różnicy: ona wypada na twoją korzyść, Janie.

— A twój ojciec?...

— Modli się do ciebie, o ciebie i za ciebie, jak chcesz, Glorjanie... co za cudne nazwisko... Będę coraz piękniej konno jeździła, żeby ci się podobać... A może ty liczyłeś na inny typ?

— Tereso, ja się nie liczę, liczą się tylko te chwile, gdy o tobie myślę...

— Zaraz odejdę, gdy cię zmęczone sobą, ale niedaleko odejdę... a teraz przejdźmy się, bo ja sama nie ruszę się stąd... Przejdźmy się nad morzem po dolnej szosie przez tunel... jakby przez katakumby. ...czego szukasz?...

— Sprawdzam broń...

— Chcesz mnie zabić?

— Był czas, że chciałem cię zabić w sobie, ale nie ma takiej broni...

— Już niepotrzebna... prawda? Miałam nie mówić, a cały czas nic innego nie robię. To nic, tylko miłość, to radość, duma i już nie wiem, co!...



Szli pod arkadami ażurowego tunelu z wielkimi oknami na morze...

— Daj mi broń...

Teresa wycelowwała i strzeliła w wodę.

— Już ta kula nikogo nie zabije...

Glorjan wziął od niej rewolwer i cisnął w morze:

To był nasz wiwat, ta broń więcej nie wystrzeli....

— Wiesz, Glorjanie, przez chwilę więcej sobie powiedzieliśmy niż naprzykład ja i ojciec przez całe życie... Ojciec nie lubi, gdy się o nim mówi. Od dziecka nie miałam prawa rozmawiać z ojcem.

— Zupełnie tak samo ja z moim. Prędzej z matką... przy jej zajęciu...

— Jakie to było zajęcie? — padło niepowstrzymane w porę pytanie...

— Prała bieliznę... miała czas pogawędzić ze mną....

Teresa odpowiedziała niezwłocznie:

— Matkę straciłam wcześniej, nawet nie wiem, co robiła...

— Zapewne coś innego — chciał powiedzieć Glorjan, ale nie śmiał... zwłaszcza, gdy usłyszał miłe słowa:

— Będziemy prali koszulki dla naszego syna, dobre?... A z ojcem tak, jak ja, nie mogłeś się porozumieć?

— Nie było kiedy... wracał późno — pracował dwanaście godzin, a w nocy czytał, zapalając lampkę naftową, gdy myśmy spali... Raz tylko, pamiętam, zapytałem, co ojciec czyta i dostałem za ucho... a usta zamknął dłonią, żeby matki nie obudzić...

— Widzisz, ile mamy wspólnego — zabrzmiały rozkosznym głosem wypowiedziane słowa.

Glorjan sycił się tym wielkim stylem swobody, która nic nie kosztuje, a niema prostoprostu ceny...

— Słuchaj, Glorjanie, nie mówmy więcej o miłości. Ja ze swej strony obiecuję... Wszystko się zrobi samo, a my tylko nie spóźnijmy się... Ale chcę jeszcze o coś koniecznie zapytać, czuję bowiem, że odpowiedź sprawi mi rozkosz, a rozkoszy nigdy nie zaznałam... Doszłam do tego, że szukałam jej na siodle... wiesz tak, pochylając się w galopie — oddawałam się pędowi... Więc powiedz mi, jak to było z tą chęcią wstąpienia na służbę w Casino?....

— Prostoprostu, chciałem zdruzgotać ostatnią szansę, chciałem pozbawić się możliwości widywania się z tobą, Tereso, na równej stopie towarzyskiej...

— A stary Duchateau odradzał... pocziwy... on się zna na ludziach...

— Tak, odradzał. Kazał mi przejść po pokoju w tę i w tamtą stronę, a potem zaopinjował: przecież pan tacy porządnie nie podasz.

— Tak, tak, Glorjanie, stary ma rację... On cię uratował...

— O, nie! uratował mnie twój ojciec, Tereso.

— Mój ojciec?... chyba przeciwnie?...

— Tereso! nic nie mów, tylko posłuchaj. Powiem ci to, chociażbym cię miał stracić: była chwila, chciałem ojcu twemu zabrać wszystko, co do grosza, ale... nagle usłyszałem twój głos, taki słodki wewnętrzny głos, który zapytał: czy to o mnie grasz, Glorjanie? Po usłyszeniu twych słów pierzchły zamiary tamte przed innemi...., które wkrótce zaraz wprowadziłem w czyn...

— W piękny czyn...

Policjant ukazał się na zakręcie.

— W tamtej stronie, skąd państwo idą, strzelono.

— To ja strzeliłam na wiwat! rzekła Teresa, doskonałą francuzczyzną...

— Je sais, madame, qu'on veu s'amuser, mais c'est interdit de tirez pendant qu'on dort...

— Jestem hrabianka Brutto... ile kary płacę?...

— Brutto, Brutto de Palais de Paris?...

— Tak mieszkam z ojcem... Drogi panie, zostaliśmy narzeczonymi... ma pan tu 50 franków na kieliszek szampana za nasze zdrowie...

— Nie mam, hrabianko, na szampana.

— A to?...

— Kupię synkowi bluzkę do szkoły... ale panu brak cylindra, panie hrabio...

— Nie jestem hrabią...

— Ale ten cylinder do pana należy? Widocznie przeszkadzał?... zażartował francuz.

— Tak, tak, tak! — podskoczyła klaszcząc Teresa — przeszkadzał! skąd pan wie? śledził pan?

— Nie, tylko myślałem z początku, że ktoś dużo przegrał, a potem ten strzał... no, chwała Bogu, dobrej nocy, ale proszę uważać...

— Obiecujemy nie strzelać, bo niema z czego, ale pozatem na nic nie będziemy uważali, rozumie pan?

— Rozumiem, hrabianko, żyć jest przyjemnie, dobranoc.... już świta...

— Och, jeszcze jak świta! zawołała panna i podała rękę policjantowi, który ją kornie ucałował i odszedł.

— No, cywilnie rzecz załatwiona! Chodźmy spać!

## XI.

### W WARSZAWIE.

Na dworcu w Warszawie Glorjanowie zostali powitani przez Wdowca i Kodusia. Ten ostatni dał sobie radę nawet z dowcipem Teresy, gdy go zapoznała z mężem.

— Janie, oto mój wielbiciel, który nigdy nie chciał mi się oświadczyć.

— Tak jest, nie chciałem — przytwierdził Koduś mężnie.

— To co się z takim brutalem robi, Janie? pytała Teresa.

— Naradzimy się na ten temat, prawda? — spytał wesoło Glorjan Kodusia, który stał przed nim olśniony.

Wreszcie szepnął:

— Nic nie pamiętam — dobrze?

Na to Glorjan odrzekł: Rad jestem, że pana widzę.

Koduś szepnął księdzu:

— Sam się znalazł, sam wszystko załatwił, ale, doprawdy, ponad wszelki podziw... fenomen chłop!... Gdyby mi ją odbił po ślubie, nicbym mu nie po-

wiedział... Ale widzę, że on się nas o wiele innych rzeczy nie zapytał... Niech ksiądz popatrzy na nią... A pomimo to wygląda jeszcze, jak łania!... Bywa ładnie na świecie, gdy kto zdąży i gdy tak wygląda, jak ten Glorjan.

Glorjan postanowił wejść w życie Warszawy, a Wdowiec i Nesesser zaofiarowali w tym względzie swe wiadomości i usługi.

Teresa w obecnej sytuacji dawała Janowi więcej czasu i była nawet wdzięczna księdzu za zajęcie uwagi męża.

— Jakaż ona mądra! — Prawdziwa rasa. Ona to przejęła ze sportu... zauważył Koduś.

— Czego ty w niej nie widzisz?

— Odstąpię księdzu resztę. Będzie to niewiele, bo widzę w niej wszystko!... Co się tyczy Glorjana, to chyba był zrobiony w raju na obrabiarce przez aniołów przy śpiewie syren, pod dozorem Marsa i Adonisa.

— Wcale skomplikowana parantela, ale kto wie, czy nie trafnie dobrana.

— A nie za pogańska? Syreny... Mars?...

— Wszyscy jesteśmy, Kodeksie, poganami...

— Poganami — wszyscy?

— Tak, gdyż trzeba nas ustawicznie poganiać...

— No mnie nie trzebaby, ale — już zapóźno!...

Ksiądz Wdowiec, oczywiście, był bardziej zajęty Glorjanem.

Zachwycał się nim, a opowiadania o Porcie Artura wysłuchiwał parę razy, nie licząc wypadków, gdy się o to z ręcznie upomniał pod pozorem zmyślonej zresztą chęci zanotowania japońskich wypadków.

Podczas tych opowiadań zajaśniała obszerna duchowość Glorjana, jako zdobycz przywieziona przez syna „robociarza“.



Jakiś cień rywalizacji zaistniał w sercu Wdowca, ale rywalizacji bezinteresownej. Potrzebę częstszego widywania czterdziestoletniego „młodzieńca” musiał Wdowiec czemś upozorować.

Oznajmił Kodusiowi i Glorjanowi, że zamierza podzielić się z nimi swemi poglądami.

— Doszedłem na schyłku żywota do kilku prawd, które chciałbym sprzedać wam, kochani milionerzy, po cenie kosztu.

— A po czemu te prawdy?

— Chciałbym dostać na koszt ich wcielenia w życie.

— Kupujemy na ślepo!

— Nie, wpieryw zapoznam was z niemi.

Przy cennej Roburtowskiej butelce węgryzna, któregoś wieczora ksiądz czytał z chińska brzmiący rozdział pamiętnika. Miał on tytuł:

S W O — Ł O — C Z E.

— Powiecie mi potem, czy nie za ryzykowne to wszystko, co piszę o naszym życiu.

Moskale zostawili nam ze sprzętów jeden jedyny, a jest nim samowar, który się „nastawiało”. Samowar znikł jakoś, ale „nastawianie” zostało, ba, stało się nawet jednym ze sposobów rządzenia. Prócz samowara został jeszcze na długo w Polsce typ — swołocza. O ile samowar objaśnić łatwo dźwiękowo, o tyle „swołocz” przetłomaczyć się nie da. Gdy się go zobaczy — nazwa przychodzi sama...

Więc — „swołocz” — rzecz sama w sobie. Łatwiej określić ją przeczeniami. „Swołocz” — to nie padlina, gdyż padlina cuchnie i można ją ominąć. Swołocz — to także nie „łachudra”, gdyż obdarte szaty i niemyta szyja może mieć na szczycie bardzo mądrą chociaż biedną głowę. Swołocz — to nie szu-

brawiec, odkąd zwłaszcza upomniął się o niego Mickiewicz. Swołocz nie znaczy: drań, gdyż bywają wielcy dranie, a swołocze — nigdy.

Czy nie zdarzało się wam spotykać w życiu swołowca? W Polsce odrodzonej mamy, niestety, obok społeczeństwa — swołowceństwo, a wśród społeczników kręcą się, co mówię? aż się roi od — swołowców.

„Zła krew” zalewa swołowca, ilekroć nie jemu, ale bliźniemu dobrze się dziać zaczyna. „Zła krew” uderza na swołowca nawet bez wyraźnego powodu, na przykład, gdy takie czyste oczy, jak wasze, spoczną na nim. Swołowca ma genialne poczucie swego stanu moralnego. Kodusiu i Janie, ręczę wam, że macie, albo będziecie mieli mnóstwo wrogów jedynie za wasz czysty wzrok.

Zygmunt Krasiński, jadąc na emigrację, doskonale określił, jaka to swołowca pozostanie w kraju. Ale on nie znał samego wyrazu, a może go i znał, wszak ojciec, generał, z Moskalami obcował. Otóż, swołowca nie znosi wzroku...

Swołowca — to także nie bydlę, gdyż odkąd Sienkiewicz nazwał inflancką kobyłę Imię Pana Podbięty — bydlęciem, wyraz ten został uszlachetniony, czy uszlachcony, i do swołowca nie pasuje. Zatem w braku dokładnego polskiego określenia tego pasożyta pozostają żywe eksponaty. Jest tego dużo i było dużo już za czasów Stanisława Wokulskiego, którego w Paryżu przekonywa Prus — Geist, że na 10.000 zwierzątek różnej postaci trafia się raptem jeden człowiek.

Ale powstaniec Prus jeszcze nie używał „swołowca”, jako znaku syntezy ujemnej. Swołowca w polskim życiu — to zjawisko jednak powojenne.

Swołocz nosi w plecaku całe pliki denuncjacji, a w menażce zwinięte podanie o posadę.

Swołocz niczego wam nie daruje, a przede wszystkim tego, że jesteście ludźmi. Swołocz poluje na człowieka, jak na tygrysa, albo lwa. Odbywa koło niego taniec wojenny z okrzykami na cześć ofiary.

W Polsce odrodzonej podjęto zadanie nadludzkie! W braku chleba, postanowiono rozdać między swołocz ciało i krew Pańską.

Po najcieńszym lodzie zostawionym przez najazd, pod promieniami słońca wolności, trzeba przeprowadzić najcięższego kalibru armaty honoru.

Czy nie zatoniemy?

Kto wpadnie pierwszy: elita, czy reszta?

A reszta jest potrzebna i — reszta o tem wie.

Podrosło pokolenie, które w r. 1920-tym miało po pięć, sześć lat. Jeżeli będą wojny, pokolenie to pójdzie na pierwszą swoją wojnę, znając poprzednie z opowiadań.

Ale jeżeli wojny nie będzie?

Widziano Chrystusa, jak rozmnożył krzyż i rozdawał krzyże elicie.

Śród walki o każdy kęs chleba chce się podnosić wartość człowieczą.

Do synów wczorajszych łapowników na żołądkach najazdów mówi się:

— Wasze cnotopodobje, albo:

— Wasze Wniebosięgatielstwo!

Gdy Boga nazwano Najwyższą Istotą, ryzyko było mniejsze.

A tu i najwyższe ryzyko i najwyższa konieczność.

Nazwać swołocz elitą.

Ilekroć tak robiono w dziejach, ilekroć w cudowny sposób rozmnażano i rozdawano cnotę, zachodziła zawsze obawa, kto po odejściu rozdawcy ogłosi się wodzem?

A może nie istnieje konieczność tworzenia elity?

W ciągu 15 lat istnienia młode państwo przeszło przez 7 lat bezkrytycznego entuzjazmu i 7 lat kuracji z tego entuzjazmu.

Należy do najciekawszych tajemnic rządzenia, że tak zwana sanacja wzięła na siebie radość tego rządzenia i sama nazwała swoją pracę „radosną”. Radosna męka!

Doprawdy przypominają się wesołe piosenki niańki nad kołyską chorego dziecka. Piosenki przez łzy.

Owszem, jest w Polsce legjonowej spore grono rycerzy, jaśniejących męstwem i cnotami. Ta święta kohorta przebijać się musi przez zwartą masę swołoczy.

Jest to nawoływanie się rasowego stada ptaków, pędzących w smrodliwej chmurze prawie naósep, wiedzionych instynktem ku rozpoczętym, gniazdom, aby je dokończyć.

W otwarte dzioby łapią, jak jaskółki, robactwo dla następnego pokolenia. Ale na jedną jaskółkę wypada sto nietoperzy. Przez te złachmanione eskadry musi ptak szlachetny się przерznąć.

— Jak tu wchodzić w stosunki z ludźmi wobec takiej szarańczy draniów? — spytał Nesesser.

— Masz rację, Kodeksie, istna szarańcza. Ale nie wyciągajcie, moi mili, wniosku, że żyć nie można. Owszem, można, co więcej — należy! Życie doskonałe nie miałoby żadnych haseł, żadnych obowiązków, ani zasług. Te konserwy ludzkie, tych lu-

dzi w puszkach należy sprawdzać, czyli od czasu do czasu otwierać i prędko, prędko zjadać. Trzeba to wielkie stado renów, wędrujących po nowe żarcie ostrzeliwać i żywić niemi organizm państwowy. Nie życzę nikomu rządzić narodem zapomocą ideałów, gdyż wówczas Hitler upomni się o pomnik za życia. Największy gwałt — to kazać ideałowi chodzić. Najohydniejsza przemoc i najgłębsza ciemnota otacza zazwyczaj tak zwany ideał.

Więc co czynić?

Przedewszystkiem trzeba dać człowiekowi więcej miejsca. Tymczasem 3/5 części ziemi polskiej mamy niezaludnionej. Równocześnie w stolicy mieszka po 8 osób w jednej izbie. Posiada ziemię nie ten, który najbardziej się rozmnożył. Rekordy nie wyminęły Ricarda, nie „pobiły” go.

Przeto ostrożnie z ideałami. Wolę życie brać od strony ziemi. Siadamy na człowieku, jak na dromaderze. „Ego te absolvo” — rozgrzeszam cię! — mówię do grzesznika, siedząc mocno między jego grzechami — garbami. Człowiek rozgrzeszony, idąc, grzeszy dalej. Obetnijcie wielbłądowi garby, a będzie pośmiewiskiem. No i cóż wy na to, moi sportmeni, moi społecznicy? Kto chce być bankierem Chrystusa, musi skromne datki przyjmować, byle te datki zaczęły napływać. Pod wielkimi miastami, gdzie giełdy przypominają świątynie Jowisza, Ateny, lub późniejsze kościoły, zakładane są ogródki dla dorosłych o powierzchni czterech metrów, a Sahara, a Brazylja amerykańska i nasza polska Brazylja — Polesie, — czekają niezaludnione! Chrystus, mówiąc: *crescite et multiplicamini* — miał przed oczami całą ziemię. Człowiek nie widzi całej ziemi, dopiero niedawno zaczął ponad nią kołować.



Zakołujmy nad Polską, porozwoźmy bezrolnych po Polsce, ponieważ emigrację mamy zatamowaną! Napili się wina ze staroświeckiej butelki.

— Mocne — rzekł Glorjan.

— Onegdaj pił je Samson przed walką z Filistynami.

— Samson pił onegdaj? rozumiem teraz, dlaczego nie zdążył się ochrzcić.

Nikt się nie roześmiał z tego dowcipu Nesessera, co widząc Koduś spróbował rzecz naprawić.

— Panie Glorjan, jeszcze załatuję żydem.

— Wcale w panu nie znać typu.

— Nie znać? Być może. Nie znać! Jest, ale nie znać. Cóż robić: i taki gatunek wpada do sieci ogólnej, prawda księżu filistrze?

— Kodeksie, przestań, bo ci przyprowadzę twego wnuka i ten wyśmieję cię.

— Tak sobie nieraz myślę, panie Glorjan, z kim mógłbym mieć wnuka?

— O tak to lubię — rzekł gospodarz, napełniając kieliszki.

— Ogromnie cenię prostotę ludzi niewykształconych, tak zwanych nieoświeconych, gdyż wśród nich najmniej swołoczy napotykanie. Jeden taki obywatel analfabeta, żyd, po tryumfie Hitlera w Berlinie, zapytał mnie strwożony:

— Proszę księdza czy aby ten Hitler nie wpadnie do Warszawy?

Pytanie wyrafinowane brzmiałoby mniej więcej tak:

— Czy aby w Warszawie nie zechcą naśladować Hitlera?

Tymczasem skromny żydek ma kłopot plastyczny a mianowicie, co będzie, gdy sam Hitler przyjedzie do Warszawy?

Otóż wiedzcie, moi mili, że gdy kapłani mówią: nauka mistrza rozszerza się, umysły proste i szczerze, wołają: Chrystus idzie! Dla nich on idzie tak zupełnie, jakby zeszedł z obrazka nad łóżkiem...

— U moich rodziców wisiał Chrystus pomiędzy Marksem i Kościuszką — nadmienił Glorjan.

— Widziałem ten pokój, Glorjanie. U prostaków Chrystus osobiście idzie przez świat i oni mają rację. Myśl prostaka, domagająca się widoku Chrystusa, posiada najgłębsze — choć takie prymitywne zrozumienie Zmartwychwstania. Musiał ożyć, skoro idzie. Swołocz obiecuje ludowi cuda bez Chrystusa. Interesom swołocza Chrystus przeszkadza. Nikt nie może zobaczyć Jezusa, boby przestał patrzeć na swołocza. Ta podczłowiecza banda na widok Chrystusa udałaby, że go nie widzi. Dlatego to już Dostojewski stworzył scenę, gdy inkwizytor średnio-wieczny mówi do wchodzącego Chrystusa: Nie przeszkadzaj! Swołocz lubi pieniądze, kocha zboże i węgiel, ale do Piłsudskiego woła: „nie przeszkadzaj! — My, swołocz, będziemy pouczać rzeszę swojemi słowami. Będziemy komentować trudniejsze miejsca, ale ty osobiście nie przeszkadzaj. Oto pierwsza cecha swołoczy: ona ma wystarczyć i zastąpić. — Ma przesłonić rzeczywistość do tego stopnia, że z krzyża robi się turniket za biletami — do żłobu. Swołocz chce jeść dziś i jutro i tak ciągle. Zeżyra wszystko, nie żyrując nic. Nawet kielich mszalny w łapach swołocza staje się złotym telefonem o d o łta-rza do brzucha. Kiedy swołocz wytępiona zostanie? Byłoby najłatwiej, gdyby Chrystus poraz drugi ze-

szedł na ziemię. Dlatego to musimy sieci ponaprawiać i mieć oko na każde rozprute oko. Oto wywlókł tak zwany cywilizowany świat wielki włók z płcią proletarjacką. Aliści na obrębinie tej sieci unoszone przez wodę lśnią wyszlifowane w słońcu łyse bohenki drewnianych spławi, pod którymi roi się najemny lud pracy. Spławie — to pracownicy umysłowi. Jest to nowoczesny cech z pod sztandaru mózgu. Cerebralna celebracja mustry pracy. Pracownicy umysłowi! Kierownicy, nastawnicy, majstrzy, podmajstrzy. Mózgowa swołocz.

No i cóż, Kodeksie, i ty, Janie, macie, zapewne, ochotę przerwać i zapytać, czy to, co mówię, nie jest owem znanem: dałoj gramotnyje! Precz z inteligencją!

Niewątpliwie, pytanie nasuwa się nieodparcie, gdyby „dałoj gramotnyje” wołała jakaś dzicz, jakies ciemne brudasy. Otóż wiedzcie to sobie, że analtabeci nigdy nie mają wstrętu do alfabetu, przeciwnie, odnoszą się ze czcią do liter. Owo „precz z inteligencją” jest ryzane właśnie przez inteligencję, która w ten sposób skupia na sobie uwagę stada. Provocatio gregis. Bunt stada. Włóczenie uwagi stada za sobą. Te okrzyki wydaje ze siebie swołocz! Znam w Warszawie takiego rybaka. Nazywa się Henio Brykiet. Pisze feljetony dla pracowników umysłowych. Millenarysta prorok, wróżący koniec świata, jeżeli „umysłowi” nie zorganizują się. A sobie dziecina wywróża co rok tekę ministerjalną, którą otrzymawszy, oczywiście, przestanie być „umysłowym”. Wdyrdek, bijący się piętami po posładkach, żeby zdażyć.

Oto intelektualna swołocz! Ją trzeba żywić i nagradzać. Udaje ta banda, gdy trzeba, proletar-

rjacką gwarę, wyrzucając gardłowym głosem: My, metalowcy! (Z metalowemi guzikami u portek.).

— Więc co robić?—prawie równocześnie zapytali Glorjan i Koduś.

— Będziemy robili szosy — oto robota! Będziemy chodzili po szosach polskich i tam się podziejemy. Szosy i znowu szosy! Dość Konradów, Gustawowiczów i Gustawów Konradowiczów. Szosy, szosy! Żeby nie było dołów, żeby Konrad, wioząc Gustawa, kiszek mu nie poobrywał. Wolę trzymać w łapie kichę do polewania trawy, lub nawet co innego, niż kosę z trzeciego aktu „Wesela”. Wyspiańskiego uratowała przed swołoczą samotność. Miał w duszy dwie prawdy: chorobę i rozpacz. Pokażcie mi jednego bohatera Wyspiańskiego. Same cienie i chochoły. Jakieś różgi pookręcane w słomę, żeby mniej bolały. Polonez cieniów. Można, słuchając, zalać i zapełnić łzami wszystkie doły na polskich szosach. Wszystko to zresztą powiedzieli i wyplakali tamci trzej, gdy szos w Europie nie było, gdy Towiański jechał konno z Wilna do Poznania. Zauważcie jednak, jak chętnie swołocz umysłowa cytuje te rzeczy. Trzaskawki robią z tego: miałeś chłopie złoty róg! Drań z dranicą raz do koła, a potem do Sejmu i do Prezydjum po teki. A ciągle wyteżają słuch! Jest taki jeden wojewoda, co na widok wchodzącego Walerego Sławka, okręca sobie nogi koło szyi, że taki zmartwiony o Polskę. Buziuchna do gwizdania capstrzyków w Oleandrach, i żeby był ciągle Maj.

A oto Saturny wydobyte z urny. Pomartwione to, że nie może zryć przez sen, że nie zdążą się najeść. Niedawno prosili o skasowanie nocy.

Więc pytam was, co lepiej? Czy patrzeć na to

przejściowe szczwaństwo, czy wytykać szosy? Mówcie! Jeżeli się mylę, to pójdę na klęczkach ucałować grób męczennika, ucznia Matejki, Wyspiańskiego, który nie chciał pieniędzy od Franciszka Józefa, gdy tamten, jego mistrz, jeszcze wziął za Rejtana. Mówcie. Co do mnie, wolę Matejkę, który wziął złoto, jak Michał Anioł brał, jak je brał Leonardo, ale za to rzucił na płótno polskie Wyrwidęby zamiast chochołów. Nie chcę posłannictwa, wolę posłańca, który zawiadomi króla Anglii, że jego były poddany — Hamlet — widział osobiście pięści polskiego rycerstwa. Nie chcę kochać ludu i nie chcę być przez lud kochanym, chcę natomiast, żeby było wygodnie chodzić, jeździć i mieszkać. Te wszystkie: myśwa swoi! — to dziury zdradliwe w myśleniu, podobne do tamtych na szosach. Zyję i chcę żyć, a kto tak nie chce, czy nie umie powiedzieć, niech gra w trzecim akcie „Wesela”. Niech się „weseli”, ja o niego nie będę się smucił.

Oto moje „Credo” z kredą w ręku.

Zobaczycie, że Anglicy pierwsi „ocenia naukowo” co się właściwie Polsce należy, a co nie. A gdy im oddamy przemysł, to go obsadzą polaczkami umysłowemi na niższych posadach. Baden Powell, czyli „Paweł z kąpielii” z gołemi kolanami wygoli nam kieszenie.

A my będziemy robili ustępstwa, ustępstwa, aż się znajdziemy w ustępie. Będzie to postępowanie w ustępie, czyli jutro pracy. Dobra, równa szosa, szosa klinkierowa na betonie pozwoli całej rzeszy równo kroczyć bez latarników i przewodników, a prawdziwym wodzom będzie łatwiej pilnować granic, dopóki są potrzebne. Mówię to wszystko w dniu dzisiejszym. Zanadto dokładnie wiem, co będzie za latyście, ażebym zapomniał patrzeć sobie pod nogi.



Bóg zetknął stopę ludzką z ziemią. Michał Anioł przepięknie wyobraził stworzenie człowieka. Ten wysunięty palec Adama mówi: jestem, dotknij mnie, Boże, gdyż bez tego przestanę istnieć. Wszystkie, następujące po tej, sceny — to już same czyny. Ten wysunięty ku Stwórcy palec leżącego Adama, prosi o dobrą drogę. Bowiem droga jest pierwszym wynalazkiem kultury. Można rozbić atom, można rozbić i szczątki atomu, ale drogi rozbić nie można. Ona nie da się zbombardować, gdyż sama bombarduje!

Ksiądz ujął starożytnie rżnięty kielich. Spojrzał na wino z niedowiarstwem znawcy, sprawdzającego najcenniejszy napój po każdym łyku. W komnacie zapanowała cisza. Patrzano w głąb siebie.

— Najtrudniejsza rzecz — to droga — zaszeptał.

— Tak jest — przypomniał sobie Glorjan losy Portu Artura.

— Czy obawiacie się tej drogi?

— Nie, nie!...

— Więc nie szukajmy trzeciej dziurki w nosie bliźniego — ciągnął ksiądz.

— Maszerujmy po dobrych drogach, a swoje łocze niech będą zawsze za nami. I nie uprawiajmy bałwochwalstwa mózgu, bo on już siadywał na tronach, na trzech tronach, które przecięły nasze polskie drogi. Mózgowi już stawiano w Paryżu ołtarze. Było to tak niedawno, że doprawdy, dzisiejszy taniec zorganizowanych umysłowców wygląda na jakąś rocznicę, jeżeli nie na maskaradę. Niech mózgi bombardują, ale niech prowadzi — serce! Mieliśmy po powstaniu 63 roku Świętochowskiego i Prusa. Nie lubili się wzajemnie, z czego osiemdziesięcio-

kilkoletni Świętochowski wypowiedział się niedawno. Największym pogrzebem w Polsce był pogrzeb Prusa. Była to droga serca! Naród wkroczył na nią, a Piłsudski przez czterdzieści lat zdobywał w Polsce serca. Przebył on tę drogę zwycięsko. Przyszedł z Sybiru.

My Polacy znamy drogę na Sybir, ale istnieje obok karnego Sybiru — Sybir przebogaty, bezludny, Sachara!

Panowie i panie, droga otwarta! Przemawiam do słuchaczy, którzy mają w dodatku duże pieniądze na drogę. Was tak łatwo nie zniechęcą koszty podróży. No, no, mam pewność, że zrobicie wiele, nie koniecznie wyjeżdżając z Polski. Czy się mylę? Zróbcie wspólną podróż po tej naszej polskiej Saharze, po mokrej pustyni, która się nazywa Polesie! Syberja dzikich kaczek! Osuszcie to błoto. Uwolnijcie Polskę od błota!

Jeżeli potrzebne błota przed wrogiem, to poróbcie tamy holenderskie, łatwo zalewające drogę.

Niech odpoczną sieci rybackie, niech Cerera wyśle Rut biblijną po złote włosy.

— Po osiem złotych za korzec, przepraszam, za kwintal — wyrecytował Nesesser i dodał:

— Cerera staniała, Chrystus był droższy.

— Plon zawsze jest tańszy od zdrady, ale zato plon jest dłuższy. Zostawcie narazie ceny na boku. Nie potrzebujecie się obawiać cen. Gdyby Judasz orał, czyli umiał dłużej czekać na srebrniki od zasiewu do plonu — nie zdradziłby.

— Ale gdyby obywatel Judasz nie zdradził, to-bym...

— To nie powiedziałbyś kiepskiego dowcipu, Kodeksie. Nie żartuj na ten temat. Polskie rolnictwo daje życie robotnikowi po miastach. Żyto i pszenica—

na szyszakach swych kłosów mają znaki od kul. Cep, kosę, karabin i szablę polską czuć chlebem.  
— Tak jest wszędzie...

— Tak jest wszędzie, ale w Polsce 20.000 ludzi posiada 1/3 część ziemi uprawnej, a 2.980.000 ludzi uprawia pozostałe dwie trzecie. Żaden z nas trzech nie tknął pługiem ziemi w rolniczym kraju. Żaden z naszych ojców nie miał ziemi, a może prapradziadowie pańszczyznę odrabiali!

Mam dwie sutanny, a wy nosicie po parę ubrań na zmianę. Posiadamy, powiedzmy, po 12-cie koszul, ale czy pomyśleliście o tem, że posiadacze wielkich przestrzeni powinni kupować rocznie po 300.000 koszul, po 5.000 ubrań, po 50.000 kołnierzyków, ażeby proporcjonalnie zbilansować konsumpcję wewnętrzną. Hitler rozebrał Niemców do koszuli i sam wdział koszulę, kto wie czy nie na dożynki u obszarników.

W Polsce za mało ludzi ma ziemię, a ci, którzy ją mają, mają jej zbyt mało. Dlatego to nasz przemysł prowadzony jest po amatorsku, przez prywatne zabiegi i stosuneczki. Nie może znać się na interesach człowiek, który nie przesiał ani razu złotego ziarna z garści w ziemię.

Pamiętajmy, że pług — to żelazna dłoń, pieszcząca ziemię polską tak wrażliwą, tak wdzięczną.

A propos amatorstwa. Czy był który z was na konkursie amatorów, czy adeptów?

— A ksiądz był?

— Byłem myślą. Ciągłe od lat piętnastu jestem na konkursie amatorów! Gdy Polska odżyła, nie wątpiłem ani na chwilę, że pierwszy obudzi się człowiek z szablą w łapie. To było tak pewne, że na taką jutrznię można było postawić wszystko.

Zrazu brauningi potajemne, przedmiot zachwytu Prusa, Żeromskiego — otaczały człowieka, który z pomiędzy wierszów Karola Marxa strzelał do cara rosyjskiego i do innych carów. Pierwszy polski groch nie o ścianę — to kule brauningowe z czasów Japońskiej wojny, gdzie cuda oglądałeś, gdzie do cudu należałeś, Glorjanie.

— Kto wie, czy Rogów udałby się, gdyby cała ziemia przyległa należała do jednego pana. Płoty pozwalają się ukrywać, przeszkadzają w ściganiu.

Odżyło męstwo i bohaterstwo na polskim zagonie, ale temu męstwu trzeba więcej par rodziców chrzestnych. Więc wam radzę z głębi serca i rozumu: potracie majątki wasze dla tej sprawy! Ty, Kodeksie, weź ojcowską fortunę, a ty, Glorjanie, żoniną—jakże ogromną—i ruszajcie na podział ziemi! Potracie wszystko jeden i drugi, bo ja, biedny ksiądz, już tracę cierpliwość! Może wam obliczyć na kolanie, ile stracono już w odrodzonej Polsce na hypotekach 30.000 majątków ziemskich, licząc tylko po 20.000 złotych — czyli 600 milionów?

A wiele na hypotekach miejskich, licząc w 17 województwach, czyli 1,500 miastach zaledwie po 200 domów każde i po 20.000 złotych na wszystkich numerach? Oto —6 miliardów złotych! Te siedem miliardów poszło na odzyskanie wolności! Musiało pójść, chociażby żaden Grabski w tańcu się nie omylił. Traćmy dalej, tylko coraz mądrzej. Niech Starachowice, Częstochowice i Modliborzyce łudzą się, że coś schowają. Wy — traćcie! Nie tracąc czasu, traćcie pieniądze! Zbombardujcie przysłowie, że czas — to pieniądz. Jak czyj czas i jak czyj pieniądz!

Na całym świecie nic nikomu nie przyszło z pieniędzy, które schował. Bankierzy zdradzili Europę

za dolary. Każdy europejczyk stał się być może Chrystusem, bowiem każdego sprzedano za 30 dolarów. W ostatniem dwudziestoleciu, albo może nawet dziesięcioleciu Europa straciła z 15 miliardów dolarów, a zważcie, że moje obliczenie jest naiwnie powierzchowne. Europa objęta jest stratosferą.

Wreszcie i przez Amerykę przeszedł złoty piorun strat, przed któremi nie uchronił jej piorunochron Benjamin Franklina. A przecie brat Benjamin 150 lat temu ostrzegał osobiście „braci” monarchów europejskich! A gdy tak wygnacie kupczącego i chciwego zysku szatana z waszych serc — ujrzyście całą „swołocz” na klęczkach w oczekiwaniu waszych rozkazów!

— Zmęczyło mnie to gadanie, a zwłaszcza wasza cierpliwość.

Koduś zerwał się z fotela. Podeszedł tuż do Glorjana i patrząc mu śmiało w oczy, rzekł zwolna:

— Zabrał mi pan, panie Glorjan, jedno piękno z przed oczu, znalazłem drugie — inne.

Światło, które pada z ciemności, czyli Sutanna na wysokościach, jest może najprawdziwszem światłem.

A co, jak zmądrzałem?

Niech cały świat owdowieje po kapitale i niech się nazywa Wdowcem! A ja się nazwę: żyd wieczny rolnik, ale — na pięciu włókach! Może za dużo? No to na czterech i pół. Opuszczam powoli, bo jestem z plemienia, które targować się umie...

Koduś, podniecony winem i treścią rozmowy — rozszalał się:

— Pozwólcie mi być żydem na pożegnanie... jeszcze chwilę. Nie wierzcie, że w Polsce nie ma pieniędzy. Wiem, że są i wiem, gdzie są! Nietylko u mego ojca i nietylko u hrabiego Brutto.



Anglicy i Amerykanie nie ulękli się inflacji, a Polacy nie chcą o niej słyszeć. A dlaczego? Bo Polacy czują, że ich pieniądz tkwi w ukryciu bezczynnie. Mają postokroć rację! Przyznaję wam to ja, żyd! Pieniądze polskie trzeba wydobyć, nie trzeba drukować, tylko — wydostać!

Bierzmy miednice polskie, w których nikt się prawie nie myje i płóczmy, płóczmy, aż się z piasku i z mułu złoto wykołysz. Należę całą duszą do tej pracy!...

Wdowiec życzliwie przytakiwał ruchem głowy.

— Kodeksie, coś jeszcze weź odemnie na tę drogę.

— Mam przecie podróżować na własny koszt?

— Ależ nie o to chodzi. Czy wy wiecie, moi drodzy, że Anglja, jako państwo, jako rząd, odebrała część kosztów wojennych — i to nie byle jaką — od robotników, potrącając im z płac. A czy obliczaliście kiedy, ile to milionów dali przemysłowi polskiemu polscy robotnicy w ciągu ostatnich 3-ich lat obniżek? Coś przeszło dwa tysiące milionów, czyli dwa miljardy.

— Skąd ksiądz dochodzi do takich cyfr?

— Skąd znam te cyfry?

Zainteresowały mnie. Mnóstwa rzeczy i zjawisk nie znamy, gdyż nas nie interesują. Obliczcie sobie, ile to będzie ulgi, gdy 2 miliony najemników wszelkiego rodzaju, — nie wyłączając urzędników — odda dziennie po 1 zł. groszy 60 w ciągu trzech lat. Będzie to dwa miljardy. I cóż z tego? O tyle mniej kupowano.

A to jest niedobrze. Gdy czytacie w pismach amerykańskich, że yankesi mają zbytek pszenicy, cóż to oznacza? Że nie ma jej kto kupić. Znaczy

to jeszcze, że komuś nie dodano na pszenicę. Mo-  
żeby tak podpalić świat dla uregulowania bilansu  
handlowego i zacząć produkować na nowo?...

— Czarną kawę paloną... poddał Koduś.

— Kazano spalić miliard krzaków!... Otóż, rze-  
sza nie ma co jeść, a swołocz robi miliony na po-  
średnictwie. Nie macie pojęcia, jak swołocz kocha  
kryzys. Ile to ona krzyku robi, że jest źle, że wszy-  
stko się kończy, gdy w istocie zaczynają się majątki  
swołoczy.

— Więc może ta swołocz uratuje świat kapita-  
listyczny?

— Owszem, uratuje, jeżeli pokaże pieniądze!

— Tak — dobrowolnie?

— Jeżeli nie pokażą dobrowolnie, będą musieli  
i pokazać i oddać.

— Na to, żeby potem inni się wzbogacali? od-  
ważnie wtrącił Nesesser.

Księdza to pytanie wcale nie zraziło:

— Tak jest na to, żeby inni, żeby coraz inni  
i tak w nieskończoność! Coraz inni się rodzą, dla-  
czegoż nie mają się coraz inni wzbogacać, czy cho-  
ciażby tylko korzystać z pieniądza? Pieniądz, który  
może pochodzi stąd, że ludzie się o niego pienią  
i pieniaczą, pieniądz musi wędrować. Kołował w  
ziemi razem z ziemią. Wydobyty z ziemi nic innego  
nie robi, tylko obraca się. Ale, chcąc, żeby pieniądz  
był czem innym, czemś chwilowo nowem, — trzeba  
go oddać innym następnym ludziom, rozumiecie wy  
to? Ty, Glorjanie, w Porcie Artura wyliczyłeś ja-  
pońskie pieniądze zdrajcom. Potrafiłeś uczynić  
świeży użytek z pieniądza. Tak samo i ty, Kodeksie.  
Gdybym ci powiedział: zwróć, Nesesserze, Chry-  
tusowi srebrniki, obraziłbyś się, — a jednak uczy-

nisz to bezwiednie nie przez jakąś pokutę, lecz przez głód poznania nowych prawd. To najdroższa potrawa, a ty, — wiem to dobrze, — jesteś djabelnie głodny.

Głodny Attyla uderzył na władczy pieniądz Paryża, a korsarskie złoto Hannibala zadzwięczało rzucone o złoty hełm Cezara. Bywają spotkania jeszcze dziwniejsze, na które patrzymy. Hitler zachodzi drogę Karolowi Marksowi i woła:

— Odejdź! teraz — ja!!

I oto w poszukiwaniu prawdziwego złota Renu, uzbroił się knecht Hitler i poczyną sobie jak Herod w poszukiwaniu Chrystusa.

Quo vadis? Czego chcesz? pyta Marks.

Na to Hitler:

— Niczego nie chcę! To ty chciałeś, ciągle chciałeś, aż mnie nauczyłeś. Teraz oto — ja!

Kodusz klasnął w ręce i szepnął:

— I to w taki sposób dzieje się posuwają?!

— Niestety, Niestety, bardziej w taki, niż w inny. Tylko ponieważ cała jaśniewielmożna ludzkość przechodzi dopiero niemowlęctwo, a już co najwyżej — pełza więc posuwanie to mogłoby żółwia rozśmieszyć. Marks twierdzi, że nowoczesny robotnik ma pracę do sprzedania. Co za zdobycz! Do sprzedania? Przypatrzmy się temu sprzedawaniu. Dziwna sprzedaż! Libera venditio! Wolna sprzedaż, ale nie wolno na niej nic zyskać, tylko tyle, żeby żyć, oczywiście coraz krócej. To też odkrywca tej wolnej sprzedaży, Marks, spostrzegł się. Obejrzał się poza siebie i znalazł nazwę właściwszą: nowoczesny niewolnik. Niewolnik nowoczesny! Szkoda, że Krakus nie miał tego określenia pod ręką, boby niem smoka rozsadził. I cóż się okazuje? Poprzed-

nik robotnika — proletariusza, jego praszczur, glebae adscriptus, także miał tylko pracę do zaoferowania. Że jest wolnym obywatelem, powiedziała mu w Paryżu Rewolucja, a w Warszawie — car Aleksander II-gi. Został obywatelem. Obywa się smakiem. Może was gniewa, albo obraża ten Aleksander II-gi. Wszak byli Chreptowicze, wszak był Kościuszko, który dla pewności prosił cara Aleksandra I-go o uwolnienie włościan!

Niewola nie minęła jeszcze — to my mijamy niewolę i nie możemy minąć, niewolnicy!

Książd nagle posunął się ku ścianie z książkami i zaczął w tę ścianę mówić, jak gdyby ewangelję od ołtarza głosił:

— Książki wy moje, jakżeście wy jeszcze młode, jakże do siebie podobne! Grzbiety wasze, jak piszczałki organowe, grają tę samą pieśń młodości...

Obrócił się ku przyjaciółom fachowym ruchem, na nic i na nikogo nie patrząc:

— O, Chryste, Chryste! coś ty zabrał z naszej myśli hen w bezmiar, że te myśli na tobie się kończą? Robespierre, Marks, Liebknecht, Mochnacki, Mickiewicz skończyli na tobie, Chryste!

— Glorjanie i ty, Kodeksie, nie sądzicie, że się ulęknę szatańskiego śmiechu Masinissy. Zjaw się, duchu syllogizmu, duchu tryumfu warg wnioskujących, zjaw się i uderz we mnie, a jak masz gromić, sam ci podpowiem: oto połóż mi szpony na ramionach i zasycz: i cóż, strwożony bibliomanie, pod krzyżem się chronisz przedemną? To nie sztuka! I to już było!....

Wiecie, przyjaciele, co ja mu na to odpowiem?

— Kończę pod krzyżem! Tak jest, Masinisso, kończę tam, gdzie ty zaczniesz! I nie drwij z tych

moich mądrych ksiązek dlatego tylko, że jedna otwiera się na słowach, zamykających poprzednią.

Robespierre, byłeś wyznawcą Istoty Najwyższej, ogłaszając jej królestwo. Posyłałeś na szafot wierzących w starego Boga po to, żeby go odmłodzić!...

Marksie! patronie zdobywcy socjalnych, postaw słup graniczny w któremkolwiek miejscu, przybij na nim, albo oczap go, jak Gessner, swoim kapeluszem — kapitałem, a ja ci ten słup przekreślę jednym zapytaniem: kiedy?

A ty wyznaczysz mi spotkanie pod znakiem krzyża!

Chryste, Chryste! czy to, co z Tobą uleciało, nie wróci nigdy?

Chryste, umówiono się niedawno, że od Leszna do Woropajewa będzie Polska. Ale czy się umówiono, że ona ma być głupia i w swej głupocie uparta? Czy panis bene merentium, ma dla reszty oznaczać pańszczyznę? Czy „panis” pochodzić ma zawsze od pana?

Oczy księdza zabłyśły i zawołał:

— Pomóżcie mi kląć i bluźnić, ażebym nie oszalał!!!....

Padł na kolana z rękami złożonemi, szepcząc coś jeszcze.

Glorjan i Nesesser milczeli.

Ale ksiądz i siebie nie oszczędził. Powstał z wolna i podszedł do nich.

— Oto jestem z carskiej sieci wywleczona swołocz — ryba, wyrzucona ponownie na brzeg, ryba, która już miała ręce chciwe grosza i nogi zdradzieckie, a którą zalano i przed chwilą wydobyto. Brak mi tchu, ale czuję, że mi ręce odrastają. Podajcie mi wasze! Powiem wam, co mną tak wstrząsa.



Między tem, co jest, co nas otacza, a tem, coby mogło być, albo powinno, tkwi utajona i zaczajona siła rewolucji....

Każda instytucja, każde poczynanie zawiera w sobie nikiel, uran i hel, jak wygasający księżyc, jak zabłąkany bolid, znaczący ślad po niebie. Istnieje nawet pod sutanną męka tych stygnących i równocześnie wyzwających się pierwiastków. Może kiedyś będą wydawane przez okienko bilety, zezwalające na stworzenie poematu, sonetu, dramatu, można będzie założyć powszechne „sto pociech” bez żadnej pociechy, — ale trzeba, wierzajcie mi, koniecznie trzeba oczekiwać na prawdziwy powrót czegoś, co od nas uleciało. Bombardujmy w sobie atomy naszego niedołęstwa, a przekonamy się, czegośmy w sobie zupełnie nie wyzyskali, nie zużyli. Innych sutanna postarza, mnie — odmładza! Uważam ją za togę, w którą odziany wołam: caeterum censeo!

Widzę tam na półce dzieła fantasty Hoffmana. Gdyby powąchał tę butelkę, możeby ze znawstwem szatana orzekł: djable eliksiry?

Tam oto obok stoją „Myśli” Pascala, który ma w Paryżu wieżę „Pensées de Pascal”.

Po niektórych naszych działaczach zostaną: „Pancho de Sancho”...

Wdowiec podszedł do Kodusia, a patrząc na Glorjana rzekł nagle:

— Glorjanie! znajdź Kodeksowi żonę, dobrze?

— Już znalazł, ale — dla siebie — rzekł z miłym uśmiechem Koduś.

— Znajdę! a będzie wierna, jak Japonka.

— No, aleście mnie wypowiedali i zmoogli doszczętnie. To nie wino, to wasza młodość tak działa.

A wiecie, z kim rozpoczniemy walkę? Z Anglią! Anglja — to stygnący księżyc, w którym jeszcze gotuje się (Irlandja, Egipt, Indje).

Pamiętajcie, że w Monte Carlo dogorywa szatan, Sir Basil Zacharoff. Stręczyciel dziewczek, handlarz karabinów maszynowych, fundator wypraw wojennych, duch wywiadu i akcjonarjusz domu gry. Aner kalos kagatos? Kaloryfer starego świata, kaganiec rodzących się idei. Szatan!

Wszedł służący, który wręczył księdzu list.

— Do pana Glorjana... Zła wiadomość.

— Glorjanie, do ciebie.

Po przeczytaniu listu Glorjan zbladł i oświadczył:

— Mój teść, hrabia Brutto, dostał ataku. Żąda księdza.

— Ach, pani Teresa w takim stanie! krzyknął Koduś — może jej to zaszkodzić...

— Moja żona umie panować nad sobą — rzekł z łagodnym uśmiechem Glorjan, podając rękę Kodusiowi.

— Przepraszam pana — szepnął Nesesser.

— Niech pan nie przeprasza. Jest pan naszym przyjacielem.

— Lepszego nie macie, o... przepraszam, chyba, że ksiądz filister.

— Zabieram też księdza ze sobą. Idziemy.

Szybko opuścili pokój, w którym został Koduś smutno uśmiechnięty.

Nie zabrali go z sobą. Nie mógł mieć o to pretensji, ale coś go zabolalo.

Koduś zerknął na pozostawiony na stole rękopis i — ni z tą ni zowąd — uczuł się uprawnionym do zabrania go ze sobą.

— Uciekł przedemną, ale ja go sobie zatrzymam.

Wychodząc z cudzą pracą w kieszeni, czuł Koduś, że popełnia bezprawie.

— Zemną dopuścili się większego bezprawia. — pocieszył się, wychodząc na ulicę.

## XII.

### RĘKOPIS WADOWCA.

Nikodem Nesesser skwapliwie wziął się do czytania rękopisu Wdowca.

Pisany był zwyczajnym stylem.

„Tak zwana z rosyjska „swołocz” utworzyła się w Polsce odrodzonej z konieczności.

Z Krakowa przyjechały „rondle”, z Rossji — samowary. Z Poznania przywieziono — trąbę Jerychońską.

Do pierwszego sejmu weszło odrazu kilku wytrawnych graczy. Resztę posłów wpuszczono jak wszędzie, na gapia. Zaczęto sobie pokazywać dzielnicowe przedwojenne kondemnaty i zdrady, a Korfanty i Daszyński co chwila chwytały się — w braku szabel — za boczne kieszenie, gdzie tkwiły rzekomo druzgoczące dowody, jako to habsburskie bluszcze i niemieckie kubany. Publiczność sejmowa z zaciekawieniem oczekiwała, że lada chwila rozłożą na ziemi podwórkowy dywanik, na którym każdy gracz pokaże, jak to było za jego cesarza. Daszyński pouczał sejm, jak ma wyrażać swoją wolę, Korfanty upewniał Daszyńskiego, że większość ludu należy

nie do czerwonego sztandaru, a Trąmpczyński dzwonił, ogłaszając koniec rundy.

Bezpańska swołocz patrzyła rozbawiona — jak starzejące się boksery wybijają sobie sztuczne zęby.

Zjadano resztę nagromadzonego przez wojnę zapasu.

Światowej sławy muzyk, znakomity mówca, Paderewski, wśród oklasków zapewniał z trybuny sejmowej, że sprawa Polski dostała się w ręce dobrych ludzi, zresztą osobistych jego znajomych i wielbieli. Jednym z nich był Wilson.

Stary Clemenceau szczerze poradził, żeby Polska była „drutem kolczastym” od Wschodu. Zapomniał chwilowo o miliardach, należących się Francji od Rossji. Anglja patrzyła na Polskę wskrzeszoną, jak na uprzejmość historji i — pana Wilsona w szczególności. „Dobry żart funta wart” mówił Lloyd George, dopóki nie ukazał się na rynku polski węgiel. Ten podziemny majątek Polski zirytował Anglję i Niemcy.

A w domu swołocz wielkoprzemysłowa cieszyła się, że będzie mogła grać z Anglją węglem w cetno i lichy. Wielki przemysł! Odziedziczyliśmy w Dąbrowie i na Górnym Śląsku kilkunastu cudzoziemskich magnatów, francuzów i niemców, otoczonych odpowiednią ekipą naszych swołoczów. Niewola kapitałowa nie skończyła się tego samego dnia, co polityczna. Obsługusy tych zagranicznych kapitałów ambasadorują we własnej ukochanej ojczyźnie. Balleström, Donnersmarck, Larisch, Boussac, Hariman — dają posady polakom, ale ci polakobiorcy za kawał chleba żądają wielu kawałów. Ci pośrednicy polscy są wymyślni i wymyślani, są oddani tam i z powrotem. Goremikiny rekinów. Ministranci, byli



ministrowie. Tak są wyswołoczone polski węgiel, polnafta, polgacie i polminy. U Ejtingona w Łodzi pracują senatorowie, oczekując na pensje od Gallów i Galilejczyków. Kiedyś tam w Rossji gnało to od mety do prodamety, o tyle usprawiedliwione, że zmuszone działać na cudzym terenie. Obecnie we własnym domu, w ojczyźnie (oj! czy zna?) — nokautują potężnymi rękawicami ministra przemysłu i handlu, oraz skarbu, mierząc podatki na zamiary.

Zamiast „gość w dom“, mówią: dość w dom! — reszta — zagranicę!

Ci swołocze wprowadzają „demoralizację“ darcia skóry z robotnika. Zahartowana Polska wytrzymuje tę kohordę.

Dekret nakazuje im zatrudniać polskich inwalidów wojennych. Zatrudniają, a nawet tłomaczą francuzom, niemcom i anglikom, że tak być musi. Ostrzegają swoich żerodawców przed rozruchami ludowymi, we własnej ojczyźnie. W ogrójcu niesłychanych zmagañ z nędzą pokazują cudzoziemcom ojczyznę, szepcąc: bierzcie, oto ona, a oto tu ma kieszenie. To są tragarze, którzy najpierwsi zapomnieli o Łokietku. Zeswołoczeni z zagranicą są groźniejsi od szpiegów, gdyż korzystają z prawa nieuchwytności. Przemykają się od przemysłu do przemysłu na posady rządowe i odwrotnie. Urzędują i urządzają. Funkcjonują, fungują i fundują. Przypominają rządowi o zamówieniach, zapominając o podatkach. Znoszą dolę i niedolę w dolarach i niedolarach. Zamykają fabryki, otwierają oczy robotnikom. Oni to wyswołoczyli pieniądz z Polski, tworząc dla niego „dezerterra incognita“.

Na wielkich ołtarzach w Poznańskiej, Wawelskiej i Ś-to Jańskiej katedrach powinny leżyć sznury

dla Chrystusa, sznury na tych najmitów i najmitologów. Żyją wśród nas, znamy ich wszystkich z imion i nazwisk!

Jeden z nich powiedział głośno na zamku u Prezydenta:

— Jeżeli Niemcy zetkną się w Polsce ze zdolnym Polakiem, to go zatrzymują na posadzie.

W swołopotocznej mowie oznacza to:

— Starajmy się przynieść pożytek księciu Pszczyńskiemu.

Niemcy mieli na Górnym Śląsku swego „Posej-dona”. W razie czego posyłali „po Sejdę”.

Korfanty zapisuje Niemcom codziennie całą „Polonję”, złożyć polskiemu rządowi. Został o-  
ćwiczony w fortecy Brześciu.

Oćwiczono i innych.

Kto od czasu do czasu widuje Chrystusa, ten za-  
świadczy, że tego dnia, gdy ich bito, Zbawiciel nie  
miał sznurów w dłoni. Widocznie wypożyczył, albo  
przemienił stryczki na baty w Kanie nad Bugiem.

To bicie było nie ludzkie!

Albowiem nie człowiek bił nie człowieka.

W Brześciu była mennica Chrystusowa.

Wybito wstyd!

Znaki Brzeskie wypuścił bank Chrystusa!

Dlatego to profesorowie subskrybowali akcję  
Brzeską. Dlatego to nauczyciele i uczniowie podpisywali — gremjalnie, ostentacyjnie.

To bicie miało sens biblijny, aż dreszcz poszedł  
po szkole i po nauce.

Chrystus, który bił poraz pierwszy w świątyni,  
poraz drugi smażał w fortecy.

Podobno w Brześciu wzywano Jego Imienia.  
Słusznie.

Mówiono po Brześciu o poniżeniu godności. Owszem, poniżono swołocza, położono go na pryczy więziennej, gdyż sięgał już do gardła ojczyźnie.

Mówiono, że takie bicie bezbronnych — to zdziwienie.

Czy po procesie Samuela Zborowskiego nie było biadań na temat poniżenia godności ludzkiej, narzekań i krzyków na temat zdziczenia obyczajów? Były i krzyki i cała literatura. Tak, ale tam było ścięcie głowy magnata za warcholenie, a tu — zwyczajne plagi.

Trudno, panowie, w braku głów do ścinania, należało „obniżyć” wymagania.

Gdy na Czeladzi (miejscowość w okolicy Sosnowca) padło kilku robotników w walce z młodą policją, byłem na pogrzebie ofiar na cmentarzu. Wypowiedziano kilka przemówień nad trumnami. Nagle na tym samym cmentarzu, o kilkadziesiąt kroków stanął na starym nagrobku były wasz poseł, komunista i zaczął przemawiać w te słowa:

— I cóż, towarzysze, jesteśmy na ucztie! Poczęstowała nas odrodzona Ojczyzna winem i kulomiodem!...

Słowa te były mówione za pieniądze ościennego mocarstwa.

Ten cmentarny „chodataj” uciekł przed Brześciem na cmentarz.

Przez korytarze Brześcia przeszedł cień Chrystusa, pobrzękując kluczami. Męka jeszcze się w Polsce nie skończyła, a wy już chcieliście być nietykalni. Wam się śni Łukasiński. Czy być może? Łukasińskim jest teraz cały naród, który płaci i krwawi, krwawi i płaci.

Stańcie panowie w zgodnej grupie przed lustrem sumienia, a może wtedy zrozumiecie, że wasze ukrzy-

zowanie, albo „decapitacja” byłyby potwornie zabawne.

Nikt o was się nie upomniał i nie upomni.

Pan profesor, podpisujący się pod zbiorowym protestem!

Gdy naród idzie, czasem, wpoprzek drogi mu profesorskie grono staje.

Stąd „grono - staje”. Dość!

W majowe dni jeden z waszych wodzów nie chciał przyjść na posiedzenie do Sejmu, zapraszając telefonicznie swych towarzyszy, ażeby pofatygowali się do niego, do domu, gdyż na ulicach, kochani, strzelają.

Gdy tak telefonował wasz wielmoża, żołnierze w rzymskich hełmach przebiegali ulice.

Oni zawsze byli są i będą Don Kiszotami.

Noszą miednice do golenia z czasów rycerza z La Manche'y. Są nieraz śmieszni, jak tamten.

Śmieszni? Tak! Niedawno zaatakowali wiatraki po drodze do Kielc, w dniu 6 Sierpnia. Potem wpadli na stado baranów i mieli za to Magdeburskie procesy. Rozkuli galerników, ażeby zaraz dostać po łbie błotem i śniegiem, zupełnie jak u Serwantesa. Byli śmieszni!

Don Kiszot Piłsudski za innym Don Kiszotem, księciem Józefem Poniatowskim idzie do błota, klnąc po żołniersku! Są śmieszni! Śmieszni jakimś wielkiem oddaleniem, żyjąc wśród nas.

Więc ciągną tragedja Wyspiańskiego?

Wszak chochoł — to krakowska swołocz!

Więc po dawnemu?

Otóż nie, nie i nie!

Właśnie w Brześciu nikomu kosy z rąk nie wyjęto, chwalić Boga!

Koduś czytał nietylko przez ciekawość: gdyby teraz nie czytał, pobiegłby do mieszkania Glorjanów z pomocą Teresie, chociaż wiedział, jak jest broniona i strzeżona. Chciało mu się chwycić Glorjana za gardło i szeptać mu w wywalone oczy:

— Posiadłeś tę kobietę. Gdzie, jak i kiedy, nie wiem, ale teraz oddaj mi ją! Będę ją pocieszał po utracie ojca. (Dlaczegoż ci Bruttowie są tak bogaci? Nic nie potrzebują, a w dodatku Glorjan nie da się wziąć za gardło!).

Zanurzył się cały ponownie w czytanie...

....„Odejdziemy wszyscy z Polski jako świadkowie naoczni. Chcielibyśmy może na odchodnym pouczać młodzież? Czego? Jak robić majątek na oszukiwaniu rządu? Lepiej odejźmy!

Owszem jest jedno do zrobienia. To coś jest nieubłagane, nieodparte, z sankcją zagłady, jeżeli nie zostanie wykonane. To zaludnienie wschodnich połaci Polski. Zamiast Lelum - Polelum, niech nam przyświeca Leszuk - Poleszuk, bosonogi zbieracz grzybów i kłusownik puszczy.

Jest na wschodzie raj polski, z którego wyniosły się żubry nietyłe przed tatarami, ile przed tartakami.

Puszczą!

Odwiedziali chętnie puszcę carowie, ażeby patrzeć na strzeliste świerki, które są urodzonemi zaborcami. Jeden z nich wskoczył na ramię dębowi Jagiełły. Świerk — despota i zaborca zdecydował o wysokości drzew w puszczy. Podniósł za sobą, dźwignął ku niebu otoczenie. Jego wysokość świerk pchnął lipy i dęby do czterdziesto - metrowej wy-



sokości. Wyciągnął najgrubsze pięćusetletnie pnie na baczność i ukoronował liśćmi dopiero u szczytu. Panteon wywalczonych drzew — to puszcza! Gdy burza obali takiego kolosa, stawia on sobie natychmiast wschodniego porządku nagrobek, okrągłą tarczę wyrwanej z korzeniami ziemi. Tarczę zdobią węże korzeni i kamienie. Dla jakiegoś wielkoluda kanclerza takie umarłe drzewo przypomina olbrzymią przewróconą pieczęć.

Puszcza rośnie, jak legenda. Tartak jest drukarnią puszczy. Tartak robi z maczugi prabytu — laskę na żydów dla akademika. Powinno się matki polskie przed porodem przywozić do puszczy, ażeby spojrzwały — grube — na wysokość. Nowi polacy muszą się rodzić na łożach z wysokich drzew.

Niech matki wiedzą, że w puszczy kołyska piorunami łyśka, z piorunami się całuje, piorunom pierś rozchyła.

W tej puszczy rodzą się sowy i puszczyki w niespotykanych nigdzie na świecie Jagiellońskich srebrnych gronostajach. Niosą na ogromnych skrzydłach wróżbę i ukojenie. Gdyby Napoleon zobaczył taką polską sowę, zatknąłby ją zamiast orła na wysokopiennej sośnie i zgniótłby carów. Chodziłby po puszczy Białowieży, jak wśród piramid z podniesioną cesarską głową, ażeby po liściach odróżnić lipę od dębów, bowiem ku ziemi pnie udają rzymskie kolumny, podobne jedna do drugiej.

Pomiędzy olbrzymami puszczy przechadza się uczony polski, Napoleon gwardji świerków, Stanisław Karpiński, który niedawno po drobnych listkach tajemnej roślinki odkrył tu ślady lodowca. Carowie nie wiedzieli nic o lodowcu puszczy. Karpiński odzyskał puszcze — i wie. — Karpiński złem

okiem patrzy na tartaki, od których drzewa topnieją. Gdy pan dyrektor departamentu, Loret, zadzwoni w dzwonek Loretański na ścięcie sosny, Karpiński szepce: wieczny odpoczynek racz im dać, Panie! — To znaczy: sośnie i Loretowi.

Puszczę wycina się dla złota — na sprzedaż. Nie na opał, nie na budynek, nie na chatę, tylko — na sprzedaż. Król angielski z puszczańskiej łoży patrzy na sportowe zawody, tam pod Londynem, a srebrna sowa płacze nad Poleszukiem, który ma dziurawy dach nad głową i drzwi bez zawias odwała, jak Chrystus płytę grobową. Gdyby Chrystusa ukrzyżowano na jednym z tych olbrzymów, żaden żołdak rzymski nie zdołałby podać Mu gąbki z octem. Dyrektor Loret z Warszawy, posyła drzewo na krzesło dla Lloyda George'a. Z takiego tronu szkot z góry na nas spogląda. Prosił niedawno o ofiarowanie mu srebrnej sowy. Chciał kupić. Karpiński — mały wielkolud — odmówił. Karpiński ma uśmiech kobolta nauki. Uczony stróż kniei nacechował niektóre drzewa, z których staną chaty polskie, z każdego pnia chata, — tak te pnie są grube! Gdyby zacząć pień rąbać, to dobiero wnuczka siekiery skończyłaby tę robotę. A każdy pień ma zdrowia na dziesięć pokoleń. Dawność i trwałość rośnie w puszczy. Jest więc jedno do zrobienia na odchodnem. Przynieść pochowane pieniądze pod te drzewa! To jest jedyna polska racja drzewostanu. Przynieść i pójść precz! Żadna sowa nie ukradnie ani grosza, bowiem jest cała ze srebra. Lodowiec ją usrebrzył i nauczył pogardy dla kapitału. Lloyd George ma tylko srebrne włosy, a puszczańska sowa jest cała ze srebra.

---

...Kodusia ukołysał ten opis. W myśli oprowadzał Teresę po kniei i pytał ją oczami, pod którym drzewem zechce dać życie olbrzymowi. Osłoniłby ją wielką tarczą z głazami, jak fortecą, przed Glorjanem, któryby jednak w mgnieniu oka przez ten puklerz przeskoczył, jak to już był uczynił, śmiałek z japońskich przygód. Lepiej nie mogłaś trafić, Tereso, jeżeli chodzi o bohatera...

Zaczytany Koduś, nie opuszczając pokoju, uciekł z Warszawy i ukrył się w kniei mało co mniejszej od Belgji europejskiej.

Ukrył się pod czerwonym dębem, który ma liście wycięte jak klon, ale twardsze, a żołędzie, jak wschodnie kolczyki.

Uczuł nagle przy uchu taki kolczyk, a w rękę siekiere. Zagrzało z dala, a wicher zakołysał koronami drzew. Zakołatano do kniei. Przeleciała samotna słonka z fajką na końcu wyciągniętej szyi. Niedźwiedzica, nikogo nie widząc, z pośpiechem przeniosła dwoje małych przez zwalony innym razem potężny pień rycerskiego dębu. Pióra wyschniętych gałęzi królewskiego szyszaka przecesały matkę po grzbiecie, aż ryknęła. Zmiałała pomrukując, przed rykiem puszczy. Zapadał półmrok, oświecany błyskawicami, którym towarzyszą wiwaty wichru. Z nieznannej wysokości do samej ziemi przeszedł po kolumnie lipy przez sam środek olśniewający szlak i zwęglił u podstawy kolosa wysoką trawę. Biała, trzydziestometrowa ziejąca blizna ukazała się nagle. Nim zarośnie, przejdzie ze trzysta lat.

Trafione drzewo trwa bez ruchu.

Pioruny rozpoczęły taniec przedwieczny.

Coś chrobotnęło, jak łamana kość, w pobliskim olbrzymie, który oparł się i nie ustąpił.

Ukazało się stadko saren w galopie. Oczy gnanych zwierząt zazieleniały w blasku błyskawicy. Zatrzymały się w jedną stronę zapatrzone. Gałęzie świerków uderzyły o jelenie rogi, nie płosząc nikogo. Dzik przegalopował pod kopytami rogowca, który, zaskoczony — stanął dęba i opadł na przednie racice, gdy potwór przemknął. Ryk burzy napełnił las hukiem, a serca zwierząt przerażeniem. Może już tam gdzieś pogoda się zbliża, ale tu wszystko jeszcze szaleje. Wiatr wyrwał Kodusiowi kolczyk z ucha. Schylił się i, znalazłszy zgubę pociemku, nownie u ucha, jak talizman, przywiesił. Siekierę wziął na ramię, aż odbiła błyski raptowne.

— Gdy to przeminie, założę tu nowe państwo! Będzie to państwo pracy, polskiej pracy! Zdumiony ujrzał pod sąsiednimi pniami trzech takich, jak on, toporników. Jeden stał pomiędzy sarnami, niedostrzeżony przez nie, chociaż coś wołał bezgłośnie. Na ziemię spadł strumień deszczu w innym kierunku, niż był tam w górze wysłany przez chmurę.

...Wreszcie stado pierzcha na widok ludzi. Przemknął jeszcze okulawiały wilk, szczerząc w przelotnym uśmiechu kły. Rozległo się stłumione poszczekiwanie i to zabłąkany jeleni omijał ludzi, kofując w pogoni za stadem.

Podeszli ludzie. Wzniesli w górę topory i uderzyli stal o stal. Zaprzysięgli pracę. Byli to: Wierba kołodziej, Falter — kowal z Hajnówki, Grajek gatrowy i Papuga węglarz drzewny. Gdy nieco ucichło, wymienili swe nazwiska, a Neseser powiedział o sobie, że się nazywa Kodeks.

— Rządź nami — orzekli, a on się zgodził.

— Masz ojca bogacza (skąd wiedzieli?) i wszystko wiesz (nic nie wiedział), pracujmy!

Zaczęli od rąbania. Ciachali w ciszy, a siekiery klekotały o drzewo, jak bociany. Obcałowany stałą pień drzewa stał w białoróżowej obroży siekańców, jak w opadniętej ku dołowi kryzie. Już spoglądać poczęli w którą też stronę drzewo zechce runąć...

Ocknął się Koduś nad rękopisem...

...Ileż to buntu jest w tym polskim księdzu?! Wpędził oto do puszczy ksiądz Wdowiec carskie nie-dobite żubry, i zatrzymał w polskim rezerwacie! To nie mściciel — to — budowniczy! Polski naród nie miał w swej przeszłości pustyni. Miał i ma jeszcze puszcę. Nie potrzebuje wędrować, natomiast może rąbać drogę we własnej kniei, gdzie męstwo przed hańbą szukało schronienia. Inna to droga, inna! Koduś pójdzie po tej drodze! Odda wszystko i pójdzie.

Ktoś poruszył kłamką, a Koduś ukrył rękopis.

Do pokoju syna wszedł ojciec.

— Czy nie przeszkadzam?

— Proszę, niech ojciec spocznie.

Nesesser był we fraku ze storczykiem w klapie.

— Czytałeś?

— Tak.

— Kiedy zaczniesz się bawić?

— Już się zabawiłem, ojcze.

— Wiem: z konduktorami... Chciałbym zostać twoim konduktorem, Kodeksie.

— Słucham.

— Konduktorem na przedostatniej stacji, gdyż co do mnie, zdaje się, że dojeżdżam i wkrótce będę musiał wagon opuścić.

— Cóż to za aluzje? Przy twoim zdrowiu, ojcze.



— Tu nie o zdrowie chodzi.

— A o co?

— O majątek. Widzę, że cię to zainteresowało.

— Jestem tylko zdziwiony. Poczóż mi ojciec proponuje zabawy?

— Właśnie dlatego. Jest w naszej religji, którą od niedawna wyznajemy, takie święto. Nazywa się: ostatki. Doskonałe określenie mojego majątku. Zbliża się popielec, a potem długi post. Ale dla ciebie, Kodeksie, coś tam schowałem. Wystarczy ci...

— Nie rozumiem. Czy to bankructwo?...

— Coś w tym rodzaju...

— Wobec bankructwa nic nie przyjmę.

— Ale bankructwa jeszcze nie ogłaszam.

— Wszystko jedno...

— Co to za dziwne pokolenie: wszystko jedno, czy plajta ogłoszona, czy nie? Zrozum, chłopcze, nie możesz odpowiadać za moje grzechy. Zresztą te grzechy nie są nawet moje, tak jak i majątek był nie mój, tylko mojego ojca. Widzisz, Kodeksie, mojego ojca nauczono tęsknić za Polską. Wszystkie obroty robił z tęsknoty. Nie wahał się przed szwindlem, byle Polska nareszcie była. Ty tego nie rozumiesz. Już w starożytnej Grecji umiano handlować akcjami...

— Akcjami? pierwsze słyszę...

— Więc może akcjami nie, ale kradli sobie barany, jak to opisuje wielce szanowny pan profesor Tadeusz Zieliński, który u nas bywa na rautach. Hermes ukradł barany Apollinowi, no i co ty powiesz na to? Sam czytałem. Jabym sam ukradł, tak lubię baraninę, ale teraz te rzeczy robi się inaczej.

Grecy za niczem nie tęsknili. Oni, spryciarze, wiedzieli, że wszyscy będą kiedyś tęsknili za nimi, więc po co oni mieli tęsknić? Polacy, to co innego. Mój dziadek już kochał Polskę, ale interesy robił w Petersburgu i w Moskwie. Gdy mój ojciec odezwał się przy podziale zysków z akcji Putiłowskich, że posle coś do tego tam Rapperswillu, roześmieli się z niego, jak bogowie starożytni z Hermesa na uczcie u pana profesora Zielińskiego. Czego ty chcesz od nich? Tęsknotą pieniędzy nie zrobisz. Tęsknią za pieniędzmi ci, którzy nie mają... Rozumiem trochę zatęsknić do kobiety, byle nie za długo, to znaczy, nim się ty i ona zestarzejecie, a szczególnie ona. Ale cóż widzę, że ty chcesz mieć Teresę, której nie masz, a nie chcesz gotówki, którą masz i która ci się należy.

— Pani Teresy nigdy nie chciałem i nie chcę...

— Pozostaje czas przyszły: możesz zechcieć, a na to potrzebne są pieniądze.

— Komu? Jej? wyrwało się Kodusiowi.

— Pieniądze są potrzebne zawsze i każdemu i każdej, wierz mi.

Spytaj twego mistrza, Wdowca, czy jemu nie są potrzebne pieniądze?

— Wdowcowi?

— Kodeksie, wolałbym, żebyś trochę poprzewracał w mojej kieszeni, niż żeby ci Wdowiec w głowie przewracał.

— Nie zrozumiemy się, ojczy, nigdy. Nie umiem się zapuszczać w podziemne pokłady Magdalenu złota.

— Magdaleny nie uznaję. Owszem, Magdę osobno, a Lenę osobno. Ale razem Magdalenę? A może jeszcze rzucanie kamieniem w głowę dla

zmazania grzechu? Wolę wyrzucić trochę pieniędzy i mieć spokój. Ale powiem ci coś jeszcze. Syn filozof — to gorszy syn, niż utracjusz. Nie mogę się z tobą porozumieć, a jutro może być zapóźno.

— Słucham, niech ojciec usiądzie.

— To sytuacji nie zmieni, zwłaszcza że właściwiej byłoby uciekać, a nie siadać. Wiesz, żałuję, że Chrystus zamiast Łazarza nie wskrzesił takich akcji, co to już umarły. Przynajmniej wiedziałoby się, jak to zrobić.

— Do czego ten cynizm prowadzi?

— Masz rację. Do niczego. Tak jest. Jeszcze wczoraj z tym Łazarzem byłby dowcip, a dzisiaj... czy tu nie ma nikogo w pokoju?

— Nikogo, prócz nas dwóch.

— Więcej nie trzeba. Masz tutaj czeki na Londyn. Trzy miliony są twoje. Gdyby Brutto nie umarł, można było jeszcze długo grać, ale z tym chamem, Glorjanem, nie da się nic robić. To nowoczesny działacz. On chce być bohaterem i jednocześnie robić w pieniądzech. To tak, jakby kto ciasto gniótł i chciał jednocześnie grać na flecie. I żeby to chociaż pieniądze zmieniły się, tobym nic nie mówił. Ale gdzie tam? Kapitał jest ten sam, co był, tylko ludzie powarjowali. Oni chcą, żeby kapitał chodził do Piłsudskiego do spowiedzi, a za pokutę żeby chodzić co rok do Kielc tam i zpowrotem bez butów...

— Co to wszystko znaczy, ojcze? Ja tego czeku nie przyjmę. To musi wejść do masy.

— Doskonale, aż się cieszę. Jeżeli się kiedyś dorobisz majątku, będziesz umiał poważnie plajtować. Ale te czeki są całym twoim majątkiem bez niczyjej krzywdy.

— Słowo honoru, ojczyzna?

— Słowo honoru, nikt cię o te pieniądze nie zapyta, ale słyszysz te głosy? to już władze pytają o mnie. Popatrz tam...

Kodusz istotnie usłyszał rozmowę w dalszych pokojach pałacu.

Po chwili weszli wywiadowcy, a Kodusz z przykrością rzucił okiem na ojca, który jednak znikł. Stary lokaj coś mówił do policjanta.

— Przepraszamy pana — zaczął agent — wszak pan Nesesser syn?

— Tak jest, o co panom chodzi?

— Chcielibyśmy się zobaczyć z pańskim ojcem.

— Niema go tu, jak panowie widzą.

— Nie rozmawiał z szanownym panem?

— Nie.

— A kiedy przyjdzie?

— Nie wiem.

— Pan szanowny zechce podpisać się pod decyzją o nieopuszczaniu miasta do odwołania, a ojca odwiedzimy jutro.

— Proszę panów, tu są czeki ważne na trzy miliony. Prawdopodobnie będą potrzebne do masy.

Agenci spojrzeli na Kodusia bardziej zdziwieni, niż gdyby z pod podłogi zjawił się poszukiwany bankier.

— Czy to pańskie czeki?

— W tej chwili już nie moje. Miałem to wręczyć władzom.

Suma była dla funkcjonariuszy państwowych tak przytłaczająca, że żadnemu z nich nie przyszło do głowy zapytać, gdzie reszta pieniędzy.

— Oto pokwitowanie z odbioru czeków. Pod-

pisaliśmy się wszyscy, a oto nasze legitymacje, proszę szanownego pana.

— Dziękuję panom, to niepotrzebne.

— O, nie uwierzy pan, jak potrzebne w dzisiejszych czasach.

Jednak któremuś z agentów coś przyszło do głowy. Zaszeptał do ucha starszemu.

— Już ty, jak się otworzysz, to jak spadochron nad spiczastym dachem... Nasz kolega chce zapytać o szczegóły. Może pan powie ojcu, żeby niezwłocznie zgłosił się do władz.

— Powiem ojcu, jak tylko go zobaczę.

Złożyli mu wyszukane ukłony i opuścili pałac.

Zaledwie Koduś miał czas zorjentować się, coś zachrobotać za jedną ze ścian i w otwartej niszy ukazał się bankier prawie że uśmiechnięty.

— Cóż, wyzbyłeś się, mój synu, całego majątku i to tak dużego, że wątpię, czy kiedykolwiek potrafisz go zrobić, a nawet od tej chwili stwierdzam, że nie. Oddałeś dobrowolnie 3 miliony. Prawdziwe canale Grande, ale ja nad tem rozwieszam taki most, co się nazywa mostem westchnień, ciężkich westchnień, Sospiri! No, ale to twoja rzecz... Swoją drogą może się i dobrze stało, że nie znałeś tej skrytki ze schodami do parku, a potem dalej. Ja tu przyjmowałem za młodu różne Magdaleny, a i ciebie daremnie namawiałem. Sądząc po czekach, — gdybyś o skrytce wiedział, wydałbyś mnie młodym władzom państwowym.

— Nie wiem, cobym zrobił...

— Więc jednak nie wiesz?

— Nie wiem, nie wiem, ale to wiem, że droga ucieczki, którą ojciec obrał, jest zła.



— No, po tej drodze otrzymałeś 3 miliony prawie jak we śnie...

— Jestem szczęśliwy, że ci je oddałem...

— Jestem nieszczęśliwy, że ci je dałem. Mamy różne poglądy bez względu na wysokość gotówki, chociaż nie sądziłem, żeby upór zaszedł aż tak wysoko. Zaimponowałeś mi... Podpisałeś się, że nie opuścisz Warszawy. Słusznie... będzie co miała Warszawa oglądać. No, możesz zatelefonować, żeby tu po mnie przyszli...

— Nie dużo już mamy sobie do powiedzenia, ojcze...

— A niedużo, bo ja już czeków nie mam...

— Moglibyśmy się już pożegnać, ojcze... o ile ojciec nie ucieka z gotówką. Jeżeli tak, to ja stąd wyjdę bez pożegnania.

— Chciałem ci powiedzieć na pożegnanie, że na tego Glorjana to nie licz, bo on też wszystko odda. Dziwne czasy, już nawet nie wiem, czy to powojenne czasy? Ludzie dorośli bez najmniejszej potrzeby oddają miliony. To jest chyba największa obraza kapitału. Jakaś nowa szkoła, która powiada, że czy to ja będę miał pieniądze, czy rząd, to wszystko jedno. Według mojej starej szkoły powinien mieć trochę rząd, trochę ja. Ktoby chciał za moich czasów jadać rządowe obiady? Bo jak się wszystko odda, to w końcu trzeba się zgłosić do rządu, żeby dał na obiad. Po co powiększać liczbę takich, kiedy samych bezrobotnych chodzi po świecie przeszło 150 milionów. Twoich czeków darowanych rządowi starczyłoby dla każdego po 3 grosze.

Nie gniewaj się na mnie, synu, który nie zapytałeś nawet, jak do tego doszło, że zbankrutowałem. Przebacz mi twoje naprawdę dobrowolne ubóstwo,

ale mi je przebacz, bo mogłem te czeki inaczej zabezpieczyć, niechby były poczekały, aż ci przejdzie ta manja wysokich prezentów.

A może wy chcecie pieniędzy usunąć z życia narodów? Popatrzyłbym już tylko z ciekawością, bo do tej roboty już bym się nie przydał.

Wybacz, Kodusiu, za lat dziesięć poczujesz liść dla ojca, który ci niczego nie żałował.

— Każdą łyżką strawy podzielę się z ojcem...

— A całej łyżki to nie oddałbyś mi?

Kodus padł ojcu do nóg, a stary przywłókł go do telefonu, i kazał się połączyć z policją.

### XIII.

#### KRADZIEŻ.

Po tym heroicznym telefonie do władz stary Nesesser nie zamienił z synem ani słowa. Został w pokoju Kodeksa przez chwilę, poczem zaciekawiony poszedł za nim znajomemi korytarzami.

Tymczasem Koduś uczuł się uprawnionym do przeszukania pałacu, czy nie znajdzie gdzie ukrytych bogactw. Jeżeli nie znał schowka w swoim pokoju, a raczej w byłym pokoju młodzieńczym zbankrutowanego ojca, to o wielu skrytkach mógł nie wiedzieć, — i napewno nie wiedział. Przebiegał pałac rodzinny w różnych kierunkach. Bijąc z łoskotem w marmury hallów, najwyraźniej słyszał, jak te obcasy przytakiwały: tak - tak, tak - tak!... Mijał właśnie siwego kamerdynera. Czy starzec znał tajemnicę początków obecnego bankructwa domu Nesesserów, czy przeczuł zamiary młodego pana, dość, że szepnęła Kodusiowi:

— Jaśnie panie, jaśnie wielmożna prababka nie śpi, a ona wie wszystko i ukrywa wielkie skarby. Sam widziałem. Lubiła ostatnio pochwalić się chociażby przed służbą.

Koduś znalazł się w oświetlonym zawsze buduarze prababki. Przeszło dziewięćdziesięcioletnia starszka była zupełnie przytomna. Wiek odjął jej wzrok, ale o wszystkim, co się w pałacu dzieje, była zawsze poinformowana.

Stała wsparta na lasce z gumowem okuciem i białą rączką z kości słoniowej.

— Nieszczęście, nieszczęście! — szeptały jej usta.

Bardzo rzadko widywała prawnuka, to też była przekonana, że to wnuk wpadł pożegnać ją przed dalszym odlotem.

Nic nie wiedziała o telefonie Nesessera ojca. Nie zrozumiałaby nawet podobnego połączenia naiwności z policją.

— Nieszczęście, Adolfie!...

— Tak jest, babciu... rzekł znajomy głos celowo zniżony. —

— Adek! weź te klejnoty... Umyślnie włożyłam na siebie wszystkie, bo tak lepiej pamiętam... Jest tego sporo! może wystarczy ci w podróży...

Koduś dopiero teraz z przerażeniem dostrzegł ogień, bijące z tej ledwie żywej postaci... Obok gorzących ciągle oczu, zapadłych ale niewygasłych — lśniły na suchej szyi, zgnaciałych rękach i szkieleciach obojczykach przeogromne ziarna brylantów i pereł.

— Ile też tego może być w całej Polsce? — przemknęło Kodusiowi przez myśl, która natychmiast wysnuła ze siebie myśl następną:

— Czy to zazwyczaj dopiero rewolucja wydobywa na jaw poukrywane miliony? Czy te klejnoty, muszą być wydłubane z opraw przez uprawnione do tego jedynie ręce i szpony zdobywców, i — czy inaczej nigdy nie będzie?

— Widzisz, Adolfie, ten brylant różowy — to Matterhorn, bo jest wysoki, jak piramida indyjska, czy też egipska... a tu Elsinoe, to pewno Elza, córka Noego nosiła...? co?

...Ileż to setek razy śmiały się jej czarne usta z tego dowcipu o brylancie?...

— Masz, masz, schowaj starannie w teczkę, która tam leży na konsolce po lewej stronie zegara.

Odbywała jakiś powolny — ostatni może — taniec przed prawnikiem, który ruchami rzezimieszka układał zagrabione skarby.

— Czy to wszystko? — zagrało Kodusiowi w gardle...

— To nie jest mało, mój drogi... to cię może uratować...

Kodusz ogarnął pokój zaciekawionym wzrokiem. Nigdy tu nie był. Pochłaniał oczami szczegóły urządzenia. W złotawym świetle stylowej przytłumionej ampli — latarni wschodniego porządku ujrzał coś w rodzaju hebanowego ołtarzyka z otwartem jakgdyby tabernaculum. Nagle Kodusz zrozumiał, że w tem ukryciu czekały od dziesiątków lat milionowe skarby. Przypomniał sobie, że prababka miała przyjaciółkę katoliczkę, pod której wpływem uprawiała kult chrześcijański, nie waząc się zmienić wyznania. To coś białego było z kości słoniowej, i właśnie staruszka przymykała je. Zdumiony Kodusz poznał wydrażoną figurę Chrystusa.

— Uciekaj, uciekaj! — szepnęła, żegnając go ręką.

Kodusz ucałował suchą rękę i ruszył ku wyjściu, bojąc się obrócić, żeby nie zawołała za nim:

— Złodzieju!

Cofał się, jak pod tchnieniem grobu.



## XIV.

### KRYZYS.

Po odczytaniu przez rejenta testamentu hrabiego Eustachego Brutto Wdowiec dostrzegł, że Glorjanowie rozmawiają nie swoimi głosami, że istnieje coś, co ich podnieca i wykoleja.

Kiedy się to zaczęło? Z czyjej winy? Że bogactwo nie wpłynęło na Glorjana, o tem ksiądz nie wątpił. A jednak coś się stało. Już wczoraj, gdy Glorjan rzekł przy żonie: posiadać masę pieniędzy, znaczy popaść w największe kłopoty, Wdowiec uchwycił nieznaczny uśmiech w kącikach ust Teresy. Mogło więc zacząć się już wtedy, ale nie jest powiedziane, że iskra padła później, gdy tenże Glorjan rzekł do żony:

— I cóż ty na to, królowo mojej własności?

Pod jakimś pozorem Wdowiec pożegnał Glorjanów i wrócił do domu.

Gdy małżonkowie zostali sami, Teresa oznajmiła krótko:

— Zrzekam się tronu...

— Jakiego tronu?...

— Och, proszę tak nie pytać, to zbyteczne. Rozstaniemy się.

— Widziałem w życiu rzeczy straszne, najryzykowniejsze, ale jestem, przyznaję, zaskoczony... Co się stało?...

— Nic się nie stało, a raczej — wszystko — i dlatego już nic więcej nie stanie się pomiędzy nami.

Glorjan stracił ochotę wypytywania o szczegóły. Widział w jej wzroku i w jej cudnym, a obecnie wyjątkowo obcym głosie — zupełne załamanie. Było to coś gorszego od pożegnania.

Bywają pożary, które zdaleka robią niezawodne wrażenie, że są nie do opanowania. Przypomniał sobie Port-Artura, gdzie oficerowie rosyjscy po wzięciu pieniędzy mieli go zabić. Tam jednak mógł uciec i uciekł, a tu zdoła jedynie odejść pchnięty w serce.

Teresa poznała to w jego oczach, i z pewnem zadowoleniem poczuła, że chce dalej uderzać.

— Proszę pana, nie jestem kartą do wygrania. Ojciec wyraźnie obdarował pana. Tych rzeczy nie należałoby może poruszać... Proszę sądzić mnie, jak pan chce, ale winnam panu, jako ojcu mojego dziecka, wyjaśnienie. Pamięta pan ową noc w Monte?

— Tak jest, proszę pani...

— Czy wie pan, z jakimi słowami wszedł ojciec do mego pokoju?

— Nie wiem, ale może pani zachowa te słowa dla siebie.

— Nie zawierają żadnej tajemnicy. Dotyczą tylko pana, panie Glorjan.

— Niepotrzebne mi są słowa po czynie, którego jestem świadkiem.

— A jednak muszę je panu powtórzyć. Rozumiem, że tak, jak rzeczy stoją, mało ciekawości wzbudza w panu, co jeszcze tam, kiedyś mógł powiedzieć nieżyjący hrabia Brutto.

— Proszę pani, cokolwiek pani powie, nic mnie nie zdoła wykoleić, ani obrazić. Wykoleić mnie nie łatwo, a na obrazę nie zasłużyłem.

— Skorzystam skwapliwie z upoważnienia. Gdy mi pan drogę zastąpił tam, w domu gry, byłabym o panu zapomniała, ale nadeszła noc. Ojciec wrócił i bez pukania znalazł się u mnie ogromnie podniecony. Po wymianie pierwszych zdań, rzekł mi ojciec: ten ubogi Glorjan jest potężniejszy od tych, co posiadają od setek lat setki milionów.

Gdy ojciec opowiedział mi z płaczem o pańskiej wolcie karcianej, dzięki której ocalał, wzgardziłam nim, moim ojcem, słyszy pan? Tego panu nie powiedziałam wówczas, a dziś tego żałuję. Oświadczyłam się panu! Co to było? Czy to była ekstaza miłosna? Być może. Nieogłędny ojciec dowiódł mi w testamencie, że jesteśmy niczem, pan zaś, panie Glorjan, wszystkiem. Obecnie muszę pokochać nanowo ojca żebraka — już go zresztą kocham — a z panem rozstaję się. Ojciec tym zapisem zwrócił panu pieniądze, ale odebrał mnie.

— Majątek należy do dziecka pani.

— Panu się zdaje, panie Glorjan, że hrabianka Brutto musi mieć we krwi posiadanie. Co za nieporozumienie! Dość pierwszego lepszego wstrząsu społecznego, ażeby zamienić posiadaczy na rozpierzchłe stado. Nie mam w sercu, ani w naturze najmniejszego poczucia, że coś jest moje. Zdaje mi się nawet, że to dziecko znalazłam i że ono nie jest moje. Czy uwierzy pan w to? Potworne, prawda?

Otóż przeszłam taką hańbę wewnętrzną po wysłuchaniu treści testamentu, że pomimo ślubu własne dziecko uważam za znajdę. Nie mam żalu ani do pana, ani do rejenta, ani do kogokolwiek, a nawet wdzięczna jestem losowi, że mi dał możliwość pokochania na nowo drogiego ojca, który też chyba dowiedział, że umie być wdzięcznym, i że mu jest obca chęć posiadania. Zmarły zaimponował mi, a kobieta zawsze kocha kogoś, kto jej imponuje. Mam krewnych, którzy zaopiekują się mną, póki nie urodzę, poczem zajmą się dzieckiem.

— Nawet temu nie przeszkodzę, jeżeli to pani da zadowolenie.

— Nie mówmy o zadowoleniu, tylko o sprawozdaniu z tego, co zrobię. Jeżeli dziecko pokocham, nie zobaczy go pan więcej. Nie mieszczuchy są posiadaczami, lecz, wy, proletariusze! Wy macie w głosie władzę, która włosy na głowie ogradza płótem.

Widzi pan, ile myśli przyszło mi do głowy, gdy czytano testament i gdy padło pańskie nazwisko i gdy pan spokojnie do końca słuchał...

— Bardzo łatwo możemy oboje zostać bez majątku. Mówię to nie dla nawiązania naszych stosunków, ale dla zwrócenia uwagi pani na tę okoliczność.

— Szkoda, że mnie pan jednak nie rozumie. Tu pieniądze nie odegrały żadnej roli. Może pan je rozdać. Nie upomnę się ani o grosz. Ale nie mogłabym iść obok pana, chociażbyśmy mieli po drodze odkryć największą żyłę złota. Rozumie pan? Moje serce nie wytrzymało pańskiej władzy. Jestem porażona, przeto nie mogę kochać. Miłość wymaga złudzeń, a moje złudzenia pierzchły. To co od pana powiało, to nie posiadanie, lecz — władza. Co ta

władza zrobi z samą własnością, tego nie wiem. Może sobie z moim byłym majątkiem uczynić, co jej się podoba, ale ja osobiście chcę się uratować. Nie żałuję, że zostałam pańską żoną, ale od dziś odchodzę, gdyż od dziś, zostawszy tu — zaczęłabym kłamać.

— Proszę panią o jedno. Zakończmy tę rozmowę, a ja ze swej strony nigdy pani nie odmówię dalszego ciągu, jeżeli by pani uznała, że jest potrzebny.

— Zgadza się na zaprzestanie rozmowy bez dalszego ciągu, który do niczego nie doprowadzi.

Pomiędzy nas uderzył piorun czynu, który nas obezwładnił, a oto teraz dwoje porażonych powraca do sił. Pan ma niewątpliwie do czego wrócić, ja — także.

Niech mi pan objaśni, dlaczego jestem pewna, że dziecko, które czuję w łonie, nie będzie pana kochało?...

Całą tę rozmowę prowadziła Teresa w jakimś zapamiętaniu, które nie pozwoliło jej dostrzec, jak niestety umiał Glorjan panować nad sobą.

Snuła więc okropne myśli.

— Umierający popełniają nieraz takie bezprawia, jak testament mego ojca. Ostatnia scena życia nie należy już do tego świata i dlatego częstokroć nie da się mierzyć wymogami bieżących zainteresowań.

W testamencie ojca wyczytałam wyraźny rozkaz: opuść go! niech ma, co wygrał. Zostaw go z jego szlachetnością i odejdz. Ja tak chcę!...

....Ponad wszelką wątpliwość Brutto zupełnie inaczej rozumiał swój zapis, jako męski przekaz ma-



jątku w męskie ręce zięcia. Ale Brutto nie mógł tego córce powiedzieć, gdyż umarł.

Stan, w jakim znajdowała się Teresa zmusił Glorjana do wyrozumiałości, ale pozatem czuł on dobrze, jaki grom na niego spadł.

Ten głos i te oczy, — pomimo macierzyństwa, — jakby nienawidzące!... Jak jakieś genezyjskie postacie, oboje tak niedawno ku sobie rozplamieni, dziś tylko patrzą, gdzieby cios jedno drugiemu zadać. I nie o zwykłe pieniądze: wiedział to on i ona. I nie o zwykłą ambicję, — wiedzieli oboje. O cóż więc?

Nie było w tem rozstaniu żadnego tryumfu własności. Żaden socjolog, ani filozof tytułu własności nie pożywi się na tym wypadku.

Gdy tak równocześnie, bluzgając gniewem i panując nad gniewem, podświadomie dociekali istotnej przyczyny gromu, Glorjan rzekł spokojnie:

— Proszę pani, mieliśmy w życiu dziwne, a nawet piękne spotkanie, ale spotkanie to było złe. Hrabia ojciec pani źle uczynił, opowiadając pani o przebiegu gry. Nie wszedłbym w życie pani. Tak, był to, zły skutek złego spotkania. Ziemia, kto wie, może także wynika z złego spotkania. Ileż bym dał za to, żeby pani mogła o wszystkim zapomnieć.

— Dam sobie jakoś radę, i jestem panu wdzięczna za to, że, o ile sądzić można ze słów pańskich, nie nastarczy mi pan powodu do wspomnień.

Teraz panu coś powiem. Jestem bardzo słabą filozofką i ekonomistką, ale od chwili otwarcia testamentu, poznałam pewną prawdę, straszną otchłanianie straszną prawdę, która, — aż się dziwię, że nie weszła do przykazań bożych.

Nie istnieje żadna własność! Nic do nikogo nie należało i nie należy! Ale za to istnieje walka! Chrystus nie był posiadaczem krzyża. Walczył krzyżem o cały świat, ale nie dla siebie.

Rozstajemy się, panie Glorjanie, gdyż jesteśmy w walce każdy o swoje „ja”, o wolność tego „ja”! Chrystus, dał mi znak po odczytaniu testamentu ojca. Odchodzę od pana dumna z nieposiadania, szczęśliwa tem nieposiadaniem... Ustawicznie mówię o odejściu, a leżę bez ruchu w pańskim pałacu...

Ostatnie słowa szeptała Teresa jakby z oddalenia.

— Panie Glorjan, czy pan może sądzi, że pochodzenie pańskie odgrywa tu jakąś rolę?

— Wiem, że nie. Ponieważ jesteśmy małżeństwem, niech pani się zgodzi pozostać w tym pałacu do czasu przyjścia na świat dziecka.

— Mówimy do siebie, jak ludzie jaskiniowi, w pałacu, ale cóż ja na to poradzę?...

— Mówimy, jak ludzie zmęczeni.

Ucałował jej rękę i zwolna schodził ze schodów bez oglądania się, co zawsze przedtem czynił. Gdy tak stąpał, Teresa dziwnie zdefiniowała sytuację:

— Mój Boże, ślusarz zawinił, a ten piękny kowal tłucze obcasami o marmury.

Teresa zrozumiała, że opanowany Glorjan nigdy nie wyda jej żadnego rozkazu, i — nagle ogarnęła jej całą istotą szalona, choć dopiero kiełkująca ciekawość, — co w takim razie z nią uczyni?

Z tą, rzecz dziwna, kojącą myślą zasnęła...

...Opuściła pałac nie po schodach. Wyniósł ją na rękach jakiś nic nie mówiący człowiek (może Glorjan? Jak śmiał? Więc czekał, aż zaśnie?)...

Wkrótce znalazła się poza parkiem nad strumieniem, który — ujęty w szluzy — dawał życie dwom stawom parkowym. Tu między łąkami już szemrał tylko. Teresa czuła, że teraz stąpa po ścieżce polnej. Udeptały ją dla niej tysiące tysięcy stąpań chłopskich do miasta, do pałacu, do kościoła, na jarmark, na cmentarz. Teresa pamiętała, jak idące na sumę wystrojone chłopki podnosiły ją i całowały. Kiedyś zniecierpliwiona angielfka uderzyła za to dziewczynę wiejską, ubraną w błyszczące kwiaty z papieru i srebra kręconego, jak winne wąsy. Rozpłakały się wtedy wszystkie trzy: Teresa, dziewczucha i bona. Było to chyba ze sto lat temu. Przyszły, a raczej wdarły się nowe czasy i wypędziły ją z pałacu dziadów i pradziadów z cudzem dzieckiem w łonie.

— Chodź za mną — usłyszała — i bez zdziwienia ujrzała przed sobą pięknego młodzieńca.

— Jam twój syn...

Chciało dwoje ludzi, abym przyszedł na świat...

Głos miał matczyny i był zupełnie do matki podobny. Rzecz dziwna, uczuła żal, dlaczego nie ma Glorjana, któryby się na widok takiego chłopca ucieszył.

Janek (dlaczego Janek?) stał w stroju sportowym.

— Idziemy po twoich łąkach, matko...

...Oto żabki: jedne siadają i patrzą w ciebie, inne skaczą do strumienia po perły, żeby ci nimi wieczorem grzechotać. Wszystko dla ciebie matko... Ja sam, jestem w tobie i poza tobą. Rządę twem łonem wszechwładnie i prowadzę cię tą drogą posłusznie, a czujnie, żeby cię kto nie ukrzywdził.

— Przeprowadź ojca! — rozkazała Teresa.

— Nie znam ojca mego — odparł.

— Ale ja go znam! Idź po niego do pałacu!...

— To on po mnie poszedł do pałacu, i oto jestem, matko!...

Wtedy przyciągnęła syna do siebie i poczęła szeptem spiskować — matka przeciw ojcu:

— Wszystko jemu zapisał, wszystko, i te łąki, i żabki, ptaki, jelenie, konie, owce, wszystko mu zapisał.

Na to syn:

— Ziemia, łąki, żabki, ptaki, stada nie znają pisma. Wiatr pisze po drzewach, po łanach i po wodzie, a słońce pieczęć przykłada. Ojciec mego ojca nie znał pisma, a syn jego dał znak pałacowi, i oto stoję przed tobą, matko.

— Przyrowadź mi twego ojca! — padł ponowny rozkaz.

— Po czem go poznam?

— Po tem, że na wszystko się zgadza, nic nie mówi, a silniejszy od wszystkich.

Po tych słowach młody jeździec gwizdnął na konia, wsiadł sposobem Teresy i znikł w lansadach po miękkim dywanie łąki.

Teresa usłyszała wielki chór łąk. Widziała pszczoły, jak złote nutki, nad głowami kwiatów. Derkacze i przepiórki zasiadły do bębenków, a bąk z pokracznego krzaka uderzał w takt. Jaskółki przetykały strzelistym lotem złotą tkaninę, po której stapała stadnina polskich koni, pochodzących od arabskich pogańskich ojców.

Teresa, matka w pełni rozkwitu, czuła prawo do władania tem wszystkiem, co daje siłę i moc. Nadstawiała oczy niebu, całą postać słońcu. Poczula jakiś ruch w łonie!...

Może to syn szuka ojca?

Posłyszała znajome rżenie o wysokim tonie, znamionujące rasę. To biała arabska klacz, jej niegdyś wierzchówka, przygalopowała z czarnym źrebakiem, który dziwnie odcinał przy białej matce, ale musiał być takim do czasu.

Matka stanęła przed matką.

— Ja już mam — rżała Dżali — a ty jeszcze nie. Mnie ze wszystkich stajen pomagali, tobie też pomogą.

Położyła łepkę na ramieniu Teresy i skubała wargami szyję swej pani, niemniej niż ona rasowej. Gdy tak stały przy sobie, zaczął się jakiś ceremonjał.

Zajeżdżały w poszóstnych zaprzęgach karety o wysoko wygiętych resorach, jakby dęba stanęły taśmy stalowe, dźwigające złocone pudła. Z niektórych karet rozlegała się litewska, węgierska, szwedzka i moskiewska mowa. Złoty jarmark polski, niemiecki obrządek przez polaków na tyle lat wchłonięty, że wszystko sprzedawali, a z każdym rokiem coś bardziej drogiego.

Słychać było głosy:

— Nie dam, nie dam, to mój ostatni!

A na to inne głosy:

— Dawaj, pusti, małczy!!!

Słychać klepanie po nagich łądźwiach i cychkach, oraz wybuchy śmiechu, gdy w jędrny zad którądzielono.

Jarmark! Jahrmarkt, doroczny targ!!!

Wtem ujrzała Teresa Chrystusa z ich parafjalnego kościoła, jak wydawał rozkazy. Położył rękę na ramieniu komuś, stojącemu tyłem do Teresy, przodem do Niego.



Zaraz potem na czyjś znajomy rozkaz podcina-  
no konie od pojazdów, a zwolnione bachmaty pom-  
knęły ku stadninom, weseląc się, wesoło witane.

Karety i pojazdy, gdy zostały bez zwierząt,  
zczerniały, i zmały. I oto stały lakierowane żół-  
wie opływowych limuzyn.

Na odgłos hen z błonia trąbki ułańskiej odzy-  
wały się trąbki sygnałowe wozów.

Zaczęło Teresę mijać mrowie ludzkie. Niewia-  
domo skąd szli, ale była pewna, że idą po coś, co  
im się niewątpliwie należy.

A ona tymczasem wysłała własnego syna po  
ojca.

Jacyś ludzie przeciskają się, nie patrząc na nią,  
poprzez tłum. Pokazują na nich: to oni, to oni, to  
przez nich! Niektórzy chowają się jeden za drugie-  
go, robiąc gesty, że to tamci, że to nie oni.

Jakiś stary chłop śmieje się pijanym śmiechem:

— Wyprzęgli królom, zaprzęgli moskalowi! cha,  
cha, cha!... Wyprzęgli Moskalowi, zaprzęgli Pola-  
kowi, tera je znowu Polska... psia mać! niech żyje!

Zaprzęgaj i podjeżdżaj! Zaprzęgaj i podjeżdżaj!!

O, arabka jaśnie pani pójdzie chyba do cyrku,  
a z synka zrobią fordansera!! Cha, cha, cha!

Do chłopca podszedł Chrystus. Chłop zdjął czapę.  
Jezus otarł mu rękawem sukni pot z czoła. Chłop  
nawet nie podziękował, zresztą nie miałby komu,  
więc stał zdumiony, nikogo nie widząc.

— Tędy przejdzie droga! — usłyszała Teresa  
znany głos Glorjana, a domyśliwszy się, z kim to  
Jezus rozmawiał, złana potem, w nieopisanej radości  
obudziła się.

## XV.

### SPOWIEDŹ.

Rzecz szczególna, Teresę po przebudzeniu ogarniać zaczęło uczucie dla dziecka.

— Nieprawdaż, bywają sytuacje oryginalne, jak z powieści. Można przestać kochać ojca przyszłego dziecka. Możliwe zresztą, że nigdy pana Glorjana nie kochała... Co ksiądz na to?

— Pani Tereso, czytałem wiele o tak zwanych promieniach kosmicznych. Uczeni twierdzą, że pochodzą one nie od słońca, lecz od bardziej oddalonych mgławic, czyli formujących się dopiero gwiazd. swój wpływ przemożny. Otóż doszedłem do wniosku, że na uczucia indywidualne dwojga ludzi mają wpływ uczucia mgławicowe całych mas społecznych. Za sprawą tych przemożnych zbiorowych uczuć dzieją się przeróżne dziwy z sercami pojedynczych osób.

— Och, takie dziwy, że uwierzyć trudno. Bo, że ja nie tęsknię za panem Glorjanem, to wiem, ale jestem przekonana, że i on przestał myśleć o mnie.

— Nie potrafiłbym tu wysnuwać zbyt łatwych wniosków, proszę pani...

— Przecież ksiądz go widział?...

— O tak, parokrotnie, ale właśnie dlatego nie umiałbym...

— Proszę mi powiedzieć, czy kto kiedy spowiadał się przed księdzem z takiego wypadku, jak nasz?

— Przyznaję: wasz wypadek jest jedyny w swoim rodzaju.

Wdowiec był rad, że Teresa użyła wyrażenia „nasz” wypadek, ale ona natychmiast dostrzegła tę radość i odwróciła głowę.

Odgadł to Wdowiec i zaczął mówić o sprawie ogólniejszej.

— Pani Tereso, wielka skała jest jak gdyby sumą małych głazów, jej kontur może być powtórzeniem konturu pojedynczego głazu, ale sama ona, jako góra ma coś takiego jeszcze, czego jej składowe części nie posiadają.

Masy ludzkie, zbiorowiska mają swoją dumę, której nie ma pojedynczy człowiek. Do jednej z postaci tej dumy należy społeczna wytrzymałość mas.

— Owszem, widać to w rzeźbach: „Pensieroso” Michała Anioła ma ramiona wypięknione rycerstwem i władzą, ale „Penseur” Rodin’a ma plecy wychłostane. Żałuję tego co się stało, ale Glorjan, chociaż taki piękny — przypomina mi „Penseura”, nie — „Pensierosa”.

— Nie zna pani myśli Glorjana.

— I nie poznam.

— Owszem, pozna pani.

— Czy to groźba?

— Nie to wędrówka dumy, tej najpiękniejszej z ludzkich cech: duma Glorjana spłynie na panią.

— Książd mówi z zachwytem o dumie? Nie o poświęceniu, nie o pokorze? To coś nowego...

— To coś starego jak świat, albo coś tak młodego, jak świat. Duma jest szczytem pokory, nie podłości, nie płaszczenia się, lecz pokory, pokory Chrystusa, którego biczą i na krzyż wloką pod okiem Stwórcy Świta, Jego Ojca.

Czy pani zna większy arystokratyzm, jak to ukrzyżowanie, z którego czerpie pociechę ostatnia nędza?

— Może nie porównujemy lepiej... Jeżeli chodzi o naszą sytuację to w testamencie zaimponował mi tylko ojciec; o Glorjanie przestałam myśleć...

— Glorjan jeszcze ostatniego słowa nie powiedział...

— Dla mnie zamilkł nazawsze...

— Pani Tereso, Glorjan jest na drodze do rozwoju...

— A ja? A ja?...

— Pani także i to równocześnie; wszak o tym samym czasie jednakowo cierpicie i to na temat, którego niepodobna ogłosić, gdyż niktby go nie uznał. I to jest właśnie owa wędrówka dumy. Zna pani obraz p. t. „Wędrówka“, ów pierwotny pochod ludu, czy plemienia, wpatrzonego w nieznaną punkt. Wszyscy są głodni, ale ci na przedzie są prócz tego dumni. Ich duma głodowa udziela się całej hordzie, jak gdyby uszlachetnia ją. Niejedna horda w takim pochodzie zostawała narodem: Na tropach głodu znalazły plemiona bezcenne skarby swego honoru — granice państwa, czy ojczyzny. Pani Tereso, została pani żoną syna głodu i poniewierki, a wkrótce zostanie pani matką jego dziecięcia.

— Czy Glorjan nic księdzu nie mówił o mnie od dnia otwarcia testamentu?

— Ani słowa.

— A przedtem?...

— Opowiadał o swoim szczęściu...

— Bez szczegółów?...

— O jakie szczegóły pani chodzi, pani Tereso?

— Czuję niechęć w pańskim głosie, ale mnie to nie zraża i opowiem panu coś bardzo intymnego, jak na spowiedzi. Proszę przyjąć do wiadomości, że Glorjan wygrał od ojca mego cały nasz majątek, ale po chwili zapomocą oszukańczego manewru pozwoił ojcu odegrać się. Byłam wypadkowo olśniona urodą Glorjana, to też gdy ojciec opowiedział mi wszystko, wybiegłam nad morze w przeczuciu, że go spotkam, istotnie, spotkałam i rzuciłam mu oświadczenia pod nogi. Dziś rozumiem, że to nie mogła być miłość.

Ojciec postąpił słusznie w testamencie, ale to wypadło tak, jak gdyby nakazał mi opuścić Glorjana.

— Dlaczego? przez Boga?!...

— Sam ksiądz rozstrzygnął: wędrówka dumy. Nasze dumy rozminęły się. On mi nigdy nie przebaczy, a ja treści testamentu nigdy nie zapomnę. W tej chwili słyszę, jak hrabia ojciec woła: oddaj mi wszystko. Ach, księżę, gdy pomyślę, że żyliśmy z jego łaski, to mi przychodzi na myśl, czy mój ojciec w grze nie oszukiwał. Ma pan tyle książek osobliwych. Czy to się kiedy zdarzyło matce czyjegoś dziecka? Proszę modlić się za mnie...

Ksiądz Wdowiec podszedł do ściany z książkami, między innymi dlatego, żeby ukryć łzy.

— Oto książka hiszpańska z czasów inkwizycji.



Tytuł: „Widziano Chrystusa“. Lękam się czytać, ze względu na pani stan.

— O, proszę bardzo, jeszcze wielki czas na te ostrożności.

— Jest to opis wypadków, gdy inkwizytorowie przebacжали.

— Więc zdaniem księdza te opisy pasują do mnie? Przecież nie tylko ja jestem nieubłagana. Proszę co drugi wypadek pokazać panu Glorjanowi. Czy wie pan, że mój ojciec, dumny Brutto, bał się Glorjana? Czy takie opowiadanie tu jest?

— Takiego niema, ale jest jedno bardzo wzruszające: Przeczytam je pani, gdyż napewno podziała kojąco.

„W pewnym kraju żył groźny władca w wielkim pałacu. Poddanym ogłoszono któregoś dnia, żeby przechodzili zdala od pałacu, albowiem, ile cienia rzuci przechodzień na ścianę, tyle z jego ciała odrąbie kat. Władca nie przyjmował żadnych tłumaczeń, a kat obrąbywał głowy wraz z ramionami, niejednokrotnie tnąc wpół tułowia.

Widziano Chrystusa, jak mijał pałac.

Widziały Go owce na błoniach i pastuszek. Chrystus widocznie umyślnie zostawił swój cień, a sam zniknął. Król kazał swoim artystom ów cień odmalować, a ci przerażeni jeden po drugim poprzynosili władcy wizerunki Jezusa. Wówczas zawzięty monarcha stanął bosy z odkrytą głową przed swoim pałacem i ostrzegał ludzi, żeby nie narażali się na skutki okrutnego rozkazu“.

Oto całe opowiadanie.

— Oczywiście coś z tego stosuje się do mnie, prawda?

— Tak jest, pani Tereso. Pani i Glorjan, jak dwa sąsiedzkie posągi, rzuciliście na siebie cień, tylko kto tu i kogo będzie ostrzegał?...

— No pan — mnie... Już pan to robi, ale po co?

— Mówi pani, jak pogańka, pani Tereso!...

— Ach, więc o to chodzi? Wyszło szydło z przewiązanej stuły. I to ma być pociecha?

— Ależ nie o takie pogaństwo idzie. Jesteście — pani i Glorjan — oboje poganami, a byliście nimi już przed ślubem... To sprawa postępu...

— Rozumiem, zgorzenie, zepsucie, lekceważenie sakramentu, czy tak?

— Przepraszam, jeżeli hrabianka Brutto ma dziecko z Janem Glorjanem, to chyba postęp odegrał tu jakąś rolę?

— Być może...

— A w dodatku, pani Tereso, w moich oczach bombardujecie Boga. Pani ma swego Boga, który hrabiemu Brutto podyktował testament, a Glorjan wierzy w Boga, który jego polskimi rękami przepuścił w porcie Artura spodłających oficerów carskich. Tam polski Bóg rewolucyjny zwyciężył carskiego Boga.

— Zaiste, umie pan dźwigać duszę, a przynajmniej w rozmowie z księdzem czuje się jej obecność. Nie wiedziałam, że ksiądz może być artystą...

— Nie jestem księdzem...

— A czym?

— Poganimem, który szuka Chrystusa bardziej niż ktokolwiek...

— Księżę, wyznam przed tobą: Glorjan jest bez winy. Wszystko stało się z mojej przyczyny.

— Nic się jeszcze nie stało!

— A cóż jeszcze ma się stać?

— Masz mu dać syna!

— Wykonam to. Co jeszcze?

— Resztę powiedzą ci, pani, owieczki na naszych błoniach i pasterze w waszych włościach.

— Księżę, księżę! Co też ksiądz czyni? Glorjan mnie odepchnie...

— Posłuchaj, pani Tereso, kroczycie oboje Chrystusowym śladem i dlatego tracicie siebie wzajemnie z oczu. Wypadek, przyznaję, dziwny, jeden z ową grą w Monte Carlo, na górze szatana, drugi z testamentem, który już nie szatan, Tereso, lecz Chrystus, wódz pokornych, dyktował, — te dwa zdarzenia postawiły wasze losy ponad codzienny głód, ponad pożądlivość i zawiść, natomiast usłały wam drogę ku tryumfowi nad sobą samym. Jeszcze się nie dostrzegacie, ale chwila spotkania jest pewna i być może bardziej bliska, niż pani sądzi. Macie przewodnika, który jest we wszystkich religjach...

— Kogo?

— Cierpienie.

— Księżę, proszę mi przebaczyć mój błąd, mój wielki błąd!

— Nie, to ty, Tereso, przebacz Glorjanowi jego dumę, jak on ci twoją napewno przebaczył.

— Proszę mi przebaczyć przynajmniej moje łyzy. To za pokutę, dobrze?

Ksiądz Wdowiec żartobliwie pogłauził pięknego gościa po głowie.

— Odpuszczam wszelkie grzechy — szepnął.

— Takim głosem głazy można kruszyć...

— To praca serca — nie głosu.

— Nie, nie, ksiądz ma rasowy głos. Przecież ja się nie oświadczam... Rasowy głos... Gdyby nie to, że Glorjan ma tak samo głos rasowy, nicby czyjekolwiek serce nie pomogło... Skąd wy to macie?

— Skąd? A skąd wy macie? Z tysiąca tysięcy tryumfów, począwszy od zwykłych napaści po kniejach na zwierza, czy na ludzi, skończywszy na rycerskiej pieśni zwycięstwa na polu bitwy, czy w łożu miłosnem. A Glorjan i ja, Wdowiec? Z tysiąca tysięcy westchnień o lepsze jutro, o poprawę bytu, o pochwałę, że już dobrze, że lepiej niż było wczoraj. A nie jest to głos żebraków, gdyż żebrakami gardzimy narówni z wami. Jak twój prapradziad przeskożył przez tajemnicę gwałtu, dając skok z poza drzewa na fotel senatorski, tak samo i my umiemy w każdej chwili od prośby przejść do nakazu. Wy tam kiedyś — zaczajeni w borach — uczyliście się dyplomacji i kształcili głos od okrzyku do powabu, a my tu, patrząc na was, ukryci w suterrenach, albo zwieszani na dachach, w polu, czy w kopalniach, przekuwamy sobie niespełnione modlitwy na śmiałe uderzenie młota, które aby zagłuszyć, trzeba mieć głos. Wasze sejmy, — nasze wiece! Wasze bunty, — nasze strajki! Mogłem dzisiaj mówić do pani władczo, a nawet miałem prawo tak przemówić, ale pani to wyczuła, i oto poprzestaliśmy zaledwie na sygnałach.

— Jakże subtelnych... proszę o pańską rękę. Wdowiec wiedział, że ręka będzie pocałowana. Nie bronił.

— Teraz głos pana był jednak władczy...

— Teraz nie potrzebowałem przekonywać...

— Ale była jakaś groźba w pańskim głosie, prawda?

— W wodorze jest także groźba w stosunku do tlenu, ujemna elektryczność stale czyha na dodatnią...

— Zdaniem pańskim, ja byłem w tej sprawie ujemną, czy tak?

— Sprawę załatwiliśmy, czy tak?

— Pan ją załatwił... nie jestem pewna, czy nie płaczę... jeżeli tak, są to łzy wdzięczności...

— Piękne łzy, jak wszystko, co do pani należy...

— Powiedział mi pan parę razy: ty... Jestem kobietą, a kobietę zawsze przekonywa pieszczota, niech ksiądz wierzy... Doprawdy rozkochał mnie pan i przesłał z rąk pańskich w ręce Jana, który w tej chwili mną pogardza.

— A pani by chciała, żeby tak było?

— Niechże Bóg broni!

— Ręczę, że Bóg czyni to w tej chwili. Porozumiem się z małżonkiem. Przyślę go pani...

— Wolałabym, żeby mnie tu przyłapał u pana, dobrze?

— Niech i tak będzie. Zadzwoń.

Teresa prowadziła księdza, gdy szedł do telefonu, wzrokiem, który zastanowiłby nawet Glorjana.



## XVI.

### SZANTAŻ.

Ani Teresa, ani ksiądz Wdowiec nie zdawali sobie sprawy, że życie jest bardziej urozmaicone od najbogatszej biblioteki.

Na telefon księdza odpowiedział Glorjan, że przyjdzie za pół godziny, gdyż ma ważną rozmowę. Glorjana odwiedził w Warszawie pan hrabia Delabaisse, świadek owej partji baka w Monte.

Powiadają znawcy, że każda zbrodnia najgenialniej obmyślana musi mieć jakiś jeden błąd, który zbrodniarza oddaje w ręce sędziom.

Podobno w sądzie te błędy stają się tak oczywiste, że najzakamienialsi zbóje płaczą z bezsilności. To samo da się powiedzieć o szlachetnych planach. Glorjan, obmyślając i wprowadzając w czyn fałszywą passę baka, nie obliczył, że hrabia Delabaisse zechce kiedyś i tę pierwszą passę Glorjana uważać również za oszukańczą. Właściwie hrabiego Delabaisse naprowadziła na tę myśl ruina majątkowa.

Postanowił za ostatnie pieniądze odnaleźć człowieka, który tak szczęśliwie oszukiwał.

Zameldowany wszedł do gabinetu Glorjana z tą pewnością, że przecie z takim graczem o porozumienie łatwo.

— Witam, witam i proszę przyjąć wyrazy kondolencji z powodu zgonu szanownego hrabiego teścia.

— Uprzejmie dziękuję. Czem mogę służyć?

— Widzę, że szanowny pan raczy sobie mnie przypominać.

— Tak jest, panie hrabio.

— Niech mnie pan nie tytułuje. Los srodze zemną zagrał. Nie uwierzy pan, co to za uczucie znaleźć się nagle bez środków do życia.

— Znajdowałem się nieraz w tem położeniu, panie hrabio.

— Ale teraz poszczęściło się panu, wszak tak?

— Majątkiem moim zarządzam i nie uważam go za swój własny.

Glorjan doskonale wiedział jakie myśli kołują pod gładkim rozdziałem na głowie gościa, ale i gość nagle zmienił płaczliwy ton na znacznie bardziej zdecydowany.

— Panie Glorjan, szanowny pan rozumie: kto niema pieniędzy, ten nie ma czasu. Czy mógłby pan, mnie, świadkowi owej gry w Monte, pożyczyć milion franków?

— Ponieważ cierpię, panie hrabio, na wspólny z panem brak czasu, więc mogę służyć wskazówkami, jak się opuszcza ten pokój w sposób mniej gwałtowny.

— Chcę być lojalnym do końca, panie Glorjan. Chcę i muszę pana zdobyć, jak pan zdobył port Artura. Więc...

Dalsze słowa Delabaisse mówił już, cofając się, ku drzwiom, party wzrokiem Glorjana, który usłyszał jeszcze te słowa:

— Wyciągnę konsekwencje...

Gdy drzwi za szantażystą zamknęły się, Glorjanowi natychmiast przyszło na myśl ot tak, na wszelki wypadek:

Czy też stary Duchateau żyje i gdzie się obraca?

Poraz pierwszy Glorjan uprzytomnił sobie, że taki gładko przyczesany pysk może przesłonić wszystkie nasze dzienne sprawy, — i przełknął jakąś mdłą ślinę.

Gdyby w chwili, gdy rzucał tam zbawcze dla ojca Teresy karty z podstępnie ułożonej talji, ktoś mu szepnął, że to niemoralne, wyśmiałby go. Przypomniał sobie, jak na pewnym zebraniu anarchistów w Rosji mówca w ten sposób ocenił sytuację:

— Towarzysze, anarchja jest zagrożona!

Glorjan uśmieł się z tego paradoksu, a jednak obecnie coś mu szeptało do ucha:

— Twój honor jest zagrożony... Zupełnie, jak gdyby mógł być honor narażony na szwank, skoro nie ma się nic złego na sumieniu?... Tak jest, pomimo to, mimo wszystko, może być zagrożona taka rzecz, jak honor... Przedewszystkiem honoru nie wiadać, więc byle co postawione na jego miejscu, może mu zagrażać...

Glorjan uprzytomnił sobie jakgdyby chemiczny skład honoru i stanął oko w oko z faktem, że mu czegoś obcego dolano do jego honoru. Przewidywać zaczął, że ten laborant zdradziecki, — Delabaisse, — spowodował zupełny rozkład jego godności własnej. Nigdy przedtem nie myślał, że tę godność posiada, dopiero teraz, gdy ona już jakgdyby wyparowuje. Kto wie, czy mdła ślina nie jest resztką utraconego

honoru. Przetykał coraz częściej. W tem usposobieniu udał się niezwłocznie do księdza Wdowca.

— Może wam nie będę potrzebny, Janie? Żona jest w gabinecie i chce cię zobaczyć...

Glorjan uścisnął dłoń księdza.

Niebawem usłyszał głos Teresy:

— Prosimy księdza do nas. Musimy jedno na drugie naskarżyć.

Ksiądz zastał ich stojących naprzeciw siebie, jego bladego, a ją czemś dodatkowo zdziwioną.

— Nie mam prawa nikogo oskarżać. Wkrótce wytoczona mi będzie sprawa o fałszywą grę...

— Kto ośmieli się? krzyknęła Teresa.

— Pan hrabia Delabaisse... jeżeli wogóle jest hrabią.

— Co to znaczy?

— To znaczy, że ten pan jest bez grosza, mnie zaś uważa za bogacza.

— Na czym Delabaisse opiera swe oskarżenie?

— Na czym? Była to gra, o której pani wie od nieboszczyka ojca.

— Proszę mnie podać na świadka.

— Żona jest najgorszym świadkiem, o ile chce dobrze świadczyć...

— A jakżebym mogła inaczej?

— Być może, ale dla sądu...

— Nic mnie sądy nie obchodzą!

— Syn, albo córka pani mogą się o to upomnieć.

— Boże, Boże, kiedyż wybrniemy z tych przeklętych pieniędzy? Będę świadczyła! Przecież, gdy panowie grali, nie byłam pańską żoną?...

Mężczyźni uśmiechnęli się, ale Teresa zrozumiała ten uśmiech i wobec braku wiedzy prawniczej przywołała na pomoc serce:

— W imieniu dziecka żądam, ażeby się pan bronił! Zresztą (przeciągle spojrzała na męża) ucieknijemy przed opinią i sądami.

— Nie zamierzam nigdy z Polski wyjeżdżać na dłużej.

— A może mu dać ten milion?

— Majątek nie jest mój, ale gdyby nim był, temu łotrowi nie dałbym ani grosza.

— Majątek do pana należy, niech więc pan będzie łaskaw mnie pożyczyć milion.

— Na ten cel odmawiam, zresztą po jednym milionie Delabaisse zgłosiłby się po następny.

— Mój Boże, czy to zawsze przy milionach dzieją się takie rzeczy?

— Nietylko przy milionach. Skala niebieskich ptaków jest bardzo obszerna. Sam nie wiem, dlaczego ja nie zostałem takim?

— Jak można mówić o sobie w ten sposób?

— Znam jednak dobrze ten gatunek i dlatego nie dam nic temu szantażyście.

— Więc, jak wybrniemy?

Gdyby tu był Kodeks Nesesser, wtłoczyłby mu cylinder do samej brody i odprowadził do Paryża zpowrotem.

— Biedny chłopiec — wtrącił Wdowiec — czy wiecie, że ojciec jego zbankrutował?

— Nie może być?

— Stary zachował się bardzo po dżentelmeńsku, co pewno Kodusia ucieszy. Podobno bankier złożył nawet wszystkie kosztowności rodzinne do masy upadłości.

Teresa nie spuszczała oka z Glorjana.

Serce jej biło w takt zrazu cichej, ale stopniowo wzrastającej melodji. Jakaś tajemna orkiestra grała



Glorjanowego marsza tryumfu. Skądże tryumf przy takiej sprawie? A jednak był to tryumf. Zrozumiała zaraz, że całą orkiestrę wielkich przygód i dotkliwych krzywd prowadzi sam Glorjan środkiem szerokiego własnego traktu, a ona, jego żona, stoi z boku i przygląda się. Musi podbiec do Glorjana. Postanowiła działać. Zdobywając go poraz wtóry, czuła, że wie dzie spór czysto rodzinny, domowy.

Nie zważając na obecność księdza, a może nawet czerpiąc w jego obecności śmiałość, podeszła do męża.

— Janie, ludzie tyle cierpią... podzielmy się two-  
jem cierpieniem.

Słowa te przykuły gospodarza domu, oswojonego zresztą z uroczystemi nastrojami.

Glorjan patrzył na krucyfiks i zwolna mówił:

— Już poraz drugi w życiu szukasz mnie, Tereso.

— Tak, Janie, ale obecnie mam twoje dziecko w łonie.

— A ja — zawołał — mam w łonie honor! Księżę, któryś duszę moją kształtował w moim dzieciństwie, powiedz tej wspaniałej niewieście, że moje mężkie łono jest pełne honoru, nowego honoru, jakiego nie było przed Grunwaldem i po Grunwaldzie, nieznanego Chocimczykom, ani Taborytom! Powiedz jej, księżę, że urodziłem się na stercie złota, zabranego carowi przez mego ojca, carskiego poskromiciela i napastnika. Ta fura złota leżała w pokoiku moich rodziców na ulicy Długiej, a ojciec mój nie miał za co kupić lekarstwa dla siebie.

O ty, piękna, nie wiem, kto mi cię wtedy przysłał nad brzeg najpiękniejszej zatoki świata, szatan, czy Chrystus? Chyba Chrystus, który być może

chciał ci pokazać, o pani, człowieka gardzącego złotem, człowieka jutra! Mam obecnie w swoim łonie honor, o którym już mówiono, że był przywilejem wczorajszych ludzi, i że wraz z nimi uleciał w nicłość.

Dowiesz się, pani, że nie z Trylogji Sienkiewicza wzięłem ten honor, lecz z izby rodziców. A oni? Oni czytali Sienkiewicza, Żeromskiego, ale powiedz pani, skądże tak szybko zdołali się przejąć Kmicicem, Judymem, Walgierzem? Było w nich, w tych moich rodzicach, coś, co nietylko pozwoliło im nie wolę przetrwać, ale jeszcze mnie wolnością tak nakarmić, że wystarczy dla mego prawnuka. To wytrzymałość i pogarda złota! Dlatego może szukasz mnie, niewiasto! Jesteś, jak chmura deszczowa, życiodajna, ale czasem pełna pocisków gradowych...

— Wybacz!

— Komu?... Chmurze?!... Powiedz jej, księżu, ile masz książek o chmurze gradowej? Pewno całe setki, a jednak w żadnej książce niema ani słowa o tem, aby przebaczano chmurze gradowej...

— Glorjanie — ozwał się Wdowiec — o przebaczeniu mam tylko jedną książkę...

— Wiem, wiem, wiem, ale ja nie jestem Chrystusem!...

— Całe dzieje próbują go naśladować...

— Tak, tak, młotem, lub mieczem...

— Sercem...

— Serce — to tarcza do strzelania!...

Glorjan otworzył ramiona, w które padła Teresa.

## XVII.

### STARE PRETENSJE.

Glorjana odwiedził któregoś dnia przywódca stronnictwa narodowego. Człowiek ten rósł równocześnie z Apuchtinowskim pokoleniem z pod zaboru rosyjskiego. Złudzeniem całego jego życia było przekonanie, że można przepolitykować czyn bojowy, że można zaprosić chociażby ostatniego cara do komnaty, zawieszanej starą bronią polską, i że taka wizyta wystarczy. Napisał był ów polityk parę dziełek, które mu roznoszono po Polsce w przekonaniu, że podziałają lepiej, niż broń. Nie podziały wcale, gdyż czytelnicy, których pozyskał, bez czytania jego prac, myśleli tak samo „nowocześnie”, jak i on sam. Mistrz był w tym wypadku zaledwie sekretarzem swojej rzeszy. Była to więc drukowana „niemoc”. Miała wyznawców, z góry upatrzonych. Za okupacji rosyjskiej miała narodowa demokracja swój krótki okres Dumy, ale nie narodowej, lecz — Petersburskiej.

Gość Glorjana był posłem do Dumy, a posłowanie to kosztowało sporo prawdziwego grosza hra-

biego Brutto. Minister carski, Witte, zlekceważył go swego czasu.

— Pan mnie sobie przypomina, panie Glorjan?

— Tak jest: w Porcie Artura.

— Panie Glorjan, pan zapewne sądzi, że pan wygrał?

— Sądzę, że dopóki gra trwa, nie wypada chwalić się wygraną.

— Tak jest, gra jeszcze trwa, panie Glorjan. Nie pytam o sprawę w Porcie Artura. Przychodzę w innej sprawie...

— Czem mogę służyć?

Siedli, a gość zapalił podanego papierosa i zaczął z właściwą mu kostycznością:

— Przybyło nam lat, a panu pieniędzy. Majątek, który pan otrzymał w posagu, panie Glorjan...

— Majątek ten odziedziczyłem z woli zmarłego.

— Ach, tak? Tem lepiej. Owóż tedy, stronictwo moje korzystało z pomocy nieboszczyka.

— Nie wiedziałem o tem, ale od tej chwili stronictwo pańskie na tę pomoc liczyć nie powinno.

— Dlaczego, proszę pana?

— Dlatego, że od dnia otwarcia testamentu majątkiem Bruttów zarządzam ja niepodzielnie.

— Niepodzielnie? A żona pańska?

— Wolno panu zapytać ją o zdanie. Usłyszy pan jednak to samo, co odemnie.

— Czy to aby słuszne?

— To przyszłość pokaże.

— Przeszłość dla pana nie istnieje, panie Glorjan?

— Owszem istnieje, ale w sprawie przez pana poruszonej ta przeszłość ma tę właściwość, że była niepotrzebnie kosztowna.

— Cała nasza przeszłość była kosztowna, panie Glorjan...

— Tak jest, to też dołożę wszelkich sił, ażeby zło naprawić...

— Czy pan jest aby pewien woli zmarłego?

— Tak jest.

— A jeżeli odczytam panu list jego z przed lat pięciu, gdzie wyraźnie przeznacza raz na zawsze, dopóki środki na to pozwolą, pewną kwotę roczną na nasze cele.

Glorjan spokojnym głosem odrzekł:

— W testamencie, który mianuje mnie generalnym spadkobiercą, zmarły wyraźnie pozbawił mocy wszelkie poprzednie zarządzenia.

— Nawet narodowe?

— Wszelkie, szanowny panie....

— A czy sumienie nic panu nie podpowiada, panie Glorjan?

— Pan przyszedł mówić nie o sumieniu, tylko o pieniądzech. O pieniądzech dowiedział się pan.

Gość popatrzył uważnie w oczy Glorjanowi, poczem zaczął gamę cichego śmiechu z pokazem sztucznych zębów. Twarz mu poczerwieniała, a śmiech opanował brzuch i ramiona.

— Panie... panie Glorjan... niech mi pan wybaczy moje ulubione cyniczne nieco przysłowie, ale doprawdy, człowiek się uczy rozumu do utraty perjodu, a może... może i dłużej.

Dowcip byłego członka ostatniej carskiej Dumy nie rozśmieszył Glorjana. Gość narodowy był znany z nieudanych dowcipów, historycznych. Po wielu klęskach politycznych, po licznych kompromitacjach wyuczył się ten działacz śmiechu pocieszenia. Wszystkie niepołapane na korcie politycznym piłki witał tym śmiechem, podając przeciwnikom rękę,



o ile przeciwnicy byli przy rozgrywce. Czasami nie było komu podać ręki. Pozostawał tylko śmiech. A ileż to razy nie on się śmiał: śmiano się z niego. W Polsce był czas, gdy to nie przeszkadzało w robieniu kariery. Zaliczano śmiech pocieszenia do rubryki męczeństwa.

— Pan, panie Glorjan, stosuje, jak widzę, do polityki polskiej skalę majową... czy tak?

— Nie panie, stosuję, jak w tej chwili, skalę Sierpniową, ale dla pańskiej polityki mam jedną jedyną datę — Zaduszki.

— Tak — bez żadnych zasług?

— Z tą jedną, że wiem, czego mam się wystrzeżać.

— Czy jutrzejsza przyjaźń Rossji Sowieckiej z Ameryką niczego pana nie uczy?

— W tej przyjaźni — wątpliwej zresztą — pan chyba nie odegrał żadnej roli, a uczy mnie ona jednej rzeczy, że należy z chwili korzystać.

— Właśnie, właśnie! No, nareszcie!

— Ażeby jednak z chwili skorzystać, — nie wolno żebrać.

— A któż tu i komu radzi żebrać?

— Pan przez całe swoje życie, oczywiście, nie prywatnie, lecz politycznie.

— Nie obraża mnie to oskarżenie. Przyszedłem do pana po pieniądze, które mi wypłacano w tym pałacu na moją politykę od lat dwudziestu pięciu.

Glorjan rozłożył ręce ruchem odmownym.

— Proszę pana, wiele rzeczy działo się w Polsce od lat dwudziestu pięciu i na szczęście przeszły. Z tą pomocą materialną musi pan się pożegnać. O tych milionach nigdy, przyznam się, nie marzyłem, ale teraz żałuję szczerze, że wcześniej do nich dostępu nie miałem.

Gościowi znowu zwężyły się oczy i zachichotał z cicha — szepcząc prawie:

— Przy grubej grze nie robił pan takich trudności, o ile mnie moje wiadomości nie mylą.

— Nie jestem ciekaw pańskich wiadomości, ale to panu jeszcze powiem, że gdyby cały los pański zależał od jednej mojej złotówki, tobym tę złotówkę wrzucił do Wisły.

— Nie wiem, kogo Wisła więcej słucha: mnie czy pana? Co mi pan zarzuca? Że przez lat trzydzieści kilka uczę polaków myśleć?

— Nie, pan nikogo myśleć nie nauczył. Pan przez całe życie szuł maski ochronne przed myślą, to też wyznawcy pańscy myślą jaskiniowo, chodzą i ubierają się jaskiniowo. A swoje dowcipy polityczne podaje pan w braku rakiety dziurawą podrywką na raki.

Gość zbladł.

— Muszę nie mieć dowcipu, skoro moje towarzystwo tak źle wpływa na pański humor. Zarzuca mi się rusofilstwo? A czy pan nie słuchał kogoś, kto walczył po stronie Niemców?

— Ale walczył i walczył! Rozumie pan to? W tem cała rzecz! Gdy otrzymałem z Krakowa rozkazy w Japonji, wiedziałem, że mam walczyć i że ten, kto mi rozkazuje, walczy! Porównywałem japońskich wodzów z naszym wodzem: mieli wspólną stanowczość i wie pan? — może mnie pan wyśmiać, mieli wspólną chęć, żeby wyglądać strasznie. Te szlachciury japońskie musiały przypominać naszych przeróżnych Jaremów, którzy umieli straszyć...

Gość słuchał z ciekawością, ale bez przekonania.

-- Podziwiam w panu, panie Głorjan, tak szybkie przystosowanie się, ale ja nie umiem straszyć.

Zdaje mi się, że straszy się zazwyczaj — ze strachu...

— Nie, panie, straszy się wyglądem, jeżeli ten wygląd odpowiada sercu, które chce zwyciężyć. Pokażę panu list, który uspokoił moje sumienie, a panu wiele wyjaśni. Zna pan to pismo?

— Tak jest -- to pisał hrabia Brutto.

— A więc, niech pan słucha: „wydawałem masę pieniędzy na tak zwaną politykę polską z czasu zaborów. Żałuję, że nie dałem ani grosza na polskie bohaterstwo. To było pewniejsze. Mój zięć nie ma obowiązku kontynuować mojej polityki tak zwanej naródowo - demokratycznej”.

Glorjan przesunął te słowa przed oczami gościa, nie wypuszczając pisma z rąk.

— Czy małżonka pańska czytała ten list?

— Nie, ale powtarzam, nie bronię panu porozumieć się z nią.

— Zdaje się, że nie wykorzystam tej okazji... Myślę, żeśmy sobie wiele wyjaśnili. Dodam chyba jeszcze, że odwiedził mnie wczoraj hrabia Delabaisse...

Glorjan był szczerze zdziwiony.

— Nie wiedziałem, że pan, wódz stronnictwa, ma stosunki z karciarzami.

— Pan Delabaisse jest politykiem...

— Pan Delabaisse, ostrzegam pana, jest szulerem i szantażystą.

— Czy pan powtórzyłby mu to w oczy?

— Nie zdążyłem tego uczynić wczoraj, gdyż w porę drzwi mu pokazałem.

— A jednak Delabaisse oddawał nam usługi...

— Nie zazdroszczę w przeszłości, a teraz ostrzegam. Zresztą nie należę do panów i ponad lojalne ostrzeżenie nie zamierzam panom dowodów składać.

— Niech się pan dowie, panie Glorjan, że część pieniędzy od hr. Brutto otrzymywał hr. Delabaisse na prasę francuską...

— Obawiam się, że cała ta gotówka utonęła w kieszeni pana Delabaisse. Zresztą Francja liczy się nie z tym, który każe studentom wybijać okna w sklepach żydowskich, ale z tym, który wybijał krok po ulicach Wilna na czele wojska.

Kto w ten sposób zamącił spokój miasta Wilna, ten miał potem prawo wybijać krok w katedrze Wawelskiej, ale ten, kto mąci spokój na Nalewkach, musi poprzestać na tytule hetmana studentów.

Gość ponownie poczynił przygotowania do swego cynicznego śmiechu: poczerwieniał i przydzwigał na ramionach jeszcze jeden dowcip:

— Proszę pana, wy chcecie skoszarować, a skończycie na skoszerowaniu młodzieży. Do spraw uniwersytetów nie mieszam się, a że młodzież czuje się polską i myśli po polsku, to ta do pewnego stopnia moja wina, nie jest taka znowu wielka...

Glorjan powstał.

— Nie sądzę, ażeby pan tu przyszedł na spowiedź swoją, czy moją. Jeżeli zeszlśmy na tematy polityczne, to z przyczyny zamknięcia kasy hr. Brutto, a obecnie mojej.

— Winszuję, winszuję tej swobody władania...

— Proszę pana, pan z niemniejszą swobodą nazywa swoją całą Polskę. Zdaje się, że mój tytuł pewniejszy. Różnica między nami polega nie na tem, co który z nas o sobie myśli, lecz jedynie na tem, że pan propaguje i robi rzeczy łatwe, ja zaś służę człowiekowi, który wprowadza w życie rzeczy bardzo trudne.

Oczy gościa ponownie zamigotały w uśmiechu lekceważącym:

— Ślubu swego z hrabianką Brutto nie zawdzięcza pan chyba człowiekowi, któremu pan służy.

— Ale zawdzięczać mu będę właściwe użycie milionów rodu Bruttów.

— No wydawanie milionów nie jest rzeczą trudną.

— Właściwe wydawanie jest trudne. Pan, na przykład, marnował te same pieniądze na wybory do Dumy rosyjskiej, a niedawno na pana Delabaisse. Mówiąc o rzeczach trudnych, nie miałem zresztą na myśli siebie. Jak już powiedziałem, nie zamierzamy chyba wynurzać się wzajemnie, ale mogę panu pokazać rzecz bardzo trudną, która nic nie mówi, lecz broni się samym wyglądem. Może pan przejdzie do sąsiedniej komnaty, która była sypialnią matki mojej żony.

Glorjan przeprowadził czujnie rozglądającego się gościa przez dość długi korytarz.

— No, z tego tunelu wyszliśmy cało — zażartował znowu gość.

Glorjan włączył światło.

— Hrabia nieboszczyk — po śmierci żony przeznaczył jej sypialnię na kaplicę ze względu na piękną kopję Madonny Rafaela, którą pan widzi w ołtarzu.

Gość tonem nieco protekcyjnym oznajmił.

— Wiedziałem, dokąd mnie pan prowadzi. Hrabiosstwo pokazywali mi Madonnę, gdy jeszcze tu była sypialnia... Ale, rama nieco schropowaciała...

— Nie, nie schropowaciała, i to właśnie chcę panu pokazać. Rama jest z kości słoniowej wprawionej w heban... Niech pan zechce podejść: widzi pan tę rzeźbę? Sześćdziesiąt scen z życia Chrystusa.

— Istotnie, tego nie było... co za chińska drobiazgowość szczegółów...



— Bo też rzeźbił te sceny Chińczyk. Służył u hrabiów jeszcze w Petersburgu i razem przedostali się do Warszawy. Hrabia uratował mu życie, a on poświęcił pięć lat na tę pracę. Ale najciekawsze, że nie skomponował nic buddyjskiego, tylko z całym zapałem odtworzył z opowiadań życie Chrystusa.

Czuł widocznie, że Jezus czynił rzeczy najtrudniejsze, trudniejsze od Konfucjusza.

Niech pan zwróci uwagę na szczegóły. Oto osiołek z ucieczki do Egiptu, jak on dobrze stoi.

— Najlepiej zawsze stoją osły — zachichotał gość, który z miną znawcy studjował rzeźby przez monokl:

— Wie pan, że ci apostołowie mają trochę mongolskie twarze?

— Może byli mongołami?

— Niestety, byli żydami.

— Panby wolał mongołów? Więc oto ma ich pan...

Zauważyłem studjując Renessans, że ilekroć karykaturowano (Leonardo) możliwych tego świata, operowano nosem, lub brodą, ale prostaczkom zawsze z mongolska rozszerzano kości policzkowe, lub szczęki. Może w istocie widywano owe typy przywożone na okrętach?

— Wspaniała rama, arcydzieło! I jak pasuje...

— I jakie trudne, prawda? Gdy pan tu bywał, rama była gładka...

— Więc, panie Glorjan, z panem i dzięki panu będzie w Polsce coraz trudniej?

— Przez dłuższy czas — tak.

— Otoczy pan polskiego Chrystusa chińską pracą?

— Tak jest, panie.

— Żegnam pana.

## XVIII.

### BANKRUT.

Po telefonicznem zawiadomieniu Nesesser ojciec odwiedził Glorjana.

— Odrazu domyśliłem się, że to pan, ale nie byłem pewien. No i cóż, panie Glorjan? Przeżyliśmy niejedno... Właściwie, to tylko jedno, ale wystarczyło, ażeby się poznać gruntownie. Życie, jak giełda, ma zawsze taką minutę, która pozwala zanotować, po czemu honor, prawda?

Spotężniał pan — panie Glorjan, a ja? Ktoś strzelił do mnie mojem własnem złotem, i — leżę gorzej, niż trup, bo jestem żywy trup, tylko nie tamten Tołstoja (był pan na tem?). Ten Tołstoja miał inne zmartwienie, sercowe przedwojenne zmartwienie. Tamten zrobił wszystkim niespodziankę, że jest porządnym człowiekiem. Oni przed wojną, pisarze i ich bohaterowie, mieli takie kłopoty. Mieli na to czas. Ale i ja zrobiłem niespodziankę moim wierzycielom. Oni tylko przez jeden kwadrans myśleli, że jestem drań. Nawet nie zdążyli połączyć się z prokuratorem. Wie pan, że dopiero teraz poznałem własnego syna, Nikodema. Jego nazywają Ko-

deks. On jest więcej, niż kodeks: on jest kodeks honorowy. Rozmawialiśmy o mojem bankructwie, które jest przecie i jego bankructwem. Nie chciał przyjąć trzech milionów, słyszy pan? Panie Glorjan, mój syn wzgardził milionami, słyszy mnie pan?

— Słyszę i nie dziwi mnie to, gdyż domyślałam się, że tych milionów zabrakłoby dla zaspokojenia długów.

— No tak, ale te miliony dawałem mu do ręki.

— Dopiero co powiedział pan prezes, że pańskie bankructwo jest bankructwem syna.

— Jako bankructwo, na to zgoda, ale nie jako miliony!

— Gdzież tu różnica?

— Jeszcze wczoraj myślałem, że to wielka różnica, ale dziś widzę, że trzeba być zdania mego syna i pańskiego, panie Glorjan. Coś panu opowiem.

Wczoraj mój syn myślał, że mnie niema w domu i zatelefonował z mego gabinetu do mojej babki, a swojej prababki. Byłem zdziwiony, gdyż moja babka go nie znosi, uważając go za warjata i próżniaka. To także pogląd, proszę pana. Ale Nikodem wziął się na sposób, i nagle słyszę, jak mówi do babki moim doskonale udanym głosem.

Zaczajony wysłuchałem krótkiej rozmowy, a że nie zapalał światła, poszedłem za nim po miękkim dywanie (jedyna korzyść), i ukryty za portjerą widziałem, jak moja babka oddawała wszystkie klejnoty niby to mnie, i jeszcze namawiała, żebym uciekł. Jest niewidoma, ale mnie aż ogarnęła jasność, gdym widział, jak mój syn kradnie dla ocalenia mego honoru. Moja babka chowała klejnoty, niech pan sobie wyobrazi, w takim białym Chrystusie, otwieranym i pustym we środku, bo kość słoniową można wydrążyć. Chciałem uklęknąć, ale nie umiem

tego robić, bałem się przewrócić, więc zamiast klękać, zacząłem płakać, od dzieciennych lat poraz pierwszy. Zapomniałem, że jestem biedny, byłem pierwszy raz dumny, a to mi się nigdy nie zdarzyło.

— Nie uwierzy pan, jak dalece rozumiem syna pańskiego.

— Nie uwierzę? Już wierzę! Nie bogactwo daje dumę, tylko właśnie to, co zrobił Nikodem. Może to dlatego, że te klejnoty leżały w Chrystusie?

— Może...

Nesesser był kontent, że mógł o synu mówić w ten sposób, a jednak musiał przejść do interesu, z którym przyszedł. Wybrał swoim zwyczajem drogę pogodną.

— Cóż, panie Glorjan, ze mnie teraz jest brunatna koszula, a potem będzie czarna, jak nie będę miał na zmianę. Zgłoszę się do Hitlera, ale on zawoła: żyd?! A ja powiem: wczorajszy milioner. A on na to: przyjdź pan wczoraj, panie Nesesser! Tak będzie, tak! Ale mnie do pana sprowadza co innego, tylko, że byłem zanadto pod wrażeniem, pan wybaczy?...

— Czem mogę służyć panu prezesowi?

— Z tym „prezesem” to najgorzej... Przychodzę do pana w delikatnej sprawie, ale pragnę szczerze pana ostrzec, panie Glorjan...

— O co chodzi?

— Pan obraził pana wicehrabiego Delabaisse...

— Właściwie, dałem mu do zrozumienia, żeby mnie nie nachodził...

— To z nim już tak można?

— Najzupełniej zapracował na to. Szuler i szantażysta...

— A jednak ma stosunki...

— Bo jeszcze nie wszyscy go znają, a w Warszawie prawie nikt.

— Panie Glorjan, ja nawet nie wiem, skąd go pan tak dobrze zna, ale że mnie pan wogóle imponuje i mam do pana słabość, to chociaż moja słabość jest teraz bardzo słaba, coś panu powiem...

— Wiem zgóry, co pan powie: Delabaisse rzuca na mnie podejrzenia co do gry... Opiera się na pewnym wypadku, którego nie zna dokładnie, i to go upoważnia do szantażowania mnie, zresztą bezskutecznie... Dziękuję panu za życzliwe ostrzeżenie, wolałbym jednak dowiedzieć się, czem mogę panu szanownemu pomóc osobiście?

— Mnie?... osobiście?...

— Tak jest...

— Wie pan, panie Glorjan, po takiej plajcie, jak moja, to podobne pytanie, jak pańskie, można chyba znaleźć w Biblii.

— Nie znam Biblii dokładnie...

— Ja wcale nie znam, ale życie znam i, mówię panu,... przepraszam, że może płaczę... ale już nie, że... że... w życiu takich pytań niema, więc myślałem, że to może z Pisma Świętego. Tam niezawodnie są takie pytania...

— Więc?...

— Straciłem tyle prawdziwych pieniędzy, że przestałem wierzyć w prawdę, nawet w taką, że człowiek może być dobry dla drugiego człowieka...

— Pan sam jest uosobieniem dobroci, panie Nesser...

— No co do tego, to jeszcze onegdaj mógłby się pan cokolwiek mylić... Ale dziś, a szczególnie w tej chwili... Mój Boże! takie pytanie w takiej sytuacji. To tak, jakby mnie na pustyni polizał po twarzy głodny tygrys... tylko że tygrys, to nie pan, tylko



życie, życie... Od śmierci mego ojca poraz pierwszy oglądam tego tygrysa — życie, życie, panie Glorjan. Przychodzę do wniosku, że ludzie biedni są bardzo cierpliwi. Oni więcej wytrzymują, niż minerały. Niedawno rozpadła się skała nad którymś morzem. A ludzie wytrzymują. A szczególnie mnie dziwi, że oni nas tolerują, nas, bogaczy. Dopiero teraz rozumiem, panie szanowny, jak niesprawiedliwie żyłem na świecie i ile to razy powinni mi byli łeb drągiem rozciąć...

— Mówi pan w rozdrażnieniu, panie prezesie...

— Prezesie? Pan żartuje!... Daję panu bankierskie słowo, przepraszam, dziś mogę już tylko dawać ludzkie słowo... a wie pan? był czas, że moje bankierskie słowo było pewniejsze, niż ludzkie, i to właśnie była niesprawiedliwość. Ludzie urządzają od czasu do czasu rewolucje, ale cóż, kiedy po każdej rewolucji zjawiają się nowi Nesesserowie. Uważam, że z rewolucjami zadługo się czeka. Podobno Anglicy mają gotowy najstraszniejszy gaz, jakby jeszcze mało światła zatruli...

— Nie lubi pan Anglików?

— Oni mnie tu w Polsce wytruli z czterech przedsiębiorstw i to tak nieznacznie, że myślałem, że wychodzę w piki, albo trefle, a ja wyszedłem za drzwi. Czwooro drzwi zatrzasnęli mi przed nosem! Na każdym drzwiach było moje nazwisko, jako prezesa.... Chyba, że ten wielki tłum nie widzi, co się dzieje, bo inaczej, to każde wielkie miasto powinno być porcją flaków... Przepraszam za moje dowcipy... Niech mi pan jeszcze pozwoli pofilozofować... Bo przecie ekonomja — to także filozofja, a plałta — to, kto wie, czy nie jest nowym kamieniem filozoficznym. Czy pan uwierzy, panie Glorjan, że ja dopiero teraz zrozumiałem, co to znaczy zostać bezro-

botnym? Jest to taki obywatelski trędowaty, tylko że dla 150-ciu milionów takich obywateli, nie można założyć kolonji, żeby ich zizolować, bo utworzyłyby się całe bezrobotne mocarstwo.

Ten gospodarczy żywy cmentarz jest ogromnie kosztowny, ale on ma w sobie taką samą tajemnicę, jak śmierć, której każdy unika i chciałby ją odłożyć na jaknajpóźniej. Otóż jak ta śmierć niesie w sobie prawo nowego życia, tak samo dzisiejsze bezrobocie obwieszcza nowe prawo, jeszcze nie wiem jakie — ani ja, ani ci bezrobotni, — ale napewno coś nowego. Przedewszystkiem liczba! Zdawałoby się, że to obojętna rzecz — liczba. Owszem, każde społeczeństwo, państwo, czy naród potrzebuje trochę biednych, chociażby z dobrego serca, żeby było komu dać parę złotych — niech ma, — ale to, co jest obecnie, to że w Stanach Zjednoczonych prawie co 11-ty obywatel jest bez pracy, to, proszę pana, już nie wchodzi w zakres dobroczynności, jak mój Koduś nazywa „drobnoczynności“. I niech pan weźmie pod uwagę, że człowiek nie chce przestać wynajdywać nowe maszyny, że ten sam człowiek nie przestaje płodzić dzieci i wszyscy oni — wynalazca, pracujący i ten bez pracy chcą żyć...

Glorjan kiwał głową. Naiwnie wygłaszane prawa ekonomiczne zyskiwały dla mówiącego serce Glorjana. Nie przerywał Nesesserowi, rozumiejąc, że w tych wywodach jest nieco ekspijacji zrujnowanego bankiera.

— Bo dlaczego, proszę pana, ja zginąłem? W Polsce, — chwala Bogu Najwyższemu — odrodzonej jest za dużo fabryk, a za mało pługów. Otóż pługi nie mogą nadażyć, a fabryki nie chcą tak łatwo ustąpić. Każdy chce, żeby sąsiad zamknął swoją wytwórnię. W ten sposób zostałem ja, bankier, wzięty we dwa ognie: zacząłem dawać gotówkę konkuren-

tom, nawet nie wiedząc o tem, gdyż byłem operowany tu i tam przez tego samego człowieka, takiego malutkiego, ze złożonemi jak do modlitwy rączkami, zupełnie podobnego do księdza, który mnie doszczętnie z moich pieniędzy wypowiadał. Dzięki stanowisku, jakie zajął mój syn, dostałem upadłościowe rozgrzeszenie, ale już nie zdążę nagrzeszyć znowu, żeby coś po sobie zostawić. Inni też nie zdążą, a wie pan dlaczego? Teraz przyjdzie moda na bezrobotnych. To głodne wojsko jest liczniejsze od wojska w koszarach, więc trzeba się tem zająć. Nic się nie dzieje bez przyczyny.

W Niemczech spalono parlament. Dopóki palił taki Herostrates, to była zwyczajna strata, ale parlament berliński spalił nie Herostrates, tylko jakiś Zyskind, co chce mieć z tego nie stratę, ale zysk, panie Głorjan! Pan się dziwi, skąd się bierze mój humor? Jest takie przysłowie dla bankrutów, pan wie? Ale, uważa pan, Reichstag — to jeszcze nic. W tych samych Niemczech były wódz naczelny, Wilhelmski marszałek Hindenburg głosuje na malarza pokojowego, Hitlera. Co Wilhelm zmalował, to Hitler przemaluje. I wogóle przyszły czasy, że ludzie zaczynają chodzić w koszulach: czarnych, żółtych, srebrnych, szarych, na zmianę, ale już nie w ubraniach, tylko w koszulach. Świat rozebrał się do koszuli i albo coś goni, albo przed czemś ucieka. Zdaje mi się, że jedno i drugie, panie Głorjan.

— Ma pan bardzo głęboką rację...

— To jedno mi zostało, a chociaż z taką racją nie można pójść na giełdę, to jednakże zdaje mi się, że tym razem moja racja jest większa od giełdy i wystarczy na dłużej. Przedewszystkiem ludzie zaczną inaczej pracować. Ktoś ich przemustruje. Już ich mustrują. Roosevelt ma minę pogromcy, może nie?

„Przygotować wesołe mordy, bo Wódz nadchodzi!”  
Co, może nie? A gdy tych bez pracy będzie więcej,  
niż pracujących, to może przyjść czas na Chrystusa.  
Co oni z niego zrobili!?

W Monte Carlo jest Chrystus. Modlą się do Niego,  
żeby wygrać, wie pan?

— Wiem.

— A moja ślepa babka trzymała klejnoty w  
Chrystusie z kości słoniowej. W ładną rzecz byłaby  
go wmieszała. Teraz wiem, dlaczego obok Chrystusa  
powieszono łotrów...

— Panie Nesesser, jednemu z nich...

— A tak, tak, jednego Chrystus wziął do raju.  
To było najmądrzejsze z tego, co Chrystus uczynił.  
To był prawdziwy cud, większy, niż zmartwychwsta-  
nie... Niech pan mi poda swoją rękę, panie Glorjan...  
tak, dziękuję, z całego serca dziękuję, nie za żadną  
pomoc, tylko za tę pańską rękę... Mój syn Nikodem  
uwielbia pana, i dlatego, i dlatego... wyjęte z Chry-  
stusa klejnoty poszły na zaspokojenie moich wierzy-  
cieli. Ja wtedy synowi nie przeszkodziłem, gdy oszu-  
kiwał głosem własną prababkę. On, Nikodem, wpro-  
wadził mnie do raju za pańską przyczyną, panie Glor-  
jan!... Ach, gdyby pan widział oczy mego syna, gdy  
mi rozkazał oddać wszystko. Powtarzam panu to,  
gdyż czuję, że sprawiam tem mojemu synowi zadowo-  
lenie. On o tem nikomu nigdy nie powie, ale ja chcę  
całą duszą, żeby pan o tem wiedział, bo on to zrobił  
dla pana i, wie pan dla kogo jeszcze? Dla pańskiej  
żony. Pana to nie obraża?

— Ani mnie, ani mojej żony, ale szanowny pan  
oddalił się od mego pytania pierwotnego?

— Nie oddalam się. Mam to pytanie w sercu,  
będę nim serce nakręcał do śmierci. Tylko nie wiem,  
w czym pan mógłby mi pomóc?...

— Chciałbym, żeby pan pozostał w swoim pałacu, gdzie jest komnata pańskiej babki.

— Ach, panie, ona chciała, żebym... z temi klejnotami...

— Panie prezesie, uważam sprawę za załatwioną. W tej chwili wszedł lokaj i coś szepnął Glorjanowi, który zbladł i spojrzął na Nesessera.

— Co się stało?

Glorjan oddalił służącego.

— Syn pański, Nikodem zastrzelił na korcie tenisowym pana Delabaisse...

— Nikodem?

— Tak jest. Oskarżył się, będę go bronił i obronię.

Nim do tego doszło, musiał Glorjan chwycić bankiera w ramiona, gdyż Nesesser byłby runął na podłogę. Glorjan doniósł go w rękach do swego biurka i zadzwonił.

— Wody zimnej i ręcznik!

Gdy Nesesser otworzył oczy, pierwsze jego słowa były:

— Czy Keduś uwięziony?

— Dowiem się o wszystkim i niezwłocznie pana powiadomię.

— Panie Glorjan, ten Delabaisse pośredniczył w pożyczce.

— Niech pan w to nie wierzy... dowidzenia... dam znać...



## XIX.

### W WIĘZIENIU.

Nieopisanego uczucia wstrętu doznał Koduś podczas rewizji osobistej. Wykonujący tę czynność funkcjonariusz dostrzegł to i pomimo braku oporu więźnia skomentował swą czynność:

— Cóż robić, taka forma. Znalazłem u jednego nabój dynamitowy z przodu, pod spodniami... że się jucha nie bał...

Stojący opodal kolega mówiącego dodał z uśmiechem:

— A ty się boisz? Przecie całe życie nosisz nabój dynamitowy, aż ciasno od bachorów na świecie...

— No z ciebie też niezły strzelec: pełna izba..

Na drugi dzień spotkał Koduś na korytarzu bankiera, Apollinarego Memento.

— O, pan Kodeks Nesesser? To już i kodeksy zamykają? A gdzie stary?... Wyjechał?...

— Ojciec mój jest w Warszawie.

— Nie wyjechał? Rozumiem: zwleka, ma nadzieję. Ja tak samo zwlekałem... Żeby zwłoki moich wrogów były tak uszanowane, jak ta moja zwłoka.. Mówi mi żona: Apollo... ona mnie tak w domu

nazywa... Apollo, powiada, uciekaj, a ja nie i nie, aż w końcu zrobiłi ze mną transmisję... Więc tatuś pański zwleka, pomimo że mu syna wzięli?

— Nie jestem aresztowany w sprawie naszego banku, który wypłacił wszystko co do grosza i dopiero po ostatniej wypłacie został przez ojca zamknięty.

— Skąd ojciec miał na taki zbytek?

— O ile mamy rozmawiać, panie Memento, może pan zechce zmienić sposób wyrażania się.

— Nic innego panu zmienić nie mogę, więc z przyjemnością zmienię ten drobiazg. Za co pana wpakowali? A może „wpakowali” panu nie dogadza, to mogę i to zmienić na — „przymknęli”...

— Zabiłem na korcie tenisowym pana hrabiego Delabaisse...

— Co?... co?... czy ja dobrze słyszę? Najlepszego pośrednika pożyczkowego?! Taki szpakowaty, trochę łysy, nosi monokl, chciałem powiedzieć, nosił monokl?...

— Tak jest...

— Widzi pan, to mój pech! Miał zeznawać na moją korzyść... Cóż on panu zrobił?

— Mnie osobiście — nic.

— A komu... *cherchez la femme*? Kubyte, mówiąc gwarą ludową, co?

— Na zeznania będę miał dość czasu...

— O, tak, tu czasu nie brak... Niech pan wstąpi do mnie. Mieszkam na tym korytarzu.

W celi Apolinarego Memento nad przymocowanym łóżkiem wisiał na brudnej ścianie Chrystus ukrzyżowany.

— Proszę, ja siądę na łóżku w stylu Ludwika XVI-go, ale bez gilotyny... Zresztą wisi tu na ścianie

ktoś, kogo nie chcą zdjąć z krzyża już blisko dwa tysiące lat.

— Pan się ochrzcił?

— Ja? Broń Boże! Nie byłoby co chrzcić, mówiąc między nami. Poprosiłem o ten krzyż, bo, uważa pan, tylko niech pan mnie nie wyśmieje, obraziłem się na Jehowę... Tak wszystko, jak ja, wyliczyć i jeszcze wpaść, to już za dużo! Nie mam Jehowy, nie mam szczęścia, nie mam pieniędzy, niech mam honor z Nim tu przebywać. Jego nawet nie pytali, czy zechce tu wisieć na ścianie, tylko przynieśli, i na tem koniec. Jak zwykle z Bogiem, umowa jednostronna.

— Nie stracił pan humoru — zaznaczył Koduś.

— Mój Boże, gdyby mnie mój rachunek nie zawiódł, wydałbym za pana, panie Kodeks, moją jedynaczkę, pan jej nie zna?

— Nie mam przyjemności...

— No, teraz to rzeczywiście żadna przyjemność...

— Panie Memento, pan w dziwny sposób zagłusza swój smutek.

— Nareszcie pan odgadł! Tak jest: zagłuszam!... Takich, jak ja, siedzi tu z dziesięciu. Dwóch lekarzy, wie pan, za spędzanie płodu, tutaj czas spędzają, trzech inżynierów za przedwczesne wywracanie domów, jest także ksiądz Pętlica, który zbierał składki na kosztą końca świata... Oni wszyscy, każdy na swój sposób, zagłuszają się. Wie pan, z pana jest dopiero trzecie pokolenie bankierskie, a już pan woli strzelać, niż robić majątek... pierwszy raz dłużej rozmawiam z panem, tylko słyszałem o panu, że pan osobiwie przymierza w owocarniach truskawki na twarzy sprzedawcy...

— Już tego nie robię...

— To się wie, takie rzeczy szybko wychodzą z mody... zresztą truskawek szkoda... cha... cha... młode pokolenie... pozwoli pan uścisnąć sobie dłoń?...

Koduś zdziwiony podał mówiącemu rękę.

A Memento zdjął sportową czapkę i zaczął szeptać wzruszony:

— To pan zrobił, że ojciec pański wszystko wypłacił. Te klejnoty pańskiej prababki, kupiłem ja i już z nimi nie zdążyłem uciec, ale ja uciekałem przed honorem, a pan, panie Nikodemie, uciekłeś z honorem... tak, tak, my wszystko wiemy... Te wielkie szafiry należały do żony rebego Nesessera, co dużo dał na powstanie... one teraz uratowały honor pańskiemu ojcu i panu... My wszystko wiemy... Teraz w Polsce siedzieć w kozie, to honor...

— Nie rozumiem pana...

— Zaraz wytłomaczę, tylko oczy obetrę. Nie mam już co zbierać, to te łzy pobieram. Widzi pan, dawniej gdy wszyscy kradli, to taki zamknięty w kozie, biegał wściekły z kąta w kąt i kłął: psiakrew, co mają do mnie jednego? wszyscy kradną, jak z nut, a ja jeden muszę pokutować? Ale teraz w Polsce kradną nie wszyscy. Nie tylko Polska się odrodziła, ale i polak trochę się odrodził. I teraz ja tu nie mogę biegać z kąta w kąt i kłąć na niesprawiedliwość. I dlatego Bóg mnie nagroził, bo pan tu do mnie przyszedł, a i Chrystus może tu być na ścianie, czy może nie?

— Najzupełniej może, panie Memento.

— Mój Boże, przy takim nazwisku, jak moje, tak się wkopać. Chce pan, poznam pana z tym księdzem. Na księdza może on się nie nadaje, ale byłby z niego dobry akwizytor. Zebrać ze trzydzieści tysięcy na koniec świata, to jednak trzeba mieć głowę...

— Głupców nie brak...

— Tak, tak... gdyby im obiecywał, że końca świata nigdy nie będzie, toby nie dali, ale na ewentualny koniec świata, to dawali... Wie pan? to samo bywało na giełdzie i jeszcze nieraz się powtórzy.

Ci panowie pensjonariusze przyjdą tu za parę minut. Odbywamy sobie posiedzenia, żeby mniej było samotności. Niech pan zostanie, oni pana niczem nie obrażą, zobaczy pan.

Po kwadransie Koduś znalazł się w towarzystwie paru lekarzy, bankierów, marjawickiego księdza i re-jenta. Ku jego zdziwieniu Apolinary Memento otworzył posiedzenie z taką powagą, jakby to był zarząd główny.

— Moi panowie, młody pan Nesesser znalazł się wśród nas wskutek zastrzelenia pana hrabiego Delabaisse...

— To pokrzyżuje wiele planów...

— Już pokrzyżowało... ale cóż? powojenne czasy...

— Panie Memento, przestań pan narzekać na wojnę. Gdyby wojna trwała, ani jeden z nas nie siedziałby w tem sanatorjum... Podczas wojny było wszystko do wzięcia, bo wszyscy, uważasz pan, patrzyli w lufę i celowali. A teraz każdy ma oczy wolne i widzi, co drugi robi, no i zaczęło się coram publico, czyli kram z publiką i, co dziwnego, że w więzieniu komplet.

Memento zastukał palcem w stół.

— Panie Kran, po co się zaraz rozkręcać? Nikt pana nie pytał, za co pan siedzi w teatrze, na Fauście... Po co się pytać, za co siedzimy tutaj? Ja radziłbym zastanowić się, czy nie możnaby złożyć kaucji za pana Nesessera?

Chwilę milczenia przerwał Koduś:



— Serdecznie panom dziękuję, ale nie skorzystałbym...

— Rozumie się — zakonkludował bankier Kran — przecie pan ma sprawę honorową, bo przecie pan go chyba nie...

— W moim strzale — prócz kuli — nie ma nic materialnego, niech panowie o to będą spokojni...

— Jesteśmy wogóle spokojni i zamknięci w sobie — zażartował rejent.

— Pan rejent, jak każdy rejent, ma zawsze humorek...

— Proszę panów, moje nieporozumienie rozstrzygnie się nie dziś to jutro...

— Albo wogóle — pojutrze dla pewności...

— Zamknięto mnie dla nadania powagi sprawie...

— To tak, jak i nas... Polska coraz bardziej poważnieje...

— Panie Kran, jestem rejentem, czyli urzędnikiem i dlatego proszę o zachowanie względem mnie pewnych form.

— Pozwie mnie pan na sąd honorowy? Niech pan lepiej wyzwie księdza Pętlicę na sąd ostateczny... On ten interes zna... tworzył kapitał akcyjny, tylko że za wcześniej przyszła komisja rewizyjna.

Zaczepiony ksiądz porwał się ze stołka więziennego.

— Przestań drwić, człowiecze! Może sądzicie, że nie znajdujemy się u kresu? Czy tak pewni jesteście trwałości zjawisk? I cóż wam dał tak zwany ład społeczny? Czy tam na wolności czuliście się wolni?...

— No do czasu...

— Do jakiego czasu? Którym czasem pan żyjesz, panie Kran? Pana otwierają i zamykają, a pan nie chce nawet zastanowić się nad granicami wolno-

ści. Czy pan wie, że przeszło 70 milionów ludzi korzysta z wolności i równocześnie nie wie, co ma robić? Jeżeli ta liczba bezrobotnych wraz z rodzinami wyniesie chociażby 140 milionów ludzi wolnych, niezamkniętych, ludzi nie będących pod kluczem, to czy to nie oznacza zdziesiątkowania świata przez paraliż pracy. Dlatego pytam pana powtórnie, panie Kran, którym czasem pan żyjesz? Czy tym, gdy wszyscy pracowali, czy tym który nadchodzi, gdy już mało kto będzie pracował? Mam sprawę o to, że rozsiewałem panikę o końcu świata. Zbierałem składki dla nic niemających... Nie uwierzono mi, a im, rzekomym ofiarom mojego sprytu, wytłomaczono łatwo, że żadnego końca świata nie będzie... Cha, cha! oni myśleli o potopie, gdy ja miałem na myśli Chrystusa, kroczącego na czele takiej rzeszy, z jakiej świat nigdy nie zdawał sobie sprawy, bo ta rzesza jeszcze nie wyszła z izb, z poddaszy, z suteryn i z kopalń...

Kodus wpatrywał się w tego księdza więźnia i mimowoli zestawiał go z ubóstwianym Wdowcem. Ten, na którego patrzył tu w celi więziennej, miał wymowę bardziej wiecową, z fanatyzmem gdzieś tam w cudzych kieszeniach załamany, co wydatnie oddziaływało na tonację głosu i na ruchliwość gałek ocznych...

...Mógłby w jakim konwencie rewolucyjnym wydawać wyroki śmierci.

Pod ścianą stali jeden przy drugim wpatrzeni w księdza świeżo przytrzymani adwokaci, Plondrjan Ananas i Eljasz Kaifacki.

Kaifacki obserwował mówcę z lubością.

— Pan się minął z powołaniem, księżo...

— No do więzienia powołania nie miałem.

— Tego nikt nie ma, to samo przychodzi — poczył Kran.

Memento, który przewodniczył i za nic nie dałby sobie tej czynności odebrać, zaoponował:

— Przepraszam, czy pan ksiądz skończył?

— Narazie... tak...

— Pan mecenas Kaifacki ma swój głos.

— Powtarzam, gdyby to było możliwe, prosilibym księdza, żeby mnie bronił na sprawie.

— Pojedyńczych ludzi nie potrafię bronić. Siebie nie umiałem obronić...

Kaifacki ośmielony poprosił uprzejmie:

— Niech ksiądz nam opowie, jakich argumentów używał pan, na to, że koniec świata już wisi..., i jak i na co ludziska panu płacili?

— Od nikogo nigdy grosza nie wziętem, skoro już pan dał się opanować ciekawości!...

— Prokuratorzy często na plotkach jada... — wtrącił Memento.

— Więc ani grosza? To tak, jak ja!...

— I zupełnie, jak ja! — dorzucił Plondrjan Ananas.

— No, koledze sami dawali...

— Nic mi nikt nie dawał! Brałem, co się należało...

Ksiądz podniósł rękę:

— Przy takim ustaleniu podstawy działania, brałem, przyznaję, na zorganizowanie podróży do grobu...

— Do grobu tych, co dawali? — szepnął Kran.

— Nie bluźnij pan! Do grobu Chrystusa!

— To daleko...

— Pan mi nie dowierza, panie Kran? Masz pan dobre towarzystwo... Prokurator też nie uwierzył.

— Proszę księdza — rzekł Kran — po co mamy się kłócić? Jak nas stąd wypuszczą, to nawet na wolności nie dam panu ani grosza na pański koniec

świata, bo nie wierzę w podobny wypadek, zwłaszcza jeżeli ma nastąpić za opłatą. Mówiliśmy o tem, co kto wzięł.

Proszę panów, z pieniędzmi to jest tak: ludzie nie tylko, że nie wszyscy pieniądze posiadają, ale nawet z tych, którzy pieniądze mają, bardzo niewielu zna się na pieniądzach. Bo, proszę panów, pieniądze są po to, żeby szły z rąk do rąk, tylko że ręce są niejednakowe. Jeden ma ręce zwyczajne, ot takie do witania, do podawania, do pisania. Co on taką ręką może wziąć? Na obiad i na pogrzeb. A inny to ma łapę jak stonoga, gdyby miała ręce. Taki bierze za tamtych.

Aleksander Stawiski dlatego tak dokazywał, że na niego patrzyli, jak na magika. Gdyby ludzie rozumieli, co to są bony i w jakiej ilości można je wypuszczać, Stawiskiemu nie przyszedł by do głowy żaden kawał z bonami. Nie miał dość girlsów? Niepotrzebne mu były zaraz bony. Ale pan Aleksander zauważył, że ludziska wcale się bonami nie interesują. Wtedy on sieroty przygarnął i dał francuzom lekcję. Gdyby takiego łobuza sądził nasz Brat Albert toby nawet nie rozumiał za co go skazuje. Proszę panów publiczność zna tylko taki obrót: do sklepu, do szynku, na karty, na dziewczyny. A bony? Bonę można pomacać, jak żona nie widzi, a dzieci śpią. To też ich pomacał! Zrobił im Aleksandryjską łaźnię... Mr. Alexandre! Ani Daszyński, ani Żores nie myśleli wcale o barykadach, a Mr. Alexandre zrobił barykady na ulicach Paryża. Powinni mu pomnik postawić.

— Na podwórzu w więzieniu... rzekł Memento.

— A co pan powie na to, jeżeli nie na podwórzu i nie w więzieniu, kolego Memento? Pan dobrze chyba wie, za co pan siedzi. Siedzi pan za to, że

rząd polski wtrącił się do pańskich interesów. A czy pan nie wie, że teraz wszystkie rządy na świecie chcą się do bankierskich interesów wtrącać? Robi się taki rządowy socjalizm, czy jak inni mówią etatyzm. Niech będzie etatyzm. Chcą nanowo posadzić młody odrodzony, burżuazyjny las. Mojem zdaniem sadzone lasy nie udają się, bo w takim lesie obok mocnych drzew wyrasta słabizna, która tym mocnym przeszkadza rosnać. Dopiero my, stara przedwojenna, a nawet i powojenna puszcza dajemy ładne egzemplarze!...

— Aż miło popatrzeć... mruknął Memento.

— Oj, panie Memento, czy pan nie zostaje poetą?

Zostaw pan to. Nabieraj pan tu sił a nie poezji, która zajrzy psu pod strzechę... Widzę, pan na mnie zły, dostrzegam, że pan ma ochotę polecić mi pocałować pańskiego stróża w dziurkę od klucza, i że ma pan ochotę kazać mi samemu sobie dać w pysk... Widzę to, ale pan nie ma racji, panie Memento. Pan jesteś firma i ja jestem firma. Nas zatrzymano w biegu. To się zdarza, może i ziemię kto kiedy zatrzyma. Kopernik ją ruszył, a kto inny może zatrzyma. Ale firma musi żyć. Jeżeli firma nie żyje i kwitnie, przestaje być firmą. Moja córka, Mira, ma bibliotekę. Kupiłem jej, zresztą sama o to prosiła — na imieniny kompletne wydanie Norwida, tego poety, co to przybył i którego ciągle przybywa. I co pan chce? Mojej córce się zdaje, że ma jeszcze jednego Słowackiego, albo Mickiewicza, a ja mówię, że ten Norwid będzie zawsze tylko wydobyтым Norwidem, niczem więcej. Żadna firma nie może żyć wspomnieniami. Dlatego to, panie Memento, zapamiętaj pan sobie, że ci, którzy nas tu zamknęli, to firma, bo oni żyją tem, że żyją. Jak my tu swoje



odsiedzimy, to oni jeszcze nas do roboty zapędzą. Dlaczego nie? Jakim sposobem udało się pańskiemu tatusiowi, że korzysta z należącej mu się wolności?

— Ojciec mój spłacił wszystko, co do grosza!

— Winszuję... to się nazywa wzlatywać ponad pożyczkę, czyli oddać. To jest nowość. To jest odrodzenie! Myśmy tego fachowo nie zrozumieli, panie Memento, słyszy pan? Ani ja, ani pan nie jesteśmy z przeproszeniem złodziejami, tylko nie potrafiliśmy sprawy poprowadzić. Nasz pieniądz, jak i przemysł, panie Memento, jest wychowany na wielkich przestrzzeniach Rosji, gdzie wszystko można, bo nic nie widać, bo jest zadaleko, żeby złapać. Polowaliśmy na pchły, na wielkiej grzywie niedźwiedzia i nauczyliśmy się łapać sobie wzajemnie te pchły z przed nosa. Taki przedwojenny Piotr, czy Andrzej modlił się do wschodu, jak Turek. Nie zauważyliśmy, kolego Memento, że młode rządy postanowiły wyręczyć starego naszego Świętego Mikołaja, Karola Marksa, który co rok przynosił nam na choinkę rewolucję, z przyszłym ustrojem, strasząc nas brodą i socjalizmem. Młode rządy nauczyły się, że ten przyszły ustrój, to jak ten uśmiech Giocondy Leonarda. Wszyscy go podziwiają, wszyscy go pokazują, a jego jak niema, tak niema. Ten nasz organ socjalistyczny to cała moja nadzieja. Bo to i trochę gniewu i trochę Brześcia i coś nie coś z historii ruchu ludowego, że to ponieważ nigdy nie można mieć wszystkiego, więc trzeba poczekać. Podobno opozycja układa rewolucyjny skrócony kalendarz. Będzie tylko trzy dni: Chciałek, Niemiałek i Niespodziałek. Jeżeli ten Poniedziałkowski będzie zawsze tak pisać, to ja i pan, kolego Memento, możemy śmiało swoje odsiedzieć. Jeszcze będzie do czego wrócić. Pamiętaj

pan, że to dla nas przecie i dla Mr. Alexandre Stawiski francuzi stopięćdziesiąt lat temu uprzątnęli plac Zgody, gdzie teraz stoi zamiast gilotyny, jakiś egipski słupek. To były nasze czasy, gdy za kiepski chleb ścinano głowę i zasadzano na pikę. To nie było na rozstajnych drogach, tylko w najmądrzejszem mieście świata.

— Poco pan tu wtrąca tego bandytę Stawiskiego? krzyknął Memento.

— Zaraz powiem dlaczego. Czy jemu należała się opieka rządu, czy nie? Dlaczego nim się nie zajęli we właściwym czasie? U nas w Polsce prędzej łapią, panie Memento! Pan masz tu Chrystusa na ścianie. Nie wiem, czy pan w niego wierzy, to nie moja rzecz, ale ja panu powiem, co ten Chrystus teraz zrobił. Oto uczony Marconi urządził tak świat, że można rozmawiać z Australją z kieszeni do kieszeni. Kieszeń nadaje, kieszeń odbiera. Djabelskie S.O.S.! Co robi Chrystus? Przekręcił śrubę i złapał falę łez. I zamiast bankierów, których pozamykano, chodzi po świecie taki oberwus, taki łatek w dziurawych butach, a nazywa się Charlie Chaplin. Płakałem, jak ten biedak dawał pieniądze niewidomej na wyleczenie... A on podobno i z papieżem rozmawiał, tylko nie sądzę żeby w tem ubraniu, co z płótna mówi. Ten uzdrawiający ślepych Chaplin — to apostoł Chrystusa, kolego Memento. Młody panie Nesesser, pański ojciec nie chciał tu do nas zaglądać. Zapłacił! I myśmy zapłacili, tylko inaczej. O panu nie będzie można powiedzieć, że pan jest młode pokolenie przemysłu, co to zjada pradziada, — chciałem powiedzieć — z dziada pradziada, bo pan nic nie ma. Pan jest przyzwoicie ubrany Chaplin. Niech żyje młody Nesesser Nikodem! Panu ten okrzyk nie przynosi zapewne zaszczytu, ale my go panu dajemy. Mo-

że to nasza pierwsza wypłata? (Kran otarł oczy tłustym palcem). Przyjmij pan tę ratę. Widzi pan, odchodzenie ludzi bogatych dawnego typu będzie przypominało zachód słońca, barwny, efektowny. Może Kreuger, może Stawiski, to jakaś zorza polarna? Wasz wschód, panie Nikodemie, będzie przypominał nasz zachód, tylko że będzie się odbywał w innem miejscu, broń Boże, nie tutaj, w tym klasztorze... Ale na kolor, na niespodzianki, to może być podobne jedno do drugiego, nasze odejście i wasze przyjście, boć przecież ciągle to samo słońce kołuje koło tej samej ziemi za jedne dwadzieścia cztery godziny...

— Słońce koło ziemi?

— Na zegarku tak. Sprawdź pan, gdy go panu oddadzą.

— Ma rację, psiakrew!...

Przez ostatnie parę minut dozorca, który wsunął się do celi, słuchał, zdziwiony, przemowy Krana, wreszcie, korzystając z pauzy, zameldował władczo:

— Nikodem Nesesser do kancelarji!

— Na wszelki wypadek, do widzenia, bo to wygląda na kaucję.

— Wątpię, ale wrócę pożegnać panów, gdyby tak miało być.

— Powodzenia, Charlie Chaplin! — potrzęsnała dłońią Kodusia, wymowny i wzruszony grubas.

Kodus, jak każdy świeżo przymknięty więzień, szedł przez korytarz, przyspieszając kroku, po wolność. Starsi więźniowie już wiedzą, czem pachnie kancelarja, ale Kodus nie uważał się nawet za więźnia. Na widok Glorjana, zadrżał. Nesesser odrazu nabrał pewności, że Glorjan przyszedł go ratować. W oczach zagrał mu tryumf, którego nie był w stanie poskromić. Glorjan dostrzegł to. Powitał go serdecznie.

- Przyszedłem pożyczyć panu na kaucję.
- Bardzo dziękuję, ale nie zamierzam składać kaucji. Poczekam tu na sprawę...
- To może potrwać długo...
- Choćby jaknajdłużej...
- Dlaczego pan nie chce przyjąć odemnie pomocy? Czy pan chce... mnie... obrazić?...

— Ja? Pana?! — rzucił się naprzód Koduś.  
Glorjan rzekł łagodnie:

- Mam zupełną plenipotencję żony, więc?...
- Ależ nie to miałem na myśli: chcę naśladować pana, panie Glorjan. Panby nie przyjął.
- Skąd pan wie?
- Stąd, że wiem.
- Nie wolno panu marnować się tutaj...
- Skąd ta pewność, że się tutaj zmarnuję?
- Czy wolno wiedzieć, za co pan strzelił do Delabaisse'a?

— Obraził mnie.

— Pana?

— Tak jest.

— Pan nie mówi wszystkiego, panie Nesesser!

— A czy pan mówi wszystko, panie Glorjan?

Mierzyli się wzrokiem, jak dwa konie cwałujące na siebie. Oczy przestały się mijać, zatopione w sobie wzajemnie. Glorjan przełamał ciszę:

— Mówimy tak do siebie, jakbyśmy kończyli znajomość.

— Panie Glorjan, my teraz właściwie zaczniemy się znać.

W tej chwili Glorjan nabrał pewności, że Koduś zabił francuza nie w obronie własnego honoru. Ale jak wydobyć z tego oryginała tajemnicę? Paliła go nie ciekawość, ale poraz pierwszy w życiu zadrżał o

swój honor. Niewątpliwie Delabaisse obraził go ciężko w rozmowie z Kodusem. Wstyd zapytać, czy był ktoś trzeci przy tej rozmowie, a jednak pytanie to narzucało się z całą bezwzględnością. Koduś wyczytał w oczach Glorjana mękę i rzekł innym głosem:

— Sprawa moja nie ma żadnych komplikacji. Rozmowy mojej z Delabaisse'em nikt nie słyszał.

Glorjan był zdumiony przenikliwością bankierowicza.

— Dlaczego pan się poświęca?

— Ja nie poświęcam się. Czy pan to, co czynię, szczerze nazywa poświęceniem? Niech pan powtórzy, tak, czy nie?

— Jakaś tajemnica otacza pański czyn.

— Żadna tajemnica. Zwyczajny obowiązek człowieka honoru. Obrażono mnie, zareagowałem. Czy pan, który wszedł w rodzinę hrabiowską, zabroni mi tego?

Koduś, mówiąc te słowa, nie był pewien, czy go Glorjan zrozumie. Chciał z nim być narówni, ale za nic na świecie nie miał zamiaru obrazić go. Uspokoił go dobry wyraz głębokich oczu Glorjana.

— Jest pan przeciwnikiem nie do zwalczania.

— Będę takim coraz bardziej. Naśladuję pana.

Gdy mówił te słowa, uczuł Koduś jakąś chwilową wyższość, z którą nie wiedział, co ma zrobić.

— Idę za panem, panie Glorjan. Może były we mnie siły do przodowania, ale zużyły się na przyglądaniu się wam. Pan, panie Glorjan, już coś zdobył w życiu, a ja, proszę mi wierzyć, teraz właśnie, może w tej chwili zdobywam. Jestem spóźniony. Dlatego to idę za panem, jeżeli pan pozwoli.

Glorjan porwany instynktem chwycił go za rękę:

— Dziękuję panu!



— Za co? — padło pytanie.

— Za to, co pan dla mnie uczynił.

— To za moją matkę, panie były sekretarzu mego ojca!

Koduś po tych słowach odwrócił się i wybiegł z kancelarji.

## XX.

### MACIERZYŃSTWO.

Długo rozmyślała Teresa nad wypadkami ostatnich dni. Sprawa szantażu Delabaisse'a bolała ją nad wyraz, ale troskę o jej załatwienie powierzyła Wdowcowi i mężowi. Natomiast wiele czasu poświęciła faktowi pogodzenia się z Glorjanem. Teresa zdumiona słuchała słów Glorjana o honorze. Przekonała się, że rewolucyjny napad na carski pociąg jest kołyską jakgdyby nowego honoru. Co więcej, ten nowy honor wcale nie ukazał się przed nią ani z sękatą pałą, ani z nożem, przeciwnie, — olśnił ją.

Natomiast sprawy nad wyraz intymne łącznie z macierzyństwem przeszły prawie niedostrzeżenie jako zwykłe, następne i kolejne.

Fizycznie poznała Teresa Glorjana w mgnieniu oka, jako piękna samica niezwykłego samca, bez żadnych niedomówień. Zato dusze ich, — czuła to Teresa — dopiero teraz zaczęły się poznawać.

Przypomniała sobie, że nigdy nie spytała Glorjana o medalik, który nosi na szyi. Bała się spytać. Sądziła, że to jest coś, czego on nie zdążył przed nią schować, coś prostaczego, coś, o czym zapomniał, a co

oni wszyscy muszą nosić na szyi, jak dawniej przed laty musieli się kłaniać, pracować, milczeć. Teraz wie, co Glorjan ma na piersi. Bohaterstwo ojcowskie. Oni mają swoje rozłożyste rogi, które składają w ostępach dziejów, a ich synom wyrastają nowe. Rozciekawiała ją wspaniałość przeszłości Glorjana. Jednoizbowe życie jego przodków nabrało uroku. U Glorjanów o łyżkę nie dbano, ani o kartofel. O lekarstwa nie dbali, byle oddać co do grosza nawet jeszcze nieistniejącemu państwu. Jakież to los szczęśliwy pozwolił jej, Teresie, skojarzyć się z takim Janem. On sobie sprawy nie zdaje z jej szczęścia.

Pozapominała niektóre tak zwane niezapomniane chwile miłosnych uniesień, ale za to rozpoczęła wspólną tęsknotę za swoim dziecięciem. Stopniowo ustępować zaczęło wszystko, co było w ich spotkaniu wypadkiem, przygodą, a miłość jej stawała się coraz bardziej wieczystą. Zdumiona przestała się przyglądać z okien pałacu tej reszcie życia, poniechała rzucać na tłum tym na wszystkich patrzącym, nikogo niewidzącym wzrokiem. Jeżeli tamto dawniejsze było dumą, to, o dziwo, to dzisiejsze nie było jednak pokorą.

Teresa nie zdawała sobie sprawy z tak zwanego ruchu ludowego, czy masowego. Dostawała wszystkie wysiłki mas w formie tak doskonałej, że nie żyła do nikogo nienawiści. Nie doznawała nigdy lęku na widok cwałującej stadniny rasowej, gdyż wtedy dosiadała galopującego na przedzie angleza. Na widok tłumu dożynkowego uczuwała coś jakgdyby wdzięczność. Obecnie otwierała się przed nią tajemnica mnogości ludzkiej i przestała ją dziwić dola szarego tłumu, który wydaje ze siebie takiego Glorjana. Sądząc po nim jednym, Teresa była przekonana, że tłum, mrowie ludzkie, ciżba, a może i motłoch, za-

wierał oddawna wielką tajemnicę, skoro mógł się ukazać Glorjan. Przecież on nie z tego był dumny, że jego ojciec nie ukradł ani grosza z publicznych partyjnych pieniędzy. Glorjan zachował w pamięci nie uczciwość ojcowską, ale jego dumę. Gdzież to ojciec Glorjana nauczył się takiej dumy? Mówiono mu z ambony, żeby nie zabijał i nie kradł i nie poządał, a na wiecach, żeby nienawidził, żeby się jaknajprędzej zemścił i ścisnął za gardło kapitalizm. Z pod ambony i ze ścisku wiecowego wyniósł jednak stary Glorjan dumę i synowi ją przekazał. Z jakiejże to rodziny wyszedł Jan Glorjan?

Teatr, powieść i prasa ostatnich lat oswoiły Teresę z faktem, że poprawna, burżuazyjna rodzina zasługuje na cięgi. Poza prasą więc Teresa znalazła w sobie cześć dla jednoizbowej rodziny. Nie umiałyby tam żyć, nie chciałyby się może tam urodzić, ale była niezmiernie rada, że wie, skąd wyniósł Glorjan tę czystość, zawziętość, i wyniosłość wzroku. Gniazda orle są także jednoizbowe, a przecie dają dzieci na herby całym narodom.

Jakaś duma rozpierała pierś Teresy.

Trzeba było jednak cierpienia, w jakie wpadł ukochany Glorjan, ażeby po ciosie testamentowym nowo zapalała ku niemu jeszcze głębszem uczuciem. Czy to Chrystus upomniał się o Glorjana? Pozatem jednak zaciekawiało Teresę, co też uczyni z tak wielkim majątkiem człowiek, pogardzający w sposób oczywisty złotem.

A może Glorjan da początek rodu, który będzie inaczej korzystał ze złota, niż to robiono dotąd?

Może czas na takich ludzi?

Nie rozdawanie biednym, nie ocieranie łez nędzaczom miała Teresa na myśli, lecz wydobycie całego kapitału na jaw. Wyciągnięty z ukrycia, wy-

tropiony w dżungli spekulacji, musi pieniądz wyjść na stojącego na czatach człowieka, a tym człowiekiem będzie Glorjan. Teresa wiedziała z odczytania, jak wielkie masy bezrobotnych nędzarzy nigdy nie widują złota. Pogardzała wszelkimi funduszami bezrobocia, które nazywała przekupstwem. Natomiast coraz wyraźniej słyszała tupotanie zbliżającej się armii ludzi młodych, pełnych sił, którzy prą na spotkanie ukrytego bogactwa. Miejsce, gdzie nastąpi spotkanie, stanie się kolebką nowego człowieka. Będzie nim, być może, syn Teresy?

Terese zachwycało, że po szale miłosnym osoba Glorjana stała się dla niej źródłem tylu innych myśli. Przesłoniły one tamte wizje ciemne. Stało się, że syn dopiero w łonie poczęty, może nawet nie syn, pogodził ją nanowo z mężem. Teresa była dumna, że jej kolana dźwigają ciężar Glorjanowy.

Udała się do swego buduaru i stanęła przed wielkiem lustrem. Teresa nazywała je wodospadem i z przyjemnością zrzucała ze siebie wszystko przed gładką taflą, zdająca wiernie sprawę z każdego kształtu. Teresa, świadoma swych kształtów, chętnie tu stawała do walki o lepsze z wiernem odbiciem, sprawdzała setką ruchów, kto mocniejszy.

Och, co się z nią stało z winy ukochanego człowieka!

Czy to przyszło z jego woli?

Kto mu dał prawo do takiego uderzenia w jej formę? Nagle pod wrażeniem prawdy odbicia przekonała się, że niezawsze kocha się tylko piękno, że największe piękno może być brzydkie, jak ten oto wzniesiony przez miłość brzuch, schron jej dziecięcia... W tej chwili przywoła Glorjana, niech spojrzy na nią i niech cierpi razem z nią. Oto tysiące nie-



wolników, którym zasiano nakaz czynu, dźwiga faraonowi piramidę. Ale oni mogą się zbuntować, a ona, Teresa, nie. Przyjąwszy w siebie rozkoszny nakaz musi teraz dźwigać dojrzewający owoc czyjegoś bezprawia. Czyż tak? Czy to bezprawie? Usunęła się, zesza z potężnego oka zwierciadła. Poznała w tej chwili, że miłość nie tkwi na powierzchni chwilowo zrujnowanych kształtów. Długonoga pajęczyca oddaje się samcowi, którego potem pożera. To wzajemne oddanie się pajaków jest w naturze bardzo mało naśladowane, a człowiekowi obce jest zupełnie. Owszem, zapragnęła całą mocą, ażeby się w niej powtórzył piękny kształt Glorjana. Ażeby się to stało nieodmiennie, Teresa zapragnęła widoku męża. Chciała być jego lustrem o najwierniejszym odbiciu. Więc nie testament ojca wpłynął na jej chwilowy chłód dla męża, nie bogactwo, nie złoto, lecz wszechpotężny, aż ogłuszający wstrząs, wywołany przez wspólnie przeżyty szal miłosny.

## XXI.

### RAUT U PREMJERA.

Dopóki Polska była kołysana w sercach, nie było do kogo zgłaszać się po nagrody za miłość ojczyzny. Zaborca za to karał. Skoro jednak zwołano pierwszy sejm, Daszyński zrobił zarzut Korfantemu, a Korfanty Daszyńskiemu, że źle kocha Polskę.

Na pierwsze sejmowe dożynki, zarówno trybun socjalista, jak śląski „góral” przynieśli każdy po wielkim wieńcu zasług.

Zresztą nietylko ci dwaj tak postąpili. Prawie wszyscy złożyli u stóp ojczyzny swe zasługi.

W tym tłumie znalazł swe miejsce pan Instruktor i Dyrektor, de Hotten - Tott.

Kto chce mieć obraz de Hotten - Totta, niech sobie wystawi worek kartofli, przewiązany w paru miejscach, a mianowicie u szyi i w pasie.

Na jednej z wiszących mechatych łap krwawi się sygnet.

Wysunięta szyja utrzymuje kartoflany łeb pod cudze rozkazy.

Głos ma de Hotten - Tott, jak sos kapiący z duszonych słowików. Hotten - Tott pochodzi z pochodu do żłobu.

Hotten - Tott mówi, że należy do formacji legjonowych. Właściwie posiada on informacje legjonowe, czyli o legjonach.

Baronowski tytuł dostał dziad pana Instruktor. Ten prostoplasta zwał się Tott i prowadził naganę na niedźwiedzia, a cesarz wyraził się o nim:

— Kakoj on Tott on wojet (ryczy), kak Gotentot. Stąd de Hotten - Tott.

Tylko że wnuk nie śmie ryczeć.

Mówi pan baron de Hotten - Tott prawie szep-tem.

Czytał parę rozdziałów Bacona. Jakiś obszar-  
nik poznał się na tym bekonie i na jego głosie, przy-  
jął do wiadomości uśmiech, zapewniający uległość  
i pokorę, pozwolił nosić sygnet i wymawiać przysło-  
wia łaćńskie i francuskie. Gdy Hotten Tott repeto-  
wał przysłowia przy gościach, pan domu dawał sąsia-  
dom do zrozumienia, że w tym pośpiechu dziejowym,  
w nagle odrodzonej ojczyźnie trudno więcej wyma-  
gać.

Hotten - Tott ma ostrożność dzikusa przywiezio-  
nego na wystawę. Podaje łapę, bierze z rąk słodczy  
i papierosy, ale nie ufa.

Zaczytuje się w domu książkami i studjuje Be-  
thovena z płyt gramofonowych.

Już umie mówić: „pour passer le temps”, ale  
jeszcze mu się wymyka „tempa passati” zamiast  
„tempi passati”. Dziwne, bowiem sam jest „tempy”.

Obszar-  
nik z Lubelskiego pośród powojennej swo-  
łoczy upatrzył sobie Hotten Totta i dał mu barwę  
i numer.

Hotten Tott jest swolęcznikiem w ujęciu księdza Wdowca.

Lubelski obszarnik znalazł go w chwili, gdy nasz bohater odżegnywał się od pepeesu. Dał mu bryczkę do objazdów instruktorskich, zastrzegając wyraźnie:

— Lejce socjalistyczne trzeba oddać.

— Już oddane, panie prezesie.

O tym czasie zapoznał się Hotten Tott z wodzem ludu z innej dzielnicy. Przedstawił mu się, jako państwowiec, który wprawdzie socjalistą nie jest i nie umiałby nim być, ale który socjalizm rozumie. Tamten znowu, mając duszę mnicha i feldfebla, spostrzegł, że z Hotten Totta będzie mógł wyciągnąć niejedno ułatwienie, jak za dawnych podwawelskich czasów i wywczasów. Dobrze to były czasy! Na Wawelu nadpęknięty Zygmunt, a na plantach w cukierni Janikowskiego przy szachach młody Zygmunt z czarną czupryną i czarnymi baczkami...

Po pewnym czasie dostał się Hotten Tott pod władzę pewnego ministra. Pan minister ma żonę o wielkich zasługach.

Gdyby nie on i ona, wszystko w Odrodzonej Ojczyźnie trzebaby było zaczynać nanowo. Oboje byli w Paryżu, i wtedy właśnie działały się tam najważniejsze sprawy. Oboje byli na Wschodzie i mało co nie doprowadzili do Zachodu, ale jedno odwołano, a drugie zgubiło drogę, ale znalazło pieniądze, które przewiozło w całości do Polski, która wtedy pieniędzy nie miała. Prócz tego minister ma mózg.

Podczas każdej dyskusji zaznacza nie bez skromnego cierpienia na twarzy:

— Owszem, panowie, ta idea oddawna powstała i w moim mózgu.

Z wyjątkiem powstań narodowych, które odbyły się, zanim pan minister otrzymał dziedziczny mózg,

wszystkie późniejsze sprawy polskie powstawały zawsze systematycznie i przede wszystkim w jego mózgu.

Pani ministrowa jest skromna i mówi niewiele o sobie, zato chętnie o sobie słucha.

Gdy naskutek kryzysu światowego zainaugurowano wielki międzynarodowy program zajęcia uwagi ludu ro- i bezrobotnego, w Warszawie nazwano tę zabawę: Sto pociech.

Minister wszystko przecierpiał, a nie powie, gdzie go boli. Wszystko przebolewał, a niecierpi, gdy się o tem mówi, chyba, że sam zacznie.

Niezapomniana reszta z rubla.

Zna po imieniu wszystkie kule, które przelatywały tuż koło jego głowy.

Chodzi prędko i jeszcze prędeej się wita, żeby nigdzie nie był zadługo małym.

De Hotten Tott zrazu miał zamiar swemu ministrowi czemś zaimponować. Zauważył jednak, że to się zrobić nie da. Zaczął się okres podziwu i dalekośnych oświadczeń.

Minister nie odrazu się rozsmakował w Hotten Tocie. O formacjach, ani nawet o informacjach legjonowych nie mogło być mowy, gdyż minister znał te sprawy na wylot. Zaczął tedy Hotten Tott snuć legendę o swoim ministrze.

Zapytał go kiedyś, czy to prawda, że pan minister podczas najścia bolszewickiego przegryzł kabel morski między Moskwą, a Władywostokiem.

— To nie ja, to moja żona. Ja trzymałem ją tylko za głowę, żeby się szczęki nie otworzyły.

Wtedy de Hotten Tott zaprosił ministra do siebie pod błahym pozorem zbadania centralnego ogrzewania.



Minister rozejrzał się po gabinecie Instruktora i zobaczył fotografię Józefa Piłsudskiego na nóżce, stojącą na biurku od strony serca.

Spojrzeli po sobie. O kaloryferze nie mówili.

Kiedys pewien krótkowidz, starszego pokroju, dyrektor zakładów hutniczych, spytał Hotten Totta, wskazując na fotografię:

— Kuzyn?

— Nie, panie prezesie, to tak sprzedają.

Na ministrze fotografia zrobiła jednak ostrzegawcze wrażenie. Żona ministra, rozbrygadana dama zmusiła męża w swoim czasie do wzięcia na siebie odpowiedzialności za pewne zasługi dla ojczyzny. Prowadzony przez nią do wodopoju nagród, — minister uwierzył w końcu w siebie. Pani Krystyna wjechała we wrota niepodległości na tym kucu.

W ręce pana ministra złożył swe losy de Hotten Tott.

Wyzbył się całego swojego ja, zostawiwszy fotografię na biurku i sygnet na grubym omszałym paluchu.

Pan minister stanął na czele programu zapobiegania, a nawet zażegnania kryzysu. Program pod nazwą: „Sto pociech“ obejmował wszystkie dziedziny, a nawet zaufki życia ekonomicznego.

Hotten Tott, jako Instruktor, wygłosił parę odczytów, z których jeden zakończył okrzykiem:

— Sursum creda!

Sprawdził potem w domu, że mówi się: sursum corda!, ale, o dziwo, prasa usłużna podniosła dowcip prelegenta, który kazał wznieść do góry kredę, czyli kredyt, czyli zaufanie.

— Istotnie, umyślnie powiedziałem „creda“, ale nie myślałem, że tak czujnie podchwycą. Kochane miasto. Tu warto pracować.

Minister ocenił to wystąpienie bardzo życzliwie.

— W moim mózgu powstała odrazu pewność, że pan się wyraził dwuznacznie, ale chciałem się upewnić, i zapytałem żonę, co o tem sądzi. Ona, wie pan, jest z natury skromna, więc odrazu wyraziła niepewność co do znaczenia wyrazu „sursum” i spytała mnie, czy to nie znaczy „źródło” (Source), ale wówczas dowcip pański jeszcze zyskuje... „Sursum creda”, czyli „źródło kredytu”. Sądzę, panie instruktorze, że pan rozstrzygnął zagadnienie i przyczynił się do uprzyśtępnienia go...

— Panie ministrze, przepraszam, że tak mówię, bo to „verba valet, scripta manet”, ale — miałem być profesorem filozofji i, gdyby nie wojna...

— Jest pan może czemś więcej, kto to wie?...

— Staram się, panie ministrze, służyć państwu polskiemu.

Hotten Tott zaczął pracę na dwie strony, ostrożny, wpatrzony przed i za siebie. Nie było to orle zdatne do nowego lotu, lecz dwugłowa ptaszyna z wytartej kopiejki.

Przeszedł reszką ku górze poprzez socjalizm dzielnicowy, a potem przez rządy Witosa. Witosa wierzchościł stosunkowo krótko, nastawiwszy dwa ślimacze peryskopy w stronę pomajową.

Zaraz po wzięciu Warszawy oświadczył niebacznie w obecności dawnych znajomych:

— „Quod licet Jovis non licet bovis”...

— Jovis i bovis? Co ty povis?

Hotten Tott dopiero po sprawdzeniu w domu poznał, z czego się śmiano.

Podkuł więc raz jeszcze wszystkie przysłowia. Obudził przytem żonę, która zauważyła:

— Mógłbyś po nocach nie ślęczyć...

Chciał jej odpowiedzieć:

— Muszę po nocach, bo w dzień już nie nadążę. Pocięsział się tem, że delikatny minister nigdy mu tych przysłów nie poprawiał.

Czuł się nieco mocniej w astronomji i to mu przebaczano, o ile się nie zapędził.

Kiedys rozmawiano o plamach na słońcu.

— Lukrecjusz Strabon już wspomniał o plamach na słońcu, panie ministrze.

Wieczorem Hotten Tott sprawdził, że plamy były, ale uczony taki nie istniał.

Co gorsza, sam minister sprawdził z żoną tego Lukrecjusza Strabona, no i trzeba było się tłumaczyć przemęczeniem.

Minister zakończył spór łagodnie:

— Podczas ostatnich plam słonecznych byliśmy z żoną niedaleko, i, nie powiem, żeby nie można było wytrzymać. Żona moja zdążyła nawet wygłosić krótkie przemówienie, i opuściliśmy się znacznie ku ziemi. Tylko w moim mózgu powstała idea, coby się stało, gdyby słońce poszło za nami... Ale nie było obawy, i tak bezpiecznie dojechaliśmy do Warszawy.

Na to ośmielony Hotten Tott zauważył:

— Tak jest, panie ministrze, Warszawa ściąga wszystko co lepsze. Powinni sobie ludzie ręce podać w myśl przysłowia: „Manu, manu”.

Minister westchnął, i przeszli do spraw bieżących. Wielkie, galopujące epoki muszą mieć takich ludzi. Hotten Tott założył wigwam niedaleko od wigwamu ministra. Po różach, które wacha minister, przyjdą róże, które będą wachane przez Hotten Totta.

Gdyby obydwaj, minister i de Hotten Tott, byli świadkami pocałunku Judasza, minister rzekłby napewno:

— Wie pan? gdy dawałem temu Judaszowi za pomocę na założenie sklepiku, to już i mnie chciał

wtedy pocałować... to też w moim mózgu powstała odrąz myśl: zdrajca!...

A de Hotten Tott dodałby do tych słów:

— Jak można się dać takiemu pocałować?

— Ach panie baronie, iluż to nieostrożnych po Chrystusie ma Odrodzona Polska, iluż to pan całowałaś i jeszcze pocałujesz, — i gdzie?...

...Właśnie w tej chwili otwiera de Hotten Tott zaproszenie na raut do prezydjum rady ministrów.

Raut w gmachu prezydjum ministrów ma to do siebie, że zgromadza przeważnie wszystkich zaproszonych gości. Zaszczyceni zaszczycają i zanieczyszczają.

Dwaj panowie bawią się widokiem wchodzących.

— Patrz, Antek, de Hotten Tott wali na jednej nodze.

— Ależ na dwóch...

— Ma nogi jednakowe, obecnie prawe, dawniej miał lewe. Został „czcigodnym“ w łoży masońskiej „Pizydy“.

— Ależ nie krzycz, takiej łoży zresztą niema.

— A czcigodność gdzie on ma? Tam, gdzie i łożę...

— Ale wiesz, pomimo ciężkich czasów, wszystko poubierane.

— Czegóż chcesz? Pieniądze zaczynają mieć zupełnie nowi ludzie. Patrz, patrz: idzie Hunger ze żoną.

— Dlaczego ze żoną?

— Ja lubię tak mówić: oni są z Nowego Sącza. Ten byk ma z 10 milionów niezaprzeczonej gotowości, a drugie tyle w zaufaniu...

— Jak ona z domu?

— Z domu? gdy mąż do domu... to ona — z domu.

A to kwestarz wielkiego przemysłu. Wygląda, jak ksiądz na święconem; jednym okiem patrzy na gospodarza, a drugim na jajka. Specjalność — metalurgia. Uśmiechnięty, jakby trzymał do chrztu następcę tronu, Aleksego, którego mu nagle wyjęli z rąk. Ma więcej kłódek do sprzedania, niż ja i ty mamy spichrzów do zamykania, i to się nazywa, psia-krew, kryzys.

— Jesteś blizki prawdy, nawet co do jego księżowskiej miny.

— Wygląda, jakby wypowiadał samego Kruppa, ale nie zna potrzeby naszego Krupy ze wsi. Spytaj go, czy zna Krupę?

— Ukłoń się....

— Jak się przedstawia sytuacja, panie prezesie?

— Witam panów. O ile się konjunktura poprawi, to będzie lepiej. Potrzebujemy 10.000 wagonów...

— No więc należy zwrócić się o zamówienie.

— Zamówienie? Proszę panów, przy zamówieniu jak przy zapowiedziach, trzeba coś nie coś... tego... he, he, he...

— Nie mówiłem ci? Ksiądz, który zamiast opłatka używa żelaza walcowanego. A dołoby to, jak smok...

— Któżby nie doł?

— Patrz no, kochanie, idą łagodni opozycjoniści.

Pan rektor Niezadowoleon Lufa. Gronostaje leżą nam nim, jak futro do trzepania. Pan rektor obliczył nadymanie się żaby na widok wołu na zielonej łące. Dowiódł zarazem, że ten wół mógłby być bykiem, gdyby nie intrygi sanacji.

Wymieniono ukłony. Rektor przeszedł, szukając oczami premjera.



A ten przystojny, to były senator. Przyszedł, żeby się z nikim nie przywitać, nic do nikogo nie mówić i wynieść się, ale nie nad innych, tylko pieszo do domu.

Obecnie drukuje romans: „Bez majtek“, a dla ludu opowiadanie: „Gacie ze słomy“. Pieczołowiak, peowiak i opiewak wojny. Dłużej walczył ze sobą, niż w polu, gdzie był ranny i wieczorny. W zeszłym roku napisał powieść o milionerach, pod tytułem: „Cynadry“ w 3 tomach. Pocziwy jakiś francuz chciał cynadry przetłomaczyć na Sinedrion.

A oto ciekawa para — przedstawię cię — pan mecenas Rospasalski i żona jego, Onegda. Pani Onegda wprowadza polowanie z orłami na jaskółki, jeżeli chcesz, to z tobą do wspólki. Nie chcesz, no to kłaniaj się...

Masz dla odmiany znowu Galicję. Panowie dyrektorowie Wykwa i Pukwa. Wsączyli się do Niepodległości, jeden z Nowego, drugi ze Starego Sącza.

— A ten z laską?

— Dwukrotnie ranny — na ćwiczeniach.

— A ci panowie?

— To jest, uważasz, kilku jeden po drugim ministrów robót publicznych, i jeden minister skarbu, albo odwrotnie: od tego ani ilość pieniędzy, ani ilość pracy nie zwiększa się. Patrzno na tego: to Stanisław (żeby nie wiem co) Etwas. W prozie kocha pieczeń, a wierszem Ojczyznę i wojsko. Nosił rany za żołnierzami.

— Doskonale, a ten?

— To smród w zalotach. Nazywa się Infoljan Baden - Fotel, tak zwany Zycbad, albo Zycband. On już nie umarł, ażeby jeszcze pisać. Pisze tarnowskie góry powieści.

— Patrz no, patrz, ten zwie się Napoleon Korytasz, przez „sz”. Oczywiście używa go się tylko w jednym przypadku, bo jakże powiesz: Korytasza, Korytaszowi?... Dlaczego przez „sz”, tego nie rozwikła Adam i Ewa Kryńscy.

— Wiesz, cudownie określasz...

— No, bo, widzisz, chciałbym, ażebyś poznał całą tą kurnicką fundację Odrodzonej Ojczyzny...

— A ten, co za jeden? Ma głowę i oczy jednakowo kuliste...

— To pan dyrektor Bardzo (on sam mówi o sobie (Berhdzo)). On popierwsze: przychodzi, po drugie: jest, a potrzebie — zaraz potem nie ma czasu. Chce daleko zajść, to też ciągle jest w drodze. Mówi zamiast — zbadać — „wymacać”, a nawet ożenił się z odpowiednio wymacaną damą. Do panów podszedł de Hotten Tott zarumieniony.

— Maje uszanowanie — rzekł półszepem, jakby im coś do ucha przypominał, albo pytał o ubicację.

Panowie rozstąpili się, sądząc, że się skarży...

— Proszę?

— Mówię: maje uszanowanie, albowiem „bys repetito place”... (miało być: bis repetita placent).

— O tak, z placami kłopot: wysokie podatki...

— Jakież to łapy lepkie, czy on się czasami?...

De Hotten Tott tymczasem witał ministra.

— Zgadnij, w co on go zaraz pocałuje? Bo ja już wiem.

— Tylko masoński Wielki Budownik Świata mógł komuś wydzierzawić takie łapy. Zakasać rękawy i do kajaku zamiast wiosła.

— Popatrz no, minister wchodzi tyłem, jakby wprzód chciał wyjść, a potem przyjść.

— Czy to ten, co ciągle mówi o swoim mózgu?

— Cóż chcesz? Nikt inny o jego mózgu nie mówi. Ma krótsze portki, niż rękawy, a kamizelkę, jak śliniak.

Minister podszedł.

— Doprawdy, premier będzie musiał tysiąc osób powitać. Ja tego nie będę robił, a już czuję w moim mózgu zmęczenie. Ale, wiecie panowie, mam kawał, który was ubawi. Poświęcałem szkołę. Jakaś mała zapytała mnie: czy pan jest Kościuszko? A dlaczego? — pytam ją, a ta smerda powiada: bo kazali wołać: niech ożyje! Więc pouczam ją: nie mówi się, moje dziecko, — niech ożyje, tylko: niech żyje! To Kościuszko już nie ożyje? pyta szelma, i wiecie, nie umiałem znaleźć w moim mózgu odpowiedzi.

— Ciekawa mała, panie ministrze.

— To też zamilkłem...

— Qui tace confiture videta... dodał de Hotten Tott. Jeden z panów olśniony kichnął w chustkę, a minister zdjął binokle i chuchnął na szkiełko.

Hotten Tott dopiero wczoraj powtarzał przed żoną przysłowie „qui tacet, consentire videtur“.

— Confitura z bideta, co? udał się chłop, Hot-tentocka jego mamasza...

Do łacinnika Hotten Totta podszedł dyrektor gabinetu, Trystan Spontańczyk. Urzędniczki złośliwie przekręcają jego imię Trystan i nazwały go — Wańka Dryzdek. Dlaczego — Wańka? Spontańczyk wrócił do Odrodzonej Ojczyzny z Rossji, trawiony, zjadany i znowu trawiony tęsknotą. Wrócił w odpowiedniem gronie stęsknionych i przez tęsknotę trawionych „travellersów“, którzy zgodnym chórem śpiewali:

Nam pierwsza posada!

Narazie Spontańczyk był radykałem. Po majowych dniach zaczął sobie szukać miejsca, jak kozioł do zrzucenia rogów, lub wąż do zmiany skóry. Jakoż któregoś dnia zrzucił skórę i rogi.

Postacią przypomina szczupaka w rudawym chrzanie z oczami, które pod szklami binokli patrzą, przez sieć intryg.

Kocha przede wszystkim władzę — bardziej, niż władza jego. Zwąchawszy usposobienie ministra, ułożył się przed nim, jak ryba na półmisku a pan minister powierzał mu do dalszej hodowli płody, pochodzące, z jego mózgu.

Spontańczyk, który się „zapowiadał” całe życie, jak ślub z ambony, musiał poprzestać na władzy nad gmachem z ubikacjami i papierem do tychże. Za jednym zamachem potrafi zrobić „virement” z papieru „Sanato” na zwykłe gazety i odwrotnie. Władza benzyną, samochodami, dywanami, spinaczami, linoleum, obrazami, ogrodem, krzewami, różami, ogródkami urzędniczymi. Pozatem z gustem prowadzi łagodny wywiad na pograniczu pomiędzy koleżeństwem a policyjną agenturą.

— Jak się macie, — wita Hotten Totta — wiecie, z tego paragrafu nie da się zrobić virement, bo te etaty są zablokowane. Ach, te intercalaria!...

„Intercalarja” jest to wyraz nieznanym Chrystusowi za jego życia ziemskiego. Został ukrzyżowany w męce, ale bez „intercalaria”. Wymawiać „intercalaria” może tylko ten, kto rządzi, ktoś, od kogo zależy los kolegów, a który może, gdy się rozgniewa, dokuczyć.

Spontańczyk przylgnał do Hotten Totta, gdyż nie mają na raucie znajomych. Przyszli na mocy nadesłanych do ministerstwa numerowanych zaproszeń.

Są, jak krowy, albo konie, coraz dalej jadące i coraz na innych stacjach sprawdzane w wagonach, czy ja-  
dły i czy nie zdechły.

Intercalarja — to obrok Spontańczyków — na stacjach urzędowania.

Na salę wkracza jegomość, który, jak mówi, objechał całą odzyskaną Polskę na koniu. Na raut przyjechał autem rządowem, na sale wszedł pieszo. Spontańczyk i Hotten Tott dwukrotnie ukłonili się kawalerzyście, zanim ich dostrzegł. Kawalerzysta jest, jak mówi, w prostej linii potomkiem Grażyny Adama Mickiewicza. Ma prawo do dwóch ukłonów, zanim odda jeden.

Natomiast dostrzegł odrazu Hungera, który wy-  
ciągnął doń świeżo umyte ręce.

— Dla miłości Boga! (Um Gottes Willen), kiedy zorganizujemy fundusz wyrównawczy, eksportowy?

— Wszyscy nie mogą się spieszyć, panie preze-  
sie. Ja mam czas, a panowie macie pieniądze. Za-  
mieńmy się.

— Pan Minister żartuje, a ziemia pali się pod  
nogami.

— Widocznie ktoś węgiel podpalił. To dotyczy  
ministra spraw wewnętrznych...

Spontańczyk mówi oczami do Hotten Totta:

— To mój sposób...

A Hotten Tott nic nie mówi, tylko uczy się.

Tymczasem dwaj panowie z protokołu ukłonili  
się komuś.

Do salonu wszedł Jan Glorjan z żoną.

— Tak się wchodzi nie nogami, tylko na mocy  
prawa.

— Jakiego prawa?

— Glorjan jest lepszym hrabią od nas, gdyż na-



był w Japonji prawa wchodzenia, gdzie i kiedy mu się spodoba.

— Piękny chłop...

— Toby mu nie pomogło, najwyżej do kina.

— No, hrabianka Brutto...

— Owszem, ale on ma coś lepszego. Czy znasz jego sprawy w Japonji z tem zdobyciem Portu Arthura?

— Co, — na branderach może? Toby nie żył.

— Ależ brandery, to efekt, a Glorjan jechał przez całe życie nie efektami. Opowiem ci kiedyś o tem, wiedz tylko, że obsłużył mikada przeciw Mikołajowi II-mu. Wyobraź sobie, przez niego wypłacili złoto rosyjskim zdrajcom.

Ten Glorjan uratuje nas i zawiezie dalej, niż chciał, a nawet próbował Daszyński.

— Daszyński? A cóż on ma do nas?...

— Mon vieux, znać, żeś podróżował i odnie-dawna dopiero protokółujesz w Palais de la Presi-dence. Daszyński na otwarciu pierwszego Sejmu miał mowę. Powiadam ci, karty z rąk nam wypadły, taka mądra i, zdawało się, jak na socjalistę, nawet aż konserwatywna. Ale cóż, potem wzięła górę Galileja z odwrotnym cudem. Daszyński dobre wino rządzenia zamienił na wodę wiecowa, no i dożłopali się majowych dni. A, uważasz, Glorjan mocno siedzi na wasągu i zna drogę... Bruttówna zrobiła wielką personalną karierę. W czasach, gdy kapitał się chwieje, coraz bardziej nabiera znaczenia człowiek, nie żaden tam lud, bo od tego są obory i baraki, ale człowiek, mocny byk, nie taki à la Strogonoff, tylko do rządzenia. Bo, — uważasz, — z kapitałem, to jest tak, jak gdyby Chrystus odwołał wszelkie cudowne rozmnażania, tylko — wędzisko do łapy i złap sobie sam, jeżeli potrafisz, a jeżeli nie potrafisz, to do baraku na zupe,

albo do Zupu, bo teraz mówi się nietylko do zupy, ale i do Zupu.

— Fascynujące czasy, parol...

— A tak, tak, fascynujące, albo faszyzujące, ale tylko w tej kombinacji możemy przetrwać, bo w przeciwnym razie postawią ci w pałacu na bilardzie dwie świece, dzwonek i zajrzą ci do zupy...

— A czy ty wiesz, że Teresa mogła bardzo łatwo wpaść z tym Kodusiem Nesesserem. Sprytnie się wymknęła.

— Tam nic nie było...

— Cóż tak zaręczasz, a tu appliqué le coton?

— Mówię ci, że tam nic nie było, ale, ale, powiedz no, wszak byłeś na korcie, gdy Nesesser zastrzelił Delabaisse'a?

— Cóż z tego, że byłem? Wszystko trwało minutę.

— Ale co mówili?

— Prawie nic, tylko Nesesser krzyknął: *revoquez, revoquez!* trach! i po wszystkim.

— Gdyby chodziło, o Delabaisse'a i o Teresę, to nie mógłbym odpowiedzieć nic ścisłego. Oni się znali z Monte. Chyba, że Koduś, jako *unilateral amoureux* — ale i to nie wytrzymuje rachunku... tajemnicza chryja...

— Patrz, oto kroczy Staś Biurkiewicz, były minister. Urodził się nie w czepku, ale w ochronce dla dzieci robotniczych. Chciał z początku potraktować te kosztowne ochronki po — naszymu, ale zobaczył wkrótce, że przez ochronki wypada droga najwyższych dam w Odrodzonej Polsce, *chemin des dames*... no i natychmiast kazał pozakładać ochronki nawet w zamkniętych oddawna fabrykach. Uważaj — teraz, podchodzi do niego minister. Ależ nie patrz na nich, tylko słuchajmy.

— Witam pana ministra.

— Sługa pana ministra.

Minister przechuchał binokle i zaczął snuć:

— Należałoby coś zrobić dla lunatyków. Coraz częstsze wypadki wyłobiły i w moim mózgu pewien narazie skromny plan.

— Musi być, jak zwykle, bardzo praktyczny...

— Przesadza pan minister. Chcemy narazie postawić pomnik Ikarowi, boć to był pierwszy lunatyk, a następnie powstała mi w mózgu idea zakupienia odpowiedniej ilości lunet i rozesłania ich lunatykom do mieszkań. Z lunetą lunatyk będzie się orjentował, skąd spada i jak ma daleko do ziemi. Rozsyłamy, oczywiście, bezpłatnie, bo i tak facet, który spadnie z czwartego piętra, jest narażony na wydatki.

— To co ja mam wobec tego do mówienia o moich ochronkach, panie ministrze?

— Znowu przesada, ale cóż, przesadzajmy, tylko róbmy coś, nieprawdaż?

Panowie z protokołu, słysząc ten dialog, grali oczami w ping ponga.

— Ten lunatyk chciał w Paryżu włożyć Gambecie na pomniku czapkę strzelecką, ale mu z Warszawy odradzono.

— Wiesz, coś ci powiem: obaj wyszliśmy z pałaców, które posiadamy do dziś dnia, otarliśmy się o życie koleżeńskie w gimnazjach i uniwersytetach, nie licząc wskazówek ojcowskich, żeby się nie rozbić, no, bo nie pozwolą, rozumiesz? Ale pomimo to, ilekroć patrzę na tę odrodzoną stadninę, coś się we mnie przewraca.

— Mon cher, do najlepszego wina nie zaglądamy nie w porę, bo ono chwylami przypomina barszcz, nim się wyklaruje...

— Zgoda, ale nad tą beczką muszę wystawać, chcę, czy nie chcę...

— Przyzwyczaisz się, co do mnie bawię się czasem nieźle. Patrz, tego nie znasz?

— Nie; wygląda, jak ktoś, kto rzucił światu rękawicę.

— Syn rękawicznika, to wrodzone... a trzyma rękawiczki w łapie.

— Dobrze, że czego gorszego nie trzyma...

— Jedno mi sprawia pewnego rodzaju pociechę, że nie leżą na czworakach.

— Kochanie, przecież tu co drugi człowiek, to jakiś społecznik. Chwała Bogu, że tu przychodzą ćwiczyć, a nie na barykadach. Mogło i tak wypaść, tego nie bierzesz pod uwagę...

— A czy sądzisz, czy jesteś pewny, że to zażegnają barykady?...

— Mój drogi, znasz mnie, jako realistę. Nie lubię zastanawiać się, co będzie, gdy mi nos obetną. Noszę chustkę na wypadek, że nie obetną... A ty chodzisz bez chustki?

— No, dajmy im żyć. Stańmy tutaj. Widzisz tego sztywniaka z bazedowemi gałami we łbie? Dopiero co przeszedł od opozycji do propozycji i objął posadę, naturalnie, zastrzegłszy sobie w liście otwartym do prasy, że jest zwykłym „pracownikiem”.

O, tych dwóch nie znam, jakaś świeża przesyłka z zamku. Widocznie łatwopsujący się towar, że zaraz — loco.

Ci, o których tak mówiono, rozmawiali dość głośno dla nabrania otuchy.

Są to panowie Rypa i Klipa. Wyszli z ludu i doszli aż tutaj. Jeden jest prezesem pracowników, a drugi bada cenne wykopaliska z wyjątkiem węgla kamiennego, który idzie odrazu na sprzedaż. Pozatem

profesor Klipa jest masonem i poszukując wykopalisk chce odnaleźć czaszkę Graala.

Hunger zna tego od wykopalisk, pana Klipę.

— Szanowny profesorze, może mi pan powinszować. Zostałem, jak pan, archeologiem. Węgiel nie idzie. Mam na składzie całe muzeum. To są podobno kamienne lasy, starsze nawet od pańskich naczyń, a pomimo to nie kupują.

— Może nie mają za co?

— Być może, ale ja nie jestem kustoszem...

Pan Klipa przedstawił pana Rypę.

— Szanowny pan jest prezesem pracowników umysłowych? Pan się nie obrazi? U nas niema inteligencji. Mamy, owszem, całe stado głodnych byków, mówiących „jeść” po angielsku, a „pić” po francusku. Taki, proszę pana, gada, jakby mamtał mokrą ścierkę, cha, cha, cha!

Hunger „zaczynał” przed wojną, a ponieważ z wojną nie chciał „zaczynać”, więc ukazał się dopiero po zawarciu pokoju. Utrzymuje on, że szczęście nie istnieje, tylko praca. Gdy wymieniają przy nim ludzi, którym się nie powiodło, Hunger upewnia, że z powodzeniem dzieje się to samo, co ze szczęściem: nie istnieje. Istnieją natomiast zdolności i praca.

— Jeżeli w danym roku nie padał grad, był w porę deszcz, śnieg, mróz i słońce, to przecież prócz tego trzeba jeszcze zorać, zasiać i to równo zasiać, w porę zasiać, ziarno a nie plewy zasiać, prawda? Więc gdzie tu powodzenie, albo szczęście? Praca i głowa, głowa i praca!...

— A serce? panie Hunger?...

— Serce, ale bez wady, owszem, ale nie do tego, co pan myśli.

— A co ja myślę, panie Hunger?



— Pan myśli o dobrem sercu, ja to wiem na-  
przód, ale takie serce — to stratosfera, czyli strata  
czasu.

— No ale Glorjan chyba sercem zdobył Brut-  
tównę?

— To znowu inne serce. Chłop jest kaloryczny,  
a zresztą niech go pan obejrzy szczegółowo. Nie  
wiem, kto go zasiał, ale był w porę i dobrze zasiany.

— Syn robotnika...

— Otóż to! Ale być synem robotnika to nie  
żadne szczęście, ani powodzenie, ani zaszczyt, tylko  
zdrowie.

— No, nie zawsze...

— Nic nie może być zawsze. Zostawmy to pa-  
nu Bogu.

— Czy pan prezes zawrze umowę z Glorjanem?

— O ile tylko będzie chciał.

— Mógłbym z nim pomówić...

— Niech pan Bóg broni! Toby było szukanie  
szczęścia.

— Pan go zamało zna, panie prezesie.

— Poznamy się przy pieniądzach, które posia-  
damy w dostatecznej ilości.

— Co pan mówi o zabójstwie Delabaisse'a?

— Nic nie mówię. Młodego Nesessera poznałem  
niedawno. Jest porywczy, więc może w uniesieniu?...

— Powiadają, że poszło o kobietę.

— Nie sądzę: Delabaisse nie mógł wejść w dro-  
gę Nesesserowi. Widzi pan, Delabaisse'a pewno pan  
nazwie nieszczęśliwym, że go poniosło na tenisa aku-  
rat tego dnia, a ja wiem o nim takie rzeczy, że powi-  
nien był wisieć przed urodzeniem.

— To ciekawe... ile to jednak typów zmieści się  
pod jednym dachem, na przykład, Delabaisse i Glo-  
rjan.

— Czy to ma być porównanie? To tak, jakbyś pan chciał słomianem powróstem płomień zmierzyć. Delabaisse — to, uważa pan, carska Francja, czyli ta Francja, którą do nas zwabiła Rossja za caratu. Mamy sublokatorów francuzów i niemców... przepraszam, trzeba pogadać z premierem.

Premjer, Aleksander Prystor, właśnie witał Glorjana i jego małżonkę.

Aleksander Prystor wzrósł w tajemnicy Odradzającej się Polski. Tajemnica otacza jego osobę do dziś dnia.

Będzie Prystor w dziejach odrodzenia zapisany, jako pierwszy premjer prawdziwie rządzący, gdyż w premjerostwo Piłsudskiego nikt nie wierzył i nie uwierzy, obdarzając Marszałka innemi, wyższemi godnościami.

Prystor otrzymaną władzę umie piastować.

Ten uparty, nieustępliwy człowiek potrafi, gdy chce uśmiechać się dobrotliwie byle nie podczas wydawania rozkazów. Gdy rozkazuje, rysy jego drgają, jak cięciwa.

Glorjanową powitał premjer z admiracją, a na Glorjana spojrział wzrokiem porozumienia.

— Banzaj! — rzekł wesoło.

— Tak jest, banzaj, panie premjerze.

Obecni przy tem powitaniu kardynałowie uśmiechnęli się, rozumiejąc, że mają przed sobą uczestników wypadków z wojny Japońskiej.

— A propos Japońskiej wojny — rzekł nuncjusz — czytałem ostatnio, że jakiś rossjanin zgłosił się do rządu japońskiego o pozwolenie odkopania milionów z czasów zdobycia Portu Arthura.

Prystor i Glorjan spojrzeli na siebie i wymienili krótkie uśmiechy.

— Podobno było przekupstwo...

— Jeżeli było, to wkrótce przefrunęło na Mazurskie błota podczas wojny światowej — wtrącił spokojnie Glorjan.

Nuncjusz spojrział na niego życzliwie, a oczy jego mówiły:

— Znam twoją tajemnicę, ale nie mam nic do niej.

Zabrała głos księżna Filarowa:

— Panowie, jako opiekunowie nasi, musicie więcej od nas wiedzieć, ale i my coś wiemy. Jeden z moich kuzynów, — twój mąż zna go dobrze, Tereso, — opowiada o panu, panie Glorjan, cuda z pobytu w Japonji. Nazywa się Konstanty Dolaminowicz.

— Ach, niezwykle dzielny żołnierz!

— Grand merci, ale on panem więcej zachwycony.

Premjer Prystor patrzy na swego ucznia Glorjana i jest pewien, że się nie rozgada.

Prystor sam przeszedł i nauczył innych dochowowania tajemnicy stanu...

Zrazu, tajemnicą stanu była myśl szaleńcza. Z czasem w skład tajemnicy stanu zaczęła wchodzić broń w ilościach coraz większych, aż wreszcie....

Tajemnicą stanu było picie wódki późniejszego Naczelnika Państwa z kapitanem żandarmów na granicznej komorze.

Tajemnicą stanu była wygnięciona kwietna miedza, na której przespał ktoś, dźwigający drukarnię przenośną.

Tajemnicą stanu była kołyska dziecięca, w której spał polski Tatar, Sulkiwicz, wprawdzie niskiego wzrostu, ale jednak człek wówczas dorosły.

Ten Sulkiwicz chciał, ażeby jego choroba była tajemnicą stanu, rwał się z nią do szeregu i kłął, gdy

go do szpitala przeznaczono. Trafiony w serce przez najezdźcę oddał tajemnicę stanu Władcy wszystkich tajemnic.

Prystor potrafił w sekrecie przed przekupkami oszczędzić na mięsie i rybach, ażeby starczyło w razie czego na armaty i okręty.

Ekonomiści wysmiewają Prystora za obniżanie cen.

Smażany śmiechem ratuje Polską Rację Stanu. Teraz oto Aleksander Prystor z małżonką, Janiną Prystorową, czynią honory domu w gmachu Rzeczypospolitej.

Gdy Glorjan uporał się z gadatliwą damą i kardynałami, stanęli we framudze okna.

— Cóż to, bracie, mówią, żeś fortunę wygrał w karty? — szepnął uśmiechnięty premier.

— Może i żonę? Bo i to mówią.

— No, tego nie mówią, ale jak się czujesz?....

— Nieźle, ale jeszcze nie mogę kupić twojej pary butów za mój korzec żyta.

— No twoje buty, to są buciki lakierowane, bracie.

— Myślę nie o moich butach, tylko, wiesz, o jakich.

— Tak, tak... Ceny — to szelki, a zboże — to portki, chciałoby się szelek popuścić, a portki podnieść.

— Trza portki garścią regulować...

Roześmieli się niefrasobliwie, co zwróciło uwagę pań.

— Panie Glorjan, prosimy nam co opowiedzieć o Japonji, gdyż nanowo zaczynają Japończycy świata przypominać o sobie.

— Nie mam nic, księżno, do opowiadania. Byłem zwykłym żołnierzem.

— Zwykłym żołnierzem, który jest na ty z premierem dość dużego państwa.

— To niczego nie dowodzi, księżno. Dawna znajomość.

— U was zawsze nic niczego nie dowodzi, a wszyscy nami dowodzicie, nie powiem zresztą, żebym na to chciała narzekać.

— Oj, gdyby wszyscy tak mówili...

— Panie premierze, niech mu pan rozkaże coś opowiedzieć.

— Wszystko pozapominaliśmy...

— Nie ładnie jest zapominać się przy kobietach.

— Proszę księżnej pani — zaczął Aleksander Prystor: Są sprawy, które mogły być rostrzygane jedynie w tajemnicy. Tajemnica różni się od spisku. O spisku wcześniej czy później wiedzą wszyscy, o tajemnicy — nikt.

— Więc jakże się tajemnica wprowadza w czyn?

— W tajemnicy, księżno... Gdy tajemnicę stanu rozgłosimy, możemy zniszczyć wiele rzeczy późniejszych. To zupełnie, jak gdyby ktoś wyciągnął parusetletnie drzewo z ziemi. Można parę domów obok stojących wyrwać,

— Tyle lat minęło od japońskiej wojny...

— Dla kobiet i dla spraw stanu lata nie istnieją. My z Glorjanem przeżyliśmy wiele przygód, a jednak są napewno rzeczy, których nigdy nawet między sobą nie poruszymy.

— Panie Glorjan, przy takiej tajemniczości, w jaki sposób pan oświadczył się Teresie?

— Cioteczko, ja to uczyniłam za niego.

— Nie zdradzaj tajemnicy stanu małżeńskiego.

A pan, panie premierze, mógłby nam, kobietom, rozdać kilka tajemnic, chociażby dla propagandy...



— Propaganda, to co innego, a tajemnica stanu — znowu co innego.

— Panie premierze, chodzę w naszych polskich sukniach z polskiego materiału, ale cóż, nie wszystkie damy nasze chcą mnie naśladować. Jedna tłumaczyła się przedemną w ten sposób: mogę chodzić w płótnie, ale niech przynajmniej wiem, czy i kiedy będzie wojna...

Gdy ucichł śmiech, księżna Filarowa mówiła dalej:

— W tej chwili połowa kobiet twierdzi, że młody Nesesser zabił Delabaisse'a w sporze o kobietę (Glorjanowie spojrzeli po sobie), a druga połowa wie napewno, że strzał był polityczny, panie premierze...

— Nie sędzę, księżno...

— A czy Nesesser uwięziony?

— W ostatniej chwili bankier, ojciec zabójcy, złożył 200.000 złotych kaucji.

— Znowu tajemnica, skąd je miał. Przecież to bankrut. (Glorjanowie spojrzeli po sobie).

— Niejedno wyjaśni proces.

— A wojna, panie premierze?

— Jestem przeciwnikiem wojny, księżno...

— A te pułki konne na błoniach?

— To są przeciwnicy wojny — konno...

— Jednym słowem rebusy, w których armata ma oznaczać teleskop...

— Bardzo trafny rebus: przez armatę można obserwować na daleki dystans...

Policzek Aleksandra Prystora pod lewym okiem zadrgał, jak zwykle, ilekroć miał coś rostrzygać. Księżna Filarowa umiała w sposób naturalny wywoływać rozmowę ogólną nawet na oficjalnych rautach. Po parokrotnych odpowiedziach premiera otoczono

rozmawiających kołem, o ile to jest możliwe w warunkach protokularnych.

Prystor zauważył ciekawość w oczach swoich gości. U niektórych nocowywał za czasów nielegalnych, ale tych było tutaj niewielu, za to miał przed sobą i takich, którzyby go wówczas przed największym niebezpieczeństwem u siebie nie przyjęli, a byli i tacy, którzy mogli — spotkawszy go — uczynić coś najgorszego. I oto właśnie jedynie tajemnica ustrzegła tych dzisiejszych gości przed ówczesną zdradą.

W oczach Aleksandra Prystora, gdy tak patrzył na tych legalnie zwołanych obywateli, zaświeciła iskierka przebaczenia. Oczy te mówiły:

— Na wasze szczęście znałem was lepiej, niż car...

Głośno zaś, oparty o stylowy kominek tak mówił do swoich gości:

— Moi państwo, przed wielu, wielu laty, była sobie Polska, ogromna, bogata, waleczna, i była sobie Rossja i byli sobie Niemcy.

U naszych sąsiadów były rzeczy dobre i złe, żyli ludzie wielcy i mali.

Pewnego razu, gdy Polska po długich, długich próbach reform wewnętrznych zdobyła się na coś w rodzaju rewolucji, wzorem ówczesnej Francuskiej, — rzucono się na nas. Zrobiono koalicję, której Francja do siebie nie wpuściła, a którą Polska wpuściła. No, i gdzie tu, proszę księżnej, tajemnica?

— Mais vous racontez, comme Homer!...

— Homer opisałby to lepiej, księżno. Taki Homer znajdzie się. Ja opowiadam tylko, jak było. Otóż, proszę państwa, Kościuszko nie podołał, gdyż ujawnił przed wrogami przedwcześnie tajemnicę sukmany chłopskiej, którą zaraz zdarto z rannego Kościuszki i włożono carowi. Czy nie tak było?

Zbiorowe jakieś westchnienie posłyszano.

— Napoleończyk Chłopicki, dzielny i śmiały, zdradził tajemnicę własnej niewiary w zwycięstwo. Czy nie tak było?

— Il jouait aux cartes, ile me semble? — rzekła Filarowa.

— Otóż proszę państwa, mówienie o tajemnicy po faktach dokonanych jest czasem dopuszczalne, nigdy jednak przed faktami. Ludzie, którzy mają umrzeć, zwykle o tem gadają, ale ludzie zdrowi nie będą opowiadali o tem, że kiedyś umrą.

— Więc zwyciężyłam!

— Jakto, księżno? Radbym wiedzieć.

— Pan premier podzielił się z nami tajemnicą milczenia.

— Na to zgoda.

Tu Prystor obrzucił obecnych dobrotliwym spojrzeniem i dodał:

— Polska jest coraz mocniejsza i będzie miała coraz mniej tajemnic. Przyjdzie czas, że tacy ludzie, jak ja, będą niepotrzebni...

— Pardon, pardon, zawsze będą potrzebni! Ogromnie lubię pańskie niskie ceny towarów...

— Może i ceny kiedyś podskoczą, jak nas na to będzie stać...

— Otóż to, otóż to! gdy pana słyszę mówiącego, rzecz dziwna, uspakajam się, chociaż oddałam za podatki 500 włók ziemi... Pan ma w głosie taką pewność, une telle surete... — A ja jestem z tych, panie pierwszy ministrze, co to od czasu do czasu są przeznaczane na gilotynę, nieprawda?... więc kiedy spadnie moja głowa?

— Może nigdy, księżno...

— Zbyt pewnym także nie należy być... Od czasu do czasu musimy być karani za nasze winy. To

robi Bóg, a może panowie uważacie, że to nie Pan Bóg, tylko los? Właściwie, co za różnica, jeżeli pan Bóg czyni to samo, co los. Zresztą znajdujemy się pod dachem człowieka pobożnego.

— Tak jest, księżno.

— Pan premier nie wstydzi się modlić?

— Wstydzę się, że nie umiem się modlić. Nie wszystkie moje modlitwy są wysłuchane...

— Proszę przyjechać do mnie, do Filar. Jest tam w kaplicy Chrystus Wita Stwosza, o czym nikt nie wie, ale mam dokumenty, stwierdzające autentyczność. W Polsce mamy jeszcze po kątach wiele ładnych rzeczy. Chłopi boją się tego Chrystusa, bo nie wiedzą, kiedy jest uśmiechnięty, a kiedy zagniewany. Istotnie tak jest, w zależności od słońca, które pada przez Mehofferowskie witraże...

Widocznie Chrystus przekazał niektórym ludziom tajemną siłę uśmiechu, lub gniewu, bo jak jestem księżna z książąt, nie chciałabym pana premiera rozgniewać...

— Masz ci los! nie zamierzam się gniewać...

— Na wszelki wypadek dziękuję i przypomnę, gdyby przyszła ochota zamknąć mnie za gadatliwość.

— Do tego nigdy nie dojdzie.

— Nigdy niewiadomo. Filarowie byli zawsze układni wobec władzy, ale inni oho, ho...

...Jesteśmy obywatelami, panie premierze, ale nie lubimy być poddanymi Rzeczypospolitej. Twierdzą niektórzy, że poddany i republika to nie pasuje. Cóż na to odpowiem? Niegdyś byłam sportsmenką, a jest tu dziś między nami znakomita sportsmenka, Teresa Glorjanowa. Cóż powiesz, Tereso, czy można brać przeszkody, nieprzytroczywszy siodła do konia? Kręcisz śliczną głową, że nie można. Siodło musi być zespolone z koniem. Trzeba przyciągnąć. Wte-

dy dopiero siodło, a na nim jeździec pójdą razem z koniem. — Otóż naród, który chce brać przeszkody, musi mieć władzę nad sobą, władzę, która w skoku nie zawiedzie, a zwłaszcza nie zwali się. Pojedyńczy ludzie dobierają sobie w dziejach odpowiednie wzory, a narody szły prowadzone przez wielkich ludzi szlakami utorowanymi przez przeszłość. Szedł Platon za Sokratesem, szedł wesoły i dowcipny Alcybiades za Peryklosem i za Aspazją, która może była tak piękna, jak ty, Tereso, no, no, bez skromności, nic nie przesadzam, oczywiście z zastrzeżeniem konduity, gdyż Grecja daleko, a piękny mąż blisko... Szedł Chrystus za Janem Chrzcicielem, Napoleon za Cezarem, szedł Marx za Fourierem, a Marks i Fourier za innym kupcem angielskim z czasów Elżbiety, imieniem Malynes, który 333 lata temu — nazwał pracę ludzką towarem i uznał równe prawa robotników do organizowania się w walce o byt, — *comme par exemple, — moi fornale*. Szli oni, ci Niemcy, Francuzi i Anglicy za naszym Polakiem Fryczem Modrzewskim, który żądał kontroli państwowej nad handlem i przemysłem i doczekał się ludzi podobnych do Aleksandra Prystora...

Obecni żywiłowo dali oklask, a Prystor spał, ale zachował wyraz i spokój człowieka, który dobrze wie, że z niego nie drwią.

— Dlaczego księżna nie pisuje? Przy takiej erudycji...

— Żadna to erudycja, ale przyzna premier, że go wyprowadziła na równą drogę.

— I proszę nadal prowadzić.

— Stawię się na każde zawołanie i sądzę, że mogę to powtórzyć pluralnie, to znaczy, panie premierze, na każde wezwanie stawimy się. Szczególnie my, którzyśmy jeszcze nie wszystko ze siebie dali. Wy-



starczy zawiadomienie, czego jeszcze potrzeba. Nawiasem mówiąc, czytajcie Modrzewskiego, a przekonacie się, cośmy stracili, a wtedy napewno odechce się wam tracić poraz drugi.

— Brawo! księżno.

— Tak, tak, panie premierze, tak, panie i panowie, zapraszam do Filar na Modrzewskiego...

Księżna westchnęła i ze smutkiem ciągnęła dalej:

— Mnie warto zapytać, czy Polaków można lekko trzymać. Patrzyłam na różne władze, widziałam przeróżne posłuszeństwa, pokory, a nie brakło i poniżenia. Radzę lejce sztywno ująć, tak właśnie, jak pan to robi, panie premierze.

...Ani Mickiewicz, ani Wyspiański, ani Malczewski, nie potrafili wyciągnąć z nas gotówki na nowe szosy, koleje i mosty. Przyszli tacy, którzy to potrafią... Skończyłam!... (oklaski).

— Ma serce stara — zauważył Glorjan.

Prystor zerknął na Teresę, czy nie słyszy i szepnął:

— Tutaj przychodzi łaskotać mnie po sercu, zato w biurze łaskocze niżej... po kieszeni... o ulgi podatkowe..., ale muszę przyznać, że niegłupia...

Do premiera zbliżał się równym krokiem, nie odrywając prawie nóg od dywanu, Japoński poseł.

— Au revoir monsieur le president... a po pauzie dodał z uśmiechem: „Katajama“.

„Katajama“ był to pseudonim rewolucyjny Prystora z czasu wojny rosyjsko - japońskiej, o czym wiedział dyplomata.

Prystor uśmiechnął się i przedstawił Glorjana, coś przytem szepnął.

Japończyk kiwnął głową i skierował spojrzenie na bohatera portarturskiej przygody.

— Były to wielkie czasy japońskiego narodu.

— I polskiego, Ekselencjo.

Ukłonił się i odszedł.

Glorjan patrzył za nim i szepnął do Prystora:

— Nowi konkurenci całego świata.

A premier odparł z uśmiechem:

— Maluczcy, którzy posiadają ziemię.

— Jakto — i nas?...

— No, gdyby im pozwolić... To są maluczcy ze zdrowymi zębami. Daj im tylko palec...

— Straszny z ciebie rządca, Aleksandrze...

— Dopiero parę lat rządzymy, a już ci straszno?

— Broń Boże! Rządź, rządź i o nic nie pytaj. Rządź, bracie, oddamy ci wszystko.

— Może ci tęskno, Glorjanie, do jakiego stanowiska?

— Ładne przejście do mojej osoby...

— Nie gniewaj się, przecie nie mówiłbym z tobą, gdybyś był taki, jak inni. — Powiedz mi, za co strzelił Nesesser do tego francuza?

— Nie wiem...

— Napewno nie wiesz?

— Nic nie ukrywam, mogę mieć tylko domysły.

— Mnie chodzi o to, czy Delabaisse — to jakaś konjunktura polityczna?

— Gdzie i przy kim ostatnio rajfurował, tego nie wiem, ale to urodzony szantażysta. Opowiem ci pewną historję, bo niechciałbym, żeby do ciebie doszły o mnie jakie plotki.

— Żadne plotki o tobie, Glorjanie, do mnie dojść nie mogą.

— Dziękuję. Więc kiedy się spotkamy?

— Zostańcie z żoną na herbacie.

— A kiedyż zmówisz pacierz, jak zwykle?

— O, bracie, już nie klękam do pacierza. Nie mam czasu. Modłę się stojąc, żebyśmy nie leżeli.

— I nie dopuścisz do plajty, ty bankierze Chrystusa?

— Nie dopuszczę! — A na bankiera Chrystusa zgadzam się, gdyż, obniżając ceny, ułatwiam ludziom biednym kupowanie rzeczy niezbędnych. No, a ty, Glorjanie, chyba zaczniesz gospodarować?...

...Teraz ja się do ciebie dobiore, aż się stary Brutto w grobie przewróci.

— No, jego żadnym pomysłem nie przestraszysz. Wiesz, Aleksandrze, objeżdżałem Polskę i powiem ci, że wprawdzie każdy prawie starosta jest jeszcze cokolwiek speszony, że wygląda nie tak, tylko cokolwiek gorzej, ale wogóle narzekać nie można... Wojewodowie także jeszcze nie weszli w ramy, ale już spozie - ramy, już zadzie - ramy i mamy na czołach sz - ramy. Każdy z nich jest już co nieco zauważony, wyposa - żony, obsłu - żony, zasłu - żony, no i żony też coś znaczą.

Premjer, sam nie umiejący konstruować kalamburów, bawił się szczerze, ale natychmiast spoważniał:

— Najważniejsze, że nie kradną...

— Dziś mnie, tobie jutro, po łacinie: hodie mihi, cras tibi, czyli „chodzi Michał kraść do ciebie, a ty do Michała?”...

— Nie żartuj; mówię ci jednak, że nie kradną.

— Czas przerobić więzienia na szpichlerze, panie premjerze...

...Nawet mnie nie spytałeś, co porabiałem w Japonji?

— Wiem doskonale...

— Ale nie odemnie...

— Dostaniesz chińskiej herbaty do opowiadania o Japonji.

— Herbata dobra jest jedna, a Chińczycy nauczą Europę mniej jeść, tego jestem pewien. Los Polski zawisł nie na Patku, ale prędzej na patyku z ryżem.

— Może wróci Chrystus rozmnażać chleb i ryby?

— Być może, panie premierze...

— I to mówi polski milioner?... Co zamierzasz?

— Zamierzam nietylko brać, ale i dawać...

Prystor poklepał Glorjana po ramieniu.

— No, a rewolucji już ci się odechciało?

— Obecnie w Polsce a i w Europie nikt o rewolucji nie mówi, więc — kto wie? — może jest bliższa, niż się nam zdaje?...

— Mam się bać? — spytał premier, mrużąc oczy.

— Nie wierzę w twój strach, ale i w rewolucję także. Jeżeli odsuniemy na stronę marksizm i marksistów, to sam „Kapitał” doczeka się kiedyś, że jakiś rzymski monsignor dla jakiegoś Leona XIII-go przy pisaniu nowego „rerum novarum” — zawyrokuje nie bez racji, że Marks najtrafniej krytykował kapitał i kapitalizm i że on właśnie, a nie kto inny, przedłuży istnienie kapitalizmu.

— Ciekawe rozumowanie...

— Kochany premierze, jesteś tak zavalony pracą, że nie masz czasu na takie wnioski...

— O, tak, Glorjanie, czasu mi ciągle brak.

Stoję i pcham, spycham, rostrącam, miażdżę i czyszczę, czyszczę! A trzeba ciągle oglądać się, żeby ci poza plecami nie zakręcili do Niegorełtoje, albo do Berlina z pokłonami. Nie masz pojęcia, ile jeszcze dziegiu mają w płucach. Czort wie co takiego! Chce się pluć, a tu rządzić trzeba.

W miarę, jak Prystor rozwijał swoje myśli, Glorjan dostrzegał w nim jakieś podobieństwo do wodzów japońskich.

— Widziałem takich, jak ty, w Japonji...

— Możliwe. Jestem w ciągłym napięciu, zupełnie, jak japończyk na rycinie. Cały w ruchu od pięty do czuba. Mnie możesz spokojnie oglądać jedynie, gdy śpię, albo jak teraz, gdy robię gospodarza, albo jeszcze, gdy jadę koleją, czy autem. Pamiętasz, jak nas rewidowali za carskich czasów? Rozbierali do naga i zaglądali, gdzie trzeba i nie trzeba?

— Mieli przeczucie...

— A mieli, psia mać! niech im Bóg da zdrowie!... Ale uważasz, gdy wdzieję koszulę i krawat...

— Czy to już wszystko?...

— No i resztę, a jakże, to, uważasz, bracie, nie przystępuj, bo mogę ugryść... naprzykład ta stara kwestja rolna, ta niezaleczona wścieklizna...

Polska ma 60% ludności rolniczej, w tej liczbie wszystkiego 19.000 obszarników, ale którzy posiadają 10 milionów hektarów ziemi ornej. Komu trudno udźwignąć ciężar zobowiązań państwowych, musi wezwać kilku do pomocy i ziemią się podzielić.

— Brawo, Aleksandrze, to mój plan, wkrótce go urzeczywistnię.

— No, Glorjanie, chodźmy do gości, muszę jeszcze niektórych pożegnać. Cudną masz niewiastę, Glorjanie, czy zgadzasz się ze mną? A może przegłosujemy?

Gdy weszli z opustoszałego salonu do pań, zastali księdza Wdowca.

Premjer zawsze go wita serdecznie.

— Odbyliśmy z Glorjanem spowiedź bez księdza.

— Byle była skuteczna, akceptuję.



Glorjan zadał pytanie figlarne:

— Prosimy o wyznaczenie pokuty na niewidzianego.

— Owszem, panowie. Rozmawiał premier z milionerem. Ten premier nie ucieknie przed odpowiedzialnością, a ten milioner—przed podatkami. A oto mój projekt pokuty: płacić!

— Rozkaz, księżu!

— Drodzy przyjaciele, były czasy, gdy prorocy zastępowali dzisiejszych ekonomistów.

Na to rzekł premier:

— Ja ze swej strony prorokuję herbatę, bo żona daje znak.

Musieli jeszcze premierostwo pożegnać kilkanaście osób, które bez tego wyjść nie umiały. Podczas tych czynności Glorjan obserwował Prystora. Przypadły mu do gustu krótkie jego odpowiedzi.

Prezes Hunger tajemniczo zaznaczył:

— Musimy skonstruować ten węglowy fundusz wyrównawczy, skoro jest tak ważny...

— Dobrze, dobrze...

Książę Liliput - Kołybiel szepnął:

— Jestem zdecydowany; niema innego wyjścia...

— Dobrze, dobrze...

Doczepił się i pan de Hotten Tott.

— Panie premierze, rozkaz pana rozesłałem urzędowi, suum quiqui... mówił tonem okaryny z maseł.

— Jakto? kwi... kwi? przecież to urzędnicy?...

— Pan premier żartuje... znaczy, że nie gniewa się na mnie, bo my wszyscy, nos totus...

— Totus? a w co totus?... w piki, czy w karo?...

Glorjan oglądał różową wielką głębę Hotten-Totta i zadawał sobie pytanie, gdzie to wypaśli podczas ciężkich wojennych czasów...

A z worka kartofli miał jeszcze wysypać się taki frazes:

— Panie premierze, przy tych głodowych pensjach...

— Dobrze, dobrze, głodujcie, panowie...

Wreszcie ostatnim gościem był dyrektor Zadowolone Wdyrdecki. Ten człowiek powojenny przediera się przez życie z teką wypchaną pod pachą i ze spodniami wypchanymi w kolanach. Wdyrdecki wygłosił kiedyś, zaraz po wyjściu z obozu jeńców (bodajże tureckich) dwa odczyty, dotyczące usprawnienia biurowości. W pierwszym postawił śmiało pytanie: „czy stalówki na miesiące zimowe odlatują do ciepłych krajów?”. W drugim odczycie poruszył od dawna zaniedbane zagadnienie wiecznych piór. Wdyrdecki z zabiegiwością urodzonego administratora zapytał słuchaczy: dlaczego wieczne pióra nie są podawane na członków akademji?

Te odczyty zdecydowały o dalszych losach pracowitego nad wyraz Wdyrdeckiego. Wysłany do Ameryki przebył tam 3 dni i wrócił z odczytem: „moje spostrzeżenia Amerykańskie”. Wdyrdeckiego uderzyło odrazu tempo życia Ameryki.

„W ciągu trzech dni kąpałem się raz, gdy w Warszawie kąpię się raz na dwa tygodnie”.

Składając ukłon Prystorowi, Wdyrdecki załączył następującą informację:

— Panie Premierze, nie chcą płacić na à vista...

— Dobrze, dobrze, pogadamy. Może to dlatego, że teraz przeszła moda wista; ludziska wolą bridża...

Gdy wreszcie zostali sami Glorjan zawołał:

— No wiesz, jesteś poprostu wspaniały!...

— Co za wspaniałość? Wprawilem się.

Gdy premierostwo znaleźli się sami z Glorjanami, Prystor rzekł do nich:

— Otóż dla tego towarzystwa trzeba było cara wypędzić.

— Czy i dla mnie? — spytała Teresa.

Prystor uśmiechnął się i chciał coś powiedzieć.

— Proszę, niech pan mówi... — nalegała.

— A czy Glorjan mnie nie wyzwie?

— Nie wyzwę — słowo!

— Gdyby pani tak wyglądała wówczas, gdyśmy wypędzali cara, a car panią zobaczył, 'oby nie chciał wyjść i nicbyśmy nie poradzili... Zresztą łatwiej mi było wypędzać cara, niż mówić damom komplementy...

— Chwała Bogu. Jestem zazdrosna o tamte czasy.

— Późniejsze też godne zazdrości, proszę pani.

Jesteśmy narazie biedną demokracją, którą trzeba nauczyć pracować, wtedy ci biedacy wyciągną z pończoch pieniądze i puszczą w ruch.

Teresa ku ogólnej wesołości zaznaczyła:

— Jako demokratka, zrobiłam swoje, nie żałuję tego, a w pończochach zamiast pieniędzy, noszę nogi.

— Właściwe nogi, na właściwym miejscu — żartował premier, a Glorjan podchwycił temat o demokracji.

— Mój Boże, ileż rewolucji Polska ma już poza sobą właśnie o demokrację...

— Ale demokrację trzeba rozumieć...

Demokracja — to nie podział dóbr, to równość wysiłku...

Prystor dał Glorjanowi brawo i dodał:

— My, proszę państwa, pod demokracją rozumiemy, niestety, taki stan rzeczy, że wszyscy robotnicy, albo pastuchy nagle zbożacieją. Każdy skończony student musi mieć odrazu gabinet i klientów

i, jeżeli można, to tytuł hrabiowski, nikomu z obecnych nie ubliżając.

— Mówi pan premier święte słowa — rzekła Teresa.

— A ty, bracie, posiedzno ze sześć latek w Mławie, albo w Otwocku na posadzie pomocnika starosty. Zobaczysz wtedy, ile dziur na szosie, w dachach i na łokciach. Posiedź, porachuj i pozasztywaj.

— Brawo, brawo! będę przysyłała raporty...

— Raporty muszą być przywożone osobiście...

— Rozkaz!

— A pierwszą przerwę w raportach proszę nazwać Aleksander, bardzo proszę...

— To zamówienie rządowe -- należy oblać. Proszę na skromny posiłek — odezwała się premierowa.

Tymczasem towarzystwo rautowe, opuściwszy pałac Rzeczypospolitej, rozlokowało się w „Adrii”.

Dwaj ministrowie dali się uprosić paru oficerom legjonowym i usiedli razem w łóżce.

Gdy weszli, zastali na małej arenie dwóch dżentelmenów w nieskazitelnie białych koszulach, w czarnych spodniach, jak wyczyniali karkołomne sztuki, uśmiechając się do siebie, jak kochankowie.

— Kochają się, jak my, ministrowie...

— I tak samo koziołkują...

— Napijemy się czegoś bez powodu i bez wody?

— Zawsze piję pod legjony... zauważył minister skarbu.

Po paru kolejkach jeden z oficerów przefasonował rozmowę na swoiste tory.

— Proszę panów, uznaję, jako człowiek, dwie organizacje, wielką i małą. Le grand levè i le petit levè, jak za czasów króla słońca... Car sołnyszko, Ludwik XIV-ty... Cha, cha, cha!! U mnie wielka organizacja polega na tem, że na ziemię może nagle coś

kapnąć, coś takiego wielkości stu wiorst sześciennych. Wtedy oczywiście, nastąpi zupełna reorganizacja i zupełna redukcja ludzi. Na to nic nie poradzę, więc niech sobie kapnie... Uczeni mówią, że to się może stać każdej chwili... Chwała Bogu, że nie co chwila, bo za pierwszym razem wszyscy będą mieli dość... Zastanawia mnie tylko, czy po takim kataklizmie Pan Bóg nanowo stworzy człowieka, czy też zniechęcony, skomponuje coś nowego, byle nie zapomniał o winie, a jeżeli sam zapomni, to żeby pozostawił Jezusowi właściwość zamieniania wody na wino, co?... Na tych warunkach wnoszę w stronę moich nieznanym następców toast: niech żyje kataklizm! Ponieważ kataklizm może się spóźnić o tysiąc lat, więc mam na codzień małą organizację: rano w biurze, a wieczorem w Adrji, co?...

Podochocony legun patrzył na ministra, jak dziecko w pomarańczę:

— Wrazie kataklizmu... pan minister zaraz postawi na jakim placyku mały pomniczek ginącej ludzkości... Gdy meteor pokaże się na nnniebie, to niech pan mi... minister nie cze... czka, tylko zaraz stawia... ppomnik... bo nie będzie czasu na czkanie... co? Taki z brązu, albo z gumy, to może meteor odskoczy? Cha, cha, tylko z gumy! Taki gumiany!... Siup! — w górę i z powrotem!... W ten sposób możnaby ludzkość uratować... co? Weźmiemy gumę z Pepege, od tego z Pepees, co jest tam obecnie dyr... dyrektorem... Patrzcie, jak ten wiceminister tańczy rumbę? cha, cha, cha! Przy tej babie w zielonej sukni wygląda, jak chrałaszcz w szpinaku...

Oficer ponownie zapuścił wzrok w ministra:

— Pan minister nie umie czkać? szepnął, jak rozespane dziecko.



— Wszyscy się kręcą, wszystkim spieszo, tylko oficer musi stać na miejscu... jemu nie wolno!... nie wolno!!... nie wolno!!!...

Wyrazy zagrożające wolności były powiedziane tak głośno, że ministrowie wstali.

— Zaraz wrócimy — zapewniali oficerów, poczem zapłacili i wyszli na ulicę:

— Musimy wychować nowych ludzi — rzekł jeden.

— No, ta teoria o kataklizmie powstała u niego wskutek kontuzji...

— Tak, ale ten car sołnyszko:...

— Głupstwo...

Drugi minister odbył jakąś czynność koło tak-sówki, patrząc w górę:

— Śliczne niebo...

...Panie ministrze, czy pan sądzi, że światło od najbliższej gwiazdy poto szło do nas milion lat, żeby pana zobaczyć?

Do oficerów, którzy pozostali w Adrji, podszedł kelner i zapytał, czy pozwolą, ażeby się do nich przy-siadł pan Odwaga, obywatel z poznańskiego.

— Wagon?... nie jestem stacja, żeby podemnie podjeżdżał wagon...

— Pan dziedzic Odwaga, proszę szanownych pa-nów.

— Odwaga?... Odwagę mam!... gdzie to ja mam odwagę? W sercu!... Niech odwaga siada i niech nas nie opuszcza, cha, cha!... aż do zwycięstwa! Witam pana Odwagę! Niech pan siada, jest miejsce po dwóch ministrach! Jeden stawia pomniki, a drugi je sprzedaje za zaległe podatki, cha, cha, prosimy, pro-simy... hej! kogo ja ledwo widzę? Wiktuałek, daj pyska, Tchórnisiu... siadaj!!!

— Nazywam się teraz Odwaga. Przeprowadziłem przez sprawy wewnętrzne.

— Racja! Odwaga to najważniejsza sprawa wewnętrzna. Siadaj! Gdzieś tyle lat przepadał?

— Ożeniłem się w poznańskim. Wszedłem w endeckie gniazdo, ale to nic...

— To ci pewno kufer wyłócili, bo zawsze byłeś goły, jak psie kręgle, co? Nie bardzo widzę, bo jestem pijany, czyli po francusku piżany, ale tak, na oko, cało wyglądasz...

— Dostałem folwark, 600 hektarów, budynki, dwór, inwentarze...

— No i zapewne żo... żonę?

— A jakże, przepraszam, że od żony nie zacząłem...

— Od żony, uważasz Wiktuał, nigdy się nie zaczyna, kto to widział? Na żonie czasem się kończy, jeżeli już koniecznie trzeba... Ale my tu możemy zacząć i od żony... Niech żyje żona Wiktuała! Przypomina mi się toast na jednym weselu. Uważasz, facet zenił się ósmy raz. Miał wypadek kolejowy, bandycki napad, trzy choroby i — coś tam — parę rozwodów, dość że pobierał właśnie ósmą żonę. Miałem do nich mowę i, wyobraź sobie, tak mi się ułożyło, dość, że walę: tamte żony były ugotowane, a ta będzie usmażona, cha, cha, cha. Nim odjechałem, strzelaliśmy się. Dostał po uchu. Więc zostałeś endekiem? Wolno ci, byleś Marszałka słuchał, ale nie tego marszałka pierwszego sejmu, tylko tego, z poza sejmu!...

— Dlaczegoż mnie namawiasz do nieposłuszeństwa?

— Namawiam cię do posłuszeństwa, dopóki coś pamiętam!...

— U nas zawsze kogoś trzeba nie słuchać...  
— U nas wszyscy, dopóki jeszcze wiem, co mówię, muszą słuchać jednego, chociażby byli z samego Poznania!...

— Dawniej byłeś innego zdania...

— Dawniej nie miałem żadnego zdania, tylko, o ile coś jeszcze pamiętam, miałem pieluchy i niańkę...

— Mnie też niańka oddawna niepotrzebna!...

Mówiąc tak do siebie, oficer i były oficer widocznie trzeźwieli. To, co ich teraz podniecało, nie miało nic wspólnego z alkoholem.

— Nie ja do ciebie podszedłem, tylko ty do mnie...

— Nie wiedziałem, że podszedłem do wywiadowcy...

Rozległo się uderzenie w policzek, jakby kto szczapę rozdarł.

Oficer został otoczony przez wojskowych.

— Pilnujcie go panowie, żeby, jak wstanie, czego nie szczeknął, bo strzelam!... oto mój bilet... będę w drugim pokoju...

Odwaga ocknął się i zwolna podniósł.

— Nasz kolega kapitan, służy wszelką satysfakcją.

— Polska musi zginąć — warknął Odwaga.

— No, niekoniecznie... — ktoś zauważył.

— Co ma „w mordę” do Polski? — dorzucił ktoś inny.

— W mordę ma do Polski, bo panowie nie wiedzą, o co poszło...

— To się rozpatrzy...

— To się rozniesie, nie rozpatrzył...

— Nic się nie rozniesie: załatwi się...

Spoliczkowany Odwaga patrzył na oficerów. Jakiś instynkt mówił mu, że tu się nikt nie da obrazić,

że zresztą postępują z nim prawidłowo, a jednak czuł nieodpartą potrzebę wyładowania takiego bólu.

— Jakto? Więc przyjeżdża się kilkaset wiorst, z Poznania do Warszawy i już po drodze trzeba serce zrewidować, jak na jakiej granicy. Więc osoby tam zasłużone — tu w stolicy muszą być opluwane...

— A przeciwnie — to nie bywa? — padło pytanie.

— Jakto? Przecie osoba, o którą poszło, przewodniczyła w pierwszym Sejmie!?

...Przyjechałem, panowie z własną żoną... Gdybym komuś uwiódł żonę, ale mam własną, młodą, kochaną żonę, która pochodzi z takiego domu, gdzie tamtego przewodniczącego pierwszego Sejmu czczą i szanują, więc co ja mam robić? Proszę mnie nauczyć, panowie!...

— Pan był oficerem?...

— Tak jest!...

— To znać — ktoś szepnął.

— Więc dlaczego tu biją za takie rzeczy?...

— Musimy to zbadać, panie poruczniku...

— Co tu badać? Rozciął mi dziaśło i będziemy sobie łby jutro dziurawić, i o co? o różnice dzielnicowe?...

— Zbadamy szczegółowo... wszystko się wyjaśni... gdzie pan mieszka?...

— W Brystolu... żona lubi ten hotel, bo jej przypomina Paderewskiego, pierwszego pianisty i pierwszego ministra, który...

— Zbadamy, zbadamy i to...

— Co tu badać zasługi Paderewskiego?... aksjomat w trzecim czytaniu!...

— Niewątpliwie...

— Jeszcze zalany...

— Czy pan ma bilet? Dziękujemy, a oto bilet i adres kapitana, który zresztą jest w lokalu.

— A, nie wyszedł? no to przynajmniej... razem byliśmy w okopach... legjony... panowie rozumieją? Mnie brak sił na zrozumienie tego...

— Musiał pan kapitana obrazić...

— Być może... trudno, trudno, ale widocznie Poznań leży za daleko...

— Zbadamy wszystko — rzekł oficer pojednawca i tu parsknął śmiechem, a z nim inni oficerowie.

W rękę porucznika Odwagi nagle błysnął jakiś przedmiot, którym tenże chciał sobie zrobić jak gdyby inhalację przez otwarte usta. Przeszkodzono temu piorunowym chwytem, a strzał gruchnął, strącając kilka szkiełek z żyrandola i nieco tynku z sufitu.

Niedoszłego samobójcę obezwładniono.

Na odgłos strzału ukazał się kapitan.

Trzymany przez oficerów Odwaga rzekł do niego:

— Zenek, chciałem ci strzału oszczędzić...

— Nie mam żalu do ciebie, Wojtek...

— Trudna rada, jutro sobie powtórzymy... tam nam nikt nie przeszkodzi...

— A może przeszkodzi?...

— Kto?...

— No ten Marszałek, któremu potrzebny jest dobry oficer...

Odwaga wyrwał się oficerom i spoił w serdecznym uścisku z kapitanem, który wolną ręką łązy ocierał.

— Zenek! jutro! a niech nikt mojej żonie nie opowie!

Wszystko załatwimy i wszystko zbadamy!!...

Gdy nad ranem sprzątano, znaleziono rozerwany złoty łańcuszek z medaljonikiem, w którym była głowa Chrystusa w koronie z cierni.



## XXII.

### PAŁACE.

Przywódcy związków zawodowych w Polsce, odczuli na własnej skórze obojętność tłumów robotniczych, dotkniętych kryzysem.

Trzymają się na nogach jeszcze tylko te związki, które uzyskały możność potrącania składek członkowskich w kantorze fabrycznym na wspólnej z zarobkami liście płac.

Celnik — fabrykant wpuścił Marksa do przybytku swego po odrobinę grosza. Wiadomo, że ta odrobina urasta do potęgi. Za sumy stąd powstałe nawet w biednej Polsce wybudowano kilka pięknych domów ludowych.

Na szarym końcu wielkiego, jak autostrada, stołu jadalnego przemysłu podaje się niewielka potrawa, ot taka sobie dziesiąta część kęsa chleba, i za to można wybudować olśniewający pałac, byle pieniądz na ten cel był zebrany nie po amatorsku, nie na ochotnika, albo ideowo, lecz porządnie — kapitalistycznie.

I gdy tak sobie proletarjat przez lat cztery — pięć się przyczai, a ideologję nienawiści klasowej

oprawi cierpliwie w ramki kapaniny uzbieranego grosza — może mieć własny pałac!

Więc kto w Polsce wznosił kilka pięknych domów ludowych? Kto był bankierem tych kilku wydarzeń, z których każde witane było przez mówców z dumą i z entuzjazmem, jako dzieło ludu pracy?

Czyja siła dźwignęła te gmachy?

Siła ludu, czy — kapitału?

Jedna i druga?

W jakim stopniu jedna, w jakim — druga?

A może druga ze strachu przed pierwszą?

Łuk i przeciwnik. Courbe i contrecourbe. Wszak i arkada rzymska pnie się ku górze dwoma stropami godzącymi w siebie wzajemnie, aż dopiero ostatni kamień zapewnia równowagę.

Gdy ten ostatni kamień gładko bez szmeru i zatarcia wskoczy i łuk zamknie, wszyscy są zadowoleni.

Związki zawodowe, jako organizmy zbiorowe nowoczesnych niewolników, naśladują ruchy i zwyczaje władców.

Któregoś dnia widocznie Chrystus przeszedł między rozkazem, a pracą, gdyż jedni i drudzy nazwali się pracodawcami.

Jedni i drudzy dają pracę.

Jedni z powozu, albo z kantoru.

A drudzy ze wszystkich sił.

Dlatego to pracodawca z limuzyny buduje sobie pałac i pracodawca ze wszystkich sił także sobie buduje pałac.

W tych pałacach pracodawca mieszka naprzeciwko pracodawcy.

Zaciera się różnica pomiędzy brać i dawać — możeby zanikła, gdyby nie to, że daje się nie wtedy, kiedy się bierze... i że zupełnie co innego się daje, niż się bierze.

Owo „co innego” wynikało stąd, że obok potrzeby powstało pojęcie ponad — potrzeby, czyli potrzeby na zapas.

Kiedyś upolowanej zwierzyny nie pożarto, i pozostał zapas. Auguste Comte i Napoleon, matematycy, byli twórcami zapasów. Zapas, gdy się zależał, zatruwał powietrze. Zapas, który się zależał, jeżeli nie zatruł powietrza, zatruł dusze.

Kiedyś, gdy knieje węgla kamiennego szumiały jeszcze konarami, wędrująca niewiasta nie napotkała w porę samca upragnionego, i oto powstała w jej łonie krew zbyteczna, zapasowa.

Zapas krwi...

Zapas jądła, zarcia...

Zapas wiadomości — nauka...

Zapas praw — kodeks...

Summum jus — summa injuria!...

Najwyższe prawo — szczyt bezprawia!...

Dlatego Chrystus wszedł do świątyni z powro-  
zami w ręku.

...Widziano Chrystusa, jak ocierał pot z czoła  
bachantce rwącej grona do kosza za dniówkę.

...A oto lutnistka sulfatoru — wielkiej harfy  
tkackiej. Wszyscy nosimy po kawałku jej melodji na  
grzbiecie.

...A oto górnik kraje drgającym mieczem japoń-  
skim skamieniały krzyż męczeński na sprzedaż.

Górnik ma związek zawodowy. Na zjazdach,  
jubileuszach i pogrzebach występują górnicy, jak pod-  
ziemna huzarja, z czarnymi piórami na głowach.

Właściciel kopalni ma też związek.

Za królów Piastów wraz z prawem Chełmińskim  
dostała Polska rzemiosło z heblem, a miasta i mia-  
steczka z rynkiem (Ring).

Hebel — to drzewo z żelaznym językiem, który zlizuje wióry z drugiego drzewa, a rynek (Ring) — jest to puste miejsce, na które zjeżdżają konno wozami i przychodzą pieszo.

Na rynku z heblem pod pachą czekał człowiek, zanim dostał robotę. Był sam jeden wobec wszystkich i, o ile w cechu nie pracował, to mógł umierać, gdzie chciał.

Rewolucja francuska postawiła króla na rynku wobec wszystkich i ścięła mu głowę, a ludowi powiedziano, że zapanowała równość i powszechne prawo do pracy.

Widziano Chrystusa, jak otarł spocone czoło małego syna królewskiego w więzieniu. Tego, który to widział, ścięto nazajutrz. Zdążył zawołać: Chryste! — Na głównym ołtarzu w katedrze „Naszej Pani” zasiadła naga niewiasta.

Widziano Chrystusa, jak przebaczył płaczącej jawno grzeszniczcy, której na imię było Józefina.

Zaczęło się królowanie rzesz, czyli związków zawodowych. Zrazu trwożliwe — stawiają związki zawodowe kroki coraz śmielsze. Były chwile w Odrodzonej Polsce, że przywódcy związków próbowali bombardować w imię praw ludu zręby młodej państwowości.

Ktoś był na tyle mocny, że tego nie chciał.

Ktoś był na tyle słaby, że ustąpił mocnemu.

Zadanie dziejowe polega na tem, jak ma się ustosunkować rząd do dwu wielkich organizacji — najemników i posiadaczy. O rozbrojeniu, albo o rozbiórce tych budowli społecznych zawsze ze sobą sąsiadujących mowy być nie może.

Gdy Glorjan zorjentował się w stanie interesów zmarłego teścia, gdy wytłomaczył wielu kuzynom

i jednemu zjazdowi rodzinnemu dalekich i gołych Bruttów, że obejdzie się bez czyjejkolwiek pomocy, gdy wytrzymał skutki towarzyskie swego posunięcia i przestał bywać w klubie odwiedzanym przez tych właśnie gołych kuzynów żony, gdy wreszcie skonstatawał u Teresy zachwyty dla tych kroków i postanowień — zaczął rządzić wielką fortuną.

Wszyscy poddali się chętnie władzy Glorjana, gdy zauważyli, że nie zamierza ich przekonywać, ani przemawiać im do rozsądku.

— On ma coś w oczach takiego, że nie potrzebuje gadać. Główny administrator, wymieniony w testamencie, jako nieusuwalny, pan Damazy Dobierałło (podobno z hrabiów), bardzo układny i rzeczowy jegoś, tak zaczął pierwszy raport:

— Składając na ręce pańskie szczery żal po stracie chlebobawcy naszego, mam tę pewność, że wielce szanowny pan hrabia...

Glorjan przerwał mówcy:

— Proszę pana, żal po stracie mego teścia, hrabiego Brutto przyjmuję, jako zupełnie zrozumiałą, ale, o ile mamy razem pracować, żaden z nas nie może być hrabią.

— Nie zamierzam bynajmniej przypominać się z moim tytułem hrabiowskim — rzekł z ukłonem Dobierałło.

— Ani ja, gdyż nie mam co przypominać.

— Zatem pozwoli szanowny pan, że zwrócę uwagę w zestawieniu personelu na potężną pozycję 5000 fernali.

— Małe wojsko...

— Są zorganizowani w związki zawodowe.

— No, oczywiście, ja sam należałem do związku w roku 1905-tym.



— Tak, ale to były inne czasy, proszę szanownego pana. Dzisiejsze związki czują się już u siebie w domu.

— A czy mają zamiar ten własny dom podpalić?

— Narazie nie zanosi się na to, ale trzeba politykować...

— Trzeba płacić za pracę i nie zalegać.

— Złote słowa, ale...

— Czy prawodawstwo nasze upoważnia związki do kontroli nad moim gospodarstwem?

— Broń Panie Boże!...

— Tu niema czego Bóg bronić, panie Dobierałto. Mają prawo kontroli, czy nie?

— Nie mają.

— Więc gdy zaczną mieć, to pogadamy.

— Proszę szanownego pana, radziłbym jednak poznać osobiście Jana Pawelca, używającego nazwiska Ochwaciński. To ich prezes.

— Nieszczególne nazwisko dla hodowli — Ochwaciński.

— Bardzo popularny. Jest posłem, zresztą dość kulturalny.

— Tem lepiej dla niego, ale, ale... czy on nie nazywał się dawniej Strąk?

— Ten sam, był kiedyś bojowcem niepodległościowym.

— A czegoż on teraz chce?

— Prezesuje związkowi fernali.

— No cóż? mogę go poznać.

— Jest u mnie w gabinecie. Im wcześniej, tem lepiej...

— Ja się nie spieszę, ale niech go pan wezwie.

Poseł Ochwaciński władczymi oczami spojrział na Glorjana, który go uprzejmie powitał i pierwszy przypomniał dawne dzieje:

— My się znamy z roku 1905-tego...

— Pamiętacie Mniszkowice z żandarmami, a Klonów z kozakami?

— Pamiętam, proszę pana, ale obecnie chcę wolnemu ludowi co innego zaproponować.

— Słusznie, proszę pana, już mamy niepodległość. Zdobyliśmy ją własnymi rękami. Wszak pan należy do ludu?

— Należę, proszę pana, do liczby tych, którzy chcą przeprowadzić racjonalną parcelację ziemi. Należę do tych, którzyby chcieli widzieć mniej fornali, a więcej obywateli.

— Doprawdy, uszom nie wierzę. Toż to nasz program.

— Czyj — nasz?

— Socjalistyczny.

— No, niezupełnie, boć panowie chyba na parcelacji nie chcą poprzestać?

— Oczywiście, użyłem tego zwrotu tylko ad hoc. Chciałem pana jednak ostrzec, żeby raptowna parcelacja nie pozbawiła państwa dochodu.

— A pana — członków związku — dodał Glorjan.

Ochwaciński spojrział na Dobierałkę, a ten opuścił głowę, milcząc.

— To dziwne, panie Glorjan, że ja, socjalistyczny działacz, muszę pana powstrzymywać...

— Nie musi pan, bo po pierwsze nie powstrzyma pan, a po drugie, niech pan raczej siebie do tego, co ja zrobię, przystosuje. Poza tem, panie Ochwaciński, komunikuję panu, że dotychczasowe regulaminy w Kluczach, któremi rządzę, nie ulegną żadnej zmianie do odwołania.

— A kiedy nastąpi odwołanie, panie Glorjan?

— A kiedy nastąpi przyszły ustrój, panie Ochwaciński?

— Żegnam pana.

— Żegnam.

Wieść o tej rozmowie rozeszła się piorunem. Powtarzano sobie, że Ochwaciński zagroził Glorjanowi strajkiem powszechnym, na co mu Glorjan pokazał drzwi, których Ochwaciński nie chciał dostrzec i zapowiedział upaństwowienie środków produkcji, poczem dopiero wyszedł trzasnąwszy jeszcze burżuazyjnymi drzwiami, a w sieni, a właściwie, w przedsiönku pałacowym wrzeszczał:

— Taki robociarski hrabia to gorszy, psia jego mama, od prawdziwego. Ma teraz pałac. Mamy i my swój pałac, zobaczmy, który dłużej przestoi.

Glorjan zyskał opinię tęgiego administratora.

— To już nie hreczkosiej, lecz producent na wielką skalę. Więcej takich.

Sfery rządzące zaczęły wykorzystywać Glorjana w przeróżnych sprawach delikatnej natury.

Gdy do Warszawy przyjechał odwetowo Radek Sobelson, uproszono Glorjana, żeby urządził u siebie w pałacu przyjęcie z nielicznym udziałem osób, upatrzonych zgóry.

Powojenne pokolenia polskie już nie znają Radka. Znikł z Polski wraz z przedwojenną esdecją, która w rosyjskich Sowietach ujrzała wcielenie swoich i nie swoich aspiracji.

Glorjan znał dobrze Radka jeszcze z dyskusji krakowskich w organizacjach młodzieży.

Był już wtedy ascetycznym typem husyty z małego miasteczka. W esdeckość wierzył, jak lichwiarz w tymczasowe wykonanie z komornikiem. W oczach paliły mu się na poczekaniu wszystkie egzemplarze

Przedświtu, gdzie P.P.S. udowadniała konieczność i możliwość wywalczenia niepodległej Polski. Śmiał się z tego, wyszydzał, przeklinał, dostawał kaszlu, wreszcie dostał się do Rossji.

Radek, Kohn, Dzierżyński, Lewinson, Horwitz (Walecki) — to sui generis emigracja z Polski jeszcze zanim niepodległość nasza została utrwalona.

W roku 1920-tym ta gromada bolszewickich esdeków polskiego pochodzenia i polskiego chowu jechała do Polski sprawować rządy.

Rossja nie powierzyła Radkowi funkcji naczelnej. Batoryzm rosyjski woli Stalina. Radek byłby w czapie Monomacha zanadto Jerychoński. Przysłany został do Polski w misji pomniejszej dla nawiązania szpaगतu stosunków.

Glorjan zaprosił wskazane osoby, a zarazem przez Dobierałkę pana posła Ochwacińskiego. Ten jednak odmówił, żeby nie robić, — jak się wyraził, — „demonstrancji“.

Radek zachowywał się poprawnie, jak człowiek, któremu nie udały się prorocstwa, ale który ma czas.

Radek należy do narodu, który ciągle oczekuje Mesjasza, pomimo, że jest w tym względzie mocno spóźniony. Z gospodarzem wymienił mnóstwo serdeczności i nawet stylizował zupełną szczerłość.

— Pytacie się, co my damy światu? Jeszcze dziesięć lat temu, nie wiedziałem, co damy, ale dziś już wiem. Musimy świat przeorać!

— Przeorać? Niechże pan przeor powie, kiedy i jakim narzędziem?

— Z przyjemnością, a raczej bez przyjemności, gdyż narzędzie jest nieprzyjemne.

Nauczmy świat mniej żryć. Oto narzędzie! Czy to mało? My to nie gorzej potrafimy od japończyków i chińczyków. Czy sądzicie, Glorjan, że żartuję, że

esdekuje, że wykpiwam szlachtę, albo was, nowego bogacza? Broń Boże!... Czy wiecie, czego ja się tam w Rosji nauczyłem? Zaraz wam powiem. Nauczyłem się, że świat chrześcijański i przedchrześcijański, jaskiniowy i lodowcowy — wszystkie razem — istnieją bardzo krótko, ale że stosunkowo najprędzej ze wszystkich stworzeń tak zwany człowiek nauczył się żyć.

Przecie wy mi nie zaprzeczycie, że tak zwany kapitał, złoty, srebrny, czy papierowy, czekowy, czy niedoczekany, zupełnie nie istnieje. Istnieją tylko potrzeby. Otóż potrzebę żarcia człowiek doprowadził do sztuki. Ludwik XIV-ty dziurawem podniebieniem żarł, jak rekin, a i ja, Radek Sobelson, byłem esdek, a obecny bolszewik, — żrę i to jeszcze jak! Otóż my niesiemy światu nowy budżet.

Myśmy się dość nakłęli na tamtejszego ich Mikołaja i na naszego Stanisława Poniatowskiego, na Kruppa, na Zacharowa, Rotszylda, Kreugera, Scheiblera i innych. Należało od klątwy przejść do reformy. A więc: mniej żyć!

— Czyż można jeść mniej, niż u was tam jedzą?

— Widzicie, Glorjan, już was mam w saku! Zaraz wyskoczył stary przedwojenny filantrop. A ja wam zarzucę na waszą niepodległą mózgownicę sieć Chrystusa, który obdzielił tak, że starczyło dla wszystkich. Ponieważ nie mam czasu czekać na żydowskiego Chrystusa, biorę tego, który już był. Chrystus nie był filantropem. On obdzielił. Rozumiecie? I my obdzielimy! Cóż wy na to.

Glorjan, nie tracąc rezonu, odparował:

— Przed taką rozmową - bitwą, należałoby pójść do spowiedzi z grzechów dziejowych...

— Po co chodzić? można tutaj, w tym pięknym pałacu, gdzie pełno grzechów po kątach...



Glorjan kiwnął głową i zaczął:

— Dlaczego nie daliście wolności swoim narodom?

— Dlatego, że jedne narody poszłyby do was, a drugie rzuciłyby się na nas.

— A, więc ze strachu?

— Daj mi Boże więcej takiego strachu do handlu...

— Żartujemy?...

— Dobrze, nie żartujmy!... Tak, — ze strachu! Znacie, Glorjan, Sykstyne? Tam Adam wyciąga rękę do Stwórcy, do onegdajszego Zeusa, także ze strachu, żeby nie upadł... Największe rzeczy robimy ze strachu!...

— Więc i żyjemy ze strachu?

— Tak, sto razy tak! Ze strachu! Ale rozwój świata polega na ciągłej zmianie tych strachów. My chcemy wypędzić strach żarcia i zastąpić go przez inny strach, strach - władzy..

— To już było...

— Napewno było, ale my chcemy wznowić. Czy się nie wznawia Hamleta, gdy się znajdują zwłaszcza aktorzy? Zresztą dostaliśmy w ręce tym razem nie scenę teatralną, nie wyspę utopję, nie formułę, tylko dawną Rossję. Dlatego musieliśmy sięgnąć i po was... Nie udało się. Trudno. Nie można wami rządzić, przyjechałem z wizytą.

— Znowu żarty?...

Radek zachnął się:

— Czy mi nie wolno cieszyć się na widok czyjeś planu dokonanego, jak ja wykonałem tam swój?

— Aż tam — i — swój? drwiąco powtórzył Glorjan.

— Tak jest: tam — swój! Czułem oddawna, że mój socjaldemokratyczny plan nie miał szans w Pol-

sce, opanowanej jeszcze tam w Krakowie przez czło-  
wieka może nie rozumiejącego nawet socjal - demo-  
kracji, ale dość mocnego, ażeby jej się przeciwstawić.  
Czując tak, musiałem szukać terenu.

Pisaliście w r. 1920-tych, że kłamiemy, niosąc  
wolność robotnikom fabrycznym i rolnym Polski Pił-  
sudskiego. Nie wiem, kto u nas kłamał, ale ja, polski  
żyd, esdek, a potem bolszewik systemu politycznego  
sowieckiego, wierzyłem w to! Jeżeli kłamałem, to  
nie gorzej ani lepiej, niż Saint Simon, który nie szczę-  
dził wyzwisk Ludwikowi XIV-mu, chociaż ten monar-  
cha zbudował mocarstwo Francuskie. Saint Simon  
pisał w przededniu Sedanu, i potrzebne mu były kłā-  
twy na Burbonów, ażeby powiększyć liczbę wrogów  
Restauracji. Kłamał, ażeby dać świadectwo swojej  
prawdzie o nędznych domach chłopskich bez dachów  
w pobliżu rezydencji Ludwika XIV-go. Jeżeli tak  
było wówczas, to niech będzie, że i ja kłamię.

Ksiądz Wdowiec zdjął okulary, co znaczyło, że  
pragnie głos zabrać.

— Proszę pana, pan „skłamał”, oczywiście w cu-  
dzysłowie, nie w tem miejscu, gdzie się pan do tego  
przyznaje. Skłamał pan i znowu w cudzysłowie tam,  
gdzie pan przypisuje sobie nowość dziejową, miano-  
wicie, zmniejszony budżet pod tytułem zdecydowa-  
nie kulinarnym, a mianowicie: mniej żryć. To nie  
pan, panie Radek, niesie głód, to głód niesie pana.

— A czy ksiądz przypuszcza, że ja się tak dam  
nieść głodowi pod pachą, jak zamknięta książka od  
nabożeństwa, czy talmud? Nie, ja pod tą pachą gło-  
du miałem coś do zrobienia i to zostało zrobione!  
Podczas tej niesłychanej mustry pracy, jaka ma miej-  
sce w sowieckiej Rossji, obojętne jest, kto kogo niesie.

— Nie obojętne, jeżeli zadanie postawimy tak,  
że nie sztuka nieść, że trzeba donieść, chociażbyśmy

machnęli ręką na to, kto kogo. Donieść trzeba! Tylko że owo „donieść” to nie znaczy, prawda, zrobić donos, tylko znaczy zaspokoić minimalne potrzeby narodu, a jak się da, to i większe potrzeby. I dlatego mówię panu, że pan się oparł nie na Chrystusowym podziale, a na głodzie, na kaduczym głodzie. Wasze tłumy mają przed wami głodomores!

— Chwała Bogu, że nie ma stosów, bo już bym się czuł u kresu, przyznaję...

— Nie zastosowałbym do pana stosu, gdyż zbyt prędko by się pan spalił, ku niezadowoleniu publiczności.

— Niech Bóg czuwa nad Polską, gdy ma taki humor, ale proszę mi dać dokończyć, proszę nożyce zachować dla ministrów skarbu. Panie szanowny i w dodatku księżę, niech pan sobie z mojej teorii zabierze wszystko, co się zdaniem pańskim należy jakiemukolwiek bogu, ale mnie niech pan zostawi to, co uczciwie odziedziczyłem po carach, to jest — władzę. Czy i tu kłamię? Czy tego narzędzia nie ocaliliśmy, jak owi mieszczanie paryscy w XIII wieku ocalili honor królów Francji? Czy pan jest pewien, księżę, że ktokolwiek ośmieli się o tej naszej zasłudze zapomnieć?

Zapanowała cisza. Oczy Radka pałały już nie dawnym krakowskim blaskiem, ale jakimś tragizmu pełnym ferworem tułacza, który coś znalazł i z czemś przejeżdża do rodzinnego gniazda.

— Nam władzy nie potrzeba — rzekł głosem Kordeckiego, Wdowiec.

— Wiem.

— Więc po co to zachwalanie głodu, ta apoteoza Chrystusa, który oddawna jest w niebie.

— Na mój rozum, zadługo przebywa w niebie.

Skąd pan wie, księżu, że my go nie sprowadzimy? Pan pewno powie: zawczasie! Należało jeszcze pertraktować. Należało pojechać do Jekaterymburga, zejść do piwnicy, do carskiej rodziny i zawołać: ostatnia próba, przebaczymy, ale prosimy się poprawić! Należało ich wyprowadzić z suteryny na świat, potem dać się nazajutrz powiesić i pod stryczkiem zawołać: niech żyje poprawa! Czy tak? Zawczasie? Czy Zacharow i Kreuger to jeszcze mało? Czy amerykańska prohibicja to jeszcze mało? Czy zaoopatrywanie świata w oręż przez Wickersa, to jeszcze mało? Czy wojna światowa niepotrzebnie przez trzy lata aprowidowana przez Anglię — to mało? Gdy sprawdzają się jedno po drugim wszystkie proroctwa Fouriera, który pisał, gdy Marks miał zaledwie 8 lat, i który wszystko odgadł — czy to jeszcze zawczasie? Więc postawcie, księżu, jakąś datę na przyszłość.

— Żadnej nie postawię! — padła odpowiedź.

— Otóż to: żadnej! Spowiednicza tajemnica. Oraculum locutum...

— Żadnej daty nie stawiam na przyszłość. Mam za to o wiele więcej od pana dat w przeszłości, zanim jeszcze pan zaistniał w Polsce, jako syn swoich galijskich rodziców. Pan te daty znać powinien.

— Znam je nie gorzej od księdza!

— Nie wątpię, to też dziwi mnie, że pan zachwala głód w kraju, i przed narodem, o którym pan wie, że najwyżej ceni bohaterstwo.

— Czy zawsze i czy zawsze cały naród czczył to bohaterstwo?

— Ręczę panu, że w najokropniejszej naszej epoce doliczę się więcej wyznawców bohaterstwa, niż u pana czicieli głodu.

— Ależ nie jestem czcicielem głodu, proszę księdza! Zapytali mnie panowie, co my niesiemy nowego? Dałem uczciwą odpowiedź. Czy się to wyda miłym, czy niedogodnym, powtarzam: niesiemy skromniejszy standart życiowych potrzeb. Nawet nie twierdzę, że ten standart skuje świat nazawsze. Oczywiście, że nie, ale mnie nie o to pytano.

— Czy teraz pan rozumie, dlaczego nasz Piłsudski nie chciał stanąć na czele głodu?...

— Jeszcze głodu nie było, gdy Piłsudski stawał na czele, — nie on też przyniósł potem ten głód.

— Tu zgadzam się z panem.

— Chwała bogom!... Ale nam chodzi o istotę głodu, wszak prawda? Głód powstał od chwili, gdy kapitał zamiast być sumą potrzeb, stał się sumą interesów. Jeść chcą wszyscy, a interesy prowadzą nie wszyscy i ci niwyszyscy skupili w swych rękach kapitał. Dlatego to zabrakło pieniędzy dla wielu, wielu... Kapitał dla wszystkich — to anioł z pańskiej armji. Kapitał dla niektórych — to szatan...

— Z pańskiej armji — przerwał Wdowiec.

— Czy tylko z mojej? — uśmiechnął się Radek.

Proszę księdza, o tego szatana nie walczy. Już dawno Chrystus wypędził go ze świątyni, a znacznie później dano go na wychowanie, na garnuszek Markso-wi, który zajął się jego edukacją. Proszę panów, w roku 1870-tym na miliard trzysta milionów ludzi przypadało obiegowych złotych i srebrnych pieniędzy sto dwadzieścia miliardów złotych, czyli na obywatela przypadało 92 złote obiegu. Stosunek ten w dniu dzisiejszym, gdy ludzi żyje na świecie miliard osiemset milionów nie powiększył się odpowiednio, i ciągle narzekamy na brak obiegu. Jeżeli świat nie pójdzie na inflację, to musi syty podzielić się z głodnym,



oczywiście, nie tak z łaski, tylko z kalkulacji i dla tak zwanego bezpieczeństwa...

— Czy panowie już to zrobili? — spytał Glorjan.

— Niech pan się spyta swoich obecnych kuzynów, Branickich i synów zmarłego tragicznie Józefa Potockiego z Antonin. Antoniny i Biała - Cerkiew — to jednak jest pewnego rodzaju podział. Potocki jeszcze w Dumie carskiej dyskutował sprawę oddania ziemi, żądał tylko wzamian odszkodowania za melioracje, jak mówił.

Radek uśmiechał się, jak myśliwy opowiadający o swoim sławnym dublecie.

Glorjan patrzył na mówiącego spokojnie.

— Panie Radek, pan wie, że rozmawiamy w kraju, gdzie oddawanie ziemi nie jest nowością.

— Może nie jest nowością, ale ciągnie się dość długo.

— Z tem się zgadzam, ale może tu tkwi przyczyna że panowie prędzej doszli do żyły głodu, niż my. Moje dobra nie są mniejsze od Antonińskich, a nawet większe. Postanowiłem rozparcelować je i w ten sposób mam nadzieję stworzyć dość znaczną liczbę obywateli, zainteresowanych w istnieniu Polski...

— A cóż na to wódz fernali Jan Ochwaciński? Czy jemu podoba się pański plan?

— Nie rozmawiałem z nim o tem — skłamał Glorjan i spojrział baczniej na gościa, który kiwał głową.

— Pozbawi pan Ochwacińskiego fernali, płacących składki do związku obałamucania ludu pracującego na roli, ale mniejsza o to. Jeżeli wolno, chciałbym jeszcze na chwilę powrócić do mego głodu. Wraz z sowieckim głodem wyruszył na podbój rynków europejskich głód japoński. Z czasem może to

samo przyjść do głowy chińskiemu. Czy te moje przypuszczenia nazwiecie panowie apotezą głodu?

— Dżengishanjada rediviva! — wtrącił Wdowiec.

— Brawo, księżel! Ale każda vis rediviva jest to vis creatrix, czy nie tak?

— O ile to będzie vis — to tak, ale jeżeli będzie to kataklizm?..

— To także — tak!

— Nikt dobrowolnie nie chciał schamieć!

— A któż mówi, że koniecznie dobrowolnie?

— A więc tak?

— A więc jak? — prawie krzyknął zaczerwieniony na zielono Radek i zerwał się ze stylowego fotela, jak z krzesła elektrycznego.

— Niech panowie nie lekceważą naszego głodu... Szczególnie wy, polacy, nie lekceważcie go!... Głodujemy na całym Momblanie dóbr doczesnych, po które świat jeszcze się nie zgłosił, ale po które zgłosić się będzie musiał. Świat ma na Rossję wycelowaną po pierwsze wielką lufę z nabojem ludzkim inżynierów, dyrektorów, a nawet robotników. Po drugie Rosja głodująca jest dla świata, jak wielka chłodnia, od której klucz zgubiono, albo schowano, a w której zamknięto dwie piąte zapasów świata. Więc po drugie nasi kupcy będą mieli coś niecoś do sprzedania światu.

— A własność prywatna?

— Czyja? wasza, czy nasza? Wasza jest goła i pod obuchem rządu, a nasza czeka, jak fakir złożony do grobu.

— A więc — tak?

— A, więc — jak?

Ksiądz chce świat poprawić?

Może zorganizować złodziei? Stworzyć towarzystwo akcyjne wzajemnych kradzieży bez odpowiedzialności. Pierwszego dnia ukradną kapitał zakładowy i przestaną kraść. Czy tak?

Weszła Teresa, wiedziona ciekawością zobaczenia gościa.

— Pan Radek — przedstawił Glorjan gościa, a ten dodał wesoło! Mam jeszcze nazwisko Sobelson, które zawdzięczam jednemu z przodków szanownej pani.

— Jakimże to sposobem?

— Zwyczajnie. Mój pradziad handlował futrami sobolowemi i gdy nadawano nam zamiast imion rodowych, nazwiska, — został przezwany — Sobelson. Mieszkał w miasteczku, należącym do jednego z Bruttów galicyjskich. Mamy więc wspólne futra.

— Był to Kajetan Brutto, wojewoda. Zapisał memu dziadkowi przepiękną kolekcję futer sobolowych.

— A szanowny gospodarz i ksiądz Wdowiec uważają mnie za niszczyciela ładu świata! Jestem cały podbity najdroższymi futrami, i papiery moje przed chwilą poszły w górę, dzięki zapisowi dziadka Kajetana.

— Najuprzejmiej proszę na skromny posiłek.

— Dobrze się składa, gdyż rozmawialiśmy długo o głodzie.

— To twoja wina, Janku.

— Ależ nie o głodzie, tylko o — gło - dzie, jako zjawisku.

— Ach, to zupełnie coś innego.

— Tak, proszę pani, jest to czasami zupełnie co innego.

Zasiedli do stołu w jadalni wielkiej, jak kościół.

— A po kolacji pojedziemy autami na Stare Miasto zobaczyć choinkę, dobrze?

— Z wielką przyjemnością, proszę pani.

— Cóż to za głodowy spór panowie prowadzili?

— Jako specjalista od głodu, streszczę z przyjemnością naszą rozmowę i usłyszymy wyrok, czy zgoda?

— Nigdy nie byłam głodna, niestety...

— Ależ to całe szczęście! Więc zaczynam, ale z jednym warunkiem, o którego przyjęcie proszę zgóry.

— Przyjmujemy — rzekła Teresa w imieniu wszystkich.

Radek spoważniał i przesunął ręką po czole.

— Szanowni i drodzy państwo. Doznaję w tym domu wielu wzruszeń, pomimo iż jest to jeden z pałaców, które, jak głosi moja nauka, żyją cudzym wysiłkiem. Gospodarz Glorjan, z którym przed laty dyskutowaliśmy nad sprawami najważniejszymi, ksiądz Wdowiec, którego artykuły zwalczałem, nie znając osobiście autora, i pani domu, potomkini dobrodzieja mojego prapraszczura — to za wiele jak na jeden nawet tak piękny pałac i na jednego tak niedużego człowieka. Szanowna pani! zapytano mnie godzinę temu, co nowego zawiera się w reprezentowanej przezemnie idei? Tu, zanim odpowiem, wznawiam mój warunek. Nie przerywajcie mi. Niech pani Szanowna wezmie mnie przed nimi w obronę. Ja potrafię kąsać, a oni ciąć, ale jak ciąć! Sobieski by się rozplakał z radości, jak oni tną, a cóż ja? Ktoś z mojego plemienia Chrystusowi podał łąbkę z octem. Może to zresztą był rzymianin, ale i ja sam, jak mnie tu widzicie, potrafię octem nakarmić. Ciąć nie umiem. O!óż na zapytanie, jaką nowość reprezentuję, odpowiedziałem: głód. Reprezentuję głód i proponuję głód,

jako menu. Oni się na to nie chcą zgodzić, twierdząc, że w takim razie w Europie zapanuje Azja. Na to odpowiedziałem: już raz panowała Azja nad Europą stosunkowo niedawno, bo wszystkiego 6.000 lat temu. Od tego czasu było 50 wojen światowych, jeden proch, jeden Chrystus, jedna elektryczność, kilkanaście kongresów socjalistycznych, motor latający, radium, radjo, lues i kilka trzęsień ziemi. Przez ten czas tylko Babilon uległ zagładzie, a znacznie potem Herculanium i Pompea, ale co rok wyrasta zboże, z którego robimy chleb nie dla wszystkich i w ten sposób cały kłopot. Czy mam rację, proszę pani?

— Nie wiem, co pan ambasador uczyni ze mną po przyznaniu mi racji?

— Czcigodna pani, po przyznaniu mi racji zamienię się w sobolowe futro i złożę samego siebie w darze.

— W takim razie, nie ma pan racji.

— A pani ma już dość futer!

Po obiedzie udano się dwiema limuzynami na Stare Miasto.

Podeszli do wielkiego iluminowanego świerku.

— Czy to Piłsudski kazał, żeby ten świerk był taki wysoki?

— Być może — odpowiedziała Teresa.

Gdy ciepła limuzyna odwoziła Radka i Wdowca do ich mieszkań, zapytał ksiądz oryginalnego gościa:

— O czym pan myśli?

— Przyznam się księdzu... Po raz pierwszy w życiu odmawiam: i nie wódz nas na pokuszenie. Ksiądz przypuszcza, że mam na myśli piękną panią Teresę? Nic podobnego! Myślę o Polsce. Ale i wy, panowie, mówicie coraz częściej: nie wódz nas, — gdy obserwujecie nasze Sowiety. Bo, proszę, my pra-



cujemy dla republiki rad, a wy pracujecie dla Republiki, powiedzmy, burżuazyjnej, ale zarówno my, jak i wy wołamy:

— Wszystko dla państwa!

Gdzież więc różnica? Tylko na miłość Boga, proszę mi nie odpowiadać, że różnica jest taka, jak pomiędzy Chrystusem i Antychrystem...

— Czy naprawdę prosi pan o to?

— Już poprosiłem.

— Mogłbym nie usłuchać, gdyż nie jestem gospodarzem tego ciepłego pojazdu...

— Nazywacie Stalina kapitalistycznym dyktatorem, więc powinniśmy się spotkać, kołując wokół jednej prawdy. Mówię nie o ponownym spotkaniu pod Radzyminem, ale mam na myśli ideę państwa.

— Jeżeli państwa niepodległego, to mój dziad jechał z tą ideą w kibitce przez Moskwę na Sybir.

— Wolę taką odpowiedź, niż — Antychrysta.

Pożegnali się pod hotelem dyplomaty.

We wspomniałym apartamencie stołecznego hotelu Sobelson - Radek kładł się spać. Los nie dał mu być gospodarzem Warszawy, lecz zaledwie gościem.

— Płuca wyplułem, dowodząc, że ta wasza niepodległość jest zgoła niepotrzebna, a dla ludu wysoce szkodliwa. I oto jestem tu w Warszawie, stolicy wolnej Polski.

...Gdzie nie dał rady Napoleon, tam zwyciężyliśmy my, bolszewicy! Aleksander I uderzył na cesarza francuzów i zrzucił go z tronu. Wtedy to, napewno wtedy, zaczęło się... Nie Robespierre załatwił sprawę, lecz Aleksander 1-szy! I byłoby wszystko odbywało się logicznie według socjaldemologu świata, aż nagle polakom zachciało się wolnego państwa... No i mają wolne państwo z granicami i z wojskiem, z ciepłą i zimną wodą w łazience, nie mówiąc o łaźni, którą nam

dali w roku 1920-tym... I cóż wam powiem, drodzy towarzysze na waszym miękkim dywanie hotelowym? Istniejecie po to, żeby bolszewizmu do Europy nie wpuścić. Paryż, który likwidując rewolucję, ukorzył się sto lat temu przed Aleksandrem I-szym, w sto lat później — z obawy przed Leninem — nie mogąc uratować tronu rosyjskiego, posłał ambasadora do Warszawy. Hej. Boże jedyny! Gdyby resztę drogi można było przejść po tym miękkim dywanie, ale gdzie tam, gdzie tam! Ta przeklęta teoria wielkich ludzi, którzy wyłamują zasady socjaldemokratyczne i którzy niezupełnie są manekinami, jak to gdzieś kiedyś czytałem, pocieszając się, że sobie z tymi wielkościami łatwo dam radę...

A jakże! nie tak to łatwo... Łatwo jest pisać i czytać, ale spotkać się z takim w Pałacu Zimowym, czy tu w Belwederze (tu nawet nie doszło do spotkania)... Boże ty mój kochany! Ładna mi rewolucja socjalna, dzięki której jedno po drugim powstały z grobu państwa burżuazyjne! A jeszcze, nie daj Boże, i my tam w Moskiewskiej Mekce u stóp Mahometa Mahometowicza już przyjmujemy i oddajemy burżuazyjne wizyty... Tylko patrzeć, a zacniemy mówić: Wasze Wysokoprewoschoditielstwo. Odkorkujemy butle z najdłuższymi wyrazami. Jak się to wszystko potoczy? Karolu Iljiczu Marksie?... Gość zasnął.

O tej porze taka modlitwa była półgłosem szepetana przez księdza Wdowca przed krucyfiksem.

— Chwała ci Chryste, iżeś najwyżej postawił i wywyższył męczeństwo!

...Oto tułacz żydowski zawitał i został przyjęty w wolnej Polsce. Najpiękniejsza markietanka świata dała mu jeść i pić. Oniemiał, a potem ukorzył się przed nią głosiciel przemocy ideowej!...

...Nie pasterz to, zdążający ku Twojej stajence, o Chryste, lecz wykacapiony przez hinduską gwardję królowej angielskiej, przez mameluków Napoleońskich i berlińskich knechtów, oprycznik idei, która jest wypitraszona w kuchni polowej, opalanej angielskiem niezapłaconem drzewem.

...Chryste, żadna teoria Betleemu nie mogła przestoczyć Heroda, czy Cezara na Głównowiercha. Wszystkie szkoły Wschodu, które poznałeś czasu rozmyślań, o Chryste, niosły władcom prawdę i pokutę, nie zaś władzę ciemnocie i pospólstwu.

...Gdy widziałeś, Chryste, zaciskające się pięści tłumu, sprawiałeś, że każda zamykała się na kawałku chleba, albo ryby. Dopiero szatan kusiciel giełdy Europejskiej zaciska głodnym ludziom puste pięści!...

...Benedico te, Teresa, niech twe łoża kwitnie. Rozdaj twe bogactwo między twój lud!....

...Teresa mea! Ty, polska Astarte, ale w zbroi Ateny, która żyjesz męstwem rycerstwa polskiego, oddaj się ludowi!...

...Teresa mea, gdy przemoc Rzymska skruszyła tarczę Ateny i wyrwała jej pikę z władczej dłoni, postanowił Pan, że będzie ona matką Chrystusa, biedna, przez wszystkich opuszczona.

Wdowiec sprawdził oczami, czy nikogo w komnacie niema.

...Atene i Marja, każda po utracie swej Ojczyzny, spłynęły się w jednym macierzyństwie odkupienia.

Wdowiec czynił ręką znaki krzyża, jakby dowodził hufcem świętych:

— Glorjanie, Tereso, oddajcie nic niemającym, a dzwigniecie wielki bank Chrystusa, który pozwoli Polsce obalić każdą przemoc rzymską, każdą przemoc Moskwy i Londynu.

Wdowiec nie spał tej nocy.

Djogenes Niedobicki, zasłyszawszy coś nie coś o agrarnych projektach Glorjana, odwiedził go i spróbował owe plany „szaleńcowi” wyperswadować.

— Bardzo często stykałem się z pańskim teściem, ś. p. Eustachim Brutto. Źle się stało, bardzo źle, że umarł. Czy szanowny pan sądzi, że działa po myśli zmarłego?

— Czy to można zawsze wiedzieć, czego chcą zmarli? — odparł z ukrytą ironją Glorjan.

— Toż to podobno 60.000 morgów! Dwie trzecie dóbr zmarłego hrabiego.

— Tak jest dwie trzecie.

— A co pan szanowny zamyśla uczynić z pozostałą jedną trzecią?

— To samo.

— Więc wszystko pan odda?

— Tak, wszystko.

— Co za łatwość gestu!...

— Widzi pan, ojciec mój był robotnikiem. Nie posiadał nic, i mnie nauczył nic nieposiadać.

— A jednak tytuł własności...

— Zamiast jednego tytułu własności stworzę 1500 tytułów.

— Upadnie gospodarstwo rolne na takiej przestrzeni.

Glorjan spojrział na gościa.

— Panie Niedobicki, na całej przestrzeni państwa zniszczyłeś pan zarobki robotnicze. Postępujesz pan, jak oszalały biczownik, który galopuje, smagając się po plecach i myśląc, że coś ciągnie. Widzi pan, świat przemysłowy po wojnie zgubił coś ważnego i chce to coś jeszcze raz odnaleźć w kieszeni ludu, nie zaś we własnej głowie.

— Więc czem napełnić kieszeń?...

Glorjan uśmiechnął się.

— Panie Niedobicki, współczuję panu, i dotykam palcem pańskiego centralnego pytania: gdzie się podział dochód? Odpowiem panu: pański dochód przepadł w kieszeni mało przez pana opłacanego robotnika.

Ja jeszcze ziemi nie oddałem. Jeżeli pan od jutra podniesie płace o 20 %, to zrzeknę się mego planu.

— Niemożliwe...

— Byłem pewien tej odpowiedzi. Pan nie umie dawać, pan uczył się brać, dlatego to ziemia moja przejdzie w liczne ręce drobnych posiadaczy. Dostaną kapitał i zmuszą pana do podniesienia płac.

— Dlaczego pan szanowny nie chce dać tego kapitału przemysłowi?...

— Co takiego? Na dalsze obniżanie płac? Ani złamanego grosza!

— Widzę, panie Glorjan, że przegrałem...

— Powinien się pan cieszyć z tej przegranej... — panie Niedobicki.

Wkrótce kolosalna dotacja Glorjanów przedostała się na szpalty.

Pewien głośny poseł socjalistyczny, a cichy urzędnik pocztowy, Kazimierz Puszczczyk, tak pisał o dziele Glorjana:

„Bez pomocy pp. Glorjanów ziemia przejdzie w ręce ludu. Gdyby mi dano do wyboru całą ziemię w prezencie, czy 1 hektar zdobyty, nie namyślałbym się ani chwili”.

...Tak jest, wzięłyby całą ziemię, a zdobyłyby jeden hektar” — komentowano w sejmie artykuł Puszczyka.



Pan Kazimierz Puszczyk nazywa każdą filantropję zdechłym mięsem, to też dar Glorjana powitał brzękiem głodnej muchy i zapadł weń na dłużej.

Ubawił Glorjanów natomiast list starej hrabiny Filarowej.

„Czcigodni burzyciele ładu społecznego, — pi-sała wesoła dama, — gdy już ostatnia działka wielkiego dominium Bruttów zyska sobie nowego właściciela, zapraszam was oboje do Filar na rozmyślenia, których termin określicie sami. Gdyby mi kazano rymować do Jan i Teresa, to — dalibóg — powiedziałabym, że znam lepsze interesa, ale pomimo to niech was Bóg błogosławi... ale, ale, niech pan Jan kupi wczorajszy numer endeckiej „Bożej krówki“, to się uśmieje. Piszą tak: „rozumieją oddać ziemię za zaległe podatki, ale tak, bez przyczyny niszczyć warsztat pracy?“... tylko nie przypuszczajcie, że to moje argumenty... Nie jestem krówką, nawet Bożą...”

Jeden z profesorów — ekonomistów zadał, w którymś tygodniku takie pytanie:

— Czy nasza kuźnia odrodzeniowa posiada odpowiednie kowadło, które można bez ryzyka zaatakować takim potężnym młotem?

Pisma wszystkich odcieni opisały obiad wydany dla nowych posiadaczy. Trzeba trafu, że po obiedzie zginęło drogocenne futro sobolowe pana domu.

Ktoś dowcipnie zestawiał:

— W odniesieniu do 2000 darowanych włók zginęło zaledwie jedno jedyne palto. Cóżby to było, gdyby te 2000 włók wypadło zdobywać w drodze rewolucji? Rewolucja w odniesieniu do futer byłaby mniej skrepowana.

Ktoś inny, zdaje się, że stary Świętochowski w rozmowie zaznaczył:

— Według mnie, w odniesieniu do 2000 włók najstuszniej byłoby odnieść futro właścicielowi.

Od przesiadującego w areszcie śledczym Kodusia, otrzymali Glorjanowie, tych kilka słów:

Proszę o jedną działkę. Będę orał i siał mannę.

— Zawsze ten sam — zauważył Wdowiec.

...Czyż jednak nie uderza was, że, mianowicie, nawet entuzjastyczne artykuły nie umieją sobie dać rady z waszym czynem? Dzieje się to dlatego, że dar, darowizna nie leży oddawierendawna w jakimkolwiek programie. Nie wiedzą, skąd wyprowadzić taki wy czyn. Przygnietliście ich, Tereso i Janie.

Utworzyliście w Polsce, moi drodzy, bank Chrystusa. Jest to w waszem wykonaniu bank rolny, ale akcje tego banku będą rozchwytywane. Czuję to i widzę.

Przypomnę Schellinga, który w jasnowidztwie lunatyków widział wyższe ludzkie „ja”, Hegla, który dopatrywał się w naturze wcielenia ducha, a w historii widział ewolucję materji, w kierunku ducha. A Schopenhauer i Bergson, jeden po drugim, uznali przewagę decydującą intuicji w rozwoju dziejów, czyli w dziejach pojmowania człowieka.

Wszyscy ci dźwigacze myśli rozumieją was. A wszystkich, i was także, doprowadził do podjęcia ciężaru myśli — Wielki Dźwigacz krzyża.

Jest On patronem nawet tych, którzy nie uznają darów, lecz zdobycze socjalne, gdyż i te zdobycze wymagają poświęceń. Dlatego to niech wam będzie obojętne, jak kto wasz czyn nazwie.

Gdy na was patrzę w tym wspaniałym pałacu, gdy sobie przypomnę, Tereso, tak niedawne rozmowy z twoim ojcem — czuję się hodowcą wysokopiennego kwiatu agawy, który mi nad głową wystrzelił.

Widzę kilka tysięcy osiedli, które zaczną pracę na roli.

Ilekoć patrzę na wieś polską słomianą, przypomina mi się pasieka. Gdy słyszę pobrzękiwanie teoretyków na temat, kto dla kogo istnieje, wieś dla miasta, czy odwrotnie, to jasno widzę, że jakieś stado trzmieli hoduje sobie tę wieś, żeby mieć na zawołanie spichlerz i spiżarnię. I zadaję sobie dwa pytania: Pierwsze: kto i kiedy zaczął hodować tę poddańczą pasiekę, i drugie: — kiedy ta wieś wyroi się i ogarnie miasta?

Wtedy dochodzę do wniosku, że to nie pałac powie do chaty: bądź pałacem, lecz chata pałacowi rozkaże: bądź chatą!

Czy to będzie wzbogacenie, czy zbiednienie, pozostawiam — rozgłośniom.

Obok leżącej trumny Eustachego Brutto umieliście postawić stojącą trumnę pychy rodowej i chciwości, jak konfesjonał. Dźwignęliście tyle, co pszczoły: słodycz bytu.

Czy można na temat miodu rozmyślać, czy się opłaci i komu się opłaci?

Tereso i Glorjanie, przyjmuję od was moją działkę 10-morgową i sam na niej domek sobie postawię.

Teresa dodała wesoło:

— Mój Boże, dlaczego tu niema Kodusia? Onby zaproponował, że wydzierżawi ogród owocowy przy tej chacie, jak tylko wyrośnie.

— Pani Tereso, kocham go za jego rzetelność.

— Nie chciał od nas przyjąć kaucji.

— Czy was to dziwi?

Milczenie było odpowiedzią.

Wszedł lokaj i oznajmił:

— Przesyłka do księdza od odlewnika...

— Zaraz tam idę...

Po chwili Wdowiec wrócił dźwigając postać Chrystusa niosącego krzyż.

— Kopja rzeźby z przed kościoła Ś-tego Krzyża — jakaż piękna!

— To do kaplicy pałacowej. Dostaliście Chrystusa nie za srebrniki, tylko za polską ziemię. Patrzcie tylko, jak dźwiga... To jego pług...

Postać bronzowa zaczęła przemierzać machoniony stół pałacu Bruttów.

Już jej nie dogoni ani myśl nowoczesnego polaka, ani pan dyrektor Djogenes Niedobicki.

— Tak jest, księżę, Niedobicki już się do nas nie dobije. Chciałbym urządzić uroczystość wprowadzenia nowych właścicieli. Skromne przyjęcie, a po przyjęciu dostaną po bacie... oczywiście po bacie do ręki, do popędzania koników.

Teresę rozbawiły te projekty.

— Takie odwrócone okrężnel...

Glorjanowi oczy migotały:

Tereso, możesz mnie teraz bardzo łatwo przyłapać na mojej robociarskiej tradycji. Obchód i pochód, obchód z pochodem, pochód z obchodem...

— Ja sama lubię uroczystości...

— Tak, ale wolisz patrzeć...

— Nie, nie znasz mnie! Będę hulala ze wszystkimi. Upiję się na skromnej uczcie. Książdz, gdy go poprosimy, zatańczy...

Wdowiec przeszedł palcami po siwej czuprynie.

— Ja odprawię nabożeństwo, a potem powiem kazanie, na gazonie przed pałacem w Samodębiu. Zrobię wam wiec. Co do parcia ku uroczystości, to mylisz się, Glorjanie, przypisując je robociarskiemu swemu dziedziczeniu. Wszystkie sprawy społeczne zaczęły się w kole z ogniskiem, lub ołtarzem pośrodku.

Obchód, obchód... widzę każdy obchód, jako kołowanie wokół jakiegoś punktu. Nie było wojny bez głównej bitwy, nie było państwa bez głównego miasta. Gdybyś chciał podać rękę ludzkości, natychmiast znalazłbyś się w środku.

Po naradzie Glorjan wydał odpowiednie dyspozycje.

Od stacji kolejowej prowadziło 6 wiorst boczne go gościńca do pałacu w Samodębju. Drogę tę od rana porządkowano, rozkopując i gracując, ażeby można ją było uwałować i żółtym piaskiem wysypać.

Tegoż dnia szedł ku pałacowi, podchmielony nieco, były żołnierz, Stefan Pochodnia, rodem z Samodębja.

— O, Stefek idzie — zawołały dziewczęta, grabiące ziemię.

— A cóż to za porządki? — zawołał Pochodnia. Cesarz przyjeżdża, czy co?

— To dla pana Pochodni, żeby sobie gładko pochodził.

— Pochodnia jest nie do chodzenia, tylko do podpalania! Ale was, dzieuchy to chyba nie trza podpalać?

— Żeby się pan Pochodnia o nas nie poparzył.

— O was wszystkie? to nie! ale tak z jedną z dwiema, tobym się sparzył...

Cóż to za bilard? dla kogóż to?

— Hrabstwo przyjadą...

— Jakie hrabstwo?

— Hrabstwo Glorjanowie.

— Glorjanowie? Glorjanowie to to samo, co my! Glorjar, robociarski syn. Jego ojciec był w partji w 1904-tym roku, z moim starym. Mego starego powiesili, a Glorjan zmarł na płuca, a właściwie bez



pluc... Hrabstwo! Hrabstwo! Jak się dobrze wy-  
szorujesz, Mańka, to : z ciebie będzie hrabina...

— No, tylko nie za blisko...

— Służba nie dopuści do jaśnie pani?...

Na wysokim walcu siedział znajomy Pochodni.

— Jak się masz, Antek. Na co ci to zeszło?  
Robociarskiemu synowi będziesz z tej szpulki robił  
padam do nóg pod sam pałac.

— Robimy z serca! Wszystko, powiadają, daro-  
wał!...

— Nie gadałbyś! Tylko Chrystus wszystko daro-  
wał. Nawet ten Marks — to nic nikomu nie daro-  
wał, tylko o wszystko kazał walczyć. Ale chociaż  
Marksowi daleko do Chrystusa, to jeszcze obadwaj  
nie dostaną do ciebie, Antek, na ten twój dziurawy  
tron. Zachciało ci się walcować, to walcuj, ale po  
co zaraz głupstwa gadać?

— Nie gadam głupstw! Ojciec mój dostał dzie-  
sięć morgów i na budynki 3000 złotych.

— Kiedy? od kogo!?...

— Onegdaj od pana hrabiego Glorjana.

— To chyba twój ojciec dał mu za to tytuł hra-  
biowski? Ale to dziwne, że o przyjacielu swego ojca  
zapomniał pan Glorjan...

— A co, już panu Pochodni żal?

— No jeżeli daje, to niech sprawiedliwie daje,  
psiakrew!

Glorjan zakupił dwa wagony do stacji Samodębie.

Na Glorjanów czekał stylowy kocz otwarty za-  
przęgnięty w czwórkę angloarabów z rozwianemi dłu-  
giemi ogonami ujętymi przy nasadzie w amaranto-  
we kokardy. Na koźle siedziało 2 krakusów, dwaj  
inni stali z tyłu.

Wdowiec pod żadnym pozorem nie chciał zająć miejsca w koczku, który zresztą nie miał przedniego siedzenia.

Ruszyli sami, Teresa i Jan, otoczeni pawiami piórami.

Konie rasowe odrazu wyczuły równą jak stół drogę i łagodnym klusem ciągnęły pojazd bez wysiłku. Były specjalnie trenowane do uroczystej parady, ale chłopcy stajenni zrobili Glorjanom niespodziankę. Tego dnia rano konie dostały mało paszy, a paru chłopców ustawiło się po drodze ze szkopkami owsa. Konie dojrzały przesypywane rękami ziarno. Nagle, niby hejnał, uderzyły cztery wypięłgnowane, dzwoniące, rżenia i potrwały dobrą chwilę.

— Sprytni chłopcy — rzekła Teresa.

— Przecież to nie oni rżą?...

— To sekret stajenny — informowała męża Teresa i spojrzała nań oczami pełnemi szczęścia. Przed bramą pałacową rżenie powtórzyło się...

— Kochani chłopcy...

— Ale i konie kochane! — upomniał się Glorjan.

— Tak, tak i konie kochane!... wszystko kochane!

— Będzie ci żal? — padło pytanie.

— Ciebie przecież nie oddam! — usłyszał szczęśliwy Glorjan.

Wjechali w szpaler oczekującej banderji chłopskiej. Rozległo się kilkadziesiąt strzałów na wiwat. Lejcowe konie stanęły dęba, a potem czwórka zarwała galopa. Stangret, jak Automedon, podał się w tył, ściągając dyszlową parę, a do strzelających zawołał bez żenady:

— Dość, psia mać, bo nie utrzymam!...

Auta goniły za pędzącym pojazdem, a Jan i Teresa, wpatrzeni w siebie, mówili sobie oczami nieznanie przedtem słowa.

— Hooola! hooola!!! Już wpadli w bramę, ale tu stangretowi przyszedł z pomocą zwarty tłum włościan. Wzięli przy pyskach broniące się nieco konie i podprowadzili pod kolumnadę głównej fasady.

Z pałacu udano się do kościoła. Glorjanów poprzedzała dziatwa nowopowstałych dziedziców. Dzieci w barwnych strojach śpiewały pieśń z takim refrenem:

„Gdy nas w pole pośle jasny hrabia,  
To za dniówkę dobrze się zarabia“....

Teresa zwróciła się do Glorjana:

— Tak ojcu memu śpiewali...

— Mieli rację, bo tak było...

— Nie zdążyli nauczyć się słów dla ciebie....

— Już nie zdążą... niech śpiewają, co umieją.

Podczas mszy Teresa nachyliła się ku Janowi:

— Tak się boję, że ksiądz Wdowiec się omyli,...  
tyle lat głośno przy ołtarzu nie śpiewał.

— We mszy nie można się omylić...

— Tak sądzisz?

— Tak. Msza polega nie na popisie, tylko na intencji. Dlatego dotąd nie zestarzała się.

Teresa spojrzała na Glorjana z jakąś nową radością.

A on, czując jej wzrok, — dodał:

— Trudno lepiej zastosować mszę, jak w naszym wypadku.

Przy „per omnia saecula“ Wdowiec znalazł oczami w ławie kolatorskiej zapatrzonych w siebie hrabiankę i syna rewulocjonisty i rzekł uroczyście:

— Ite, missa est...

Dziatwa w drodze powrotnej zaśpiewała piosenkę o Janie. Była przygotowana. Brzmiało to tak:

Na świętego Jana zielone staje,  
Ziemia już ubrana dary rozdaje,  
Matce Bożej pantofelki,

A nam chłopom kartofelki —  
I pan da ci coś,  
Ino dobrze proś!...

Kto się zowie Jan,  
Ten jest dobry pan,  
Ten jest dobry pan!

— Nie jestem ich panem — szepnął Jan...

Wdowiec uśmiechnął się:

— Glorjanie, jeżeli wierzysz w swój czyn, to musisz i pieśni uwierzyć. Ja im tego nie pisałem...

Przed pałacem nie było gazonu, tylko plac wyzwirowany, z wielkim brązowym posągami Neptuna, stojącego w otoku basenu.

Oparty o trójnog pogańskiego bóstwa ksiądz Wdowiec zaczął przemowę:

„Nie bądźcie, jako płomień, który żyje podmuchem przez siebie zrodzonym i nie bądźcie, jako stojąca woda martwa w ramach niewoli i ucisku. (Cytaty o ogniu i wodzie zapożyczył ksiądz z kodeksu Atlantyckiego Leonarda). Gromada słuchaczy westchnęła, jakby słysząc coś znajomego.

„Życie, gdy was do życia wzywają.  
Dostaliście ziemię!”

Nowe westchnienie zostało przerwane. W tłumie znajdował się Pochodnia.

— Ziemia i tak nasza! — zawołał śmiało.

Wdowiec nie dał się zbić z tropu.

— Nie znam pana, ale muszę ci przyznać: ziemia tak, czy owak, jest nasza!

Pochodni zabrakło słów do odpowiedzi. Wyładował się. Zato Glorjan zabrał głos:

— I ja pana nie znam. Pan tutejszy?

— Tutejszy, a dla pana, panie Glorjan, jestem i tamtejszy. Jestem synem powieszonoego przez cara Pochodni, towarzysza pańskiego ojca.

Wśród grobowej ciszy Glorjan zdjął kapelusz i podszedł do Pochodni.

— Jeżeli nie masz pan nic do roboty, to proszę przyjąć działkę 10-cio morgową, a oprócz tego zarząd parkiem pałacowym.

Przez okrzyk tłumu przedarł się głos jakiegoś starca:

— A co? Pochodnia sobie ziemię wypyskował!

— Należy mi się! ale dziękuję panu, panie Glorjan. A czy będę mógł w parku pańskim na ławeczce usiąść i z panią dziedziczką porozmawiać?...

Powiało od Pochodni alkoholem. Glorjan postanowił uratować nastrój. Wziął mównicę za dłoń.

— Panie Pochodnia, przez bohaterską śmierć twego ojca, przyjaciela mego zmarłego ojca, bądź moim dobrym sąsiadem. A bliżej podszedłszy szepnął mu w dyszącą twarz:

— Jesteście, obywatelu pijani, proszę się opamiętać...

Pochodnia spojrział Glorjanowi w oczy, a potem zawołał w stronę Wdowca:

— Proszę, niech ksiądz mówi. Będę stał spokojnie, jak ten odlew z widelcem w rękę.

A Wdowiec jednym rzutem roztoczył tęczę pomiędzy pogańskim bóstwem antyku, a tym nowym poganinem z gębą, gotową jak fontanna do obelg na stary ustrój.

— Słuchajcie, obywatele! Zabrać coś komuś prze-



mocą, w tem jest siła, ani słowa! Ale Chrystus nie mówił: bierzcie, tylko oddajcie!

Oddać coś komuś! Oddać dobrowolnie, z radością, to siła i moc jeszcze większa! Dlatego kończę okrzykiem:

— Państwo Glorjanowie, u których dzisiaj niewidzialnym gościem jest Chrystus rozdawca, niech żyją!

A polski lud umiał odkrzyknąć, bo miał na co. Gdy wszyscy byli zajęci Glorjanami, Pochodnia odnalazł Wdowca i tak rzekł do niego:

— Miało być inaczej. Mieliśmy pałac splondrować.

— Wiem.

— Skąd?

— Nie po to Chrystusa zdejmowano z krzyża, żeby go potem znowu nie ukrzyżować.

— Co ksiądz mówi?

— To, co chciałeś uczynić.

Pochodni znowu zabrakło odpowiedzi.

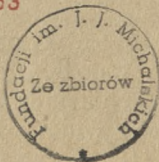
INSTITUT

BADAŃ LITERACKICH PAN

BIBLIOTEKA

00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72

Tel. 26-68-63











<http://rcin.org.pl>

© OCHOTNIK WYK. W DAWK. PROOBS 36" W. WYK.









F

3484